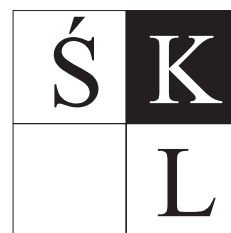


ŚWIĘTOKRZYSKI KWARTALNIK LITERACKI



KIELCE 2016 NR 1-4 (51-54)
ISSN 1429-849-X

NAGRODZONY PRZEZ MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA ŚWIĘTOKRZYSKIEGO



Maria Wollenberg-Kluza: *Przed koncertem*, z cyklu „Ignacy Jan Paderewski i dawna muzyka polska”, olej, płótno



Artystka przy pracy

Maria Wollenberg-Kluza jest córką malarza Piotra Wollenberga oraz nauczycielki Wandy Wollenberg, z domu Dziubek. Rodzice po II wojnie światowej osiedlili się w Puławach. W domu rodzinnym często bywali koledzy ojca, absolwenci warszawskiej ASP oraz środowisko malarzy z Lublina i Kazimierza Dolnego. W 1967 r. Maria zamieszkała w Warszawie u profesora Stanisława Szczepańskiego – malarza z grupy kapistów. Tam mogła często spotykać Jana Cybisa i Hannę Rudzką-Cybisową. Ten ważny dla rozwoju artystki okres ukształtował jej silniejsze zainteresowanie polskim koloryzmem. Studiowała na Wydziale Malarstwa ASP w Warszawie. W 1973 otrzymała dyplom z wyróżnieniem z malarstwa w pracowni znanego kolorysty Tadeusza Dominika oraz aneks do dyplomu z tkaniny artystycznej u Wojciecha Sadleya. W latach 1973-1975 odbyła staż asystencki w ASP w Warszawie. Miała wiele wystaw indywidualnych w kraju i za granicą. Brała udział w licznych wystawach zbiorowych oraz w prezentacjach polskiej sztuki za granicą.

Jej obrazy reprezentują malarstwo refleksyjne, w którym przenikają się różnorodne formy wyrazu artystycznego, tj. muzyka, poezja, filozofia, teatr, taniec etc. W twórczości artystki widać zainteresowania antykiem. Na jej płótnach odnaleźć też można fascynację wieloma współczesnymi poetami i pisarzami polskimi oraz wybitnymi muzykami.

Jako wychowanka Tadeusza Dominika, Maria Wollenberg-Kluza kontynuuje zainteresowanie koloryzmem. Modyfikuje go nieco poprzez elementy ekspresjonizmu i symbolizmu. Maluje najczęściej monotematyczne cykle po 20-30 prac, m.in. „Ludzie w mieście”, „Człowiek i maszyna”, „Katedry”, „Impresje poetyckie”, „Gra wyobraźni”, „Zwierzenia matki”, „Impresje hiszpańskie”, „SALIGIA – siedem grzechów głównych”, „Rozmyślania i modlitwy”, „Pejzaże polskie”. Nawiązuje również do tematyki sakralnej. Jest autorką m.in. wizerunku Matki Bożej w Sanktuarium na warszawskich Siekierkach oraz dwóch obrazów związanych tematem z objawieniami, mającymi miejsce w latach 1943-1949 w Warszawie, a także takich, jak „Drzewo Życia”, „Tryptyk Fatimski”, „Ks. Jerzy Popiełuszko”. Z uznaniem o Marii Wollenberg-Kluzie wyrażał się Józef Szajna, malarz i wybitny reżyser teatralny.

Obcowanie z innymi dziełami sztuki oraz czerpanie z nich natchnienia to nieodzowny element twórczej pracy malarzki. Z twórczości proromantyków: Blake’a czy Friedricha autorka wydobywa na swe płótna wizyjność i symbolikę. W cyklu „Obrazy z Norwida” pomocna była lektura „Czytanie Norwida” autorstwa Jacka Trznadla. Motywem przy realizowaniu cyklu obrazów „SALIGIA – siedem grzechów głównych” stały się wykłady Czesława Miłosza „Ogród nauk”. Natomiast tytuły obrazów w cyklu „Gra wyobraźni” w większości zaczerpnięte są z poezji Krzysztofa Gąsiorowskiego.

Również muzyka jest katalizatorem twórczym Marii Wollenberg-Kluzy. Fryderykowi Chopinowi został poświęcony cały cykl: „Chopin w malarstwie i motywy muzyczne”. Tak o nim napisał Zbigniew Jerzyna:

Widziałem maskę pośmiertną Chopina.
Ile w tej twarzy bólu, zastygłego cierpienia
Ale w Łazienkach przed upiękuszonym pomnikiem
stoi piękna dziewczyna i tęskni za miłością.
Zaiste, są takie tajemnice tej genialnej muzyki,
że nie ma ona granic i otwiera serca –
trudno to namalować – a jednak się udaje.

ŚWIĘTOKRZYSKI KWARTALNIK LITERACKI

ISSN 1429-849-X
KIELCE 2016 NR 1-4 (51-54)



Wydawca: Związek Literatów Polskich – Oddział w Kielcach
Adres redakcji: 25-009 Kielce, ul. Zamkowa 5

Numer przygotowany dzięki finansowej pomocy
Samorządu Województwa Świętokrzyskiego i Radia Kielce SA
przy współudziale Oficyny Wydawniczej „STON 2”
oraz Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Witolda Gombrowicza w Kielcach

Redaguje Zarząd Kieleckiego Oddziału ZLP
STANISŁAW NYCZAJ – prezes, redaktor naczelny
BEATA KĘPIŃSKA – sekretarz,
BENEDYKT KOZIEŁ – wiceprezes, JAN LECHICKI – wiceprezes
EWA MARIA WOJTASIK – skarbnik

Konsultacja: KRYSZYNA CEL, STEFAN JURKOWSKI

Korekta: IRENA NYCZAJ
Opracowanie komputerowe: PAWEŁ NYCZAJ

Redakcja dziękuje autorom za nieodpłatne przekazanie utworów i artykułów do publikacji.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych; zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów, a także zamieszczania fragmentów dłuższych utworów.

Zdjęcia niepodpisane pochodzą z archiwum „ŚKL”.

OD REDAKCJI

S. Nyczaj: Okazały Rok Sienkiewiczowski 5

Z TRADYCJI

Ł. Wojtczak: Czas mierzony szwajcarskim zegarem 7
A. Sznajder: Józef Relidzyński – legionista i poeta 10

WSPOMNIENIA

A. Piskulak o Stanisławie Ramsie 13
S. Nyczaj o Ryszardzie Ulickim 16
A. Piskulak o Zofii Korzeńskiej 20
K. Kołomyja-Run: *Pani Zosi Korzeńskiej* 21

ROZMOWY

A.M. Musz rozmawia ze Stefanem Jurkowskim 22
S. Stanik rozmawia z Utą Przyboś 29
S. Nyczaj rozmawia z Leopoldem Wojnakowskim 36

WYDARZENIA

Spotkanie noworoczne literatów w DŚT 41
Promocja tomu S. Nyczaja w Bułgarskim Instytucie Kultury w Warszawie 43
Wypowiedzi o poezji S. Nyczaja: prof. K. Czejarka, B. Kępińskiej, A. Rodysa 43
Promocja *Wierszy wybranych* Ł. Seliaszki w Bułgarskim Instytucie Kultury 47
Wypowiedzi o poezji Ł. Seliaszki: K. Cel, S. Stanika 47
W 80-lecie urodzin B.M. Sierakowskiej 51
Wiersze Jubilatki 53
J. Mazanka: XVI Światowy Dzień Poezji UNESCO w Staszowie 56
B. Kozieł: IX Festiwal Poezji Słowiańskiej w Staszowie ... 58
A. Drozd: Młodzi śpiewają poezję 62
Pisarz Jan Lechicki Honorowym Obywatel Gminy Łagów... 64
Laudacje: S. Nyczaja, dr hab. Aliny Białej 64
J. Lechicki: wiersze 68
St. Jurkowski o poezji Jana Lechickiego 70
Promocja powieści *Trauma Ewy* I.J. Paździerz w DŚT ... 72
I. Paździerz: *Pisanie nie leczy* (fragment powieści) 74
Wypowiedzi o książce *Trauma Ewy*: A. Błachuckiej, W. Nowik-Pali 77
Barbara Wachowicz gościem Gmin Radoszyce i Masłów 79
Rzecz(nie!)pospolita poetów w klubie „Czerwony Fortepian”... 81
Promocje literackie w krakowskim klubie „Pod Gruszką” . 85
B. Kępińska: *Piektło-niebo* (fragment powieści) 86
Wł. Kłaczyński o powieści *Piektło-niebo* B. Kępińskiej 88
I.S. Fiut o poezji Joanny Rządziejewicz 90
E. Guziakiewicz o spektaklu *Moralność Pani D.* Włodzimierza Kłaczyńskiego 92
T. Sznerch: VIII Nadmorskie Spotkania Literackie 95
St. Jurkowski o plenerze na żeromszczyźnie 103
S. Nyczaj o poezji Joanny Kłaczyńskiej 104
Malarstwo Barbary Pasierb-Jezińskiej 107
45. Warszawska Jesień Poezji 108
Promocja tomu *Tabu* Romualda Bielendy w KCK 112
M. Maciągowski: postowie do tomu *Tabu* 114

TWÓRCZOŚĆ ESEJE RECENZJE

L. Abraham Zubińska: *Olimpio* (fragment powieści) 115
J. Babiaryz: wiersze 120
A. Błachucka: wiersze 123
J.A. Borzęcki o twórczości Grzegorza Kociuby 124
K. Cel: wiersze 126
E. Chuchmała: wiersze 127
J. Chruśliński: *Z Chrobrza na wojenną tułaczkę* (fragment powieści) 128
L. Wyszczelski: postowie do powieści J. Chruślińskiego 131
A. Fornal: wiersze, aforyzmy, fraszki 133
B. Gumowski: *Antek* 139
St. Jurkowski: wiersze 141
M. Węgrzynowicz-Plichta o poezji St. Jurkowskiego 143
A.M. Musz: wiersze 147
H. Kawiorski: *Żelazo i rdza* (fragment powieści) 149
K. Cel o powieści H. Kawiorskiego *Pocałunek na dobranoc* 155
B. Kozieł: wiersze 156
K. Michalak: wiersze 157
M. Niegodajew: aforyzmy, sentencje 158
U. Przyboś: wiersze 159
P. Michałowski o tomie Uty Przyboś *Prosta* 160
W.M. Rak: fraszki 162
K. Ryk: wiersze 163
K. Cel o poezji Kazimierza Ryka 164
K. Słomiński: fraszki 165
M.A. Spychaj: *Regina* (fragment powieści) 166
K. Cel: postowie do powieści M.A. Spychaj *Mitosne miraż* 171
I. Stopierzyńska: esej 172
K. Szczykutowicz: proza poetycka 173
Z. Walas: wiersze 174
M. Wawrzekiewicz: wiersze 175
M. Węgrzynowicz-Plichta: wiersze 176
E.M. Wojtasik: „Na odwyku” (fragment powieści) 177
A. Zaniewski: wiersze 178
A. Zielińska-Brudek: wiersze 179
M. Zynger: wiersze 182

NOTY

Wypowiedzi o książce B. Żabskiego *Moje kresowe korzenie*... 183
Na kanwie książki B. Gumowskiego *Subtelność brzmienia, czyli dzieje Radia Kielce* 184
O *Antologii poetów polskich 2016* 185
Supermen G.D. Kowalskiej 186
T. Nietysza: Emilia Tesz i *Opowieści z kufra wyjęte* 187
O powieści I. Zielińskiej-Zamory pt. *Siostry* 189
W jubileusz Z. Antolskiego 190
Podziękowania 191
Malarstwo M. Wollenberg-Kluzy 192

Stanisław Nyczaj

Okazały Rok Sienkiewiczowski

W 170-lecie urodzin, 100. rocznicę śmierci Noblisty i 120-lecie wydania Jego *Quo vadis*



Rys. Irena Nyczaj

To światowe, ogólnopolskie i świętokrzyskie obchody tych trzech okrągłych rocznic sprawiają ową wyjątkową wprost okazałość świętowania wyrazów stałego uznania dla ukochanego przez czytelników (nie tylko Polaków czy rodaków na obczyźnie, o czym przekonałem się naocznie przed dziesięcioma laty w dalekim Wietnamie) pisarza – równie wielkiego artysty słowa, jak i człowieka patriotycznego czynu. Nie ma w Polsce miasta, w którym nie byłoby ulicy Henryka Sienkiewicza ani częstokroć także placówek kulturalno-oświatowych Jego imienia. W Kielcach Sienkiewka uwieńczona pięknym pomnikiem autora *Quo vadis* dłuta Gustawa Zemły jest traktem ulubionych spacerów. Na Podkarczówce wieluset absolwentów doczekał się już Zespół Szkół im. Henryka Sienkiewicza, którego współtwórcą od budowlanych podstaw i długoletnim dyrektorem

był kolega z naszego Oddziału ZLP Romuald Bielenda – poeta i regionalista. O przodkach Noblisty związanych z ziemią białobrzeską pisał w książce *Kalejdoskop pamięci* (1014) z naszego grona poeta, prozaik, nowelista i regionalista Henryk Morawski. Dokumentarną opowieść o Henryku Sienkiewiczu w Oblęgorku pt. *Gniazdo miłe dla duszy* wydał w 1995 inny nasz kolega Tadeusz Wiącek – powieściopisarz, publicysta, krytyk filmowy i teatralny. A skoro już jestem przy pałacowym muzeum w Oblęgorku, muszę wspomnieć, że wszystkie publiczne spotkania i seminaria, jakie tam organizowaliśmy od lat 70. ubiegłego wieku udawały się wyśmienicie, co może potwierdzić długoletnia kustosz i dyrektor placówki Lidia Putowska, autorka książki *W stulecie Nagrody Nobla dla Henryka Sienkiewicza* (2005).



Romuald Bielenda przy pomniku H. Sienkiewicza w Kielcach

„Otwierając obchody Roku Henryka Sienkiewicza w Oblęgorku, w jego posiadłości – mówił Piotr Gliński, wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego – chcę podkreślić wagę potrzeby szerzenia wśród obywateli postaw patriotycznych, wartości chrześcijańskich i umiłowania ojczyzny”.

Towarzyszący wicepremierowi podczas tej uroczystości 14 kwietnia Adam Jarubas, marszałek województwa świętokrzyskiego, powiedział m.in. „Powinniśmy podejmować inicjatywy nie tylko podczas Roku Sienkiewiczowskiego, upamiętniające i popularyzujące twórczość wielkiego pisarza. Warto też pokazywać jego wrażliwość społeczną, oddanie dla ojczyzny. Chciałbym zaapelować o obywatelski wymiar naszego świętowania [...] i pokazywania postaci Sienkiewicza. Proszę, by każdy z nas zadał sobie pytanie, jak dokumentować i sławić tę postać. To ważne zadanie dla mieszkańców Świętokrzyskiego, ziemi, z którą związany był pisarz. Powinniśmy więc wyrażać i potwierdzać swoim działaniem te wartości, które głosił”.

Robert Kotowski, dyrektor kieleckiego Muzeum Narodowego zapowiedział szereg upamiętniających wystaw i spotkań, np. wystawę pn. „Czas mierzony szwajcarskim zegarem”, poświęconą działalności społecznej pisarza pod koniec życia, w lipcu literacki piknik rodzinny „Wokół Quo vadis”, potem ekspozycję rękopisów z oblęgorskich zbiorów, konferencję naukową nt. twórczości Sienkiewicza. W ramach ekspozycji pokazany będzie pamiątnik jego pierwszej żony, Marii z Szetkiewiczów, który może okazać się ważnym elementem w odkrywaniu nieznanych dotąd biograficznych wydarzeń. Wspomniał jeszcze dyrektor o wystawach w Sejmie i Senacie RP, Instytucie Polskim w Pradze, Watykanie. Będzie też kino letnie w pałacyku, głośne czytanie fragmentów dzieł w zainicjowanej przez marszałka Adama Jarubasa akcji „Świętokrzyskie czyta Sienkiewicza”.

15 kwietnia byłem wraz z Marleną Zynger (red. nac. pisma „LiryDram”) oraz mieszkającą nieopodal pałacyku najbliższą rodziną pisarza – sędziwą wnuczką pisarza Jadwigą Sienkiewiczową i jej córką Anną M. Dziewanowską – na otwarciu wystawy „Czas mierzony szwajcarskim zegarem”. W tym numerze przybliży ją naszym Czytelnikom Łukasz Wojtczak.

Stanisław Nyczaj

Literacki piknik rodzinny *Wokół „Quo vadis”* Oblęgorek, lipiec 2016



Stanisław Nyczaj i Henryk Morawski



Fot. Irena Nyczaj

Czas mierzony szwajcarskim zegarem

Pod koniec lipca 1914 r., w przeddzień wybuchu pierwszej wojny światowej, Henryk Sienkiewicz po raz ostatni przyjechał do Obłęgorka, który od dwunastu lat pełnił funkcję letniej rezydencji dla rodziny pisarza. Podkielecki majątek ze względu na swoje położenie nie był miejscem bezpiecznym, znajdował się w bezpośrednim zasięgu działań wojennych, w dodatku syn autora *Trylogii*, Henryk Józef, był w wieku poborowym i groziło mu powołanie do rosyjskiej armii. Kiedy naczelny dowódca wojsk rosyjskich, wielki książę Mikołaj Mikołajewicz, ogłosił odezwę mobilizacyjną, Sienkiewicz nie miał wątpliwości, że musi jak najszybciej opuścić Królestwo Polskie.

Na kilka tygodni Sienkiewiczowie przenieśli się do Krakowa, ale kiedy i tam ogłoszono ewakuację, we wrześniu 1914 r. wyjechali do Wiednia. W stolicy Austrii przebywało wielu przyjaciół pisarza, w tym malarz Kazimierz Pochwański i rzeźbiarz Stanisław Lewandowski. Jednak i tu nie zagrzało zbyt długo miejsca, a to za sprawą *Odezwy do Członków Koła Polskiego w Wiedniu*, skierowanej przeciwko państwom centralnym, której autorstwo niesłusznie przypisano Sienkiewiczowi. Krążyły plotki, że grozi mu deportacja, a nawet, że już został aresztowany. Ostatecznie twórca *Quo vadis* i jego najbliżsi znaleźli się w neutralnej Szwajcarii – najpierw w Lozannie, a następnie w Vevey. Zamieszkali w Grand Hotelu, a w listopadzie 1915 r. przenieśli się do Hotelu du Lac, który wkrótce stał się główną siedzibą Komitetu Veveyskiego.

W tym samym czasie w Szwajcarii schronienie znalazło wielu wybitnych Polaków, z niektórymi Sienkiewicz znał się osobiście i miał już nawet okazję współpracować. Taką osobą był mecenas Antoni Osuchowski – przyjaciel pisarza, z którym współtworzyli Polską Macierz Szkolną. Polacy w Szwajcarii dość powszechnie organizowali się w różnego rodzaju stowarzyszenia i komitety o charakterze politycznym lub charytatywnym. Sienkiewicz także nie zamierzał pozostawać bierny.

W styczniu 1915 r. utworzony został Komitet Generalny Pomocy Ofiarom Wojny w Polsce. Inicjatorem jego powstania był Erazm Piltz, który

skupił wokół siebie grono wybitnych Polaków, a wśród nich Sienkiewicza. Pisarz stanął nawet na czele Komitetu, zaś wiceprezesem został późniejszy premier Ignacy Paderewski. Noblista oraz światowej sławy pianista mieli zwrócić uwagę opinii publicznej na sprawę polską. W prace Komitetu Veveyskiego zaangażowani byli ponadto Antoni Osuchowski, Szymon Askenazy, Gabriel Narutowicz, Jan Rosen, Urszula Ledóchowska i wiele innych osobistości.

Najważniejszymi zadaniami organizacji było przygotowywanie międzynarodowej akcji na rzecz ofiar wojny w Polsce, zbiórka pieniędzy, tworzenie komitetów lokalnych na terenie całego świata, zajmujących się bezpośrednio udzielaniem pomocy ofiarom wojny.

1 lutego 1915 r. wydana została w języku francuskim *Odezwa do narodów cywilizowanych* autorstwa Henryka Sienkiewicza, w której apelował o pomoc dla Polaków. Przez pierwsze miesiące działalności Komitetu odezwa całkowicie spełniała swoje zadanie, przynosząc wymierne korzyści finansowe. Łącznie w ciągu czterech lat istnienia Komitet zebrał kwotę ok. 20 mln. franków szwajcarskich. Pieniądze te przekazywane były organizacjom ratunkowym w kraju. Akcję poparł ówczesny papież Benedykt XV, z którego inicjatywy biskupi polscy wydali odezwę skierowaną do wiernych na całym świecie. Ze strony Kościoła osobą szczególnie zaangażowaną w działalność Komitetu był biskup krakowski Adam Stefan Sapieha, który po wybuchu wojny sam założył w Krakowie Książęco-Biskupi Komitet Pomocy dla Dotkniętych Klęską Wojny.

Wystawa *Czas mierzony szwajcarskim zegarem*, prezentowana od 15 kwietnia do 31 sierpnia br. w obłęgorskim Pałacyku ma na celu przypomnienie tej wyjątkowej działalności Sienkiewicza w ciągu dwóch ostatnich lat jego życia. Okres, którego dotyczy, jest najmniej znany z całego, bogatego życiorysu autora *Krzyżaków*. Ekspozycja nawiązuje również do wielu wydarzeń społeczno-politycznych, istotnych na drodze Polski do niepodległości. Wpisuje się ona w szereg wyda-

rzeń przygotowanych przez Muzeum Narodowe w Kielcach z okazji ogłoszonego przez Parlament RP Roku Sienkiewiczowskiego w związku z przypadającymi w kolejnych miesiącach rocznicami 170. urodzin Noblisty oraz 100. jego śmierci. 120 lat temu ukazało się też *Quo vadis* – jedno z największych dzieł Sienkiewicza, które przyniosło mu międzynarodową sławę.

Wystawa składa się z kilku sekwencji. Pierwsza dotyczy okresu tuż po wybuchu pierwszej wojny światowej. Ukazuje atmosferę panującą w Królestwie Polskim oraz przyczyny, dla których pisarz zdecydował się na emigrację. W tej części przypomniana została wizyta legionistów, wychowanych na książkach Sienkiewicza, którzy w drodze z Krakowa do Kielc zdecydowali się odwiedzić Oblęgorek, licząc na poparcie swojej akcji. Wizytę tę opisał we wspomnieniach Bolesław Wieniawa-Długoszowski.

Druga część ekspozycji prezentuje działalność pisarza w ramach Komitetu Veveyskiego. Znajduje się tu m.in. bogata korespondencja, która dowodzi ogromnego zaangażowania Sienkiewicza w sprawę pomocy dla Polski, sprawozdania z prac Komitetu oraz tłumaczona na wiele języków *Odezwa do narodów cywilizowanych*.

Osobna część wystawy opowiada o współpracy Noblisty ze współtwórcami Komitetu Veveyskiego – Ignacym Paderewskim i Antonim Osuchowskim, a także z biskupem Adamem Stefanem Sapiehą

oraz papieżem Benedyktem XV. Wyjątkową jej pamiątką jest medal *Polonia devastata*, wybitny na początku 1915 r. na cześć Sienkiewicza, Paderewskiego i Sapiehy.

15 listopada 1916 r. pracę Komitetu na moment przerwała niespodziewana śmierć pisarza. Mogła się do niej przyczynić wizyta przedstawicieli Narodowej Demokracji, żądających od Sienkiewicza poparcia protestu lozańskiego i wyrażenia sprzeciwu wobec deklaracji władz niemieckich i austro-węgierskich o powstaniu państwa polskiego. Sienkiewicz w *Akcie 5 listopada* zobaczył jednak pierwszą od wielu lat szansę Polski na odzyskanie wolności. Nieprzychylnie endekom stanowisko pisarza skutkowało kilkoma cierpkimi słowami pod jego adresem, które mocno go zdenerwowały.

Mimo śmierci autora *Trylogii*, Komitet Veveyski działał do końca wojny, a Ignacy Paderewski przez szacunek dla Sienkiewicza nigdy nie zajął stanowiska prezesa.

Ekspozowane obiekty pochodzą ze zbiorów kilku krajowych muzeów, bibliotek i archiwów kościelnych, a odznakę honorową, tzw. *Parasol Strzelca*, jaką Sienkiewicz otrzymał w 1916 r. od płk. Władysława Sikorskiego – udostępniła [użytyła] rodzina pisarza.

Łukasz Wojtczak, adiunkt muzealny, Pałacyk Henryka Sienkiewicza w Oblęgorku



Wnuczka pisarza Jadwiga Sienkiewicz (w środku) wraz z córką Anną M. Dziwanowską i starostą kieleckim Michałem Godowskim
Fot. z archiwum Starostwa Powiatowego w Kielcach



Henryk Sienkiewicz i Antoni Osuchowski

Henryk Sienkiewicz i jego córka Jadwiga (5 maja 1916, Szwajcaria)



Kazimierz Pochwalski: *Henryk Sienkiewicz* (1915)



Medal Polonia Devastata, przedstawiający biskupa Adama Stefana Sapięgę, Henryka Sienkiewicza i Ignacego Paderewskiego

Józef Relidzyński – legionista i poeta

Niedawno minęła 130. rocznica urodzin kieleckiego poety i pisarza, legionisty – Józefa Relidzyńskiego. Był człowiekiem wszechstronnym, zajmował się zarówno poezją, jak i prozą. Pracował jako dziennikarz i publicysta, pisał filmowe scenariusze i opracowywał literacko warszawskie spektakle teatralne. Razem ze Stefanem Żeromskim współtworzył polski PEN-Club.

Ród Relidzyńskich herbu Ślepowron wywodzi się z Ziemi Świętokrzyskiej i do dziś w okolicy Kielc mieszkają jego potomkowie. Ojciec Józefa, Romuald Relidzyński, był kieleckim urzędnikiem. W Warszawie ożenił się z Anielą Schayer, córką bogatego fabrykanta Anastazego Schayera, lecz po ślubie zamieszkał z nią w Kielcach. Dnia 11 stycznia 1886 roku urodził im się syn, któremu dali imię Józef.

Gdy ten dorósł do swoich lat, rodzice wysłali go na naukę do kieleckiej szkoły realnej, a potem do słynnego Państwowego Gimnazjum Męskiego. Nagła śmierć ojca przewróciła życie Józefa do góry nogami. Matka postanowiła bowiem przenieść się razem z synem do Warszawy i tam Józef Relidzyński zdał maturę.

Bogaci Schayerowie wysłali go potem na studia do Niemiec. „Studiował przez rok w Akademii der Sozial-und Handelswissenschaften we Frankfurcie nad Menem, a następnie przez dwa lata, zapewne jako wolny słuchacz, na Wydziale Filozoficznym (polonistykę?) na Uniwersytecie Jagiellońskim i Uniwersytecie Lwowskim”¹⁾.

Literacko zadebiutował już w roku 1904 opowiadaniem *W godzinę smutku i tęsknoty*. W Galicji osiadł na dobre; został członkiem „Sokoła” i zaczął występować jako aktor w krakowskich teatrach. Wtedy poznał swoją przyszłą żonę, też aktorkę, Wandę Jarszewską, z domu Zybert. Podjął też współpracę z małopolskimi oraz warszawskimi czasopismami, m.in. „Tygodnikiem Ilustrowanym”, „Bluszczem”, „Słowem Polskim” i „Sfinksem”. Zachwycony twórczością Fiodora Dostojewskiego

napisał poemat dramatyczny *Wielki Inkwizytor* oraz swój pierwszy tom wierszy *Poezje* wydany w 1908 roku, który został dość ciepło przyjęty przez krytykę. „Talent pana Relidzyńskiego – pisał wtedy Kazimierz Przerwa-Tetmajer – rzeźbi się w szczerości, bezpośredniości, prawdzie jego duszy. Przesada, patetyczność, deklamacja, retoryka i zwykłe akcesoria młodych poezji; wszystko tu jest, ale to jest w danej chwili życia pana Relidzyńskiego szczere.[...] Powitajmy młodego kolegę z uznaniem, z szacunkiem, na jakie jego „Poezje” w całej pełni zasługują”²⁾.

Interesowała go także teozofia, okultystyczny światopogląd, głoszący możliwość poznania tajemnic boskiego świata poprzez szczególne oświecenie, tzw. iluminizm. Wśród polskich romantyków podobne poglądy głosił m.in. Andrzej Towiański. Relidzyński zebrał i przetłumaczył na język polski tzw. *Szkice teozoficzne wybitnych adeptów wiedzy hermetycznej oraz Zasady teozofii* Charlesa Webstera Leadbeatera.

Wybuch wielkiej wojny zastał go we Lwowie i tam na początku sierpnia 1914 roku zaciągnął się na ochotnika do Legionu Wschodniego. Po rosyjskiej ofensywie na froncie galicyjskim Austriacy ewakuowali legion w głąb Małopolski i wkrótce go rozwiązali. Relidzyński, szukając kontaktu z Komendą Legionów, przybył wtedy do Kielc. Wiosną 1915 roku zaciągnął się do formowanego w Piotrkowie Trybunalskim 4 pułku piechoty i razem z nim przeszedł swój chrzest bojowy w ciężkiej bitwie pod Jastkowem. Za męstwo w tym boju wykazane mianowano go podporucznikiem. Pułk ten nazywano także „literackim”, służyli w nim bowiem również Władysław Broniewski, Władysław Orkan i Karol Bunsch, a dowódcą jednostki był zdolny literat Andrzej Galica, który mianował Relidzyńskiego swoim adiutantem.

W okopach pierwszej wojny rozpoczęła się jego niezwykle płodna twórczość poetycka. Wojenne wiersze autora zostały wydane w 1916 roku w Krakowie, w tomiku *Wieją wiosenne wiatry*. Przedmowę do niego napisał znowu Kazimierz

¹⁾ R. Skręt, *Józef Relidzyński*, [w:] *Polski Słownik Biograficzny* t. XXXI, Warszawa 1988, s. 72. zob. też: A. Romanowski (red.), *Rozkwitały pąki białych róż*, Warszawa, 1990, s. 183.

²⁾ K. Przerwa-Tetmajer, *Pokłosie wydawnicze (Poezje I)*, „Tygodnik Ilustrowany”, 1909, nr 26.

Przerwa-Tetmajer. Są w nim takie znane utwory jak *Jeśli mi jutro przyjdzie lec, Śmierć legionisty*, czy *Ojczyzna moja*, który poeta kończy słowami:

*Ojczyzna moja! Ty coś nie zginęła,
I co nie zginiesz, bo choć legion lęże,
Legion powstanie i dokończy dzieła;
Nie spocznie, póki skrwawione orężę
O wolny próg twój nie oprze – wskroś Jutrznie,
Która już świta na niebios błękicie,
Na siew, na pracę, na walkę, na życie,
Na łoskot młotów, co uderzą hucznie
Słońce, co młode wykrzeszą ramiona –
Ojczyzna moja – bądź mi pozdrowiona!*

Takie strofy tworzył Relidzyński niemal od ręki – w boju, w marszu i na postoju. Często oznaczał czas i miejsce ich powstania, jak w utworze *Na warcie (na pozycji 4 pułku – grudzień 1915)*:

*W noc ciemną i śnieżną, samotny na warcie,
Choć sen go wciąż morzy podstępnie, zdradziecko,
Straż pełni niezłomnie, straż pełni uparcie
Żołnierz młodziutki i wąty jak dziecko...*

„Wiersze legionowe, obok wcześniejszych utworów patriotycznych, fragmentu dramatu *Traugutt* oraz dłuższej *Dumy o księciu Józefie*, weszły do następnego zbioru poety *Laury i ciernie* (Kraków 1917)”³⁾.

Piękną recenzję jego legionowej poezji wystawił Kazimierz Olechnowicz: „Józef Relidzyński należy do rzędu takich poetów, których wojna oderwała od stolika w kawiarni.[...] w rozgwar bitewnego rzemiosła. Przeniosła go tam, kędy kule świszczą nad uchem, a życie ludzkie w małej bardzo jest cenie.[...] Wszystkie wiersze w tej książce zawarte noszą pieczęć tej ważnej przemiany psychicznej, jakiej dokonała wojna w czułej duszy poety”⁴⁾.

W 1917 roku Relidzyński dostał przydział do 6 pułku piechoty Legionów. W sierpniu tego samego roku odmówił złożenia przysięgi na wierność Austro-Węgrom i został, tak jak inni oficerowie, internowany w Beniaminowie, gdzie przebywał do końca wojny. Tam powstała jego słynna *Rota Piłsudczyków*, śpiewana później na melodię *Roty* Marii Konopnickiej:

*Nie rzucim Ciebie, Wodzu nasz,
Nie damy pogrześć sprawy!
Sztandar, przy którym wiernie trwasz,
Oddamy Bogu krwawy!
Nie wyrwie nam go swój ni wróg –
Tak nam dopomóż Bóg!*

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości Relidzyński powrócił do Krakowa. Tam 8 sierpnia 1919 roku wziął ślub ze wspomnianą Wandą Jarzewską, wtedy aktorką Teatru im. Słowackiego. Po krótkim pobycie w Kielcach państwo młodzi osiedlili się w Warszawie.

Gdy wybuchła wojna polsko-bolszewicka, „Relidzyński służył w Wojsku Polskim – najpierw na froncie wschodnim w 2 dyw. Legionów, skąd przysyłał reportaże do „Tygodnika Ilustrowanego”, następnie w II Oddziale Sztabu Ministerstwa Spraw Wojskowych (był już wtedy kapitanem). W 1920 roku pełnił obowiązki sekretarza i referenta prasowego w delegacji do rokowań polsko-radzieckich w Mińsku. W roku 1922 wystąpił z wojska w stopniu kapitana rezerwy”⁵⁾.

Wtedy na dobre poświęcił się pisaniu. Tak powstał m.in. następny tom poezji *Pędząca sława*, obejmujący oprócz nowych większość utworów drukowanych już wcześniej. W przedmowie do niego poeta pisał: „Tworzyłem te zwrotki nie przy biurku i nie w kawiarni, lecz przeważnie pod drutami kolczastymi na froncie i za drutami kolczastymi w więzieniu niemieckim; pisałem te wiersze nie zawsze atramentem, zawsze jednak krwią serdeczną”⁶⁾.

Wśród wielu pozytywnych recenzji na czoło wysuwa się wypowiedź Stanisława Maykowskiego: „Jest pewien sympatyczny rys, który Relidzyńskiego poezję wydobywa z tłumy mundurowych ‘hurra’ krzyczących wierszy. Rys obywatelski, ten, którym w szesnastym wieku pierwszy pisarz polski przyozdobił idealnego żołnierza. Ten poeta odczuwa w żywy, niezwykle delikatny sposób nędzę ludzi cywilnych na wojnie, ich ustronne męczeństwo, od wojny zresztą bezpośrednio zawiste”⁷⁾.

W wolnej Polsce powstały także inne jego utwory: tom wierszy *Tryptyk listopadowy* (1920)

⁵⁾ R. Skręt, *op. cit.*, s. 72.

⁶⁾ J. Relidzyński, wstęp do zbioru *Pędząca sława* za: W. Wolski, *Notatki literackie*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, 1921, nr 165.

⁷⁾ St. Maykowski, *Ostatni poeta wojenny*, „Słowo Polskie” 1921, nr 268.

³⁾ R. Skręt, *op. cit.*, s. 72.

⁴⁾ K. Olechnowicz, *Z ruchu wydawniczego*, „Kurier Warszawski”, 1916. nr 258.

i poematy związane z powstaniem listopadowym *Nike Legionów*. Od tego typu twórczości odbiegał natomiast tom *Gałąź cyprysu. Liryki*. (1921). W zbiorze tym znalazły się utwory stonowane, refleksyjne, wręcz melancholijne. „Zasadniczą nutą zbiorku jest cichy, lecz głęboki smutek i tęsknota do krainy ducha.[...] W leśnej ciszy poeta odnajduje ukojenie po gwarze miasta i cierpieniach ciemnych dni życia. Obcowanie z przyrodą daje mu pożądaną spokój”⁸⁾.

W tej leśnej ciszy, wpatrzony w sosny, poeta skarży się im na doznane zawody:

*W słońca Ikara ja lotem na skrzydłach rwałem się
pieśni –
Naprzód wznosiłem się, spadałem coraz boleśniej.*

Gdy Wanda Jarszewska zaczęła, oprócz występów na warszawskich scenach, grać w pierwszych polskich filmach, Relidzyński zaczął pisać do nich scenariusze, m.in. do znanej przedwojennej produkcji *Tajemnica przystanku tramwajowego* i do *Niewolnicy miłości* ze sławną Jadwigą Smosarską w roli głównej. Wanda Jarszewska zagrała swoje wielkie role w *Księżnej Łowickiej*, *Wrzosie*, *Trędownatej* i w *Znachorze*. Relidzyński został w tym czasie sekretarzem literackim Teatru Polskiego, a w latach 1928–31 redagował w stolicy miesięcznik „Teatr”.

Cały czas pisał, lecz kosztem poezji, coraz więcej prozy. Jego beletrystyka miała coraz częściej charakter rozrywkowy, jak powieść *Niewolnica miłości* (1923), *Miłość Renaty Jazłowieckiej* (1932), czy zbiory opowiadań *Z dni krwi i chwały* (1925) oraz *Powrót z tamtego świata* (1928). W tym ostatnim zbiorze są niesamowite historie – duchy i upiory oraz sny, które się tragicznie spełniają. Nie wszystkie opowiadania są odrażające. „W noweli *Spotkanie* porzucając niesamowitość, roztacza autor z talentem obraz zgnilizny moralnej wśród plutokracji powojennej. Wreszcie w *Żółtej twarzy* idąc śladami Spenglera i Dmowskiego daje w sugestywnej artystycznej formie zapowiedź upadku Europy i rasy białej, nad którą ma zapanować przebudzona Azja”⁹⁾.

Zgodnym zdaniem krytyków mniejszą wartość ma tzw. poemat romantyczny *Viola d’amore*,

miłosna historia o pięknej Violi, starym księciu – jej mężu, młodym kochanku i złośliwym karle.

Po wybuchu drugiej wojny światowej Relidzyński został wraz z innymi urzędnikami ewakuowany z Warszawy i po długiej tułaczce trafił do Wilna. Tam na łamach miejscowej „Gazety Codziennej” polemizował z jej redakcją na temat przyczyn i skutków klęski wrześniowej. Gdy w 1940 roku sowieci zajęli Litwę, Relidzyńskiego aresztowano i wywieziono w głąb ZSRR, najpierw do Kraju Ałtajskiego, potem do Kazachstanu. Stamtąd udało mu się przedostać do armii gen. Władysława Andersa, z którą wyjechał do Palestyny. Później, już w stopniu majora, dostał przydział do Brygady Karpackiej. Po zakończeniu wojny został na zachodzie i osiadł w Anglii. Niemal do końca życia pisał, tym razem do prasy polonijnej. Został członkiem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Władze polskie na uchodźctwie odznaczyły go Krzyżem *Virtuti Militari*, Krzyżem *Niepodległości* i Krzyżem *Walecznych*. Do rodzinnych Kielc niestety już nie wrócił. Zmarł 7 stycznia 1964 roku w Dartford. Pochowany został z honorami wojskowymi na Elmers End Cemetery w Birkbeck w hrabstwie Kent.

Wanda Jarszewska-Relidzyńska szczęśliwie przeżyła okupację w Warszawie. Po wojnie grała w stolicy w Teatrze *Komedia* i Teatrze *Powszechnym*. Zmarła 15 maja 1964 roku i pochowana została na Starych Powązkach.

W kraju twórczość Relidzyńskiego komuna skazała na zapomnienie. Dopiero w 1990 roku w zbiorze pieśni z lat 1908–1918 *Rozkwitały pąki białych róż* „Czytelnik” zamieścił wraz z krótką notą biograficzną kilkanaście jego wierszy. Reszta twórczości tego wspaniałego legionowego poety wciąż czeka na przypomnienie.

Andrzej Sznajder

⁸⁾ M. Krzyżanowska, *Józef Relidzyński – Gałąź cyprysu*, „Prąd”, 1922, nr 6, s. 157.

⁹⁾ W. Kozicki, *Józef Relidzyński. Powrót z tamtego świata*, „Słowo Polskie”, 1928, nr 352.

Andrzej Piskulak

Stanisław Rams – reportażysta „z krwi i kości”

(1930–2016)

Stanisław Rams – dziennikarz związany przez wiele lat z regionem świętokrzyskim zmarł w wieku 86 lat 5 kwietnia br. w Rzeszowie, gdzie ostatnio mieszkał. Pogrzeb odbył się w samo południe w sobotę, 9 kwietnia na Cmentarzu Komunalnym w stolicy województwa podkarpackiego. Zmarłego pożegnała żona, trójka dzieci, przyjaciele, znajomi. Zdaniem kolegów dziennikarzy i recenzentów, uprawianie reportażu było jego stylem życia.

Reportaże „reportera brzydoty życia” – tak o sobie mawiał – można było czytać w latach 70. i 80. w Magazynie „Słowa Ludu” i miesięczniku „Przemiany”. Obecnie także można je poczytać, gdyż archiwalne egzemplarze „Przemian” zdigitalizowane (ucyfrowione) „wiszą” w zasobach Świętokrzyskiej Biblioteki Cyfrowej na stronie internetowej Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Witolda Gombrowicza w Kielcach, a książki autora znajdują się w jej zasobach.

Z przeczytanych i zasłyszanych informacji, opinii i wspomnień spróbowałem zbudować wizerunek dziennikarski człowieka, który w latach 1970–1989 opisywał życie codzienne mieszkańców regionu świętokrzyskiego, a sam też w pamięci dziennikarzy starszego pokolenia zachował się jako człowiek i reportażysta nietuzinkowy, momentami nawet kontrowersyjny, jak na tamte lata.

Stanisław Rams urodził się 6 maja 1930 r. w Chełmcu k. Nowego Sącza. Już jako uczeń Liceum im. B. Chrobrego w Nowym Sączu w latach 50. był korespondentem terenowym krakowskiego „Dziennika Polskiego”. Po ukończeniu Wydziału Filozoficzno-Historycznego Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz Nauk Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego wybrał zawód dziennikarski. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych zatrudniony był w dzienniku „Słowo Ludu” oraz miesięczniku kulturalno-społecznym „Przemiany” wydawanym od 1970 roku przez Kieleckie Wydawnictwo Prasowe.



Rys. Kazimierz Kołomyja-Run

Był jednym ze współtwórców Kieleckiej Szkoły Reportażu, której członkowie publikowali swoje teksty nie tylko w Magazynie „Słowa Ludu” i „Przemianach”, ale też w antologiach oraz samodzielnych książkach wydawanych przez ogólnopolskie Wydawnictwo „Iskry” czy też Wydawnictwo Łódzkie. Do tej grupy należeli także m.in. Bronisław Zapała, Zbigniew Nosal, Tadeusz Bartosz, Bogusław Rajchert, Marian Rynkowski, Henryk Kawiorski, Jadwiga Karolczak i inni. Młodsze pokolenia dziennikarskie, w tym także niżej podpisany, wzorowały się na wypracowanych przez nich standardach dziennikarskich.

Stanisław Rams publikował też m.in. w miesięczniku „Wegetariański Świat”, „Polityce”, „Odrze” i „Nadodrze”. Miał na swoim koncie książki: *Paszport na Łysą Górę* (nagrodzona przez CRZZ), *Czarna godzina* i *Esperanta gazetaro en la mondo*. Był autorem cykli satyrycznych i felietonowych: *Z wędrówek Sancho Pansy*, *Felieton rubaszki*,

Iluzjon babuni. Otrzymał Złoty Krzyż Zasługi i Medal za 30 lat pracy w zawodzie dziennikarskim.

Po ukończeniu UJ trafił do Zielonej Góry, gdzie zatrudniony został w tamtejszej gazecie. Kolejna jego przystań to „Nowiny Rzeszowskie”.

„Zaczął na poważnie ubierać rzeczywistość w literacką koszulkę, ale jej nie upiękślał, może nieco wyjaskrawiał, co nie mogło się podobać tow. Kruczkowi, I sekretarzowi KW PZPR, więc bez żalu opuścił Rzeszów i udał się do »Głosu Koszalińskiego«. Wrócił jednak do »Nowin Rzeszowskich«. Po dwóch latach obronił pracę magisterską pt. Rola felietonu we współczesnej prasie polskiej – pisze Bogusław Pasternak w 2003 r. w styczniowym numerze kieleckiego miesięcznika „Ikar”. – Staszek był wziętym dziennikarzem, miał bez wątpienia duży talent, czemu nie zaprzeczają nawet najzagorzalsi przeciwnicy. Jeżeli naczelnemu jakiejś gazety nie podobał się świat, który Rams kreował według własnej woli, wtedy pakował walizki i wyjeżdżał. W taki sposób obleciał kilka wojewódzkich gazet, aż dopiero w 1970 roku, kiedy przybył do Kielc zatrzymał się w swoim pędzie – dodaje Bogusław Pasternak.

Znali się ponad 40 lat. Mieszkali razem w jednym bloku w Kielcach, mieli sąsiadujące ze sobą

działki na zboczu Góry Radostowej. „Często grałiśmy w szachy, wymienialiśmy poglądy, po dyskusji każdy zostawał przy swoich. Pasjonował go reportaż i był tej dziedzinie mistrzem, mnie urzekła poezja” – wspomina przyjaciel.

Rok 1979 był dla Stanisława Ramsa przełomowym. Ukazała się bowiem jego debiutancka książka – zbiór reportaży pt. *Paszport na Łysą Górę*. Dla kieleckiego środowiska dziennikarskiego był to również dobry rok, gdyż wydane zostały książki reportażowe Zbigniewa Nosala i Bogusława Rajcherta, natychmiast zauważone przez recenzentów z prasy kieleckiej, ale też i ogólnopolskiej.

W „Przemianach” recenzent podkreślił, że Stanisław Rams tropiąc bohaterów do swych reportaży szukał prawdy o ludziach, o czasie, w którym przyszyło im żyć. „Jest to prawda złożona, niejednolita. Ale przebija z niej optymizm” – pisze recenzent. „Rams pisze o zwyczajnych ludziach, którzy realizują niezwykłe inwestycje: biją rekord świata, montując w ciągu 12 miesięcy cztery bloki energetyczne w elektrowni Kozienice; budują Centralną Magistralę Kolejową, która połączy Śląsk z Warszawą i miastami portowymi, wznoszą nową hutę pod Ostrowcem. Pisze także o innych zwyczajnych ludziach, na przykład o rolnikach, o pracownikach tartaku. Interesują go bowiem przede wszystkim ludzie, dopiero potem sprawy, jakimi się zajmują” – wylicza autor recenzji.

Recenzenci są zgodni, że z reportaży Ramsa wyłania się zawsze obraz człowieka, szkicowany wprowadzie grubą kreską, lecz w miarę możliwości dokładny i – co nie tak znowu często u reporterów się zdarza – wielowymiarowy, nieograniczający się jedynie do ilustracji prezentowanych w reportażu prawd.

Z kolei recenzent miesięcznika „Nowe Książki” podkreśla, że książka Ramsa jest monografią przemian. „Autor przemiany te ceni i stara się przekonać do nich czytelnika. [...] A więc jeśli ktoś interesuje się problematyką regionu kieleckiego, powinien sięgnąć po zbiór Stanisława Ramsa. Musi być jednak przygotowany, że czeka go spory wysiłek” – akcentuje recenzent.

Recenzent „Życia Literackiego” natomiast zwraca uwagę na to, że uprawianie reportażu może być także jego stylem życia. „Umiejętność obserwacji uważnej, dociekliwej, poszukiwanie »drugiej strony medalu« nawet wtedy, gdy są to medale klas najwyższych, jest główną zaletą



metody pisarskiej Ramsa i jego książki, próbującej przekonać, jak sądzę, tych wszystkich, do których krytycyzm dociera wyłącznie jako niechęć wobec czegoś lub jako podważania pryncypiów” – podkreśla krytyk.

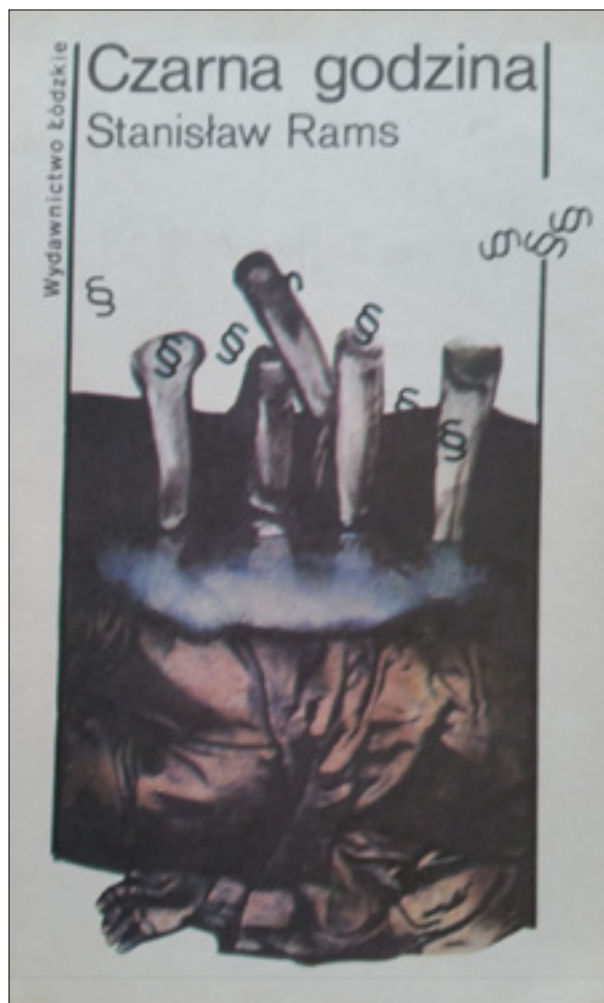
Obraz regionu kieleckiego, który wyłania się z reportaży Ramsa, zdaniem oceniającego książkę cieszy rozmachem, śmiałością ludzkich działań, coraz większymi ambicjami. „Rams potrafi znakomicie operować rysunkiem tła zdarzeń, zmieniać plany i perspektywy: od monumentalnych po szczegółowe, wręcz drobiazgowo. Stara się zrozumieć gesty, słowa, niewypowiedziane myśli których czasem nie da się dobrze wyartykułować prostymi zdaniami” – zauważa oceniający.

Z kolei recenzent miesięcznika „Nowy Wyraz” zwrócił uwagę na to, że autor *Paszportu na Łysą Górę* zrezygnował – niejako programowo – ze schematu obowiązującego od początku niemal przy pisaniu o tzw. „wielkich budowach socjalizmu”. „Tak więc nie ma tu dzielnych bohaterów wyrabiających trzysta procent normy, nieugiętych sekretarzy i twardych brygadzystów. Nie ma junaków z kilofami i łopatami w mocarnych dłoniach, którzy z jednej zmiany na drugą wędrują sobie w rytm pieśni o milionach rąk, tysiącach rąk. Nie ma też nieudaczników życiowych wyrzuconych poza margines swojego środowiska, cwaniaczków i drobnych złodziejasków, którzy jak muchy lgną do miodu, lgną do miejsc, gdzie dzieje się coś wielkiego [...]” – wymienia recenzent.

Na temat debiutanckiej książki ukazały się omówienia i recenzje m.in. w „Argumentach”, „Trybunie Ludu” i „Tygodniku Kulturalnym”. Wynika z tego, że reportaże nie przeszły bez echa w prasie centralnej. Wzbudziły one zainteresowanie, ale też kształtowały opinię o opisywanym regionie.

Drugi tom reportaży pt. *Czarna godzina* z podtytułem *Reportaże obyczajowo-kryminalne*, który ukazał się w 1987 r. nakładem redakcji kieleckiej Wydawnictwa Łódzkiego, może nie wzbudził tak dużego zainteresowania jak *Paszport...*, ale też został zauważony z powodu tego, że autor programowo ukazał w nich „brzydotę życia”.

„Jestem reporterem brzydoty życia” – wyznał sam o sobie. Kielecki reportażysta Zbigniew Nosal recenzując książkę swojego kolegi redakcyjnego na łamach „Przemian” w 1987 r. podkreślił, że bohaterowie reportaży Ramsa kradną, piją, kłamią i zabijają.



„Zabijają z miłości, jak w najciekawszym chyba reportażu zbioru *Rywal musi umrzeć*, ale przede wszystkim zabijają z motywów majątkowych, a ich zbrodniom towarzyszą najczęściej nienawiść i wódka” – napisał recenzent.

Stanisław Rams, pisujący również pod pseudonimami: Olaf Leśny, Roman Sądecki czy Onufry, pozostawił po sobie setki reportaży opublikowanych w prasie oraz wymienione wyżej publikacje książkowe. Najważniejsze jednak, że pozostała po nim w środowisku dziennikarskim opinia reportażysty z krwi i kości, który swój talent pisarski poświęcił na pokazanie wielowymiarowej prawdy swojego czasu oraz ludzi, jacy tworzyli historię ówczesnej Kielecczyny. Dla czytelnika istotne jest to, że reportaże Stanisława Ramsa czyta się obecnie z równym zainteresowaniem, co 40 i 30 lat temu.

Andrzej Piskulak

Wspomnienie o Ryszardzie Ulickim (1943–2016)

Dopiero tak niedawno, w połowie maja, ukazał się na portalu Oddziału Warszawskiego ZLP wywiad Wiesława Łuki z Ryszardem, frapujący wielością i wagą poruszanych spraw z bogatego doświadczenia życiowego i twórczego Ryszarda^{*}, a już piękny wątek spełniania przezeń ambitnych marzeń został przerwany, dorobek zamknięty. Przychodzi nam przyjaciółom już tylko wspominać osobiste pamiętne spotkania i dziękować Mu za inspirujące działania, wypowiedzi oraz okazaną życzliwość.



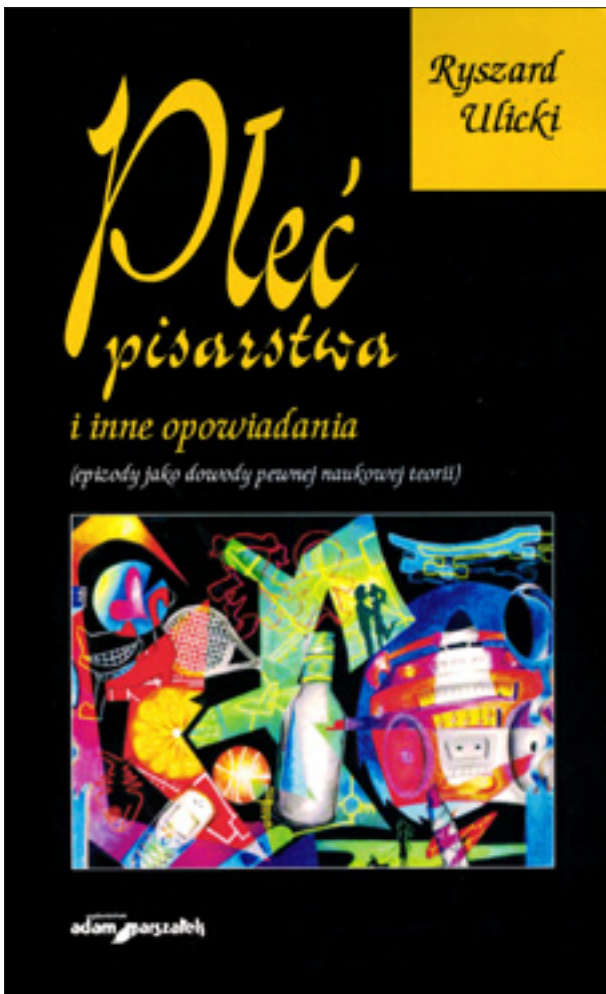
Jeszcze gdy widziałem się z nim w Warszawie przed udzieleniem tego ostatniego wywiadu, wydawało mi się, że – choć zgnębiony ciągłym pogarszaniem się zdrowia żony Marii – fizycznie był w swej normalnej, dobrej formie (teraz pojmuję: tylko dla ludzkiego oka). Jego postawa zawsze mobilizowała. Był aktywny, pełen energii. Zapobiegliwy w sprawach aż trzech dużych organizacji, z jakimi był funkcyjnie związany (ZLP jako wiceprezes Zarządu Głównego, ZAiKS jako członek Zarządu, ZAKR – do ubiegłego roku prezes). Ale

choć zawsze gdzieś spieszył, to gdy ktoś podchodził z jakimś swoim problemem, zatrzymywał się na chwilę z życzliwą uwagą. Nie pamiętam, żeby reagował ze zniecierpliwieniem czy obojętnością. Jeśli kłopot czyjś wynikał z przewrażliwienia, umiał złagodzić przesadny niepokój humorem, zmyślnym słownym wykrętem, dowcipem na poczekaniu – przedniej próby, więc nie można było chować żalu.

Za tę stałą gotowość pomocy, często większą niż zwykła koleżeńska rada bądź przysługa, za łagodzący rzeczywiste i wymaginowane trocki humor lubiłem Go (jak darzyło serdecznością wielu innych z najbliższego otoczenia) tak po prostu, od serca. Jednocześnie ceniłem za kompetencję w ocenach i diagnozach, życiowo-praktyczną mądrość. I, oczywiście, za wspaniałą twórczość poetycką (w tym satyryczną) i prozatorską, okazałe z każdą nową książką promowaną w Domu Literatury z komentarzami nie tylko Marka Wawrzkiwicza, Leszka Żulińskiego, którym ufał najbardziej. Żałuję, że nie dane mi było stanąć przed żadną z Jego licznych rzeźb w kamieniu i drewnie.

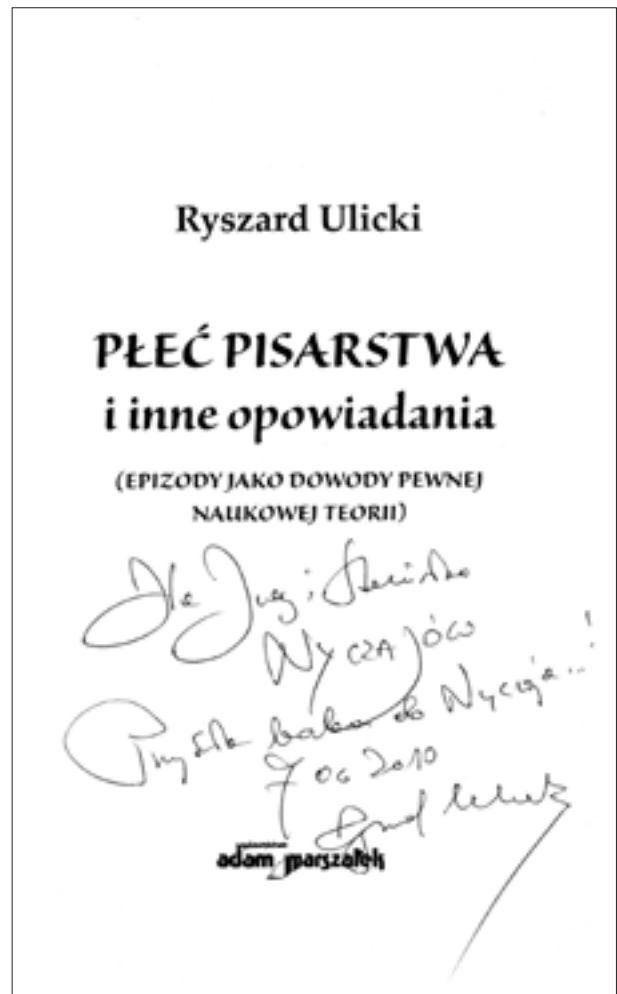
Ryszard był wprost nieoceniony w analizie spraw poruszanych na posiedzeniach Prezydium Zarządu Głównego ZLP, w jakich przez wiele lat uczestniczyłem. Nieraz zwlekaliśmy z rozpoczęciem zebrania do Jego nadejścia i kiedy od bolączek aż gotowało się w naszych głowach, on – mający głębszy wgląd w mechanizmy rządowej polityki kulturalnej dzięki długoletniemu parlamentarnemu doświadczeniu (był wszak posłem czterech kolejnych kadencji) – szukał rozwiązań, argumentując propozycje bez narzucania woli, przy tym robił to na poniekąd swoistym luzie, czym otwierał pole do dyskusji bez zaciętrzewień. A w polemikach celnie ripostował.

Pewnego razu zaprosił nas po nielekkim wysiłku spornej narady do „swego” pokoju, wynajmowanego na dłuższy czas stołecznego pobytu w hoteliku Domu Literatury na trzecie piętro z okazji, bodaj, imieninowej. I to, jak raz, było najlepszym rozładowaniem napiętej sytuacji. Przy lampkach koniaku wiwatowaliśmy zdrowie gospodarza, wznosząc gruzińskie toasty, opowia-



dając kawały nieraniące uszu Aldony Borowicz. Przyobiecowałyśmy sobie zachowywanie miary rozsądku, stosownie większej od miarki dozownej kieliszkami, którą nigdy przenigdy nie godzi się pogardzić.

Pochłoniętego obowiązkami Rysia udało mi się w czerwcu 2010 nakłonić do przyjazdu na nadmorski plener literacki w Kołobrzegu-Podczelu – w zaprzyjaźnionym dzięki Państwu Jedleckim Ośrodku „Bukowina”. Jego spotkanie autorskie wśród nas, na które się specjalnie przygotował, wspominaliśmy potem nie raz. Obdarował całą grupkę słuchaczy (z sowitym naszym odwzajemnieniem) tomikami liryki, satyry i nowo wydanym przez Adama Marszałka zbiorem *Płeć pisarstwa* – potem przez nas długo dyskutowanym pod kątem swoistości koncepcji, tematyki, stylu. I czytał, recytował z pamięci, szeroko z ogniem w oku opowiadał o bliskiej długoletniej współpracy z Don Vasylem Szmidtem (autorem *Pasażerów niebieskiego taboru* z 1998), pomysłodawcą i współorganizatorem corocznego Międzynarodowego Festiwalu Piosenki i Kultury



Romów, odbywającego się nieprzerwanie od roku 1997. Dowiedzieliśmy się wiele o mało znanych cygańskich zwyczajach, m.in. biesiadnych, iż każdy z pijących w swoim gronie sam nalewa sobie z wędrującej gościnnie butelki tyle wódki, ile może naraz wypić. Śpiewaliśmy przy Jego gitarowym akompaniamencie różne pieśni do późna, w tym przebój *Kolorowe jarmarki* do jego słów. Jakże zmyślnie dla rozrachunkowej z całym naszym życiem refleksji wykorzystał Władysław Panasiuk te zapadające łatwo w pamięć słowa piosenki w felietonie dla „Gazety Kulturalnej” (warto zajrzeć do wydania lipcowego na s. 9) i przypomniał fragment innej ze słowami Ryszarda *Pójdźmy dziś na ilość*:

Wypijmy za tych, którzy nas zdradzili
i za tych, którzy wierni nam!
Jak zwykle, w tak podniosłej chwili
wypijmy zdrowie pięknych dam!
Za tych, co nigdy nic nie mają
i za tych, którzy mają mieć,
za tych, co zawsze wygrywają
i za przegranych pijmy też!
Wypijmy za tych, co się pogubili
i za tych, których nie ma już.
Za tych, co w życiu pobłądzili,
spalili las, żałując róż.

A *propos* tego nieprzebranego wprost w jego przypadku ogromu wspomnianych wcześniej zobowiązań, zdumiewa fakt, że – borykając się z osobistymi kłopotami i dolegliwościami (przy osłabieniu serca z wszczepionymi bypassami musiał zrezygnować z samodzielnej jazdy autem na długiej trasie z Koszalina do Warszawy i z powrotem) – jako kierownik literacki zespołu Don Vasy i Cygańskie Gwiazdy zdążył opracować scenariusz jubileuszowego Festiwalu Piosenki i Kultury Romów w Ciechocinku (15-16 lipca). Dokonał tego z porywającym efektem... na dwa tygodnie przed śmiercią!

Ale wracając do kalendarium wcześniejszych zdarzeń, tamten barwny wieczór w Kołobrzegu-Podczelu sprawił, że zadzierzgnęliśmy jeszcze ściślejsze więzy. Z książek, jakie podarował, urzekły nas szczególnie *Opowiadania spod parasola* (z 2012), napisane z jeszcze obfitszym, niż w *Płci pisarstwa*, wykorzystaniem gwary wszelakiej maści miejskich nieudaczników (skrzywdzonych przez los i w życiu zagubionych). Wybrałem z tego zbioru do „Świętokrzyskiego Kwartalnika Literac-

kiego” smakowity kąsek: *Jak chcieliśmy zarobić na „amsterdamach”* – opowiada Romanik z towarzyszeniem piosenki *Zapach szczęścia* (2012, nr 1-4, s. 216-218). W tym samym numerze po mistrzowsku skomentował styl i głębszą wymowę owych opowiadań Leszek Żuliński recenzją zatytułowaną *Śmiech przez łzy* (s. 295-296), kończąc popis finezyjnego opisu i wirtuozowskiej interpretacji właściwym tu do przytoczenia akapitem: „Ulicki – jak to on! – zgrywus i facecjonista. Ale lektura tych opowiadań szybko zamienia się w smutną, interwencyjną prozę obyczajowo-socjologiczną. Ta książka jest galerią postaci, które nie same siebie wyrzuciły poza nawias, jest obrazem całej warstwy społecznej, charakterystycznej zwłaszcza dla głębokiej prowincji, która w okresie transformacji została skazana na samą siebie, radząc sobie lepiej lub gorzej, zawsze dorywczo, zawsze bez pewności jutra. »Śmiech przez łzy« to metoda pisarska pasująca jak ulał do Ulickiego i potrafi on robić z niej majstersztyki. Ten znakomity obserwator szczególnie czuje prowincję, a w swym realizmie potrafi całkowicie powściągnąć moralizatorski dydaktyzm. Nazwałbym to »metodą zolowską«, która – niestety! – wciąż pasuje do opisu świata. Z tym, że konwencja humoresek przydaje tej prozie osobliwy wymiar: łez tu tak naprawdę nie ma, a jednak one pojawiają się pod naszymi, czytelników, powiekami”.

17 kwietnia 2012 – pamiętam jakby to było wczoraj – Ryszard pierwszy raz wprowadził mnie w nie lada zakłopotanie swoją niebywałą skromnością (skrywaną pod ekspresyjnym zazwyczaj w towarzystwie sposobem bycia). Wtedy nie zdołałem przewidzieć, że zdecyduje się na aż tak przychylnie koleżeńskie ustępstwo przy autentycznej możliwości efektownego zapromowania w zacnym międzynarodowym gronie pisarzy swego ukochanego periodyku (będącego spełnieniem młodzieńczego marzenia). Chwilowa pycha, iż „rywala” już wystarczająco dobrze znam (że zaraz On dopiero wszystkim pokaże, co znaczy, w starciu o uznanie!) – wkrótce mnie psychicznie podłamała. Działo się to – potwierdzam jedynie łatwy domysł – podczas Światowego Dnia Poezji UNESCO w staromiejskim Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza, gdzie na retrospektywnej prezentacji mieliśmy zmierzyć się na języki: ja-samochwalca fetujący 15-letni dorobek „Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego” oraz Ryszard mówiący o redagowanym wraz

z żoną Marią nieco krócej, ale z o ileż większą częstotliwością koszalińskim „Miesięczniku” i R. Czachorowski o swym wydawnictwie internetowym. Wychodziłem ze skóry przed słóconą ciasno w rzędach publicznością niemal przez godzinę, wspierany recytacjami Ewy Wojtasik w językach polskim i angielskim i piosenkami do naszych wierszy w wykonaniu Cezarego Stawskiego, gdy tymczasem Ryszard, skromnie, lekko ściszywszy głos, ograniczył się do niespełna pół godziny, zostawiając jeszcze trochę czasu Czachorowskiemu. A „Miesięcznik” to przecież pismo bardziej ogólnopolskie niż nasz „SKL”, o znacznie większym rozgłosie, „wydawane – jak głosi winitka – we współpracy z Zarządem Głównym Związku Literatów Polskich”. Maria i Ryszard dali mi przed laty w nim zagościć wywiadem przeprowadzonym przez Izabelę Nowak w związku z moim *Albumem liryki miłosnej* (2004), kiedy zaprosiła mnie na wieczór autorski do Koszalina Ludmiła Janusewicz. Nie mogłem sobie długo darować próżności zarozumiałstwa, kiedy właśnie powinienem był Mu w „szrankach” ustąpić. Nigdy w ciągu ostatnich czterech lat o tym moim „nie-takcie” (może tylko w samokrytycznym odczuciu przeze mnie domniemanym?) nawet półsłowem nie napomknął. I nikt też o tym nigdzie się nie wypowiadał. Ale ja przyznaję i poczuwam się, bo należy Mu się – nie tylko ode mnie – całe *Chapeau bas!*

^{*)}Czytając bardzo szczerą rozmowę, miałem nieodpartą przeświadczenie, że niepotrzebnie – jakby z obsesyjnym poczuciem winy i narażając się na złośliwe hejty – nawracamy do przykłej sprawy PZPR. Dawno osądzonej i zamkniętej. Niepotrzebnie się tym katujemy i stresujemy. Było, minęło – niech przepadnie. Młodzi dziwiąc się, że wciąż rozpominamy, przemieniając błędy rozgrzeszone w obłąd. Tym bardziej, że trafem nieomyślnej intuicji, przysługującej utalentowanym, działalność partyjna po Październiku 1956, a już na pewno po Grudniu 1970 nie zarzutowała w istotnym znaczeniu na twórczości! Twórczość w swej rzeczywistej wartości (czystości) ocalała i niemal w pełni przeznaczony na nią czas nobilituje. Narzucona przez odgórną politykę działalność partyjna sła jakby odrębnym, nieszkodliwym dla twórczości artystycznej torem. I dlatego warto nadal o niej mówić, warto do niej wracać, bo nie ma się czego wstydzić. Osiągnięcia literatury i sztuki, niezależnie od manifestowanych okazjonalnie (z sytuacyjnego przymusu) postaw – pozostały ewidentne, nieskażone naleciałościami błędnej ideologii.

Oczywiście, żal tego zmarnowanego na jałową aktywność czasu. Gdyby nie owa partyjna zebraniomania, o ileż więcej wyniknęłoby dla artystycznego pożytku. Ten żal ciężką hałdą zalega gdzieś w podświadomości. Dorobek twórczy Ryszarda jest na tyle duży i znaczący, że w czynionych rekapitulacjach radziłbym pomijać (bądź wyrozumiale bagatelizować) te nieszczęsne odniesienia do przebrzmiałych tarapatów z historią. Pozostanie wtedy czysty obraz wspaniałego i pięknego w swym wewnątrzduchowym i moralnym posłannictwie twórcy-animatora-przyjaciela skrzywdzonych przez los, którym bezinteresownie zawsze wychodził naprzeciw. Ryszard wokół siebie zjednał sobie serce bardzo wielu wdzięcznych za okazaną przez Niego dobroć. I równie wdzięcznych za nieoceniony dar wysmakowanego artystycznie słowa.

Nawracających obsesyjnie do przeszłości zostawiam z moją obrazową refleksją:

Zwinięty sztandar

Tym, co nie umięją się w sobie
z Historią pogodzić

– Sztandar
Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej
wyprowadzić!

A jeszcze tak niedawno
wnoszony przez poczty kolejnych zjazdów
łopotał u podniebnych pował wielkich sal
w wicherze gromkich braw.

Teraz
Pierwszy Sekretarz – motorniczy (zło)dziejów
oznacza ostatni kurs tramwaju
tablicą: ZJAZD DO BAZY.

Na przystankach
tłumy (tłumoków?) po pochodzie
już weń nie wsiądą –

chyba że komuś po drodze donikąd?

Zwinięty (zmięty) sztandar partii
jeszcze odwijającym się koniuszkiem
tu i tam

chwacko-żałośnie
powiewa.

Stanisław Nyczej

Wspomnienie o Zofii Korzeńskiej (1931–2016)

Zofia Korzeńska, znana w regionie świętokrzyskim poetka, eseistka, redaktorka, członkini warszawskiego oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, zmarła 15 września 2016 r. w Kielcach przeżywszy 85 lat. Pochowana została, zgodnie z życzeniem, na cmentarzu w swojej rodzinnej wiosce Mazury w województwie podkarpackim. W Jej intencji odprawione zostały msze święte pogrzebowe w Kielcach i Mazurach, w których uczestniczyli członkowie rodziny, przyjaciele, znajomi, sąsiedzi, ale też czytelnicy jej publikacji i współpracownicy.

Nie można spokojnie przejść wobec powyższego suchego komunikatu o śp. Zofii Korzeńskiej, gdyż żył w Niej do ostatnich chwil życia młodzieńczy duch. Mimo swojego podeszłego wieku, jak mawiała, cały czas czuła się młodą dziewczyną...

Faktem, że Bóg obdarzył niezwykłą kobietę nawet na starość młodym duchem, zdumiona była zarówno Ona, jak osoby, z którymi współpracowała. Zadziwiała nawet bardzo młode osoby, że potrafi lepiej od nich posługiwać się komputerowymi programami do składania gazet i książek. Dla wielu z nich była nauczycielem i przykładem pracowitości. Nawet zmarszczki na Jej twarzy świadczące o podeszłym wieku nie były w stanie stworzyć bariery i dystansu pomiędzy Nią a osobami młodszymi. Zarówno dla starszych, jak i młodych pisarzy była wnikliwym, ale też bardzo mądrym i wymagającym krytykiem ich twórczości literackiej.

Była bardzo pogodna, wyrozumiała i życzliwa. Ale nade wszystko była osobą bardzo religijną, z ewangelijnym podejściem zarówno do codziennych spraw i problemów, które ją dotykały, a także do swojej pracy zawodowej i działalności literackiej. Należy podkreślić, że nie narzucała się ze swoją pobożnością wobec innych osób, nawet zdeklarowanych ateistów. Była pod tym względem tolerancyjna. Jednocześnie potrafiła jednak bronić skutecznie swojej wiary w Boga w sporach o naturze religijnej. Nie pozwalała na to, by przy niej obrażany był Bóg i Jej wiara w Niego.

W sposób profesjonalny udzielała porad literackich zarówno adeptom, jak i pisarzom z pokaźnym dorobkiem twórczym. Wielu z nich

wręcz twierdziło w rozmowach pożegnalnych, że obdarzała współpracujące z Nią osoby bezgraniczną sympatią i przyjaźnią.

Potrafiła znaleźć czas dla każdego rozmówcy, czy też poszukującego współpracy, porady, wsparcia, opinii, recenzji. I to, co najważniejsze – taką samą serdecznością była też i Ona obdarzana.

Jednym z tych, który Jej wiele zawdzięcza, jestem ja. Napisała postowie do mojego tomiku *Lirtania* i powieści *W imię ojca*. Współpracowała z gazetami, które redagowałem, m.in. z kwartalnikiem „Dedal” i „Wici.Info”. Była też redaktorem książki pt. *Milenium Świętokrzyskie – Cywilizacja Krzyża*. Podczas spotkań promocyjnych omawiała kilka moich książek, w tym m.in. tomiki wierszy: *Eremyk* i *Lirobranie*.

Zofia Korzeńska urodziła się 26 marca 1931 r. we wsi Mazury, woj. podkarpackie. Po ukończeniu polonistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim i okresie wędrówki po Polsce osiadła w roku 1970 w Kielcach i od tej pory poprzez swoją pracę zawodową i twórczość związała się z ziemią świętokrzyską. W latach siedemdziesiątych XX wieku pracowała w Liceum im. Juliusza Słowackiego, a później przez dwanaście lat – do 1986 roku – w Pedagogicznej Bibliotece Wojewódzkiej w Kielcach.

Pod koniec lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku rozpoczęła twórczość pisarską, publikując prace związane z bibliotekarstwem, jak i eseje poświęcone współczesnej poezji. W latach osiemdziesiątych prowadziła okresowo zajęcia



dla studentów z poezji współczesnej w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Kielcach (obecny Uniwersytet Jana Kochanowskiego).

Będąc na emeryturze, miała przez wiele lat pieczę nad biblioteką katechetyczną Wyższego Seminarium Duchownego, jej księgozbiorem i komputeryzacją, jednocześnie służyła pomocą przy redagowaniu tekstów, nagrywaniu ich i tworzeniu plakatów.

W 2001 r. wydała zbiór własnych wierszy pt. *Dwa brzegi czasu*. Od tego momentu systematycznie wydawała kolejne tomiki poezji o tematyce religijnej: *Pozbierać rozrzucone chwile*, *Musi być sens przeciw*, *Idąc przez Niniwę*, *Obudzić jutrenkę*, *Mazury*, *Mazury...*, *Dary chwil*, *Dumania Kasandry*, *Szepty i zamyślenia*. Wszystkie spotkały się z bardzo pozytywnymi recenzjami krytyków literackich. Przetłumaczyła także i wydała *Magnificat wieczoru* francuskiej autorki Claire Arbelet.

Opublikowała też eseistyczne książki: *Zyta ma styl. O twórczości Zyty Trych*, *Ogrody kultury Zdzisława Tadeusza Łączkowskiego*, *Z biczem satyry przez historię i kulturę. Twórczość literacka Antoniego Dąbrowskiego*, *Walka anioła z demonem. Zdzisława Antolskiego droga twórcza*, *Gorejące drzewo (o poezji Ottona Gryniewiczza)*.

Przez kilka lat Zofia Korzeńska była redaktorką i korektorką książek dla kieleckiego Wydawnictwa „Jedność”. Była autorką i współredaktorką antologii poświęconych starości oraz osobie Jana Pawła II. Jej eseje, głównie na temat literatury współczesnej, znalazły się w wielu pracach zbiorowych. Często pisała w nich m.in. o twórczości Karola Wojtyły, ks. prof. Janusza Ihnatowicza, Zdzisława Łączkowskiego, Zdzisława Antolskiego.

Napisała również wstępy i postłowania do książek wielu poetów i prozaików. Opublikowała napisaną przez siebie i zredagowaną dwutomową książkę z dialektologii pt. *Z dawnych lat: Gwara i obyczaje wsi Mazury* (zapamiętane z dzieciństwa i młodości). Opracowała i opublikowała liczne bibliografie i antologie. Współpracowała m.in. z Edo Tuzem, który był ilustratorem Jej wielu publikacji książkowych.

Swoje wiersze i eseje, a także recenzje książek i artykuły publicystyczne drukowała m.in. w tygodniku „Niedziela”, „Kurierze Sokołowskim”, w kwartalnikach i czasopismach: „Obecni”, „Akant”, „Radostowa”, Dedal, Wici.Info i „Świętokrzyskim Kwartalniku Literackim”.

Zofia Korzeńska, będąc członkinią Polskiego Towarzystwa Nauczycieli od 1994 r., była współredaktorką „Kodeksu Etyki Nauczycielskiej”.

Za lata twórczej pracy uhonorowana została m.in. Złotym Krzyżem Zasługi, Odznaką Honorową Ministra Kultury – Zasłużony dla Kultury Polskiej, Nagrodą II stopnia Prezydenta Miasta Kielce, statuetkami i medalami Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych oraz Fundacji „Radostowa”.

Dorobek twórczy Zofii Korzeńskiej opisany został i skatalogowany przez Pedagogiczną Bibliotekę Wojewódzką w Kielcach w wydanej w 2016 r. bibliografii podmiotowo-przedmiotowej poświęconej jej osobie.

Andrzej Piskulak



Pani Zosi Korzeńskiej

Kto się korzy w prawdzie stoi
Niech niczego się nie boi
Bo w mądrości jest kultura
Którą krzewi DUCH-NATURA!

Kazimierz Kołomyja-Run

„W poezji zrzucam maski”

Rozmowa Anny Marii Musz ze Stefanem Jurkowskim¹⁾

Anna Maria Musz: Wyobraźmy sobie, że jest rok 2114 i w którymś z wydawnictw literackich ukazuje się „Encyklopedia pisarzy polskich” z hasłem „Stefan Jurkowski”. Co powinno zostać w nim powiedziane o twojej poezji?

Stefan Jurkowski: Największą satysfakcję sprawiłoby mi, gdyby mówiono o mojej poezji, że jest do tego stopnia uniwersalna, by przetrwać taką próbę czasu.

A.M.M. – Jak myślisz: w jaki sposób byłaby definiowana? Jakie elementy chciałbyś w tym opisie zobaczyć?

S.J. – Przede wszystkim właśnie stwierdzenie, że jest ona uniwersalna. Że mówi wiele o człowieku, o relacjach międzyludzkich, o miłości, a także o uczuciach negatywnych, które są nieodłączną częścią naszego życia i naszych przeżyć.

A.M.M. – I tu dochodzimy do następnego pytania: co jest dla ciebie w poezji najważniejsze? Wielokrotnie podkreślałeś – w tekstach krytycznych bądź eseistycznych poświęconych innym poetom – właśnie owo kryterium uniwersalności. Czy mógłbyś rozwinąć tę kwestię?

S.J. – Może wyjdę tutaj od przeciwstawienia: poezja, która jest poezją dzisiejszą, poezją chwili, poezją publicystyczną – jeśli pozbawiono ją jakichś szerszych odniesień – funkcjonuje wyłącznie w danym momencie, a później przestaje być czytelna. Mamy wiele w poezji polskiej np. wierszy o stanie wojennym (pisanych wówczas przez poetów – i to dobrych poetów), które sprowadzały się wyłącznie do „teraz”. „Tu” mogłoby być traktowane szerzej, ale jeżeli zamiast „tu i teraz” jest tylko „teraz”, to taka poezja jest poezją chwili.

Uniwersalność polega zatem na tym, że mówimy o sprawach, które towarzyszą nam niemalże od początku piśmiennictwa, czy wręcz od jakiegoś jaskiniowego wyrazu pewnych uczuć, emocji, mniej lub bardziej prymitywnych. Zastanawiamy się nad celowością naszego istnienia tutaj, rozpa-

trujemy sprawy naszego przemijania, przetrwania, transcendencji. Z tym, że każda poezja jest inna: uniwersalna jest poezja Kochanowskiego, ale też znacznie późniejszego Mickiewicza czy poezja nam współczesna. Zmienia się tylko język, ale w zasadzie mówimy o tym samym: życiu, śmierci, miłości, uczuciach negatywnych. To są kamienie milowe, a dopiero pomiędzy nimi mieści się cała gama najrozmaitszych, związanych z osobowością danego twórcy, emocji i niuansów. Myślę, że na tym właśnie polega uniwersalność poezji i o tym wspominałem, odpowiadając na pierwsze pytanie: czy to będzie rok 2014 czy 2114, czytamy niektóre wiersze tak, jakby to była – innym językiem napisana – ale też nasza historia.

A.M.M. – Można powiedzieć, że twoja droga do świata literatury była wręcz wzorcowa. Zacząłeś w 1967 roku od publikacji prasowych, później były „Wibracje” wydane przez Pax i „Wysokie lato”, nagrodzone od razu Nagrodą Młodych im. Pietrzaka. W przeciwieństwie jednak do autorów, którzy słyszeli, że „jeszcze za wcześnie na publikację”, ciebie środowisko od początku wchłonęło przyjaźnie i serdecznie...

S.J. – Uczęszczałem do Liceum św. Augustyna prowadzonego przez Stowarzyszenie Pax. Jeden z polonistów, prof. Stanisław Szperling, był jednocześnie redaktorem „Kierunków”, pisma paxowskiego społeczno-kulturalnego. Młody człowiek, odczuwający głód oceny, dał mi kilka swoich wierszy. Po pewnym czasie prof. Szperling powiedział, że skontaktował mnie z poetą, Zbigniewem Doleckim, i w określonym dniu mam go odwiedzić w redakcji. To był chyba rok 1966. Systematyczne rozmowy ze Zbyszkiem (później bardzo się zaprzyjaźniliśmy), uwagi, korekty – to było coś w rodzaju „terminowania” u mistrza. Po kilku miesiącach zaowocowało to debiutem na łamach „Kierunków”. A więc też nie od razu. Potem Zbyszek namówił mnie, abym poszedł do „Kultury”, gdzie dział poezji prowadził Stanisław Grochowiak wraz ze Zbigniewem Jerzyną. I znowu różne uwagi, rady, asumpt do – jak mówi młodzież – do „myśłowy”. Tak, wiele trzeba było przeczytać,

wiele rozważyć, dokonać wielu prób osiągnięcia własnego głosu. I znowu publikacje w „Kulturze”. Podobnie było we „Współczesności”, kiedy działem poezji kierował Piotr Kuncewicz, a po nim Krzysztof Gąsiorowski. Napisałem i wysłałem wiersze do Tadeusza Śliwiaka, co także zaowocowało publikacją. I tak pomału, krok po kroku dochodziłem do publikacji niemal w całej prasie literackiej, poznawałem poetów, z niektórymi się zaprzyjaźniłem, jak z Krzysztofem Gąsiorowskim, Zbigniewem Doleckim, Stanisławem Grochowiakiem, Zbigniewem Jerzyną, Tadeuszem Śliwiakiem. Granice się poszerzały, znał mnie i zapraszał na spotkania Stanisław Nyczaj... I tak wchodziłem w środowisko. A mój pierwszy malutki tomik ukazał się dopiero w 1969 roku, a po sześciu latach następny. Potem co trzy, cztery lata kolejne. Nie traciłem kontaktu z moimi mistrzami, zawsze z nimi konsultowałem swoje wiersze, słuchałem ich rad. Potem dział literacki w „Literaturze” prowadził Konstanty Pieńkosz, krytyk literacki pięć lat młodszy ode mnie. Wcale mi to nie przeszkadzało, abym jego sugestii słuchał z uwagą. Jako krytyk był dla mnie także autorytetem. Rozmawialiśmy, dyskutowali, i były to rozmowy twórcze. I teraz też pytam czasami kolegów z różnych pokoleń, co sądzą o moich wierszach. Jedne uwagi biorę sobie do serca mniej, inne więcej, a niektóre mają dla mnie znaczenie wprost decydujące.

Środowisko mnie specjalnie nie rozpieszczało, na tomik musiałem poczekać, ale rzeczywiście było dla mnie przyjazne, że wspomnę Jana Dobraczyńskiego, Zygmunta Lichniaka, z mojego pokolenia Andrzeja Zieniewicza oraz wszystkich wspomnianych wyżej. Tylko wtedy na tę literacką akceptację trzeba było sobie zasłużyć.

A.M.M. – W wywiadach, tekstach publicystycznych czy na spotkaniach autorskich wielokrotnie wspominałeś o swoich literackich mentorach. Wymieniałeś m.in. Jana Dobraczyńskiego, Stanisława Grochowiaka, Krzysztofa Gąsiorowskiego i Zbigniewa Doleckiego. Gdybyś miał wskazać, co – w sensie duchowym, warsztatowym, intelektualnym – otrzymałeś od każdego z nich, jakie to byłyby „podarunki”?

S.J. – Od Jana Dobraczyńskiego pewien wzór postawy życiowej, poważnego podejścia do literatury. Od Stanisława Grochowiaka dbałość o słowo, o sprawność warsztatową. Swoich „adeptów” uczulał na piękno słowa polskiego, mowy. Pamiętam, jak oburzył się na mnie, kiedy w jakimś wierszu użyłem

słowa horyzont. „Po co tak piszesz? Jest przecież tak piękne słowo, jak widnokrąg” – powiedział. Krzysztof Gąsiorowski zwracał uwagę na oszczędność frazy, eliminował zbędne słowa, pokazywał, w jaki sposób zbytne dookreślenia niszczą wiersz. Zbigniew Dolecki, mój pierwszy preceptor, nauczył mnie formy poetyckiej, pokazał co w moim pisaniu jest „własne”, a co jakimś zapożyczeniem, poetycką „wataą”, niezręcznością... W zasadzie od każdego coś otrzymywałem, co złożyło się na mój późniejszy, indywidualny warsztat poetycki. A wielu było rozmówców, wiele uwag od różnych osób otrzymywałem, i od tych których nie wymieniłem, bo musiałbym kilka lat odtwarzać sobie ich listę. Czasem to były rozmowy z pisarzami, których potem już nie spotykałem, niekiedy przypadkowe przy kawiarnianym stoliku, ale zawsze od kogoś, nawet podświadomie, coś istotnego otrzymywałem.

A.M.M. – Otrzymywałeś, ale i dawałeś sporo od siebie, bo przecież niemal od początku działałeś aktywnie nie tylko na niwie twórczej, ale także jako krytyk, publicysta i dziennikarz kulturalny. Krąży anegdota, że Jerzy Harasymowicz, którego trudno było namówić na wywiad, zgodził się kiedyś na rozmowę z jedną z redakcji tylko pod warunkiem, że przeprowadzi ją Stefan Jurkowski...

S.J. – To prawda. Harasymowicz znał mnie jako poetę z lektur, i jako dziennikarza. Widocznie zaufał mi, że będę lepiej wiedział, o czym mówimy, od innych dziennikarzy, którzy nie są poetami. W każdym razie pojechałem do Krakowa, rozmowa się udała, wywiad ukazał się na łamach „Przeglądu Tygodniowego”. Wywiady zawsze mi dobrze wychodziły. Pierwsze przeprowadzałem z artystami estrady, kiedy pracowałem w „Kierunkach”, a dział kultury prowadziła red. Teresa Krzemień. To ona mnie tak zaktywizowała, a ja podświadomie wiedziałem, jak taka rozmowa ma wyglądać. Do dziś lubię przeprowadzać wywiady. Ostatnio nawet nie nagrywam, ale notuję. W ten sposób przeprowadziłem m.in. kilka wywiadów z Józefem Henem. Okazało się, że przy autoryzacji nie było większych poprawek, czasami uzupełnienia.

W 1969 roku opublikowałem pierwszą recenzję z tomiku poetyckiego, bodajże Józefa Bińczaka. Czy ktoś pamięta dziś tego poetę? Pokazałem ją Zbigniewowi Doleckiemu. Jego adiustacja była szczegółowa, prawie przewrócił mi cały tekst. Pokazał akapity dobre, zwrócił uwagę na nieudolności

i poradził, jak z tego wyjść. Poprawiony tekst zaniósłem do red. Bogdana Hamery, do „Tygodnika Kulturalnego”. Recenzja została wydrukowana, a ja od Hamery dostałem następną książkę do recenzji. Pisanie poszło mi nieporównanie lepiej. Tak wciągnąłem się w pisanie recenzji, potem szkiców literackich. A będąc na etacie redakcyjnym od 1972 roku musiałem spełniać zapotrzebowania pisma. Jednocześnie zacząłem pisać recenzje do innych tytułów: do „Życia Literackiego”, „Literatury”, „Poezji” „Twórczości”, pokrewnego „Kierunkom” – „Słowa Powszechnego”. Tak się to zaczęło, i trwało ponad czterdzieści lat.

A.M.M. – Przyjaźnie literackie, o których wspominasz, łączyły cię przede wszystkim ze starszymi kolegami po piórze. Czy tak właśnie było, że łatwiej odnajdywałeś się wśród pisarzy i poetów ze starszych roczników, a nie wśród środowiska rówieśniczego?

S.J. – Tak się jakoś złożyło. Dolecki, Irzyk, Grochowiak, Jerzyna, Gąsiorowski, to byli poeci starsi ode mnie i pokoleniowo, i metrykalnie. Dolecki – rocznik 1930, Jerzyna – 1938. Jakoś tej różnicy metrykalnej nie odczuwałem, ale respekt tak. Bardzo liczyłem się z ich doświadczeniem, zdaniem na temat moich tekstów i koncepcji poezji w ogóle. Bardzo dobrze się czułem w ich towarzystwie. Ale też dobrze wśród niektórych rówieśników, jak Piotr Muldner-Nieckowski, Piotr Matywiecki. Kazimierz Ratoń, Leszek Żuliński, Maciej Krassowski, Konstanty Pieńkosz – to byli koledzy, z którymi czułem się znakomicie. Krzysztof Mętrak, chyba tylko dwa lata starszy... To byli ludzie, którzy poważnie traktowali literaturę. Nie lubiłem tylko różnej maści młokosów, którzy uważali, że wszystko zaczyna się od nich, i to przekonanie głośno i buńczucznie demonstrowali. Tak zresztą jest i dziś. Tylko wtedy przynajmniej nie istniała taka łatwość publikowania wszystkiego, co komu przyszło do tak zwanej głowy.

A.M.M. – Wśród swoich najważniejszych przyjacieli literackich wymieniasz często Zbigniewa Doleckiego. Wasza przyjaźń zaczęła się mniej więcej w czasie twojego debiutu i trwała aż do śmierci Z. Doleckiego w roku 1990. To kawał wspólnej historii...

S.J. – Zbyszka poznałem w 1966 roku, kiedy zaniósłem mu – jak już wspominałem – wiersze do „Kierunków”. Był to człowiek bardzo oryginal-

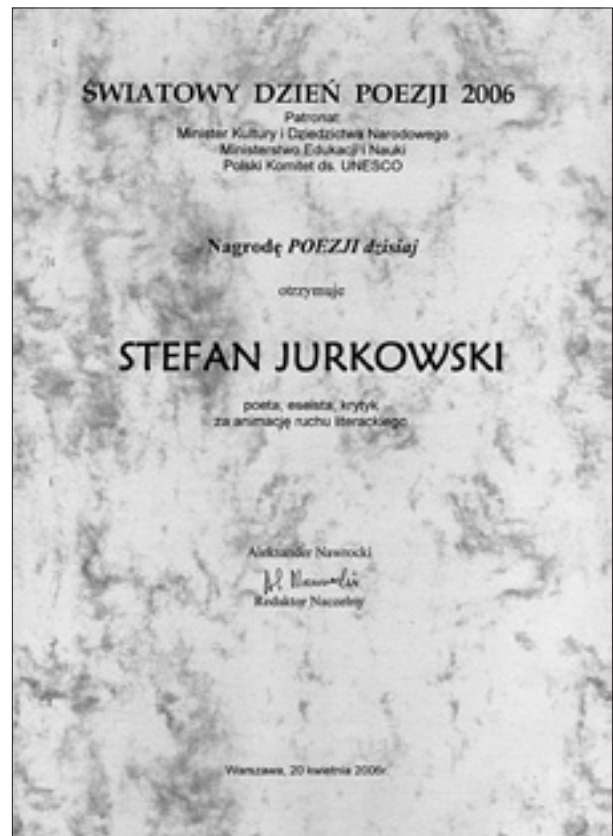
ny, obdarzony rzadko spotykanym poczuciem humoru. Już po moim debiucie w lutym 1967 roku zaczęliśmy się spotykać w redakcji, a wkrótce na gruncie towarzyskim, na przykład w restauracyjce Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków na Kruczej. Nigdy nie zapomnę niezwykłego smaku schabowych kotletów, które tam podawano. Nigdy później takich nie jadłem.

Zaczęliśmy rozmawiać o sobie, Zbyszek o kobietach, ja też – chociaż wobec jego doświadczeń byłem daleko w tyle. Patrzysz na mnie z niedowierzaniem? Ale tak było. Nie od razu, miła, nie od razu... W tamtym czasie nie spotykaliśmy się jeszcze tak często, ale już nasze dialogi dotyczyły spraw osobistych, opowiadaliśmy sobie nawzajem śmieszne anegdoty z własnego życia. Naszą przyjaźń scementowało moje przyjście na etat do „Kierunków”. Wtedy spotykaliśmy się już prawie codziennie. Mówię „prawie”, bo Zbyszek był nieprzewidywalny, nigdy nie było wiadomo, czy przyjdzie do redakcji. Kiedyś kierownik działu literackiego, pisarz Zdzisław Umiński, a przyjaciel Doleckiego, zadzwonił z pytaniem, czy Zbyszek wreszcie przyjdzie do redakcji. Wiesz, jaka była odpowiedź? „Nie przyjdę bo kołduny gotuję”. To cały Zbyszek. Z natury pogodny, zwalisty, brzuchaty, bardzo powolny, zasypiający podczas zebrań, i nie tylko. Kiedyś pojechaliśmy razem do Obór, aby przeprowadzić wywiad z przebywającą tam na urlopie poetką Anną Pogonowską. Muszę dodać, że pani Anna miała powiedzonko „nieprawdaż”. Stukamy do drzwi, słyszymy po chwili: „Chwileczkę poczekajcie, nieprawdaż, bo jestem w negliżu, nieprawdaż...”. Zbyszek rozejrzał się po korytarzu i dostrzegł stojący przy ścianie fotel. Usiadł zamasyżuje i... znikł. Fotel nie miał jednej nogi, stał oparty o ścianę. W tym momencie otworzyły się drzwi. „To zapraszam panów, nieprawdaż...”. A Zbyszek przykryty fotelem przebierał odnóżami niczym leżący na plecach żuk, a ja starałem się mu pomóc. Wreszcie się wygrzebał. Weszliśmy, uruchomiłem magnetofon, taki wielki, szpulowy „grundig”. Zbyszek zadał pierwsze pytanie. Pogonowska mówi, taśma szeleści, a Zbyszek zapada w objęcia Morfeusza. W pewnym momencie pani Anna spojrzała na niego, i z pełnym wyrozumiałości, rozbrajającym uśmiechem powiedziała do mnie: „Śpi...”. Zadałem teraz ja kolejne pytanie, kopnąłem Zbyszka po stołom, obudził się, i rozmowa potoczyła się dalej.

Po wyjściu z redakcji chodziliśmy razem do baru na obiady, potem na poszukiwanie piwa. To



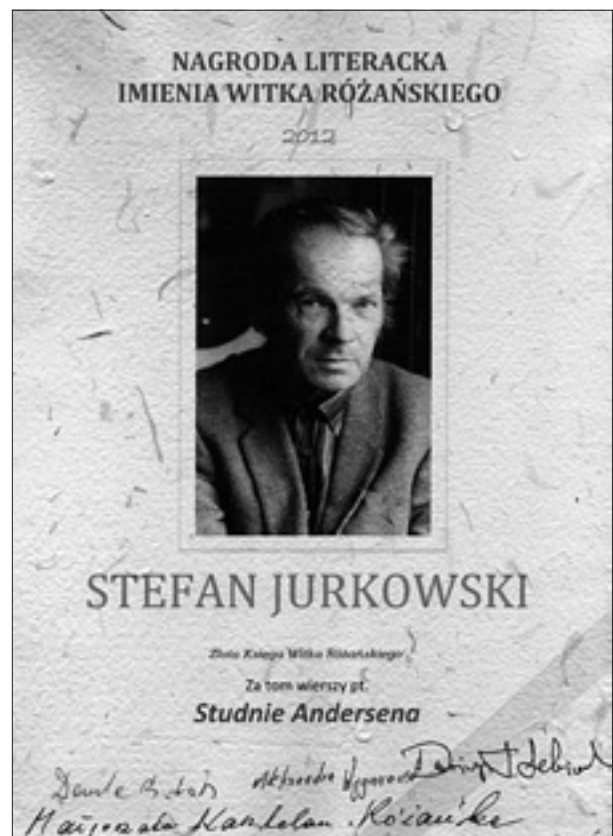
„Wielki Laur” XV Międzynarodowej Jesieni Literackiej Pogórze, 2005



Nagroda „Poezji dzisiaj”, 2006



Monograficzny numer „Poezji dzisiaj”, zawierający obszerną prezentację sylwetki twórczej Stefana Jurkowskiego, 2013



Nagroda im. Wincentego „Witka” Różańskiego, 2012

były czasy, kiedy ten trunek był – aż trudno dziś uwierzyć – bardzo trudno dostępny. Z piwem udawaliśmy się do Łazienek, w rejon parku podówczas dziki, i tam na ławce, wśród dyskusji, filozoficznych rozważań i facecji, opróżnialiśmy niekiedy po dziewięć butelek na łebka. Czasami bywał z nami Jerzy Gajdziński, dziennikarz „Słowa Powszechnego”, Leszek Żuliński, Konstanty Pieńkosz, przyszedł doktor filozofii, a podówczas współpracownik „Kierunków”, Kazimierz Szafata.

Wyglądaliśmy z Doleckim jak Pat i Pataszon. On dużo wyższy i tęższy ode mnie, ja raczej mikrej postury. Kubuś Puchatek z Prosiaczkiem. Kiedyś rozmawialiśmy o muzyce i padło nazwisko Buxtehudego. Powiedziałem: „ja jestem Buxtehude, a ty Buxtegrube”...

Spotykaliśmy się u niego w domu, oczywiście zawsze przy jakiejś butelczynie. Zbyszek był bardzo opiekuńczy, nigdy mnie nie wypuścił do domu w stanie zbyt wskazującym. A po jakiejś libacji redakcyjnej nawet odwiózł mnie koleją do domu, a mieszkiałem wtedy w Zalesiu Górnym. Otworzyła nam moja żona, zobaczyła Zbyszka, który trzymał mnie niczym króliczką, bezwładną skórkę. A ja wydusiłem z siebie: „Przyprowadziłem pana Doleckiego...”.

Niezapomniane były te spotkania, te popijawy, a potem recytowanie jego wierszy przy otwartych drzwiach na klatkę schodową. Zawsze to wszystko było jakąś kreacją, jakimś swoistym „nabożeństwem”, pełną humoru sytuacyjnego zabawą. Mówię o Doleckim jako – jakby wyraził się Zygmunt Lichniak – komilitonie, muszę więc choć jednym zdaniem powiedzieć, że był to znakomity, niestety dziś zapomniany, poeta, także prozaik, autor niezliczonych szkiców, recenzji literackich i filmowych. Tak, to kawał wspólnej historii, wyjazdów z Klubem „Krąg”, spotkań literackich i towarzyskich. Spotykaliśmy się regularnie, piliśmy piwo albo i coś mocniejszego w Łazienkach. Sezon zamykaliśmy tuż przed Bożym Narodzeniem, a otwieraliśmy zaraz po Nowym Roku. Staliśmy nieraz do pół tydki w śniegu, a na ławce, też w śniegu, chłodziły się flaszeczki. Najważniejsze, że było o czym rozmawiać.

A.M.M. – Z inną ciekawą osobowością środowiska literackiego ZLP – Zbigniewem Irzykiem – byłeś nawet spokrewniony. To też była ważna dla ciebie przyjaźń?

S.J. – Bardzo ciekawa... Irzyk miał także wielkie poczucie humoru absurdałnego. Rozumieliśmy się

w pół słowa. Miał wycucie i wyobraźnię językową. Niezwykle skromny, pogodny, umiejący nawet jakieś dlań przykre sprawy obracać w literacki żart. Rzeczywiście, byliśmy spowinowaceni. Mieliśmy wspólną ciotkę. To historia lwowska. Rodzina mojej ciotki Gruszczyńskiej, z domu Telakowskiej, Iwówianki. To jednocześnie bliscy kuzyni Maławskich, krewnych Zbyszka.

Blżej poznałem go po moim debiucie w „Kierunkach”, a potem w trakcie wspólnej pracy w redakcji. Chodziliśmy razem na wino, bo Zbyszek był zdecydowanie „winny” i nie uznawał innych trunków. Niekiedy jednak ilość wina wystarczała za pół litra wódki. To też były spotkania pełne fajerwerków humoru, konceptów, ale i poważnych rozmów literackich. Skoro jesteśmy przy kalamburach, to jeden z nich wszedł do naszego „repertuaru”. Wychodząc z kawiarni śpiewałem, parafrazując znaną pieśń żołnierską: „Spoza gór Irzyk...”, a Zbyszek dodawał: „Wyszliśmy i rzyg”.

Na początku lat osiemdziesiątych, w niedługim okresie, urodzili mu się dwaj synowie. Starsze dzieci o wiele wcześniej. A teraz mu się tak przytrafiło. Nie wiem, czy Zbyszek był tym szczególnie zachwycony, choć bardzo chłopców kochał, ale powiedział kiedyś, „skąd się to wzięło, człowiek ledwie się otrze ramieniem, i już dziecko”. A ja od razu palnąłem w naszym stylu: „to wsiądź do wehikułu czasu i włóż prezerwatywę...”.

To była ważna przyjaźń o dużym ciężarze gatunkowym. Zbyszek był człowiekiem niezwykle uczciwym, prawym, życzliwym, delikatnym, jednocześnie mającym tak rzadko spotykaną osobowość. Ci dwaj Zbyszkowie i ja nadawaliśmy na tych samych falach. Jaki żal, że już ich nie ma.

A.M.M. – W ten sposób dotarliśmy do kolejnego tematu, o który bardzo chciałabym cię zapytać: o ważne dla ciebie literackie miejsca w Warszawie. Pod tym względem sporo się zmieniło po roku '89, wiele kawiarni czy klubów przestało istnieć, ale to były przecież miejsca, w których kwitło życie artystyczne.

S.J. – Przede wszystkim Klub Literatów na Krakowskim Przedmieściu. Tam przychodzili wszyscy. O pewnych porach było na sto procent wiadomo, kogo się spotka. To działało niczym rozkład jazdy. Pisarze przychodzili na obiady. Stołówka była na samym dole. Na parterze – tu gdzie teraz jest ogólnodostępna kawiarnia „Literatka” – mieścił

się Klub. Wszyscy po obiedzie przychodzili tu na kawę i herbatę, jakieś ciastko. Alkoholi profilaktycznie i przewidująco nie podawano. Tu siedzieli godzinami przy stoliku, rozmawiali, sypały się anegdota, sączyli się herbatę, plotkowały, omawiali najnowsze wydarzenia literackie. Ważna była ta atmosfera, poczucie uczestnictwa w literackim życiu.

Bywałem bardzo często w „Czytelniku”. Zawsze zajmowałem ten sam stolik. Tam najczęściej pisałem wiersze. Przy sąsiednim stoliku zasiadał Holoubek z Konwickim, Ważyk... Z młodszych przychodził czasem Bohdan Zadura i przysiadł się do mnie. W „Czytelniku” poznałem Jonasza Koftę... To było również miejsce kulturotwórcze, a moje ulubione. Poza tym bywałem w różnych kawiarniach, już nie tak artystycznych, pisałem w nich wiersze, czasem spotykałem się tam ze znajomymi. Tych lokali już nie ma.

W tamtych czasach nie było już takich miejsc, jak „Pod Picadorem” czy „Ziemiańska”. Klub Literatów miał może coś z „Ziemiańskiej”, ale był bardziej „demokratyczny”.

Życie kulturalne, towarzyskie, ale niezupełnie „publiczne”, kwitło w domach prywatnych. Takim miejscem był domek Alicji Grajewskiej na warszawskich Bielanach. Stał w ogrodzie, niewielki, drewniany, z kominkiem, bardzo nastrojowy. Alicja, osoba niezwykle wrażliwa i obdarzona oryginalną wyobraźnią, była nie tylko redaktorką w Instytucie Wydawniczym PAX, ale felietonistką, czasami pisała recenzje, publikowała je w „Kierunkach” pod pseudonimem Krzysztof Narutowicz. W Instytucie wydała chyba dwa zbiory swoich felietonów. W jej domu bywali Wiesław Myśliwski, Henryk Berezka, Michał Radgowski z żoną Krystyną. Krystyna została matką chrzestną mojego syna. Bywał teatr „Adekwatny” w składzie Magda Teresa Wójcik, Jerzy Wójcik, Henryk Boukołowski. Z kolei Jerzy Wójcik jest ojcem chrzestnym mojej córki. Skoro jesteśmy przy tym, to powiem, że chrztu udzielał ks. Jerzy Czarnota, poeta, autor kilku tomów wierszy. Ceremonia odbyła się w domu Alicji, Jurek przyniósł księgę parafialną, i za jednym zamachem ochrzcił dwoje dzieci. Jacek miał chyba trzy lata. Na pytanie „czy wyrzekasz się złego ducha” z przekorą w oczach odpowiedział: „nie!” Może ma to po mnie?

Bardzo artystyczne były te przyjęcia, sylwestry u Alicji, na których bywali ciekawi ludzie. Pamiętam z tamtych czasów Aleksandrę Ziółkowską, sekretarkę i opiekunkę Wańkowicza. Pisała o nim książkę. Przychodzili Pieńkoszowie, Zygmunt Trziszka,

i nasza paxowska paczka – Dolecki, Łączkowski, Szczypka... Rozmowy, anegdota, śmiechy – oto co towarzyszyło tym spotkaniom. No i alkohole. Na jednym z sylwestrów zdarzyło mi się „degustować”... spirytus. Uszło mi to bezkarnie, ale tylko do pewnego momentu. Potem urwał mi się film. Na drugi dzień mały Jacek (przychodziliśmy tam z dziećmi i nocowaliśmy) odbierał telefony oznajmiając: „a tata się upił jak świnia”. To prawda, ale za to w jakim towarzystwie!

A.M.M. – Literatura jest dziedziną „zazdrośną”? Czy miałeś czasem poczucie, że codzienne życie przeszkadza poezji? Czy wręcz przeciwnie – twoja poezja karmi się życiem? Wiele osób marzy o tym, by utrzymać się z pisania (choć w naszych realiach szanse na to mają raczej prozaicy, niż poeci), ale ty w swoim życiu zawodowym nie unikałeś nigdy pracy etatowej w redakcjach.

S.J. – Nie unikałem etatowej pracy w redakcjach, bo była ona koniecznością. Zawsze tak było, że tylko nieliczni mogli żyć wyłącznie z twórczości. Przeważnie byli to prozaicy. I tak miałem szczęście, że poza dziennikarstwem nie musiałem uprawiać żadnego innego zawodu. Dziennikarstwo łączy się przecież z pisaniem, uczy dokładności, precyzji, warsztatowej dyscypliny, poszerza również ogólną wiedzę, bo umożliwia kontakty z przedstawicielami różnych zawodów. Przeprowadzałem wywiady z artystami, pisarzami, ale również inżynierami budującymi w latach siedemdziesiątych Centralną Magistralę Kolejową. Do dziś wiem, co to są „igrekki”, czyli sposób podwieszania trakcji elektrycznej. Poza tym pracując w redakcji miałem czas pracy nienormowany, nie musiałem się rano zrywać do pracy. Wymagano tylko dostarczenia tekstu w określonym terminie.

Poczucie, że codzienne życie i praca przeszkadzają poezji, owszem, miałem, ale chyba jednak bardziej z lenistwa, niż z miłości do literatury... Wolałbym żyć tylko z pisania. Jednak moja, a właściwie każda poezja, karmi się otaczającym światem, który się obserwuje, inspirowane się nim, korzysta z jego elementów kreując własny świat przedstawiony. Na pustyni, w kompletnej izolacji żadna literatura nie powstanie. Przynajmniej na dalszą metę. Myślę, że jako poeta byłem w bardzo dobrej sytuacji.

A.M.M. – A czy poezja bierze się bardziej z wiedzy o świecie, czy z intuicji? Czy twoim zdaniem to

rzeczywistość, otoczenie, świat dyktują wiersze, czy raczej powstają one jednak w świecie wewnętrznym?

S.J. – Myślę, że z jednego i drugiego. To są równoprawne komponenty poezji. Pytasz ogólnie, więc ci ogólnie odpowiem, że ich proporcje są różne, indywidualne, zależne od temperamentu i osobowości autora. A jeśli już interesuje cię konkretnie moje zdanie, to przyznam, że dla mnie właśnie rzeczywistość, otoczenie, doświadczanie istnienia, nawet bolesne, poetycko się dyskontuje. Oczywiście nie wszystko przeradza się od razu w wiersz, ale staje się impulsem, uwrażliwia, powiększa wiedzę o świecie, a to w nieoczekiwanym momencie może zaowocować poetycko. Nie wyobrażam sobie, abym mógł pisać w kompletnej izolacji. Samotność wewnętrzna, twórcza jest potrzebna w momencie twórczego aktu, owego – jak to nazywam – zamyślenia poetyckiego. Przychodzi ten impuls, chcesz zapisać wiersz, i zdajesz sobie sprawę z psychicznej samotności, bo nikt nie jest w stanie do końca ci w tym towarzyszyć. Do pisania jednak potrzebna jest zewnętrzna izolacja, skupienie, kiedy wiersz się realizuje. Ale przecież jego zamysł nie urodził się z samotności. Jest inspirowany zewnętrznym światem, obecnością ludzi, rozmowami z nimi. To jest ów ładunek. A potem znowu odchodzi się do tego – jak powiadasz – świata wewnętrznego, i tam rozgrywa się cały teatr poetycki, zmaganie z twórczym, kreowanie swojej, własnej rzeczywistości. Słowem – zapisywanie wiersza, który na kartce papieru zaczyna żyć własnym życiem...

A.M.M. – W „Codziennym placu zabaw” pojawił się niezwykle wiersz, dedykowany twojej córce Joasi (w chwili pisania tamtego tekstu – czteroletniej). Ale do podobnego motywu powracasz w wielu różnych utworach, twój podmiot liryczny szuka w sobie wewnętrznego dziecka, czasem próbuje patrzeć na świat jego oczami. Myślę, że ten motyw może być dobrym podsumowaniem naszej rozmowy. Pytanie brzmi: czy taka dziecięca wyobraźnia jest dla ciebie punktem odniesienia? Co jest w niej dla ciebie najważniejsze?

S.J. – Mówią, że facet do końca życia pozostaje chłopcem... Dodam, że poeta szczególnie. Patrzenie na świat oczami dziecka pozwala na większą świeżość odkrywania, nazywania świata i wszelkich zjawisk. Codzienności, która – wydawałoby się – jest tak zwyczajna, że nic nowego w niej nie zauważysz. To nie musi być nic wielkiego: refleks

świata, zasłyszane słowo, kształt, nagle pojawiające się w jednym błysku wspomnienie... Wyobraźnia zaczyna kreować jakieś światy, niekoniecznie od razu dające się przełożyć na język poetycki. Pamiętam tę chwilę, kiedy Joasia powiedziała do mnie „napisz wiersz pod kwiatem”. Z początku nie wiedziałem, czy to rzeczywiście mnie zainspiruje, choć samo w sobie wydało mi się poetyckie. Doszedłem jednak do wniosku, że dziecięca wyobraźnia, wrażliwość, wyzwalają we mnie refleksje zupełnie nie dziecięce. Nastąpiła konfrontacja pomiędzy światem czteroletniej dziewczynki, a rzeczywistością dorosłego. Oto podmiot liryczny w zakończeniu wiersza powiada: „nie dorastaj dziecko”. To nie ma nic wspólnego z jakimś infantylizmem. Chodziło mi o zachowanie wiecznego dzieciństwa, o nieskażone widzenie świata, w konsekwencji o swoiste ocalenie w sobie tego, co najbardziej autentyczne. Powiem ci, że w poezji jestem najbardziej prawdziwy, otwarty, zrzucam maski, przestają grać. Jestem jak dziecko...

Rozmawiała Anna Maria Musz

*) Skróc rozmowy z książki Anny Marii Musz pt. *Poeta i przestrzeń. Portret literacki Stefana Jurkowskiego*, wydanej w serii „Portrety Literackie” pod redakcją Stanisława Nyczaja, Kielce 2016, OW „STON 2”, s. 105-155.



Uta śladem wielkiego Ojca

Z Utą Przyboś – nominowaną do tegorocznej Nagrody NIKE rozmawia Stanisław Stanik

Stanisław Stanik – Julian Przyboś, znakomity poeta polski, tworzył wiersze, i nie tylko, na różnorodne tematy. Część wierszy odnosi się do spraw rodzinnych. Znalazłem wśród nich utwór *Ręce dziecka* o następującym brzmieniu: „Ileż to razy porównywano różowe rączki niemowlęcia / do pąków, do kwiatuszków, do gwiazdeczek... / Popatrzcie – w niecelowym ruchu chwieją się chwytając niezmierzone / nie: jak głębinowe ukwiały opadłe na dno powietrznego oceanu”. Wiersz pochodzi z tomu *Najmniej słów* (1955). Odnosi się do Pani starszej siostry, a jakie wiersze poświęcił Julian Przyboś Pani osobie? Jak Pani je dziś odbiera?

Uta Przyboś – Powstało wiele wierszy po moim urodzeniu, zostały opublikowane w tomiku *Wiersze i obrazki*.



Nie wiem, czy można powiedzieć, że mi je poświęcił, wydaje mi się, że powstały po prostu dlatego, że tuż koło niemłodego już człowieka pojawiło się nowe życie, które zawsze

zachwyca, ciekawi. Dziecku chciałoby się przekazać swoje doświadczenie, ale i je ochronić. Jak odbieram wiersze z tomiku *Wiersze i obrazki*? Ten tomik Tata otrzymał i pokazał mi w dniu swojej śmierci, kiedy ja miałam 14 lat... Cóż, pewno w porównaniu z innymi dziećmi, które wcześniej utraciły któreś z rodziców, mam szczęście, bo mogę spotykać ojca w jego słowach i w dodatku w słowach, które mówią o najważniejszych przeżyciach, są poezją. Widzę też, kim byłam dla ojca, jak bardzo mnie kochał. Przez wiele lat ich nie czytałam, bo to jednak tylko słowa, a ojciec odszedł dla mnie za wcześnie.

S.S. – Jak Pani zdaniem ma się rewolucyjność poezji Pani znakomitego ojca do szczególnie ulubionej przez niego tematyki wiejskiej? Czy synowi chłopskiemu łatwo było zostać awangardzistą, który głosi hasła urbanizacyjne?

U.P. – Nie wiem, czy tematyka wiejska była jego ulubioną tematyką. Pisał o wielu sprawach. Dzieciństwo, a potem lata wojny spędził w rodzinnej wsi, była częścią jego życia. Krajobrazy dzieciństwa na zawsze pozostają w człowieku, stanowią punkt odniesienia, a poeta pisze wiersze swoim życiem. Nowatorsko można pisać i o łanie zboża, i o komputerze. Nie wiem, czy było mu łatwo zostać awangardzistą. Był wybitnie zdolnym człowiekiem, nauka przychodziła mu bez kłopotu, był zachłanny na życie, wiedzę, świat, a czasy były burzliwe, świat zaczął zmieniać się w przyspieszonym tempie, a głęboko odczuwający artysta opisuje to, co przeżywa i widzi. Mnie się wydaje, że awangardyzm przyszedł naturalnie. Po pierwszej wojnie światowej, po wojnie polsko-bolszewickiej (w obu wziął udział jako ochotnik) powstawało państwo polskie, tworzyła się dynamicznie nowa epoka, epoka marzeń, entuzjazmu i sztuka na nią odpowiedziała. W Krakowie spotkał Peipera, ale spotykało go wielu innych i nie każdy zaczął pisać inaczej. Tata miał niezwykły słuch poetycki, zmienił polską poezję.

S.S. – Utrzymuje Pani kontakt z Gwoźnicą na Rzeszowszczyźnie, gdzie urodził się Pani ojciec? Jednocześnie – działając na rzecz miejscowej społeczności – ożywia Pani inicjatywy odśrodkowe. Czy wobec tego nie należałoby pomyśleć o założeniu tu Muzeum poświęconego pamięci Juliana Przybosia? Przecież stąd wyruszył, aby zdobywać świat.

U.P. – Od kilku lat często jeżdżę do Gwoźnicy. Mam tam przyjaciół, poznałam i polubiłam wielu jej mieszkańców, myślę, że oni też zaakceptowali mnie. Nie działałam jednak na rzecz miejscowej społeczności, bo nie mam nawet pomysłu, jak mogłabym to robić. Poza tym wydaje mi się, że doskonale sami sobie dają radę. Mogę im ofiarować tylko swoją życzliwość, cóż więcej? W Gwoźnicy było minimum poświęcone Przybosiovi, ale utrzymanie pięknej zresztą chałupy, w której się mieściło, tak aby zbiory nie niszczały, było trudne. Nie wiem, co będzie dalej. Na wszystko potrzebne są pieniądze, a ja nie jestem specjalistką w ich zdobywaniu.



Uta Przyboś i Mieczysław A. Łyp na spotkaniu w Zespole Szkół w Gwoźnicy. Marzec 2012

Muzeum Juliana Przybosia w Gwoźnicy

Poniżej wnętrze Muzeum

Obok dom brata poety Władysława Przybosia





Obelisk pamięci Juliana Przybosia ufundowany przez brata Władysława



Medalion na obelisku



Napis na grobie Poety w Gwoźnicy

Zdjęcia pochodzą z autorskiego zeszytu poetyckiego (2015 nr 6) Mieczysława Arkadiusza Łypa pt. *Rozmowy z Julianem Przybosiem*

S.S. – Mój serdeczny kolega, poeta Stanisław Nyczaj, wspominał, że przebywał z Panią w 2008 roku w Jałcie na Krymie. Była tam Pani z ojcem pod koniec jego życia, gdy miała 12-14 lat. O tym przepięknym miejscu Julian Przyboś, Pani oddany rodzic, tak pisał w wierszu *Zamiast sonetu* (1969), jakby dyskusyjnego wobec sonetów Mickiewicza: „Krym – ale niepodobny ze skalnych obrysów / do wzniosłego z Sonetów: skryty w swej górności... // Tak tu mieszkam, jakbym się unosił / i jakbym opadał – spokojnie – z wysoka: / mieszkam równo z czubami najwyższych cyprysów”. Skąd te związki poety ze Wschodem? Czy Pani też została wychowana w tradycji zafascynowania nim?

U.P. – Jak Pan powiedział, Tata przeżywał Krym przede wszystkim w odniesieniu do poezji Mickiewicza. To było najważniejsze... Nie można chyba powiedzieć, żeby Ojciec był szczególnie zafascynowany Wschodem. Ja byłam wychowana w wolności. Moje imię po japońsku znaczy „pieśń”, „wiersz”, i jest to też 31 zgłoskowy wiersz, zwany inaczej „tanka”, ale słowo „Uta” ma też inne znaczenia. Zabawne, bo pamiętam, że wtedy, gdy pisał ten wiersz na Krymie, czytałam *Ogniem i mieczem*, nie z powodu jakiegoś założenia, ale tak wyszło, a przecież jakże to łączy się z miejscem naszych wakacji. Literatura przeplata się z życiem.

S.S. – Pani ojciec był spadkobiercą tradycji chłopskiej, lecz dźwigał się ku wielkowiejskości, a nazwać go można z racji jego popularności i podróży obywatelem świata. Pani jako jego córka wychowana w mieście zwróciła tematykę swoich wierszy w kierunku rustykalnym. Z czego wynika ten wybór?

U.P. – Nie wiem, czy można mówić, że ktoś „dźwignął się ku wielkowiejskości”, jakby to było coś lepszego. Ojciec już w wieku gimnazjalnym zamieszkał w Rzeszowie, tam ukończył szkołę. Nigdy nie wyrzekł się swojego chłopskiego pochodzenia, ale nie było ono obciążeniem, raczej wzbogaceniem. Potrafił niezwykle silnie doznawać świat i zachwycać się nim. Dla mnie przyroda, życie drzew, zwierząt, przestrzeń nieograniczona murami miasta jest ważna, pozwala odnajdywać się w życiu, być samotnym, myśleć. Z tego powstają wiersze, ale powstaje też i wiele innych wytworów mojej pracy o odmiennym temacie.

S.S. – Dlaczego tak niewielu pisarzy podejmuje teraz problematykę wiejską? Jak Pani widzi swoje miejsce na tle piszących o niej?

U.P. – Wydaje mi się, że nie piszę o problematyce wiejskiej, chyba że źle rozumiem pytanie. Dla mnie problematyka wiejska to opisywanie ludzkich spraw na wsi. Ja lubię być sama z naturą, wtedy można najsilniej doznać swojego istnienia i istnienia świata, odnajdywać się. Ojciec był rodzinie związany ze wsią, znał życie ludzi, ja „jeździłam na wakacje”. Nad morze, w góry, nie na wieś. Teraz, gdy bywam w Gwoźnicy, powstają wiersze, w dodatku niechcący jakoś troszkę podobne do wierszy Taty. Może ta ziemia rodzi taką poezję? W tej chwili wynajmuję mieszkanie na obrzeżach Warszawy, tuż obok mam las i tereny jezdzieckie jak ze sztychów angielskich. Powstają więc i „spacerowe” wiersze.

S.S. – Ujawniła Pani wspomnianemu wcześniej twórcy kieleckiemu, że pisze wiersze na plenerze malarskim w 2005 roku w Młachocicach. Czy wcześniej Pani nie uprawiała poezji? Jakie były początki Pani zainteresowań literackich i Pani droga literacka do dziś?

U.P. – Wiersze zaczęłam pisać w 2004 roku. Wcześniej popełniłam dwa, ale zaniechałam pisanie. Z domu wyniosłam przeświadczenie, że poezja to najwyższa i najtrudniejsza forma wypowiedzi, wymagająca niezwykłych umiejętności. Na szczęście nie jestem synem i nie muszę mierzyć się z Ojcem, ale jednak, po prostu nie ośmielałam się pisać. Wydaje mi się, że jeśli człowiek jest uważny, dostrzega odpowiedni czas na wszystko. W pewnym momencie zaczęłam czytać więcej poezji i może nieco bezczelnie uznałam, że tak to i ja bym umiała. Może dobrze, że zaczęłam pisać jako dojrzały człowiek, unikając młodzieńczej naiwności. Poza tym był to okres, kiedy dużo czasu zajmowała mi praca zarobkowa, nie miałam czasu na malowanie, dusiłam się i hop – zaczęłam pisać. Powieści pisze się także ku rozrywce innych, a poezję? Że niby ktoś będzie chciał czytać nasze wynurzenia, subtelne zdziwienia, zachłanne zachwyty? Poezja nie jest dla mnie literaturą. Jest jeszcze jedną metodą na odnajdywanie prawdy swojego życia.

S.S. – Wiadomo mi, że wydała Pani trzy tomiki z wierszami w kieleckiej Oficynie STON 2, a niedawno przemyślany kompozycyjnie pt. *Prosta*. Co chce Pani przedstawić w swojej twórczości, jakie idee, przesłania, hasła? Co Pani przyświeca w pisarstwie?

U.P. – Trudne pytanie. Odpowiedź jest w wierszach. Jakbym mogła odpowiedzieć w paru zdaniach, to nie byłoby sensu pisać wierszy. No, ale mogę trochę się postarać: jak powiedziałam, poezja jest dla mnie jednym ze sposobów realizowania swojego człowieczeństwa. Są takie intensywne doznania, zrozumienia, że nie można ich inaczej wyrazić, jak tylko za pomocą poezji. Inną kwestią jest, po co w ogóle coś wyrażać. Przecież każdy ma momenty olśnienia, zdumień i przerażeń, a nie wszyscy muszą coś z tym robić. Skażenie genetyczne? Bywają chwile, kiedy ktoś mi mówi, że jakiś wiersz mu się spodobał, różne wiersze różnym ludziom. Mam wtedy taką chwilę zachwyty, że odnajduję się w drugim człowieku, że jesteśmy sobie bliscy. Dlatego warto pisać nie tylko do szuflady.

S.S. – Pani ostatnia książka, zbiór *Prosta* został nominowany do Nagrody Nike jako jedna z 20 propozycji oraz do Nagrody im. Gałczyńskiego. Skąd to zainteresowanie Pani twórczością, skoro żyje Pani i działa poza centrum środowisk opiniodawczych literatury?

U.P. – To już raczej nie pytanie do mnie. Wydawca dzielnie porzysyłał tomiki i widać ktoś odnalazł w nich coś ciekawego. Sama jestem zdziwiona. Nie interesuje mnie „działanie” w środowiskach literackich. Nigdy nie miałam pomysłu, żeby studiować polonistykę, „tworzyć literaturę”. Owszem, można spotkać w tym środowisku kogoś, kogo polubi się jako człowieka. Lubię ludzi, przyjaciele są dla mnie bardzo ważni, ale może nie zawsze lubię „stosunki społeczne”. Poezja to działanie samotne, samotne zmaganie się ze sobą, światem, czasem. Samotne „dorozumiewania” i zachwyty, i nawet jeśli przeżywany je koło drugiego człowieka, to sam proces składania wiersza jest samotnością, stanem czujności, kiedy różne rzeczy, myśli, jak chcą, to przytają same do głowy.

S.S. – Początki Pani aktywności jako literatki (pisarki) związane były ze środowiskiem twórców

kieleckich. Mając za sobą wydane tomiki, wstąpiła Pani do Kieleckiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Jak układa się Pani współpraca jako literatki z tym Oddziałem?

U.P. – Tak się złożyło, że na plenerze malarskim spotkałam Stanisława Nyczaja i grupę literatów z Kielc. Myślałam wcześniej, żeby wydać tomik, nawet posłałam wiersze do jednego wydawnictwa, ale nic z tego nie wynikło, a Staszek postanowił wydać tomik. Jest człowiekiem, który łączy, a nie dzieli, co, szczególnie w tych czasach, doceniam. Prawdę powiedziawszy, nie miałam ochoty zostać członkiem czegokolwiek, ale Staszekowi trudno odmówić. Jest entuzjastycznym optymistą. Poznałam też parę innych miłych i życzliwych osób, więc jeśli już być „członkiem”, to nie w Warszawie, gdzie ludzie „stojący w jednym domu” nie mogą się dogadać, ale w Kielcach. Nic nie chcę wiedzieć o jakichś grach i zabawach w środowisku pisarzy, nie znoszę tego. Lubię być samotnym jeźdźcem. Nie czuję się literatką: jak już mówiłam poezja to jeden ze sposobów zrozumienia, czym jest życie, rzeczywistość, jej sens.

S.S. – W 2005 roku przyjechała Pani do Mąchoctic na plener, powstały na nim obrazy kilkorga plastyków, które potem przekazano do Szklanego Domu Żeromskiego w Ciekotach. Od kiedy Pani maluje? Jakie motywy podejmuje?

U.P. – Malowałam jak każde dziecko. Moja matka jest malarką i może bardziej niż inni, moi rodzice interesowali się tymi obrazkami. Moje obrazki ukazały się w Taty tomiku *Wiersze i obrazki*, o którym już wspomniałam. W sposób naturalny skończyło się dziecięce rysowanie, umarł ojciec, zaczęłam dojrzewać i nie malowałam. Poszłam na Uniwersytet Warszawski na matematykę, ale po semestrze, kiedy okazało się, że matematyki trzeba się uczyć, a nie tylko rozwiązywać zadania (no, może uczyć się, żeby potem wymyślać i rozwiązywać zadania), postanowiłam zdawać na ASP. Nagle miałam zacząć rysować i malować „po dorostemu” na cztery miesiące przed egzaminem wstępnym. Teczki nawet mi tam przyjęli, ale nie dostałam się. Miałam możliwość studiów w Belgii i ukończyłam w tym kraju Królewską (!) ASP. Potem przeniosłam się na ASP w Warszawie, zrobiłam i tu dyplom. Maluję teraz serie obrazów. Wynikają one z moich

Z galerii malarstwa Uty Przyboś



Z cyklu *Przodkowie*



Jeździecka pasja poetki
Fot. Andrey Kulikov

aktualnych przemysła. Muszę mieć powód do malowania, niektórzy przez całe życie malują właściwie to samo, udoskonalając formę. Mnie przychodzi do głowy, co i dlaczego chciałabym malować i jak to po nowemu pokazać, ale potem już stoi otworem sama materia malarska, farba, kolor, światło. Powstały w ten sposób m.in. cykle: *Odejścia, I ching, Konie Apokalipsy, Nosorożce GMO, Oczka* i inne. Kończę teraz zamknięty cykl obrazów i poszukuję, czekam na coś nowego, bo życie i ja ciągle się zmieniamy.

S.S. – Gdzie Pani wystawia? Jakie zdobyła sobie uznanie? Bardziej realizuje się Pani w malarstwie czy w poezji?

U.P. – Nie jestem zaradną „wystawiaczką”. Trzeba samemu chodzić po galeriach i pytać, czy by nie zechcieli czegoś pokazać. Nie lubię tego. Maluję spore obrazy, a gdybym mogła, to malowałabym naprawdę duże, więc wysyłanie ich na wystawy zbiorowe jest skomplikowane, a poza tym chyba wolę indywidualne, na których można bardziej coś pokazać, powiedzieć. Nie miałam więc wielu wystaw. Trochę w Belgii, raz w Stanach, kilka indywidualnych w Polsce. Nie wiem, czy zdobyłam sobie uznanie. Niektórzy lubią moje malarstwo. Tak jak poezja, malarstwo jest dla mnie moją odpowiedzią na życie, w jakimś sensie najważniejsze jest w nim moje własne zadowolenie (lub nie) z tego, co robię. Miło, jak coś komuś się podoba, ale uznanie innych nie jest dla mnie kryterium wartości, choć może łatwiej z tym uznaniem żyć.

S.S. – Występuje Pani w antagonizmie pomiędzy naturą a kulturą, opowiadając się za pierwszą kategorią. Co to oznacza dla Pani?

U.P. – Bo ja wiem, czy tak? Przecież właśnie piszę i maluję, a nie sadzę i sieję. To ostatnio też robię, ale w mikroskali. A że wolę być w lesie, na łące, nad morzem, a nie w zasmrodzonym mieście? Ale i miasta są ciekawe. Boli tylko, jak ludzie niszczą naturę.

S.S. – Uwydatnia Pani w swoim życiu i podkreśla w twórczości znaczenie religii i etyki. Jak objawia się Pani duchowość w życiu i jak w twórczości?

U.P. – Od dziecka czułam, że świat jest przeźroczysty, czy raczej odwrotnie – nieprzeźroczysty, że w jego intensywności, gęstości można dostrzec coś więcej, głębiej, dalej. Czasem człowiek zaczyna poszukiwać i jak niezłomnie szuka, to znajduje. Dostaje. To wielka radość, którą chciałoby się podzielić z innymi. Zawsze uważałam, że słowo i obraz mają swoją moc i trzeba być za nie odpowiedzialnym. Teraz modne jest, szczególnie w sztukach plastycznych, szokować złem. To łatwe i budzi mój wewnętrzny sprzeciw.

S.S. – Dowiedziałem się, że jest Pani – w rozmaitości swoich zajęć – również projektantką. Czym Pani trudni się poza zajęciami artystycznymi?

U.P. – Projektuję wnętrza, zajmuję się architekturą wnętrz – z czegoś trzeba żyć. Artystom nie płacą za to, że pracują, w każdym razie nie u nas, nieco żartobliwie: może dlatego, że tworzą coś z niczego? Czasem ktoś kupi obraz, ale wszyscy uważają, że twórca za zajmowanie się sztuką nie ma dostawać pieniędzy. Potem ci, co robią wystawy, opisują dzieła sztuki itp., już dostają pieniądze, bo to jest uznawane za pracę. Wykonywałam różne prace w życiu. Poza tym wychowałam córkę, zajmuję się domem i czasem jeżdżę konno. Ważna jest dla mnie wolność, którą oczywiście można mieć i w więzieniu, choć łatwiej na siodle.

S.S. – Wiem, że posiada Pani bogaty zbiór dokumentów i pamiątek życia rodzinnego. Fotografie prywatne pokazywała Pani na wystawie w Kielcach. Kiedy dowiemy się, jaki naprawdę był Przyboś, jak kochana była jego Uta i jaki talent ona sama objawiała?

U.P. – Myślę, że z wierszy i prozy Taty można wyczytać, jaki był Przyboś. W tej chwili poloniści z poznańskiego Uniwersytetu opracowują archiwum. Powstaje też biografia Przybosia, pisana przez Józefa Duka, na razie ukazał się pierwszy jej tom. W tej chwili na pewno nie mam pomysłu, żeby pisać wspomnienia rodzinne.

Rozmawiał: *Stanisław Stanik*

Zapisy cierpień i bohaterstwa

Z Leopoldem Wojnakowskim – laureatem II Konkursu Literackiego im. Stefana Żeromskiego w 65-lecie jego pracy twórczej rozmawia Stanisław Nyczaj

S.N. – Jak wynika z noty na okładce, debiutowałeś w 1951 we wrocławskiej gazecie „Żołnierz Ludu”. O ile wiem z pełniejszych biogramów, było



to tuż po ukończeniu bukskiego gimnazjum i liceum ogólnokształcącego, już podczas służby wojskowej w 12. Pułku Piechoty w Gorzowie Wielkopolskim. Przypomnij, jakim utworem wystartowałeś w swój długi literacki maraton.

L.W. – Wydrukowano moje wiersze, ale też z form dziennikarskich różnotematyczne artykuły i felietony. Przytoczę wpierw wiersz *Nocne natarcie*:

O świcie różowozłotym,
kiedy mrok nocy sparcał,
nasz pierwszy pluton piechoty
przyczął się do natarcia.
Nabój w komorę, bezpiecznik,
manierka się, kurwa, telepie...

Manipulanci w redakcji „Żołnierza Ludu” we Wrocławiu zmienili „kurwę” na „psia mać” i poszło! Mogła być wydrukowana część dalsza:

... – Huraaa! – podniosło się gromkim echem
w rdzawy świt, co jak pochodnia
rozpalał niebo uśmiechem...

Tyle zapamiętałem i to był mój debiut „poetycki”. Potem prezentowałem na łamach moich kolegów-szeregowców – „przodowników wyszkolenia bojowego i politycznego” oraz sylwetki ujawniających swoje talenty, jak choćby Zygmunta Gunia, który z opisem kbk miał zasadnicze trudności, ale malował piękne obrazki rodzajowe na kawałkach kory brzozej, a my wysyłaliśmy te oryginalne poligonowe śliczności z życzeniami do swoich bliskich. Był też taki Tadek Urbaniak, twardy, chłopski syn członka spółdzielni produkcyjnej na Ziemiach Odzyskanych – wnosił sobą temat wtedy nośny.

Cóż ja? Po rocznej szkole podoficerskiej awansowałem do stopnia kaprała, a po kolejnym roku wyszedłem do cywilbandy jako chorąży, który „zawsze zdąży”. Potem w rezerwie były ćwiczenia, szkolenia, dowodzenia, w efekcie których stałem się kapitanem rezerwy. Stopniem tym posługuję się w niektórych moich opowiadaniach – bo to ładnie brzmi – bez krępacji i bez plagiatowych wyrzutów sumienia. Ja, kapitan rezerwy piechoty, kurde!

Pamiętam ćwiczenia na kieleckiej Bukówce. Święto Wojska Polskiego, a ja prowadzę podczas defilady dowodzony przez siebie pluton ciężkich karabinów maszynowych. Był rok 1964. Cztery cekaemy ze zmienianymi lufami – już nie dawne „maksymy”. „Na swej maszynie gram jak artysta, bo na minutę wypruwam trzysta” – pamiętacie?!

Żonę Łucję też poznałem jako wojskowy. Z tym, że teraz pani kapitanowa, ona właśnie, wydaje rozkazy i stwarza bazę umożliwiającą mi pisanie tych moich kawałków literackich.

To „moje wojsko” skwitowałem napisaniem książki *Bo on do wojska był przynależny*, która – jak mówisz – spotkała się z ciepłym przyjęciem. To chyba dlatego, że sięgnąłem do kompanii piechoty, w której służył mój ojciec pod Berezyną i mój stryj Wojciech, kawalerzysta, który kręcił się przy Piłsudskim w Kijowie. „...A ona za nim płakała...” – pamiętacie?! A on z konia widział lepiej.

S.N. – Literatura, sędzę, przez długie lata była spełnianiem się Twojej artystycznej pasji, jaką miałaś w sobie. Spełnianiem duchowo potrzebnym po absorbującej pracy w zawodzie ekonomisty – do którego przygotowały Cię kierunkowe studia w Krakowie – na różnych odpowiedzialnych stanowiskach w branży rolnej, przemyśle cementowo-wapienniczym. Będąc księgowym w podkieleckich PGR-ach, nawiązałaś współpracę z tygodnikiem „Nowa Wieś”, w którym działałem literackim kierował pochodzący spod Buska Zygmunt Wójcik, umożliwiający start adeptom z Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy. Wydrukowałem tam i ja jeden ze swoich młodzińskich wierszy.

L.W. – Mnie powiodło się w ogłoszonym przez „Nową Wieś” w 1970 roku ogólnopolskim konkursie pod hasłem „Moje życie w PGR”. Zająłem liczące się drugie miejsce. Wtedy chyba w tekście *Kontrasty* pisałem, jak na świetlicy robotnikom przymarzały tyłki do ław zбитych z nieheblowanych desek, bo węgla nie było.

S.N. – Również w tymże, 1970 roku, wystąpiłem w pamiątnikarskiej edycji zbiorowej Wydawnictwa „Czytelnik” *W myśli, w mowie, w sercu*, zaznaczając się w pokłosiu konkursu pod zawartym w tym tytule hasłem. W 1975 „Iskry” zamieściły Twoje wspomnienia w dwu zbiorowych tomach: *Moje 25-lecie* i *Blisko ziemi, blisko ludzi*.

Pomiędzy tymi wydarzeniami we wrześniu 1973 roku tu, na miejscu, utworzono z Twojej inicjatywy przy cementowni w Nowinach pismo zakładowe „Białe Zagłębie”, wychodzące później od 1978 do 1981 pn. „Trybuna Budowlanych”.

L.W. – Do tej gazetowej inicjatywy skłoniły mnie obserwacje ciężkiej pracy ludzi przy produkcji i na budowach. Żeby ich pokazać. Obydwie gazety zatem cieszyły mnie bardzo. Ukazywały się raz w tygodniu. Ich treścią była produkcja i ci właśnie ludzie zatrudnieni w Cementowni „Nowiny”, Cementobudowie i budujących się „Nowinach II”, „Truskawicy” i Cementowni „Małogoszcz”, a także w GRI, czyli Generalnym Realizatorze Inwestycji w Białym Zagłębiu. W „Truskawicy” pełniłem funkcję zastępcy dyrektora ds. ekonomicznych.

Kibicując gazetom, brałem udział we wspomnianych konkursach, w których jeden z pamiątników miał tytuł *Blżej człowieka*. Coś on mówił.

S.N. – Ale tak na dobre dopiero po przejściu na emeryturę w 1982 znalazłeś czas na przygotowanie swojej pierwszej książki indywidualnej, która pt. *Z dala od Wykusu* wyszła staraniem Wydawnictwa Łódzkiego w 1988 dzięki utworzeniu w Kielcach oddziału tego wydawnictwa, w którym współpracowałem na co dzień z Henrykiem Jachimowskim, Marzeną Maćkowską, Marią Mudryk.

L.W. – Książka ta zawierała opisy okupacyjnych zdarzeń ze szczególnym uwzględnieniem AK i BCh, będąc przyczynkiem do przyszłej akowskiej monografii powiatu buskiego, dawniej stopnic-

kiego. Była dobrze przyjęta przez prasę. Nakład 8 tys. egz. sprzedany został w ciągu kilku tygodni. Zastępuje na wznowienie.

S.N. – Zbigniew Nosal w „Słowie Ludu” – warto przypomnieć – rekomendował ją jako książkę „zdumiewającą, złożoną z okrucichów, z lakonicznych opisów małych i wielkich okupacyjnych zdarzeń, z fragmentarycznych dziennikowych notatek i lirycznych wspomnieniowych miniatur”. A Zdzisław Antolski w „Plotkarce” spuentował powyższe i inne dostrzeżone atuty nadzwyczaj nobilitująco: „Książka ma wybitne walory literackie, choć „trudno stwierdzić, czy jest to rzecz fabularna oparta na zdarzeniach historycznych, czy też literacki reportaż”.

L.W. – Tak, rok 1982. Przyparty gulońskim patriotyzmem Buska-Zdroju i powiatu, a także pamięcią dziecięcych lat wojny, podjąłem męską decyzję opisanie tych lat. Cóż, moje półroczne kopanie okopów na chwałę III Rzeszy pod karabinowym dozorem, to zbyt mało. Dlatego powiem, że powstanie książki *Z dala od Wykusu* w wyniku mojego postanowienia, to nie tylko moja zasługa, ale całego szeregu osób zaangażowanych w wojenną konspirację i chcących przekazać mi swoje postrzeganie tamtego trudnego czasu żywym słowem i na piśmie. Pozwól, że wymienię przynajmniej kilku z nich, bo „tak szybko odchodzą” na wieczną wartość: Osiński Zdzisław, Kopec Stanisław, Krąkowski Jerzy... Oczywiście, kontakty w terenie, bibliografia książkowa, Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich, Archiwum Państwowe w Kielcach... Spory trud, ale opłaciło się, dlatego że ośmiotysięczny nakład sprzedany został w rekordowym czasie – jak sam mówisz – a treść książki pozytywnie ocenili panowie, których wymieniasz. Ze szczególnym rozczuleniem przypomnę Zbyszka Nosala, który patrzy już na nas z nieba, oraz Zdzisia Antolskiego, który „posądził” tę książkę o „wybitne walory lite-



rackie”, choć racji chyba nie miał. Ale serdecznie dziękuję. Chcę przy okazji potwierdzić, że mam w brudnopisie opracowane II wydanie *Z dala od Wykusu*, około 350 stron, które z braku środków pozostaje na później. Po transformacji ustrojowej książkę mogłem wzbogacić treściowo; ludziom otworzyły się usta i nie zatajają spraw ważnych.

Wojenne tragiczne obrazy dopadały mnie długo. Oto w 1996 roku, a więc osiem lat po wydaniu mojej książki o wojnie, zgłosili się do mnie bechowcy z gminy Wiślica, przedstawiając dwudziestostronicowy rękopis z ich gminnej wojny, zatytułowany *Oddział specjalny PKB gminy Wiślica*. Prośba: zrobić z tego książkę!

Cóż? W porozumieniu ze Staszkiem Rogalą, właścicielem wydawnictwa Gens, podjęliśmy się tej roboty. On opracował tekst, ja napisałem historyczny wstęp, który on jako redaktor nazywa uprzejmie w posłowie szkicem literackim uzupełniającym treść zasadniczą. Tak powstała zgrabna zielona książeczka z kilkudziesięcioma zdjęciami bohaterów zdarzeń w latach 1941–1945 na terenie ich gminy. Minęło znowu dwadzieścia lat, książeczka krąży między babciami i dziadkami, którzy stopniowo przechodzą na wieczną wartę, a wnukowie, patrząc na fotografie, nadziei się nie mogą, że starym chciało się kiedyś chcieć. Pragnę dodać, że autor, Józef Wojtasik („Panek”), w swojej zielonej książce potwierdza w skromnym opisie dwie spośród wielu akcji zbrojnych, o których opowiadam i ja w *Z dala od Wykusu* – atak partyzancki na siedzibę żandarmerii w Nowym Korczynie i walkę z Niemcami w Skalbmierzu z udziałem czołgów radzieckich. I tak się to zająbia.

A jeśli mowa o „półkownikach”, to są opracowane przeze mnie w brudnopisach dwa inne tematy:

– *Narodowe Siły Zbrojne* – pełna historia Brygady Świętokrzyskiej; fragment tej prozy został opublikowany pod tytułem *NSZ na Ponidziu* w „Mozaice” powiatu pińczowskiego w 2006 roku;

– *Klimaty syberyjskie*, będące konsekwencją książki *Z dala od Wykusu*.

Jako członek dużej zgrai „chudych literatów” nie jestem w stanie nadać dalszego biegu tym tekstom. Czekam od lat na sponsora.

W 1999 roku powstała w Warszawie Fundacja „Moje wojenne dzieciństwo” z panią prezes Eulią Rudak na czele. Nawiązałem kontakt, podobnie jak kilkaset osób z kraju. W okresie 1999–2011

ze wspomnień ludzi starych, a w wojnę dzieci, powstało 18 tomów zapisów pamiętnikarskich, będących w moim posiadaniu. W tomie 11. pomieściłem tekst pt. *Kadry moich wspomnień* – 28 stron. W szczególności zainteresowały mnie wspomnienia z tragicznych zdarzeń na Kresach Wschodnich – bandy UPA – w których to zdarzeniach uczestniczyły dzieci – dziś dziadkowie.

S.N. – Wróćmy do rzeczy szczęśliwie spełnionych. W roku 1992 Zakład Małej Poligrafii Wiktora Nowakowskiego wydał Twój zbiór nowelistyczny *Bo on do wojska był przynależniony*, obejmujący tematycznie okres od wojny 1920 do końca PRL.



L.W. – Jak już nadmieniałem, konwencja tych lirycznych opowiadań spotkała się z ciepłym przyjęciem...

S.N. Odnotujmy teraz jeszcze, co po drodze ważne, że w 2000 roku Wydawnictwo „Gens” publikuje Twoją trzecią indywidualną pozycję *Wyszli nocą w pole*, rzecz o powstaniu w roku 1863. W szczególności o szlakach bojowych gen. Mariana Langiewicza, jakie przebiegały wówczas przez Ponidzie, a także o ludziach, którzy w wydarzeniach tych uczestniczyli. I znowuż książka spotkała się z żywym zainteresowaniem lokalnej prasy. Szczególnie „Tygodnika Ponidzia”, ale również „Gazety Wyborczej”, która zamieściła recenzję prof. Krzysztofa Urbańskiego. W „Słowie Ludu”, „IKARZE” ukazały się też krótkie pozytywne oceny. Rocznik społeczno-kulturalny Ponidzia „7 Źródeł” i pińczowska „Mozaika” zamieściły wiele fragmentów, zachęcając czytelników do lektury całości.

L.W. – Podziwiam i pochwalam twoją znajomość ocen tej mojej pisaniny przez innych.

To prawda o tych gazetach. Wymienię tu tylko „Tygodnik Poniżia”, który w 2000 roku w marcu zamieścił w kolejnych trzech numerach pozytywne obszernie wypowiedzi na temat *Wyszli nocą w pole* pióra Henryka Kawiorskiego. Chwała mu za to!

Dla mnie osobiście książka ta ma wydźwięk szczególny, bowiem dzięki moim poszukiwaniom historycznym poznałem bliżej porucznika Aleksandra Uchnasta – jednego z ostatnich żyjących powstańców styczniowych, naszego sąsiada; jako dziesięciolatek uczestniczyłem w jego pogrzebie w 1939 roku. Poznałem nazwiska obecnych mieszkańców mojego miasta, których przodkowie byli powstańcami, a niektórzy z nich zostali zesłani na Syberię. Dowiedziałem się też, że mój pradziad, Wincenty Wojnakowski (ojciec po nim odziedziczył imię), w grupie 24 poszedł do powstania – stąd tytuł *Wyszli nocą w pole*. Moim cicerone w pracy nad tą książką był prof. Wiesław Caban, historyk z Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach. Chcę też wypowiedzieć kilka zdań o wysoko usytuowanej postaci doby powstania, Aleksandrze margrabim Wielopolskim, ważnym bohaterze mojej książki: kontrowersyjnym działaczem politycznym i gospodarczym tamtego niebezpiecznego czasu. Szeroko o nim piszę i raczej krytycznie, ale ja go lubię, dlatego szerzej jeszcze potraktowałem go w prozie zamieszczonej w 7 numerze „7 Źródła” z 2003 roku, przecież to polski arystokrata, wysoko postawiony, inteligentny, władczy człowiek; chciał dla Polski dobrze, tylko metody miał nie do zaakceptowania. Piłsudski darzył go jednak sympatią. Ku takiej ocenie skłaniają się też niektórzy historycy. Większość uznaje go jednak za wroga i zdrajcę kraju. I tak to z nami jest. A ja go lubię za twardość i konsekwencję.

Innym spośród powstańców, którego darzę sympatią, jest Walery Przyborowski – pisarz, autor *Dziejów 1863 roku*, do której to książki zbierał później relacje także w naszym regionie. Jako jeden z biografów Wielopolskiego nie identyfikuje się on z postawą margrabiego, a i wobec powstania wyraża opinię krytyczną. Konglomerat postaw. Dlatego i temu powstańcowi poświęciłem szersze opracowanie literackie zamieszczone w 9 numerze „7 Źródła” z 2004 roku, również dlatego że jeden z epizodów jego życia związany jest z podkieleckimi Domaszowicami.

S.N. – I wracamy do Twojej *stricte* literackiej domeny, jaką stały się opowiadania z życia pol-



skiej prowincji – psychologiczno-obyczajowe i zarazem nastrojowo-liryczne. W 2012 staraniem Kieleckiego Oddziału ZLP i naszej Oficyny Wydawniczej „STON 2” ukazał się zbiór *Bryką, wierzchem i na piechotę*, o którym krytyk literacki Stefan Jurkowski podczas spotkania z okazji 30-lecia Oddziału pod koniec 2014 wypowiedział się, iż proza, jaką uprawiasz, sytuuje Cię w tzw. nurcie wiejskim naszej współczesnej literatury bez naśladowania kogokolwiek z jego wybitnych przedstawicieli. I ja myślę, że nie ma odniesień nawet do tych z regionalnego pobliza: Wiesława Myślińskiego czy – pochodzącego, podobnie jak Ty, z Poniżia – Józefa Mortona. „To scenki z życia polskiej prowincji – charakteryzował krytyk – podpatrzone przez autora, a potem barwnym i dosadnym językiem opisane. Uwagę przykuwa tutaj pewna »egzotyka«: ktoś, kto nie zna wsi, wprowadzony zostaje w jej życie, w mentalność ludzi, ich zwyczaje. Przewijający się przez karty opowiadań postaci są zarysowane przekonująco, żywo, z [...] oryginalnymi charakterami. Widać w tej prozie humor, autentyzm, sentyment, z jakim autor podchodzi do poruszanych tematów”.

L.W. – Jako główny księgowy w państwowym gospodarstwie byłem *de facto* zastępcą dyrektora,

wobec czego zastępowałem go także w różnych naradach i spotkaniach w powiecie. Zdarzało się, że bryka stała zepsuta, a „biedką” (dwukółka) pojechał brygadzysta w pole, pozostał koń i siodło do pokonania tych 13 kilometrów przez las. Konia wiązałem przy płocie i szedłem na naradę. Nie znaczy to, że nie było jazdy dla przyjemności, czemu dałem chyba wyraz w tej mojej pisaninie. Nie były to tylko „scenki z życia polskiej prowincji” – jak chce krytyk, ale także przeżyte przez autora fakty łącznie z odparzeniem własnego tyłka podczas nieumiejętnego posadowienia pośladków na kozackiej kulbace w czasie pierwszych prób – bo potem „mogłem jechać i jechać” – pisałem gdzieś. To sentyment do tamtych „peregrynacji” napisał książkę *Brykę, wierzchem i na piechotę*. Nawet – pamiętam przecież – bryczesy sobie u krawca sprawiłem i buty z cholewami do konnej jazdy u szewca, by wiedzieli, żem gość!

S.N. – A książka, którą prezentujemy, zastrzeżenie uhonorowana pierwszą nagrodą w dziale nowelistyki II Konkursu Literackiego im. Stefana Żeromskiego, nie jest wszelako powtórzeniem tamtej. Jest Twoim kolejnym – w dokonywanym tu przeglądzie – nowym pisarskim osiągnięciem. Odwołujesz się w niej do spraw zawikłanych, trudnych: wojennych i tużpowojennych. Jak byś to bliżej i pełniej określił, przybliżając tematykę czytelnikom?

L.W. – Spotkało mnie nie lada wyróżnienie – pierwsza nagroda w II Konkursie Literackim im. Stefana Żeromskiego. Wydaje mi się, że jest to mój łabędzi śpiew, bo długopis w ręku bywa niespokojny, wszak sam mówisz, że to 65-lecie twórczości, a ja rzecz całą zatytułowałem *Przemijanie*. Nie przesadzałbym z tą „twórczością”, ale miło mi. *Panta rhei*, bracie. Dlatego w książce tej pokazałem ludzi, którzy już odeszli albo dożywają swój wyznaczony przez niebo czas, jak ja. Z ludźmi łączą się problemy, które pozostają dla kolejnych pokoleń.

„Taka jest prawda, innej nie ma” – słowa te włożyłem w usta któremuś weteranowi – przeczytajcie!

I na zakończenie. Jest mi niezmiernie przyjemnie, gdy pani Jadwiga Jermak w „Świętokrzyskim Kwartalniku Literackim” porównuje moje wyrażanie myśli i uczuć do poezji J. Tuwima i K.I.



Gałczyńskiego. Odpowiada mi taka poezja, pełna empatii, którą podzielam z jej autorami.

Mówisz o sytuowaniu mnie przez krytyka Stefana Jurkowskiego w tzw. nurcie wiejskim naszej współczesnej literatury. To dla mnie zaszczyt i wyróżnienie, choć pisząc w ogóle o żadnym „nurcie” nie myślałem. Ale żeby sięgać przy tym do Wiesława Myśliwskiego i do Józefa Mortona – to za wysoko. Chociaż o Mortonie to ja coś napisałem, chyba w *Z dala od Wykusu*. On to bowiem w 1944 roku – podczas tygodniowej wolności zgotowanej nam przez radzieckie czołwki frontowe i w czasie funkcjonowania „wojennej” Republiki Pińczowskiej w sierpniu tegoż roku – pełnił funkcję wojennego administratora majątności chroberskiej. Być może, czuję to, że my wszyscy spotkamy się w zaświatach i przy kielichu wspomnimy stare, niełatwe czasy.

S.N. – Dziękuję Ci za cały, włożony z tak wielkim pożytkiem, trud. I gratuluję nagrody, życząc serdecznie wszelkiej dalszej pomyślności!

Stanisław Nyczaj –
sekretarz jury II Konkursu Literackiego im. Stefana
Żeromskiego

Spotkanie noworoczne (2 stycznia 2016) pisarzy z Kieleckiego Oddziału ZLP i ich przyjaciół w Domu Środowisk Twórczych



Od lewej: Kazimiera Szczykutowicz, Bogusław Pasternak, Pelagia Borowska, Elżbieta Musiał, Irena Paździerz



Stanisław Bartos, Marianna Mycińska, Joanna Babiarcz z mężem



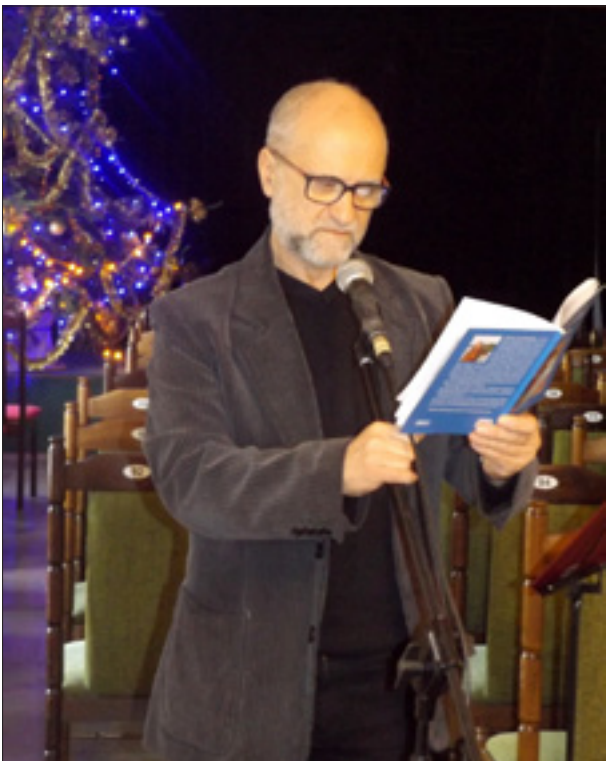
Anna Zielińska-Brudek, Maria Włodno, Mieczysław Siemieniec



Jan Lechicki, Romuald Bielenda



Na pierwszym planie Małgorzata Siemieniec z mężem Mieczysławem. W głębi: Włodzimierz Kłaczyński, Benedykt Koziół, Henryk Morawski, Zyta Trych



Szczęśny Wroński prezentuje nowo wydany (pośmiertnie) tom Henryka Jachimowskiego pt. *Kolędy i pastoralki. Pieśń wigilijna*



Joanna Rzodkiewicz w tańcu z Romualdem Bielendą...



...a Anna Zielińska-Brudek – z Janem Chruślińskim



Elżbieta Musiał



Stanisław Nyczaj, Henryk Morawski

Promocja polsko-bułgarskiego tomu Stanisława Nyczaja *Żarliwy niepokój* w Bułgarskim Instytucie Kultury w Warszawie (21 stycznia 2016)

Z wypowiedzi prof. Karola Czejarka

Polecając tom S. Nyczaja uwadze czytelników „Pułtuskiej Gazety”, prof. Karol Czejarek napisał w swoim stałym felietonie – prócz znanych o nim informacji w środowisku literackim – m.in.

„Ta poezja nie opisuje; jest w każdym calu kreująca. Jest przy tym próbą poszukiwania prawdy. Spogląda »nie z łuny zachodzącego słońca, / lecz z golgoty strwożonej wyobraźni« – jak w wierszu poświęconym pamięci Władysława Hasióra. [...] Najnowszy wybór wierszy Stanisława Nyczaja *Żarliwy niepokój* wywołał u mnie przy okazji jeszcze taką refleksję, iż będąc dwujęzycznym, przełożonym na język bułgarski przez Łyczezara Seliaszkiego i przez Elżbietę Kwasowską-Jachimowską na język angielski, może też aspirować do wersji z językami niemieckim, francuskim i innymi, poszerzając krąg odbiorców. [...] Zacytuję jeszcze jakby motto do tego wyboru: »sięgam po słowo [które] chce mieć mnie przy sobie, / ze mną jedno znaczyć«. Chwałę autora i za to, że – jak pisze w wierszu pt. *Miasto* – »Idę. Próbuję rozłupić beton! / Pode mną rzeka ziemi przepływa, / lecz coraz słabsze jej żyzne wiry. / Ledwo kret przebrnie«. Co do tego dodać? Tylko to, że twórczość Stanisława Nyczaja sytuuje się w samej czołówce współczesnych poetów polskich. Jego liryka jest przeżyciem wyjątkowym. Jego dojrzałość twórcza wynika – co godne podkreślenia – z wewnętrznej niezależności, a jednocześnie jest poezją »trwania«, szacunku dla tradycji. Przy tym poezją śmiałego spoglądania w przyszłość w nieustannym »pojedyńku z Losem«”.

Stanisław Nyczaj: *Żarliwy niepokój. Wiersze wybrane*, Oficyna Wydawnicza „STON 2”, Kielce 2016, s. 112.

Z tego dwujęzycznego tomu pochodzi wiersz wart przypomnienia w Roku Szekspirowskim:

Na zamku Hamleta w Helsingør

Mimo zakazu, przeskoczyłem linę
broniącą wstępu do teatru księcia
na dziedzińcu dumnego zamku w Helsingør.

– Oto nasz Hamlet! – szmer z widowni
jak sztylet przeszył niewidzialną kotarę
i zakrwawił Historię.

Stałem pośrodku wielkiej sceny,
gotów do rozstrzygającego monologu.

Już rękę uniosłem na znak,
ale słowa

– pchnięte zwątpieniem – uwięzły w gardle.

Jąłem więc, milcząc, rozplątywać z wolna
i prostować promienie cichnącego dnia,
jak księżę błędne drogi zatajonej zbrodni.

Śród wilgotnych cieni narożnych baszt
strzegących prawdy
szczur mego szaleństwa wgrzyzał się żarłocznie
w jej cierpki miąższ.

В замъка на Хамлет в Елсинор

Въпреки забраната, прескочих линията,
пазеща входа за театъра на краля
в двора на гордия замък в Елсинор.

– Ето нашият Хамлет! – шепот от публиката
като кинжал прониза невидимата завеса
и окървави Историята.

Заставах на средата на голямата сцена,
готов за решителния монолог.

И вече вдигнах ръка като знак за внимание,
но думите

– тласнати от съмнение – потънаха в гърлото ми.

И така, мълчейки, започнах да разплитам бавно
и да разяснявам лъчите на утихващия ден,
както принца – погрешните пътища
[на укриваното престъпление.

Сред влажните стени на ъгловатите кули,
пазещи истината,
плъхът на моето безумие се вряза лакомо
в нейното тръпчиво месо.

Na język bułgarski przełożył Łyczezara Seliaszki

Wiersze Stanisława Nyczaja po polsku i bułgarsku

Dnia 21 stycznia br. w Bułgarskim Instytucie Kultury w Warszawie odbył się wieczór poświęcony promocji polsko-bułgarskiego tomiku wierszy autorstwa Stanisława Nyczaja w tłumaczeniu Łyczezara Seliaszki pt. *Żarliwy niepokój*. Salę Instytutu wypełnili twórcy literatury, krytycy i ludzie innych profesji działający na niwie kultury, których ze strony gospodarzy powitała dyrektor Instytutu Kalina Stancheva.

W polskiej wersji językowej wiersze pochodzące z różnych etapów życia poety recytowali: Grażyna Kowalska i Lidia Lewandowska-Nayar, Bożena Sitek oraz przyjaciel autora, niedowidzący aktor i poeta, Andrzej Chutkowski, a bułgarską interpretację niektórych przedstawił obecny również na spotkaniu tłumacz Łyczezar Seliaszki.

Znakomitą oprawę wizualną dla tej intelektualnej, ale i sensualnej poezji, pełnej barw, zapachów i różnorodnych wrażeń unaoczniającej zachwyty poety nad światem, a także wytworami ludzkiego kunsztu stanowiła wystawa zdjęć prezentujących Bułgarię jako ciekawy i piękny kraj o długiej historii. W warstwie dźwiękowej zaś piękne frazy poetyckie uzupełniały utwory fortepianowe, doskonale zagrane przez Bożenę Sitek.

Wydaje się, że tak owocna współpraca prezesa kieleckiego ZLP Stanisława Nyczaja ze znakomitą tłumaczką Łyczezarem Seliaszką zachęciła twórców z naszego Oddziału do tego typu działań. Może więc wkrótce także utwory innych świętokrzyskich pisarzy znajdą się na półkach bułgarskich czytelników.

*Beata Kępińska –
sekretarz Kieleckiego Oddziału ZLP*



Dyrektor Bułgarskiego Instytutu Kultury Kalina Stancheva wita gości promocyjnego wieczoru
Fot. Irena Nyczaj



Od lewej: Jan Rychner, Lidia Lewandowska-Nayar, Łyczezar Seliaszki, Stanisław Nyczaj

Stanisław Nyczaj po bułgarsku

Chyba od zarania dziejów poezji zastanawiano się nad problemami jej tłumaczenia, a zwłaszcza nad tym, czy wiersz tłumaczony jest dalej dziełem poety, który go stworzył, czy też prawo własności tego utworu przechodzi na tłumacza, tworzącego jakby rzecz zupełnie nową. I chyba coś w tym jest. To, że wiersz tłumaczony po prostu musi być odczytywany w nieco inny sposób, wynika chociażby z faktu, iż ten drugi język różni się, czasem znacznie, a więc wiersz w tym drugim języku będzie miał inną melodię, inne brzmienie.

Szczególną trudność sprawiało pewnie tłumaczenie wierszy rymowanych, a takowe przecież przez całe długie wieki dominowały w poezji. Nawet bardzo dokładne i pod każdym względem poprawne tłumaczenie, które mogło przekazywać całe bogactwo treści wiersza, cały jego ładunek emocjonalny, nie oddawało wiernie całości utworu, ponieważ słowa tłumaczenia nie chciały się zrymować w tych pozycjach, w jakich rymowały się w oryginale.

I wcale nie jest łatwiejszym tłumaczenie w obrębie tej samej grupy językowej. Języki, na przykład słowiańskie, wywodzą się z jednego pnia, rzeczywiście mają dużo podobnych słów, ale inną fleksję, fonetykę, składnię, a nawet w sferze słowotwórczej i semantycznej wykazują pewne, zaskakujące czasem, odrębności, bo np. po rosyjsku *kowior* to nie *kawior* tylko *dywan*, zaś *diwan*, to nie *dywan*, a *kanapa*, natomiast słowo *zapomnisz* znaczy tyle, co *zapamiętasz* etc.

Pomimo to, jak świat światem, poezję się tłumaczy niezależnie od powyższych dylematów. A te dylematy przypomniały mi się przy okazji prezentacji wyboru wierszy Stanisława Nyczaja *Żarliwy niepokój* w przekładzie na język bułgarski. Prezentacja ta w Bułgarskim Instytucie Kultury w Warszawie miała miejsce już dość dawno, bo w styczniu br. Niemniej jednak takie wydarzenia na długo zapadają w pamięć ze względu na swoją specyfikę. Nie jest to przecież zwykły wieczór poetycki jednego autora, jest to wieczór dwóch autorów-poetów, a rzadko się zdarza, żeby oryginał i tłumaczenie wychodziły w jednej książce. Rolę tego drugiego autora wziął na siebie Łyczezar Seliaszki, wytrawny tłumacz polskiej poezji na

język Christo Botewa. Do tej pory przetłumaczył piętnaście zbiorów poezji polskich autorów. Sam zresztą poeta, autor osiemnastu zbiorów poetyckich, a oprócz tego wielu opowiadań i esejów.

Mamy w tym przypadku do czynienia z przekładem nieobciążonym tymi szczególnymi trudnościami, o których wcześniej, bo to, po pierwsze, przekład w obrębie tej samej grupy języków, po drugie zaś wiersze oryginału – to wiersze białe. I tu można powiedzieć, że wytrawny tłumacz Łyczezar Seliaszki doskonale poradził sobie z oddaniem ducha poezji Stanisława Nyczaja, a jednak dał jej i sporo własnego ducha. I to chyba dobrze...

Stefan Jurkowski we wstępie napisał: *Twórczość Nyczaja jest nasycona filozofią i metafizyką, ale w żadnej mierze nie jest przeintelektualizowana. Jest to poezja w najwyższym stopniu emocjonalna, odwołująca się do wrażliwości, często [...] nosząca znamiona najczystszej liryki. Przy czym poeta kreuje rzeczywistość, stara się ją zrozumieć, ale nie opisuje, nie tworzy płaskich, pozbawionych głębszych odniesień, obrazków. [...] Nyczaj nigdy nie jest dosłowny, jednoznaczny, konwencjonalny w poetyckim języku i diagnozach.*

Może właśnie ten brak dosłowności i jednoznaczności stał się jakimś polem do popisu dla tłumacza.

Podczas wieczoru, który otworzyła Kalina Stanhzeva – dyrektor Instytutu, wysłuchaliśmy wierszy Stanisława Nyczaja z tomu *Żarliwy niepokój* w interpretacji Grażyny Kowalskiej, Lidii Lewandowskiej-Nayar, Bożeny Sitek, Andrzeja Chutkowskiego (po polsku) oraz Łyczezara Seliaszki (po bułgarsku). Oprawę muzyczną stanowiły utwory fortepianowe zagrane przez Bożenę Sitek.

Jeżeli już o stronie muzycznej mowa, to może wypada powiedzieć, że Stanisława Nyczaja było mi wcześniej dane oglądać i słuchać jako wcale niezłego pianistę. Może nie robi on tego na co dzień, ale muzycznego bakcyła ma niewątpliwie połkniętego i to się czuje. Czytając jego poezję nie sposób się oprzeć wrażeniu, że gdzieś w tle słychać cichą, ledwo, ledwo wyczuwalną muzykę. Te wiersze mają rytm i melodię, choć nie ma w nich rymów. Słychać to zarówno:

W tym zawikłanym krajobrazie świata
jestem obecny Sprawdź na każdej mapie.
Oto rozpięty na równoleżnikach
oddycham całą szerokością skóry.
Na mojej twarzy rozlega się łuna
słońca równika i śniegów bieguna

jak i w *Na zamku Hamleta w Helsingoer*:

Stałem pośrodku wielkiej sceny,
gotów do rozstrzygającego monologu.
Już rękę uniosłem na znak,
ale słowa
– pchnięte zwątpieniem – uwięzły w gardle.

Czy wreszcie we *Wszechobecnej*:

Jesteś, jaką cię wyrzeźbiłem
dłońmi, co najdokładniej wiedzą,
czym obdarować świat.

Nim świat to zdołał docenić –
wyszło wszem wobec na jaw,
że tworzyłem cię tylko dla siebie,
chcąc ze wszystkich sił woli
jak najszczodrzej obdarzyć
i ani na mgnienie nie stracić.

Jako przyczynek do rozważań nad tłumaczeniem poezji, można by dodać, że występująca na tym wieczorze Lidia Lewandowska-Nayar, sama przecież także poetka, ale również i zawodowa tłumaczka z języka bengalskiego, przetłumaczyła na polski całą księgę wierszy indyjskiej XVI-wiecznej poetki-mistyczki Miry Bai z cyklu *Kochanka Kriszny*. Wiersze te wielokrotnie słyszałem, także ilustrowane hinduskim tańcem rytualnym, ale słyszę w nich jednak raczej samą Lidię, bo Mira Bai jest postacią zbyt odległą, by można było ją sobie wyobrazić. Nawiasem mówiąc wolę ory-

ginalne polskie wiersze Lidii, niż te tłumaczenia, chociaż na pewno są one bardzo dobre.

W sumie – wieczór w Bułgarskim Instytucie Kultury można uznać jako imprezę ze wszech miar potrzebną. Oznacza ona, że to, co piszą polscy poeci współcześni ma szansę wychodzić poza granice kraju i być prezentowane czytelnikom obcojęzycznym, tu akurat – bułgarskim. To, że spotkanie miało miejsce w bułgarskiej placówce, rzecz można rządowej, świadczy o poparciu z tamtej strony dla tego rodzaju inicjatyw. Na pewno nie mała w tym zasługa Łychezara Seliaszki, który, obok pracy ściśle literackiej, wkłada zapewne wiele wysiłku w budowanie kulturowych mostów między dwoma krajami, za co zresztą został odznaczony medalem „Zasłużony dla Kultury Polskiej”.

I zapewne życzyć należy, by takich spotkań było więcej. I to nie tylko w bułgarskim, ale także w innych podobnych, narodowych instytutach kultury. Aby poezja polska czytana była w innych krajach, a także, by i w Polsce czytano wiersze poetów zagranicznych. Zadanie to niezwykle trudne w czasach, w których piszących poezję jest bodaj więcej niż czytających. Ale dobrze, żeby tak było...

Andrzej Rodys

Stanisław Nyczaj, *Żarliwy niepokój. Wiersze wybrane*, przekład na język bułgarski Łychezar Seliaszki, wstęp Stefan Jurkowski, Oficyna Wydawnicza „STON 2”, Kielce 2015, s. 116.



Po promocji w bibliotece na Ursynowie przy ul. Barwnej 8 dyskutują: Biruta Wolska, Łychezar Seliaszki, Grażyna Kowalska, Alicja Patey-Grabowska
Fot. Jan Rychner

Promocja *Wierszy wybranych Łyczczara Seliaszki* w Bułgarskim Instytucie Kultury w Warszawie (7 kwietnia 2016)

Krystyna Cel

W poszukiwaniu sensu istnienia

Czy śni mi się czyjeś obce
już minione życie?
Czy żyję czyimś przysłym snem?



– czytamy w jednym z utworów Łyczczara Seliaszki z tomiku zatytułowanego *Wiersze wybrane*. Podmiot liryczny (poetyckie „ja”) patrzy na siebie nie tylko z dystansu, ale jak na kogoś mu obcego, kogoś, kto wywołuje uczucie zdziwienia, a nawet zaskoczenia. W kontekście takiego retrospektywnego spojrzenia na życie, na przebytą drogę pojawiają się ciekawe wieszki, jak np. ten zaczynający się od słów: „Idę przez pasma obumarłej muszli...”, w którym podmiot, mimo że poznał w życiu tak wiele z rzeczy ludzkich, to jednak nadal trwa w niewiedzy, nadal błądzi. Zaciekawia tu puenta, bo ten egzystencjalny wątek przewrotnie sprowadzony zostaje do błądzenia tylko po... atlasie, sugerując wielość interpretacji.

Nasuwa się pytanie: co odkryje człowiek ciągle poszukujący sensu swojego istnienia, będący zagadką dla siebie, dla innych, dla świata? Co odpowiedzą mu słowa – „złote pszczoły duszy” i czy on „samotny listopadowy”, pragnący w niespełnieniu spełnienia, będzie jak ten malarz

z pięknej o nim elegii (*Elegia o malarzu*) i na nowo podejmie każdy dzień z tą samą pasją, znów boleśnie skupiając się nad sztalugami? A może, jak w *Elegii o mrówce*, poniesie swój bezmiar niepocieszenia, wobec którego inni przejdą obojętnie?

Autor rozważa istnienie człowieka zawsze w odniesieniu do drugiego człowieka, znajdując jedyną – może nazbyt idealną wykładnię, ale jakże szlachetną i prostą:

Szloch jego gorzki w zaułku ślepym,
póki jak kamień oniemiały
nie znajdzie sensu, że JA to TY.

Widzieć siebie w drugim człowieku i drugiego człowieka w sobie to przecież nic innego, jak ewangeliczna zasada miłości bliźniego, że tylko ona może zaświadczyć o naszym człowieczeństwie.

W tym tomiku znalazły się też wiersze, jak sądzę, poecie najbliższe, bo powstały z nieodpartej potrzeby serca – powrotu do czasów dzieciństwa, rodzinnego domu, co więcej – rodzinnej ziemi, której grudy „jak przegłodzone ptaki” wzywają ustawicznie. W tym przywołanym na nowo rodzinnym krajobrazie wiersze rodzą się same; są jak bruzdy, jak stronice „świętej księgi” – ziemi. Powrót do korzeni staje się powrotem do czasów arkadyjskich, czystych i nieskażonych.

Nieodzowną w tej przestrzeni staje się postać matki. Poświęcone jej strofy zapadają w pamięć i wywołują wzruszenie. Mimo woli nasuwa się refleksja, że sens naszego istnienia zawiera się w sprawach najprostszych, najzwyczajniejszych, dawno już odkrytych. Niech więc odwieczność natury, jej piękno – podkreśla poeta – będzie największą nagrodą, niech wprowadza nas w zachwyt czysta jej kropla.

Łyczczar Seliaszki ma w swoim wyborze prawdziwie „poetyckie kruszce”, jak nazwał je w słowie wstępnym Stanisław Nyczaj. Myślę tu o wierszach bardzo krótkich, lapidarnych. Taka poetycka kondensacja do łatwych nie należy, ale tylko w poezji, w takiej właśnie krótkiej formie możliwe jest oddanie, uchwycenie problemu, zjawiska, złożoności ludzkiego losu, pulsu dzie-

jów. Oto przykład dwu takich utworów: *Sokrates* i *Szklana kulka*:

I sędzę, miał rację Sokrates,
mąż twardy jak podkowa –
lecz nie zaspokoił wilczego głodu prawdy
trującym napojem.

Popatrz – twój uśmiech
jest szklaną kulką
zagubioną
w lustrzanym labiryncie czarnych szkieletów
słów.

Poeta jest więc jak ów rzeźbiarz z wiersza *Sztuka* (rozpoczynającego ten wybór), co „przemieniony w zagadkę, spragniony uczucia” szuka

Stanisław Stanik

Z dalekiego kraju

W kwietniu tego roku wystąpił z wieczorem autorskim w Instytucie Kultury Bułgarskiej znakomity poeta i pisarz Łychezar Seliaszki. Jest on reprezentantem literatury bułgarskiej, z serdecznością zasymilowany z kulturą polską. Od lat przyjeżdża do Warszawy, tu tworzy, wydaje swoje książki, tłumaczy na nasz język. Tak się złożyło, że uczestniczyłem w tym wieczorze, połączonym z promocją ambasady bułgarskiej i wygłosiłem kolaudację, tytułem wstępu do lektury tomiku poety *Wiersze wybrane*. Przybyli ambasadorzy Bułgarii w Polsce, attaché kultury Bułgarii, gospodarze, pracownicy ambasady, znany poeta Krzysztof Karasek i twórcy.

Uroczystą mową pani ambasador został pokrótce przedstawiony ambasador kultury w naszym kraju, jakim można nazwać Łychezara Seliaszki. Następnie w tak chwalebny miejscu i podniosłym nastroju miałem możliwość przyłączyć się do wysokiego tembru głosów chwaleńców poezję znakomitego twórcy. Teraz pragnę powtórzyć i wyszczególnić jego zasługi, które stworzyły kanwę dla całego spotkania.

Przyszedł na świat we wsi Satowcza w południowo-zachodniej Bułgarii. Studiował filologię ojczystą na Uniwersytecie Sofijskim. Kilka lat zatrudniał się jako nauczyciel

„złotego jądra”, tyle że nie dłutem, a słowem. Czy „ugięty pod ciężarem wszechwiedzy” dozna, kim jest „błądząc po sobie oczami nietoperza”, mając świadomość, że ten nasz świat „dręczony, grzeszny” trzyma się jeszcze „na jednej wolnej / jak ptak / do bólu śmiesznej / jak ołów ciężkiej / niegasnącej łzie” (*Don Kichot*).

Wiele refleksji, wiele zadumy, także i pytań (egzystencjalnych, metafizycznych, eschatologicznych) przynoszą wiersze Łychezara Seliaszki.

Krystyna Cel

Łychezar Seliaszki, *Wiersze wybrane*, przekład z bułgarskiego: Wera Dejanowa, Teresa Moszczyńska-Lazarowa, słowo wstępne: Stanisław Nyczaj, Kielce 2016, Oficyna Wydawnicza „STON 2”, s. 93.

i dziennikarz w wojewódzkim mieście Błagoewgrad. Potem przez długie lata wykładał językoznawstwo i literaturę bułgarską w Liceum Ogólnokształcącym im. św. Cyryla i Metodego w rodzinnej wsi. Otrzymał najwyższą nagrodę w krajowym systemie edukacyjnym, order „Neofita Rilskiego”. Życie jego zawodowe omijało wielkie skupiska miejskie, Sofię, Warnę, lecz Seliaszki jest człowiekiem światowym. Szczególnie upodobał sobie Polskę, gdzie uczestniczył w festiwalach poezji. Dał się poznać przede wszystkim jako tłumacz literatury polskiej, gdyż w jego przekładzie ukazało się dotychczas 15 książek takich autorów, jak Halina Poświatowska, Stefan Jurkowski, Grzegorz Walczak, Marzanna B. Kielar, Marlena Zynger, Anna Maria Musz, Stanisław Nyczaj, Tomasz Mielcarek, Aleksander Nawrocki itd. Z klasyków polskich tłumaczył Tadeusza Różewicza, Mieczysława Jastruna, Annę Świrszczyńską. Otrzymał wiele nagród od polskich władz za działalność przekładową i popularyzatorską, która polegała na promowaniu naszych autorów w Bułgarii. Staraniem Oficyny „STON 2” w Kielcach wydane niedawno *Wiersze wybrane* Ł. Seliaszki składają się na tom zróżnicowany, jak zróżnicowane jest pisarstwo tego twórcy. Podejmują wiele problemów egzystencjalnych, filozoficznych z życia człowieka, opierając się na tworzywie wielu zasadniczych wątków. Przez każdy werset słów przebija mądrość, wiedza o świecie, a przecież dadzą się wyodrębnić tematy matki (miłość), kochanej siłą

męskości kobiety, ziemi rodzinnej, wiary (Stary Testament), uogólnienia. Zresztą – jak można dodać – uogólnienie spaja całą rzeczywistość przedstawioną, bowiem autor daleki jest od linearnego opisu.

Na pierwszy plan w wątku matki mieści się obraz domu, ostoji świadomości i doświadczenia. Dom dostarczał impulsu do radości, autentyzmu, naiwności nawet. Jak się okaże, dom z czasem rozpadł się, pozostawiając w jego wspomnieniu ranę i poczucie klęski. Z perspektywy czasu przeszłego poeta może powiedzieć: „Życie – minione święto / tuła się po dzieciństwie”. Bo potem wspomnienia przykrywają całkiem doraźne doznania. Pamięć obraca się wokół tego, co rodziło się świeże, w trakcie dorastania. Tam była bezgraniczna miłość, o której Seliaszki wspomina (*Bruzdy*): „Czuję grudy jak przegłodzone ptaki, / które całą zimę na mnie czekały. / W ślad za mną idzie mama, / bosą stopą wyrównuje je, poświęca / wśród obłoczków szarej pary”. Wspomnienie matki roztacza się jak baśń, zawierzone nie wiedzieć gdzie, w niebie czy na ziemi. Autor pisze: „Idziemy samotnie – syn i matka, / wśród bruzd niebieskich znikamy, / a tam słońce – przemądrość Boża – / zaprasza nas do złotego rydwanu...”. Matka otrzymała w podarku kilka innych, tęsknotą owianych wierszy, ale właściwie Seliaszki zawdzięcza jej każde słowo, więc nuta miłości synowskiej prześwieca każdy z tych wierszy w sensie przenośnym i dosłownym.

Miłość do kobiety „obcej” przejawia się inaczej. Jest bardziej bólem serca niż jego radością. Nie dominuje bynajmniej miłość małżeńska, choć z wierszy to nie wynika, ale doraźna, chwilowa, taka, którą pozostawia po sobie zimne palenisko. Taką miłość przedstawia w wierszu *Jednorazowo*: „Ty i ja – / między sztukami / jednorazowego użytku / i wilczym głodem / uczuć”. Ujawniają się raczej namiętności, szaleństwo, nie stateczne przeżywanie empatii. Że nie może łatwo poeta (podmiot liryczny) poskromić swych uczuć, wynika to z trójwersu: „Póki śpisz, / najmilsza, / ach, póki śpisz, / jak lekko jest oddychać!”. Miłość przedstawioną symbolicznie przedstawia wiersz *Retorta*: „Usiadłaś goła / na taborecie, / ściskając retortę / ze złotą rybką”. Symbole jakby nieczytelne, ale niewątpliwie pochodzą ze sfery erotyki. Autor idzie dalej, tym razem w wierszu *Trzeci*. Jest tu zawarta perspektywa, a może przewidywana obecność potomka, co

zawiera się w słowach: „Teraz jestem sam. / Ty też. / Pragniemy, by było nas dwoje. / Ale gdy tylko jest nas tyle, / brutalnie między nas / staje trzeci – żywy stop / dwóch jednakowych połówek / najwierniejsza kopia prawdziwego / samotnika w każdym z nas”. Takie jest rozwiązanie miłości, taka perspektywa rozwoju świata: dać nowe życie, odosobnione, a więc samotne. Każdy jest pozostawiony sobie samemu, będąc wyrwany z podłoża.

Ziemia rodzinna bohatera lirycznego u Seliaszki znajduje się gdzieś nad morzem. Czy jej dotyczy taki konkretny miłości? „Posłuchajmy jak morze / rodopskie szumi – / gwiazdne naczynie, / sosnową wonią napełnione”. A pogłos jakich stron da się odczytać w tych wersach (*Rzeka*)? „Woda leszczynowa / z wesolego, dźwięcznego strumienia”. I są akcenty bliższe, podobne tym, widzianym z niewielkiego oddalenia: „Topolę / naprzeciwko mojego okna – / pochyloną jak wieża w Pizie – / dotknąłem ręką i policzkiem”. Krajobraz sprawia wrażenie miłego, życzliwego, zapraszającego do siebie, tego teraz dalekiego wędrowca.

Nie ma mowy o partykularyzmie poety, jest on w pełni obywatelem świata. Jego wędrowanie nie odbywa się tylko na trasach Bułgaria-Polska i odwrotnie, przebiega przez wiele krajów europejskich, przynajmniej jak wynika z tekstów *Wyboru wierszy*. Poświęcona jest temu prawie cała część książki mówiąca o zwiedzaniu miast Europy Zachodniej: Wenecji, Paryża (*Wieża Eiffla*) oraz Troi i Oświęcimia. Wyraża autor podziw szczególnie dla dziwów natury i urbanistyki, rozsiadłych na drodze ku najwyższemu pięknu. Jako esteta wstępuje po stopniach doskonałości ku bezmiernej wartości obiektywnej, jaką daje nasycenie doskonałości.

Jako badacz przeszłości rozgląda się po ruinach Troi, by skonstatować, że wszystko przemija, tym bardziej, co ułudne. Ale i tu toczy się życie. Jako człowiek czuły na ból drugiego przygaszonymi oczyma widzi w Oświęcimiu nadgniłe stroje ubiorów więźniów, szczególnie butów. Ale i tu widać, że życie się nie skończyło. Poeta wyraża moc wiecznotrwałości świata, jego stanów obumierania i odradzania się. Dlatego i w przeżytych formach, i w świadectwach klęski tli się chęć egzystowania.

Świat rzeczy, konkretnie istnieje w związkach, dlatego można mówić o specyficznej ideologii,

wymowie poezji Ł. Seliaszki. Dominującym jej akcentem jest przynależność do kultury śródziemnomorskiej. Wyraża się to – jak było zaznaczone – nie tylko wyprawą do Troi, ale także podjęciem wątków mitologii greckiej. Podmiot liryczny nie odchodzi z tego świata i wstępuje do nieba, ale łodzią Charona przepławia się do zaświatów. A kiedy zejdzie do „królestwa cieni” – jak pisze – „Co najwyżej pomylę / w powrotnej drodze / księżyc z Eurydyką...”.

Wyżej, nad wątkiem mitologii greckiej, roznosi się trajektoria dominującej wszechobecnie filozofii chrześcijańskiej. To też element kultury europejskiej, wspólnoty cywilizacyjnej, jaka pchnęła świat do naszych czasów. Owocowanie poeta nazywa darem Bożym, Jego tajemnicą, bieg rzeki określa mianem kosmicznego szyfru, znanego tylko Bogu, ciszę przedstawia jako milczącą mowę Boga, a jest w tych wierszach jeszcze miejsce na Bogurodzicę, na Judasza, na „spoczone słowa do Babilonu”. Stary Testament ustępuje roli Nowemu Testamentowi, a potęga wierszopisarska poety nie polega na powtarzaniu czy trawestacji anegdoty biblijnej, lecz przetworzenie jej na miarę człowieka, na jego los, dążenie i oczekiwanie.

Ciekawe jest w tym kontekście rozumienie kreacji, wypowiedzenie przez poetę słowa, wzorem samego Pana Boga. Przyłgnięte do kartki, zapisane, zapładnia jak drzewo owocowe, jak kwiat miododajna pszczoła. Dzięki jej dotknięciu, muśnięciu, słowa dźwięczą, wydają głos: „Czy po to właśnie wysłał ją do mnie / sam Pan Bóg?”. Oto pytanie kreatora świata poetyckiego, który – w przenośni – dzięki przekazaniu słowa jest równy Bogu.

Filozofia ogólna poety jest sumą poszczególnych jej cegiełek, części elementarnej. Schodzi się w pojęcie – użyjmy tu wyrażenie na użytek doraźny – filozofii egzystencjalnej. Jest to inny obszar myślowy niż filozofia egzystencjalna, którą reprezentowali Sartre, Camus, Beauvoir. Obejmuje bowiem problemy losu i przeżycia nie tak w kategoriach dramatycznych, fatalistycznych, jak w systemie pewnych poglądów, przekonań. Fatum egzystencjalne i tu jednak przenosi się do nadrzędnych doznań człowieka: „Gdy szukam miodu, / znajduję tylko truciznę” (*Miód i trucizna*), powiada Ł. Seliaszki. A potem dodaje przewrotnie: „Gdy trucizny poszukuję, / znajduję miód. / Przestając szukać, znajduję

i gorzki miód, / i słodką truciznę”. Oto mądrość życiowa, stanowiąca przesłanie życiowe. Bohater liryczny podejmuje sam wysiłek zrozumienia świata. Jako zwyczajny, przeciętny przedstawiciel istnienia niewiele może pojąć, zwłaszcza w kwestii różnicowania rzeczywistości. Podejmuje jego zrozumienie przez jednostki ułomne. „Mamo, czy morze coś widzi? – / spytał niewidomy chłopak”. Jest to pytanie z obszaru egzystencji. Wszystkiemu – podobnie – dziwi się głuchoniemy (*Milczek*), który nie rozumie bezładnej krzątaniny, bałaganu. Po co ten chaos? – mógłby zapytać. I co wówczas moglibyśmy odpowiedzieć? Czyż człowiek nie okiełznuje ziemi dla samego dzieła okiełznania? Chyba tak, bo trwa to bez końca. Poeta powiada: „Człowiek niczym kret / nie przestaje w niej grzebać / – znów i znów – / za chlebem, po wodę i po śmierć”.

Myśl Ł. Seliaszki sięga głębiej po tajemnice świata. Nie są one zmienialne, do odkrycia. Zdaje się poecie przyświecać motto Arseniusza Tarkowskiego: „Poza wszystkim ciało ludzkie / osłoną jest niedoskonałą” (*Szala*). Pyta autor o granice istnienia, świadomości, wyobraźnie, o cel ich i sens. Jeden z wymiarów tych niepokojów zawiera się w słowach: „Czy śni mi się czyjeś obce, / już minione życie? / Czy żyję czymś przyszłym snem?”. Takich pytań przy lekturze wierszy pojawia się więcej i to niekoniecznie wprost postawionych.

Książka wybitnego poety bułgarskiego pojawiła się w tłumaczeniu Wery Dejanowej i Teresy Moszczyńskiej-Lazarowej na rynku wydawniczym naszego kraju dzięki zabiegom edytorskim Stanisława Nyczaja. Udane to posunięcie polskiego autora i przyjaciela ksiąg, wyrównywanie zasług przy wieloletnim ślęczeniu poety bułgarskiego nad poezją polską. Wstęp Stanisława Nyczaja, dobra informacja o autorze, kolorowa okładka – robią wrażenie. Oby wzorem kieleckim na podobnym poziomie i bez względów tylko merkantylnych przyswajano nam inny wartościowy dorobek twórców zagranicznych. Musimy mieć ogląd całości zjawisk literackich w obecnej niezrównoważonej w swej widoczności dobie.

Stanisław Stanik

Dwie promocje nowo wydanego zbioru opowiadań Barbary Marii Sierakowskiej pt. *Życiem pisane* w 80-lecie urodzin i 20-lecie od debiutu książkowego

Droga Jubilatko!

W ciągu minionych 80 lat życzyliśmy Ci wszystkiego najlepszego na pięknych spotkaniach w sali lustrzanej WDK i sali koncertowej DŚT, z chóralnym odśpiewaniem STU LAT – przeszłaś ciekawą drogę twórczą jako pisarka, uwieczoną książkami ze wszystkich trzech rodzajów literackich: liryki, epiki i dramatu. Tę edytorską passę rozpoczął tomik poetycki pod wymownym tytułem *Piszę sangwiną*, do którego chętnie pamięcią wracam (bo w selektywnym doborze wierszy starannie przemyślany), wydany na przełomie 1996/1997 w Bibliotece Nauczycielskiego Ruchu Literackiego pod moją redakcją, co wskazuje, że wypłynęłaś na dobrej fali tego zasłużonego dla życia literackiego lat 60–90. ubiegłego wieku ogólnopolskiego klubu pisarzy-nauczycieli. Przypomnę tylko, iż dużo wcześniej (będąc cenioną polonistką kieleckiego IV LO) publikowałaś wiersze i prozę w dodatku literackim do „Głosu Nauczycielskiego” oraz w serii kielecko-radomskich almanachów z serii *Bazar*, do czego, notabene, przyłożyłem rękę – a w 1983 wyróżniony został w ogólnopolskim

konkursie Twój dramat *Czy tylko Piłat?*, napisany w mrocznych okolicznościach stanu wojennego.

W 2004 wyszedł drugi tomik poetycki *Algoritm*, potem, w 2005, pierwszy z trzech tomów opowiadań *Odcienie samotności* – i na podstawie tych trzech książek zostałaś przyjęta w poczet członków ZLP. To był ogromnie ważny etap Twojej pisarskiej drogi, etap nabrania pewności siebie w tworzeniu i poczucia się prawdziwie obecną w literaturze.

Kolejny etap, jaki trwa, przyniósł wydania tomów: *Wierszy nie do końca porzuconych* (2006), zbiorów opowiadań *W klimacie nostalgii* (2007). W 2008 r. ukazała się powieść pt. *I powiedz swoje dość*, w 2014 *Utwory sceniczne*, opublikowane w Wydawnictwie Pisarze.pl. W 2015 r. ukazał się trzeci tom opowiadań pt. *Życiem pisane* (niedawno na wspomnianych wyżej spotkaniach promowany).

Usatysfakcjonowany z tego stanu posiadania, gratuluję Ci w imieniu Koleżanek i Kolegów z Oddziału i swoim własnym.

Stanisław Nyczaj





Promocyjne spotkanie Barbary Marii Sierakowskiej w Sali Lustrzanej otworzył dyrektor Wojewódzkiego Domu Kultury Jarosław Machnicki (12 kwietnia 2016)



Spotkanie w Domu Środowisk Twórczych poprowadził Stanisław Nyczaj (4 maja 2016)



Wierszy pomieszanie

Motto:

Z pomocą Bożą może jeszcze coś napiszę...

*Nielicznym, od których otrzymałam dobro...
inni może też chcieli – sił nie stało...*

Prośba do Stwórcy

Możesz wszystko, o Panie
Jeśli więc taka wola
Daj mi na dni ostatnie
Tęczy aureolę...

Dałeś poetki duszę
Serce miłości głodne,
Dodaj więc skrzydeł parę
(choć skrzydła czasem zwodne)

Wysoko Ikar wzlatał,
Hermes u stóp miał skrzydła...
Pozwól mi, Panie, wzlecieć
Gdy Ziemia nieco zbrzydła

Tak wiele możesz, Panie
Ty wszechświat trzymasz w dłoni
Przyrzekam, że z barw gamy
Ni smużki nie uronię...

O światło tylko proszę...
Kiedy świat szarobury...
Poezją podziękuję
W ostatnim locie w chmury...

Kielce, 10 marca 2010

Z cyklu „Naigrawaszki”

Mistrz słowa

Stworzył poemat
na wzniosły temat.
A jeszcze nie wie,
że to badziewie.

To jest pytanie...

Czy

Anagramy

Łatwo rozwiąż

Uje

Jaką pogodę latem przewiduj

E?

Częste są deszcze

I burz

E bywają

Białe obłoków żagle

I ołowiane tiry z łoskot

Em gromów ładunkiem ciężarne

Dążą po niebie sobie znanym szlakiem...

A potem tęcza łuk jak baletnica

Lekko zatoczy i

Eskadra ptaków

Krąży pod niebem

I kierunek zmienia...

Może to wszystko nieważne... może

A jednak... a jednak

Ładne i dziwne jak

Yeti

Który wśród szczytów gdzieś tam się pojawia

Szukać? nie warto! wielu próbowało

I permanentna klęska, lecz nadal szukają, szukają, d

Aż do nieuchwytnego...

Żebyż to ludziom tak si

Ę układało...

Takie niezmiennie są prawa natury, i grawitacja,

i kosmos *mobilny*...

A my jak dzieci...

Kiedy ktoś umiera, a inny się rodzi – jakoś zaskoczeni... z

Żalem, radością i pytaniem celu

Eksperymenty dziwne podejmiemy.

Wokoło Życie, wiele kołowrotek

Snują się nici, wątki zaplątują...

Płyną strumienie

Orinoko, Lety

Marzeń osnowa zetlała jak Weba, jak pajęczyna

w kącie niedojrzana

I czółno nasze wciąż wody nabiera, i

Nie wiadomo nikomu

Azali

Spokojnie, wolno na drugi brzeg wejdzie?

Zatonie? zginie w bermudzkiej trójkącie...

?*)

*) To taka zabawa, Czytelniku, zwrot do osoby ongiś kochanej...
czytaj pierwsze, wyboldowane literki (akronim)

Spektaki

Cyrk się nie może obejść bez błazna
Który w antraktach publiczność bawi
I my go mamy... Każdy go z was zna
Z grecka po polsku postem*) się wabi

*) tu wpisz nazwisko swego faworyta

Jeszcze nie wiem

I kamień by skruszał od soli łez
I lodowiec by stopniał,
Supernowa by się zrodziła w eksplozji
Żarliwych błagań...
I co?
Nic się nie zmieniło
Ha ha ha
On to wciąż parias
Na marginesie tekstu życiem pisanego
He he
Samotny niezidentyfikowany obiekt...
Ludzkie Ufo, starością zdeformowane
Hi hi hi
Wszyscy mu robią łaskę
Dają jałmużnę swego czasu
Drogocennego... Bo w telewizji serial
Ważny mecz, randka, pora drzemki

Ja też nie zawsze mam czas,
Dla niego
Nie zawsze... Bo niedomyty, bo zapomniał
Gdzie jest... Bo taki powolny... Ja tylko
Jeszcze nie wiem
Gdzie we mnie, w nich...
Homo sapiens, Adamowe dziecko
Na obraz i podobieństwo stworzony?...

Zagubiony wzór

Moja sinusoida opada
Tylko opada?
Czy jeszcze wdrapie się ku górze,
Stworzy nową pętlę?

Chciałabym, bardzo bym chciała,
Ale zagubiłam gdzieś wzór

Kodu... genetycznego
Zapisanego tam, skąd przyszedłam

I dokąd kiedyś powrócę

Zwykły smutek

Zanurzam się w zimną starość
coraz głębiej...
w lodowatej przestrzeni marszczy się skóra
Na włosach białe dmuchawce... tak wiele ich...

Ręce nie chwytają igły
nie uniosą sztangi
ni dziecka trzyletniego.

Na moje piętro wolniej i dłużej wchodzę
niżli kiedyś na Turbacz czy Łysicę
Smutno...

Niekiedy myśl frywolna
porzuca realia jak zbędny rekwizyt
Już nie o lasce chodzę
z zadyszka i bólem

Znów biegnę do ciebie, ja
młoda dziewczyna
szaleńczo zakochana,
gwiazdą zaranną olśniona.

Ty czekasz na mnie, wiem!
I spotkamy się całkiem niedługo...
Tylko jeszcze trzeba mi Styks przepłynąć
w Charonowej łodzi...

Kielce, majowy wieczór 2015

Epitafium

W świetlnej plamie krąży słabe brzęczenie.
Październikowy uśmiech złoci
kafle pieca
delikatnie gładzi astry

Ona krąży ustając rozpaczą,
Ona – duch lipca, wspomnienie, mara

Ona tylko krąży w słońcu
żegnając się z życiem – ginąca

ruchoma czerń nad śniegiem obrusa
Ostatnia mucha, co śmierć chce oszukać

Nie, nie przydepuj, nie biegaj ze ścierką
Tamto nadejdzie, musi!

Ostatnia mucha w agonii
Ostatnia

Seniorzy

Boją się nowych technologii,
ciężkich maszyn mknących po niebie,
komputerów i internetu.
Potrzebują, jak dzieci, mocnej dłoni,
wygodnego łóżka, czasem pampersów.

Jak dzieci lubią zabawki.
Niektórzy oswajają się z tabletem,
czasem na nim grają.

Przeraża ich szum, także medialny,
liberalizmem gardzą.

Są na etapie wiedzy znawców starożytności:
bezbłędnie odczytują pismo kipu –
węzły żyłaków, zasupłane stawy dłoni i stóp,
zapętlone komórki nerwowych w korze
mózgowej.

Mają bliskich przyjaciół, o których nie pamiętają:
Parkinsona, Alzheimerera, Kocha.

Pytają namolnie, jak dzieci,
o powtórzenie proszą,
gdy w aparacie słuchowym pada bateria.
Jedni z różańcem w dłoni, inni z Playboyem,
na lasce wsparci, w inwalidzkim fotelu.
Uśmiechają się, gdy czytają klepsydry,
radzi, że to jeszcze nie ich nekrolog.

Kielce, 16 września 2015

Próba rozmowy z kamieniem

Noblistce, p. Wisławie Szymborskiej

Mówiłaś do kamienia.
Słuchał?

Też mówiłam...
mój kamień miał krótkie palce
Eleganckie biurko, po którym biegła mrówka.
Słuchał, a jakże,
lecz nie wysłuchał...
Miał mocne plecy
z granitu, nie z kruchego piaskowca.
Nie musiał miażdżyć mrówki
ani mnie unicestwiać

Jak pyłki usunął w drodze do awansu
do jeszcze większego biurka...

Kielce, 21 września 2015

Miesiąc pamięci

Dzień krótko ścięty nożycami nocy
I liściowiersze z chrzęstem pod butami.
Liściopad płacze nad kruchością bytu...
I znicze z wiatrem przygaszane łzami

„Byłem, kim jesteś” ... Ja stanę się Tobą.
Prochem i niczym, dziś hołd składam grobom.

Kielce, 1 listopada 2015 roku

Wiosna

*Moim sąsiadom rokrocznie remontującym
akustyczną wielką płytę...*

Wiertarki wizgiem śpiewem i warczeniem
mezzosopranem i basem zahuczy,
wiosna za oknem!... Złocistą forsycją,
perkusją młotka i mlecza uśmiechem

wiertarka gamę wibracją wygrywa,
ptaka godowy śpiew gdzieś się zagubił...
nie, to nie dzieciół rytmicznie o drzewo...
to młot sąsiada wybija synkopy.

Wilgotne pąki zaokiennej brzozy,
gołębie gniazdo w kąciku tarasu.
Kluczem basowym świder w uszach boli,
a słońce krople deszczu cicho spija.

Kielce, 11 kwietnia 2016 roku

Boże Narodzenie 2015

Boże dziecko? Ty tutaj? Do nas nie pasujesz
Nam już Lucyfer pomieszał języki.
Rozum zamącił. Zbrodnia i altruizm?
Słowo wcielone? Nic nie rozumiemy.

Z gwiazdą przybywa maleńkie dzieciątko
I oto słowo już staje się ciałem.
Prawda, choć z krzyża lasera strumieniem
powraca razem z marnotrawnym synem.

W globu zakątkach wszędzie dziś Betlejem,
gdzie Magdalena z upadku powstaje,
gdzie łotr uklęknie przed konfesjonalem,
potem do szopy... Razem z pasterzami.

Choć nie od razu zwaśnieni się godzą,
choć jakaś zadra w sercu ciągle boli.
Biały opłatek wspólnie przetamany
pomoże z gniewu wyrwać się niewoli.

Kielce, samotna wigilia 2015 roku

Onkologicznie

Na krótkim łańcuchu
trzyma swój strach.
Dziką bestię – psa
groźnego o ostrych zębach
prowadza na krótkiej smyczy.
I czasem nie wie: czworonóg to –
obrońca domu czy zmutowany skorupiak,
który anektuje jej wnętrze.

Ale już wie: psa i lęk można oswoić.
Zamknąć w dłoniach, a nadal zostać sobą.
Dłonie ukryć w kieszeni, piękno świata
pod powiekami zamknąć, z nim odejść
na zawsze.

Kielce, 22 kwietnia 2016

Barbara Maria Sierakowska

XVI Światowy Dzień Poezji UNESCO w Staszowie

Staszów ponownie gościł poetów

Tym razem w „Światowym Dniu Poezji” wzięło udział dziewięcioro poetów, w tym: dwoje z Grecji, dwoje z Węgier, dwoje z Niemiec i trzech z Polski. Gości podejmował Staszowski Ośrodek Kultury, oddając do dyspozycji zarówno salę widowiskową, jak i kameralną. Podobnie jak w roku ubiegłym zaprezentowano wybrane wiersze wszystkich obecnych, a zrobili to w sposób bardzo profesjonalny uczniowie staszowskich szkół – członkowie Sekcji Teatralnej SOK. Równie pięknie zaprezentowało się czworo wykonawców utworów muzycznych z Klubu Piosenki, co zostało podkreślone przez głównego organizatora „Światowych Dni Poezji” w naszym kraju, Aleksandra Nawrockiego z Warszawy.

Jednym ze współgospodarzy spotkania był poeta ziemi staszowskiej Benedykt Kozieł, który w imieniu starosty staszowskiego Michała Skotnickiego wręczył wszystkim gościom upominki promocyjne. Po zakończeniu głównej części spotkania w sali widowiskowej, poeci i zaproszeni goście przeszli do sali kameralnej, aby wspólnie delektować się ostatnio napisanymi utworami.

Światowy Dzień Poezji od 16. lat organizowany jest pod patronatem UNESCO, m.in. wspierającej współpracę międzynarodową w dziedzinie kultury, sztuki i nauki.

Tekst i foto: Jan Mazanka



Nagroda XVI Światowego Dnia Poezji UNESCO



Do odwiedzenia Świątej Skąty Akropolu zaprosiła grecka poetka Liza Wrachopulu, tłumaczył Paweł Krupka, poeta i dyplomata



O helleńskiej cywilizacji i wartościach demokracji opowiadał Sokrates Melissaratos z Grecji. Tłumaczył Paweł Krupka (z gitarą), który także zaśpiewał kilka piosenek po grecku



Prowadzący poetyckie spotkanie Dominik Rożek ze Staszowskiego Ośrodka Kultury



Wiersze obecnych na spotkaniu poetów czytały dziewczęta z Sekcji Teatralnej Staszowskiego Ośrodka Kultury: Julia Bąk, Kamila Strzępek, Zuzanna Chmielowiec, Wiktoria Opałka, Weronika Murawska i Aleksandra Kozaczka



Pamiątkowe zdjęcie uczestników staszowskiego spotkania poetyckiego

IX Festiwal Poezji Słowiańskiej w Staszowie

IX Festiwal Poezji Słowiańskiej, po części warszawskiej, obejmującej spotkania, prezentacje poezji i publikacji, spektakle i koncerty odbywające się m.in. w Domu Polonii oraz Muzeum Literatury im. A. Mickiewicza, 13 października 2016 roku dotarł do Staszowskiego Ośrodka Kultury. Wśród uczestników spotkania w Staszowie byli goście z Warszawy: Aleksander Nawrocki – poeta, prozaik, tłumacz, eseista, wydawca, redaktor naczelny pisma „Poezja dzisiaj”, organizator Światowych Dni Poezji UNESCO i Festiwalu Poezji Słowiańskiej, autor m.in. 16 tomów wierszy i 19 wyborów wierszy wydanych za granicą, laureat 25 międzynarodowych nagród literackich, uhonorowany wysokimi odznaczeniami krajowymi i zagranicznymi; Jan Rychner – poeta i prozaik, przewodniczący Klubu Literackiego „Nasza Twórczość” przy Stowarzyszeniu „Wspólnota Polska” w Warszawie; goście z Włoch: Daniele Giancane – poeta, eseista, krytyk literacki, autor ponad stu książek, m.in. tomików poezji, opowieści dla dzieci, wykładowca historii literatury dziecięcej na Uniwersytecie im. Aldo Moro w Bari, redaktor naczelny kwartalnika literackiego „La Valissa”, współpracownik wydawnictw i pism kulturalnych, na łamach których opublikował ponad sześćset artykułów, tłumaczony, publikowany i nagradzany w innych krajach; Angela Giannelli – poetka, prozatkorka, eseistka; Joanna Kalinowska – poetka, tłumaczka, działaczka polonijna, przewodnicząca Stowarzyszenia „Amici Italia – Polonia”, redaktorka czasopisma literackiego „La Valissa”, organizatorka wydarzeń kulturalnych we Włoszech; Mara Venuto – poetka i dziennikarka; Barbara Montanaro – wokalistka, a także poeci i prozaicy, przedstawiciele Oddziału Związku Literatów Polskich w Kielcach: Anna Błachucka, Joanna i Włodzimierz

Kłaczyńscy, Irena Paździerz, Kazimiera Szczykutowicz, Zofia Walas oraz niżej podpisany.

Spotkanie prowadzili: Dominik Rożek, Joanna Kalinowska i Aleksander Nawrocki, a wokalnie uzupełniały wokalistki Barbara Montanaro, prezentująca piosenki włoskie i Karolina Szeleś z Klubu Piosenki „Rytm” Staszowskiego Ośrodka Kultury, która zaprezentowała piosenki polskie i francuskie.

Grupę włoskich autorów przedstawiła Joanna Kalinowska. Uczestnicy spotkania mieli okazję bliżej poznać włoskich gości, usłyszeć wiersze w języku polskim i włoskim oraz przekonać się, jak bardzo poetycki jest język włoski. Aleksander Nawrocki prezentował publikacje, które ukazały się na okoliczność Festiwalu: dwujęzyczną antologię *Mosty: Warszawa–Bari, Bari–Warszawa*, prezentującą wiersze 12 autorów polskich i 12 włoskich; antologię poetów polskich w języku angielskim, wydaną przez Piotra Kasjasa z Birmingham oraz 118/119 numer „Poezji dzisiaj”. W każdej z tych publikacji prezentowani byli m.in. autorzy uczestniczący w Festiwalu.

Podczas spotkania Dominik Rożek, w imieniu Burmistrza Miasta i Gminy Staszów Leszka Kopia, przekazał okolicznościowe listy Aleksandrowi Nawrockiemu i piszącemu te słowa, współorganizatorom staszowskiej części Festiwalu, a wszystkich gości obdarował upominkami promującymi ziemię staszowską, natomiast niżej podpisany na pamiątkę spotkania przekazał gościom szklane puchary wykonane w Hutach Szkła Gospodarczego Tadeusza Wrześniaka.

Benedykt Koziół



Aleksander Nawrocki z żoną Barbarą Jurkowską – redaktorzy „Poezji dzisiaj”

Inauguracja w warszawskim Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza



Joanna Kalinowska i Daniele Giancane



Miłosz Kamil Manasterski czyta wiersz Stanisława Nyczaję z polsko-włoskiej antologii



Śpiewa Barbara Montanaro

Spotkanie w Staszowskim Ośrodku Kultury



Angela Giannelli



Śpiewa Karolina Szeleś

Fot. Benedykt Kozieł



Anna Błachucka



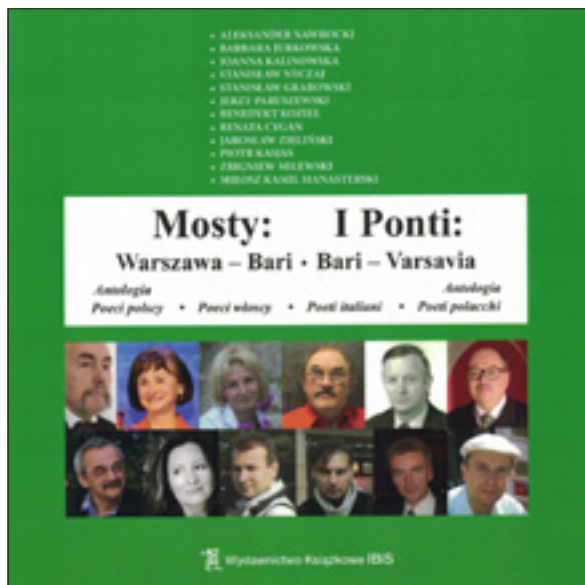
Irena Paździerz



Kazimiera Szczykutowicz



Zofia Walas



Młodzi śpiewają poezję

(Promocja płyty *Schowani w drzewach*)

Przed kilkoma tygodniami otrzymałem dwie płyty z poezją śpiewaną: *Odrowadzasz mnie*, nagrałą w 2013 roku i *Schowani w drzewach* z 2016 roku. Pierwsza zawiera 8 utworów interpretowanych wokalnie przez Janusza Izbińskiego, a druga 7 w wykonaniu Viktorii Pikul. Wszystkie są kompozycjami Kamila Kondka do wierszy Benedykta Kozieła z towarzyszeniem muzyki w wykonaniu kompozytora. Przesłuchałem kilkakrotnie nagrania i jestem mile zaskoczony ich artystycznym efektem.

Zawsze z ogromną przyjemnością czytałem wiersze Benedykta Kozieła. Fascynowała mnie zwięzła i bardzo czytelna treść, piękna metafora i trafne odniesienia do codzienności naszego życia. Wiele niedopowiedzeń zmusza czytelnika do zastanowienia się nad sensem przemijania.

Ta piękna poezja idealnie wybrzmiała w wokalnym wykonaniu Janusza i Viktorii z muzyką Kamila Kondka. Młodzi wykonawcy z ogromnym zaangażowaniem wyśpiewali wiersze poety. Należy również podkreślić udane nagranie, które wykonano w profesjonalnym studiu „Koliber” w Kielcach.

O finansową stronę wydania pierwszej płyty zatroszczyli się autorzy, sponsorem drugiej było Gminne Centrum Kultury, Sportu i Informacji Turystycznej w Rytwianach. Chwała kierownictwu Centrum, że promuje rodzimą twórczość. A teraz kilka informacji o autorach nagrań.

Benedykt Kozieł jako poeta debiutował w 1981 roku. Zawodowo związany ze Staszowem, od kilkunastu lat mieszka w Połańcu, a w poezji ciągle wraca do rodzinnej Niekurzy. Jest autorem 7 tomików wierszy: *Przestąpiłem progi patrzeń, W agrafce przestrzeni, Ty mówiłaś słowa wieczne, To co jest, W Niekurzy i gdzie indziej, Otoczyła mnie miłość, Słowem w wodę*. Wiersze publikował w prasie regionalnej, ogólnopolskiej i zagranicznej, m.in. w kieleckich „Przemianach”, radomskim „Kontakcie”, rzeszowskich „Nowinach”, „Gońcu Staszowskim”, „Radarze”, „Życiu Literackim”, „Rzeczywistości”, „Świętokrzyskim Kwartalniku Literackim”, „Poezji dzisiaj”, bułgarskim piśmie „Znaki”, rumuńskim „actualitatea literară”, angielskiej „Sztuce do kwadratu”. Był drukowany w kilkudziesięciu wydawnictwach zbiorowych, także wielojęzycznych. Jest laureatem ogólnopolskich kon-

kursów poetyckich: „Mikołajek nadmorski”, „O dzban czarnoleskiego miodu”, „Im. Leopolda Staffa”. Należy do Związku Literatów Polskich; jest wiceprezesem Kieleckiego Oddziału. Jest współorganizatorem corocznej imprezy odbywającej się w Staszowie od 2009 r. pod nazwą Staszowskie Lato Literackie oraz epizodów Światowego Dnia Poezji i Festiwalu Poezji Słowiańskiej. Nagradzany i odznaczany za osiągnięcia twórcze oraz działania na rzecz kultury.

Janusz Izbiński jest współzałożycielem i wokalistą zespołu muzycznego działającego przy Staszowskim Ośrodku Kultury. Z promocją płyty *Odrowadzasz mnie* występował w Staszowie, Połańcu, Rytwianach, Busku-Zdroju, Kielcach.

Viktoria Pikul swoją przygodę ze śpiewem rozpoczęła w 16. roku życia, będąc uczennicą Zespołu Szkół im. Stanisława Staszica w Staszowie. Występowała wraz z Kamilem Kondkiem w programie telewizyjnym „Must Be the Music” oraz promując płyty *Odrowadzasz mnie* i *Schowani w drzewach* m.in. w Warszawie, Kielcach, Rytwianach, Staszowie. Aktualnie jest studentką dziennikarstwa.

Kamil Kondek to absolwent Społecznej Szkoły Muzycznej w Staszowie. Studiował w Instytucie Edukacji Muzycznej UJK w Kielcach. Występował m.in. w Krakowie, Poznaniu, Kielcach, Warszawie, Rytwianach, Połańcu, Staszowie, Busku-Zdroju. Był uczestnikiem telewizyjnego programu muzycznego „Mam talent” oraz „Must Be the Music”. Od wielu lat interesuje go poezja Benedykta Kozieła jako bardzo dobry materiał do obróbki wokalnie-instrumentalnej.

Słuchając nagranych utworów, wyczuwa się idealną interpretację muzyczną ilustrującą treść wierszy. Pisząc muzykę, Kamil Kondek dobrze odczytuje klimat poezji, stosuje umiar dźwiękowy niezakłócający treści śpiewanych wierszy. Stara się, aby na pierwszym planie słyszalne było przede wszystkim słowo jako istotny element w śpiewaniu poezji.

Trzeba jeszcze dodać, że utwory prezentowane były w Polskim Radiu Kielce i Radiu Leliwa. Zachęcam wszystkich do nabycia płyt. Warto mieć w swoich zbiorach takie nagrania.



Kamil Kondek i Janusz Izbiński w Połańcu



Benedykt Koziół podczas Warszawskiej Jesieni Poezji 2016



Płyty: *Odprowadzasz mnie* z 2013 roku i *Schowani w drzewach* z 2016 roku



Viktoria Pikul i Kamil Kondek w Rytwianach

Fot. z arch. Benedykta Koziół

Pisarz Jan Lechicki Honorowym Obywatelem Gminy Łagów

Laudacja prezesa Kieleckiego Oddziału ZLP Stanisława Nyczaja

Drogi Janku!

Serdecznie gratulujemy Ci *in gremio* wspianego aktu nadania zaszczytnego tytułu Honorowego Obywatela Gminy Łagów 22 marca br.

To zarówno dla Ciebie – wiceprezesa Oddziału, jak i dla nas wszystkich wielka satysfakcja, że doceniono w Twoich rodzinnych stronach znaczenie twórczych dokonań, jakie wniosłeś i utrwaliły się w świadomości łagowian kilku generacji.

Cieszymy się z udziału w dzisiejszej uroczystości, z dostrzeżenia jej waloru przez regionalne

media, do których dołączy niebawem tak bliski Ci – nie tylko z racji Specjalnej Nagrody za całokształt osiągnięć literackich – „Świętokrzyski Kwartalnik Literacki”.

Z całego serca życzymy Ci dalszej dobrej passy twórczej na szerokim polu literatury, medycyny i animatorskich działań kulturalno-oświatowych. Życzymy Tobie i Twoim Najbliższym dobrego zdrowia i wszelkiej pomyślności osobistej.

Stanisław Nyczaj
redaktor naczelny

„Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego”

Z laudacji dr hab. Aliny Białej z Uniwersytetu Jana Kochanowskiego

Czcigodny Laureacie,
Szanowny Panie Wójcie, Szanowna Rado Gminy,
Droga Rodzino Laureata,
Honorowi Obywatele Łagowa,
Szacowni Łagowianie,
Wszyscy Przyjaciele Łagowa!

Jest na mapie Polski piękne miejsce położone w sercu Gór Świętokrzyskich, opodal Łysogór. Z jednej strony otacza je Pasma Orłowińskie, z drugiej – Wał Małacentowski. W tej malowniczej scenerii, na skrzyżowaniu traktu z Kielc do Opatowa i ze Staszowa do Nowej Słupi, ulokowano Łagów. Jego istnienie w XI w. dokumentuje *Kronika XV-wiecznego* dziejopisarza, geografą i dyplomatą – Jana Długosza. W 1375 r. dawna wieś uzyskała prawa miejskie, które utraciła w 1869, wskutek represji po upadku powstania styczniowego. Symboliczną pamiątką dawnego statusu ośrodka urbanistycznego jest łagowski rynek wraz z przylegającymi do niego uliczkami.

Zachowując w pamięci dawne dzieje Łagowa, wspominamy jego znamienitych obywateli, których dokonania niosą chlubę naszej osadzie. To właśnie z myślą o pamięci i wdzięczności dla ich zasług przyznaje się zaszczytny tytuł Honorowego Obywatela Łagowa. Dziś do grona utytułowanych Łagów zaprasza Pana Jana Lechickiego.

Zaproszenie jest podyktowane m.in. tym, iż dzięki Pana wierszom i prozie Łagów został uniesiony do

rangi literackiego zakątka, stał się Małą Ojczyzną w Dużej Ojczyźnie – Polsce. Dzięki Pana twórczości łagowianie mają swego reprezentanta wśród grona ojczystych artystów. Mają swojego pisarza, który jest władny sprawić, że ich czasy i miejsca *non omnia morirunt*. Dlatego ze wzruszeniem cytuję z okazji dzisiejszej uroczystości Pana słowa, w których splatają się wspomnienia osobistego życia z życiem dawnego Łagowa.

W liryku *Mój łagowski życiorys* Jan Lechicki pisze: „Od wczesnej wiosny / do późnej jesieni / bosymi stopami / strącałem codziennie / krople łagowskiej rosy / Ziemia parzyła zimnem / aż do bólu / I tak hartowałem się przez lata / głodem przednówka / i chłodem jesieni”. Był wówczas, jak wspomina w wierszu *Na starej fotografii*: „Mizernym chłopcem / w ubraniu ze starszego brata”. Nader częste wspomnienia „kraju lat dziecinnych” tworzą jego literacką panoramę. Na ten dawny, przedwojenny i powojenny Łagów składają się spośród obrazowych motywów „łagowskie pola kwitnące zbożem, łąny żyta i jęczmienia na kamienistej glebie, wróble z ulicy Słupskiej, burza, która nagle zerwała się i księżowskim polem przyleciała od kirkutu na rynek łagowski, szum Łagowicy, gorące powietrze szukające schronienia w cieniu przykościelnych lip, wiatr moczający nogi w Łagowicy”. Te poetyckie migawki dopełniają opowieści z tomu *Odpryski*. Łączą one przeszłość Łagowa z wydarzeniami historycznymi. Łagów jawi się tu w mrocznym kostiumie wojny i okupacji. Widzimy go w chwili, gdy hitlerowcy burzą spokojne życie mieszkańców, gdy okoliczna ludność



Od lewej: wójt Gminy Łągów Paweł Marwicki, honorowy obywatel Gminy Łągów Jan Lechicki, przewodniczący Rady Gminy Marek Bartkiewicz



Moment wręczenia dyplomu Honorowego Obywatela Gminy Łągów Janowi Lechickiemu



Licznie zgromadzeni goście uroczystości

Fot. Marek Józwiak



Głos zabrali wnioskodawcy nagrody, członkowie Uniwersytetu Trzeciego Wieku w Łagowie



Laudacja Stanisława Nyczaja w imieniu przyjaciół z ZLP Romualda Bielendy, Beaty Kępińskiej, Kazimierzy Szczykutowicz



Romuald Bielenda czyta wiersz dedykowany Laureatowi

Fot. Beata Kępińska

angażuje się w walkę z okupantem, a miejscowi Żydzi są wywożeni do getta. W wierszu *Odwiedziny* poeta tak wspomina powroty do miejsc dzieciństwa: „Wpadłem do Łagowa / jak po ogień [...] Muszę przebiegnąć / na bosaka / przez ulicę Słupską / aż do kapliczki / Stąd górą nad polami / przelecę do »Jamy« [...] Następnie odwiedzę / ciszę na cmentarzu / i chwilę pogadamy / z duszami Rodziców / Potem z górki / ulicą Opatowską / pobiegnę do szkoły / na lekcję Pana Polaka / Na dużej przerwie / zagram w siatkówkę / z Kazikiem Pająkiem / Na koniec umyję nogi w mojej Łagowicy i zmęczony wrócę do miasta nad Silnicą”.

Konfrontacja miejsc zapamiętanych z dzieciństwa ze współczesnością owocuje literackimi obrazami przemian, jakie zachodzą w Łagowie. Dawnego Łagowa, powiada poeta, już nie ma, „Ścieżka dzieciństwa / zarosła trawą”. Minione obrazy zostały przestonięte współczesnymi: „Już tylko garbate wierzby / pochylające się nad miejscem / gdzie był staw Majewskiego / i oczodołami starych dziupli / wypatrują lustra wody, Nie ma już samotnej gruszy / w polu »ku Piórkowi« / Uschła ze zmartwienia / bo od lat wielu przestali / siadać pod nią żeńcy, Uschły wapienniki / wybałuszają oczy / na kościelną wieżę / w Łagowie”.

Pisze Jan Lechicki o widoku z okna swego dzisiejszego mieszkania nad Silnicą: „Od ponad 25. lat rosną przed moim oknem dwa dorodne kasztany. Ilekroć na nie patrzę, [...] przypominają mi one moje dzieciństwo. [...] te cieniutkie, giętkie drzewka, dziś są już grubymi, rozłożystymi drzewami, po których tak jak ja ponad pół wieku temu w Łagowie, łążą chłopcy z mojej kieleckiej ulicy Wiosennej”. Wzruszające wyznanie i piękny gest wspomnienia. Wyobraźnia niczym filtr przepuszcza wizualny konkret, formuje jego kształty, tworząc z nich imaginacje łagowskiego dzieciństwa. Człowiekowi, który kocha, czas nie przestani obiektu miłości. Postrzega go i wskroś kolejnych widoków umykających lat.

W jednym z wierszy Jan Lechicki pisze: „moje drzewo genealogiczne / to stara wierzba nad Łagowicą / która czerpie swoją błękitną krew / z serca puszczy jodłowej”. Ten wzruszający lakoniczny zapis jest symbolicznym świadectwem zakorzenienia w Łagowie. Uwieczniona w nim wierzba jest niczym daleka figura najstłynniejszego literackiego drzewa – lipy, a Łagów echem Czarnolasu, czyli kolejnym literackim wcieleniem Małej Ojczyzny. Jako było na początku, tak i teraz: poszukujemy swego Domu tam, gdzie jego fundamenty. Wracamy do niego

i wówczas, gdy Najbliżsi „śpią na cmentarzu”, gdy, jak to określił Tadeusz Różewicz w tytule zbioru swoich poezji: *Matka odchodzi*. Zachowana w pamięci przeszłość to szkatuła z klejnotami.

Do grona swoich mistrzów literackich Laureat zalicza m.in. Adama Mickiewicza i Stefana Żeromskiego. Wybór jest nieprzypadkowy. Z twórczością pierwszego wiąże Jana Lechickiego pragnienie powrotu do kraju lat dzieciennych, na łagowskie łono. Z kolei Stefan Żeromski jest twórcą, którego Mała Ojczyzna sąsiaduje z Małą Ojczyzną Poety. Ich muzy czerpią przecież z tej samej ziemi, co zaświadcza apostrofa z jednego spośród jego wierszy: „moja muzo / młodzianka niby pędy / świętokrzyskiej jodły”, a także wyznanie z wiersza *Poszukiwanie*: „W zagonach ziemi łagowskiej / W oddechu Puszczy Jodłowej / [...] W mojej ziemi kieleckiej / poszukuję swojego Ja”.

Zasługi Honorowego Obywatela Łagowa Jana Lechickiego są tym większe, że należy on także do niemałego przecież w naszej kulturze grona pisarzy-lekarzy wnikliwie i wrażliwie rejestrujących najdrobniejsze drgania duszy cierpiącej z powodów psychicznych lub fizycznych. Z czułością tomografu rejestruje on wygasanie człowieka, a także niemały ciężar towarzyszenia pacjentom w ostatniej, najtrudniejszej drodze ludzkiej egzystencji. Ten nurt działań Jana Lechickiego wpisuje się w dokonania nieżyjącego już legendarnego profesora nauk medycznych – Andrzeja Szczeklika.

Szanowny Laureacie!

Szczęśliwy człowiek, który ma gdzie powracać i gdzie witają go z otwartymi rękami. Szczęśliwy tym bardziej, że witają go jako Honorowego Obywatela. Jako łagowianka, dziękuję Ci, Szanowny Laureacie, za chwile wzruszenia, jakich dostarczyły mi utwory o naszych rodzinnych stronach, zaś jako historyk literatury gratuluję kolejnego sukcesu.

Szanowny Panie Wójcie, Szacowna Rado Gminy, Droga Rodzino Laureata, Honorowi Obywatele Łagowa, Dostojni Łagowianie, Wszyscy Przyjaciele Łagowa!

Szczęśliwy Dom, do którego chętnie się powraca. Szczęśliwy tym bardziej, że powracającym jest pisarz, czerpiący natchnienie z rodzinnego gniazda. Jako łagowianka dziękuję, że to właśnie mnie powierzono dzisiejszą laudację, zaś jako humanistka cieszę się, że Łagów ma swojego Pisarza.

Alina Biata

Wiersze z nowego tomu

Niewypowiedziane słowa

z niewypowiedzianych słów
zbudować można tysiące
poetyckich metafor
dziesiątki stron powieści
niezliczoną ilość bluźnierstw
zakłębć
i potwarzy

niewypowiedziane słowa
krążą w nas
i obok nas
nie mają praw obywatelskich
dlatego musimy żyć z nimi
na kocią łapę
przez całe życie

Pojedynek

pojedynek trwa
zwycięzcy i zwyciężeni
patrzą sobie złowrogo w oczy
widownia bije brawa
albo gwizdże

kibice w kolorowych strojach
za pół litra
lub działkę trawki
śpiewają patriotyczne pieśni
na cześć bohatera

Poeta XXI wieku

dla poety XXI wieku
nie ma tematu tabu on
odkrywa metafory
które mogą zachwycać
lub szkodzić

poeta XXI wieku piszący
o miłości i zdradzie
nie jest odkrywcą
lecz plagiatorem

dla niego natchnienie
stanowią loty międzyplanetarne
oraz życie na dnie
Mariańskiego Rowu

on wzruszeń poetyckich
szuka w układach scalonych
oraz w mikroprocesorach
on jest konstruktorem
wierszy

Spotkania rodzinne

rodzinne spotkania integracyjne
to odkrywanie nowych praw
zrodzonych z krwi pępowiny
zapisanych elektrokardiogramem miłości
i utrwalonych w połączeniach
mózgowych neuronów

rodzinne spotkania
to życiodajne witaminy
bez których życie
byłoby podobne
do życia cyborga
oglądanego na wystawie
technicznych osiągnięć

Medyczne dylematy

przy pisaniu wierszy
poeta może dostać zadyszki
od dźwigania natchnienia

serce mu bije niemiarkowo
od ciężaru gatunkowego
tematów

oczy odmawiają mu posłuszeństwa
dlatego wkłada różowe okulary
aby zobaczyć drugą stronę
ludzkiej duszy

zdenerwowany i wyczerpany
zgłasza się
do Poradni Zdrowia Psychicznego

Fraszki z cyklu Na Rejowską nutę

Za dużo słów

Nie będzie się w Polsce dobrze działo,
Bo słów mamy dużo, a rozumu mało.

Ćwiczenia Polaków

Od wieków Polacy się ćwiczą,
Jak władać szablą i gromnicą.

Do postów

„Pewnie Pospolitej Rzeczy
Żaden tam nie ma na pieczy”.
I dziś tak że samo, niestety,
Decyduje wysokość diety.

Rej by powiedział

Pięknie wy, politycy, mówicie o cnocie,
A sami się pławicie w brudnej robocie.

Wół ślachcicem

„Wół byłby ślachcicem, gdyby mu herb dano”.
Lecz i herb nie pomoże, kiedy w głowie siano.

Strachy na Lachy

Jak w Zwierciadle Rejowskim,
Widać w sejmie naszym,
Że w Polsce, miast naprawiać,
Wzajemnie się straszym.

Swary w Rzeczpospolitej

W Rzeczpospolitej nie masz, nie masz zgody,
Bo się wszyscy biją o rządowe schody.

„Ksiądz pana wini, pan księdza”

Rząd wini postów, a ministra postowie,
By biednemu wyborcy zrobić mętlik w głowie.

Jak Polak z Polakiem

„A niechaj narodowie wżdy postronni znają”,
Że Polak z Polakiem dogadać się mają.

Limeryki

Pewna anorektyczka
była chuda jak tyczka,
bo nie smakowało jej wszystko.
Zostało jej tylko nazwisko
i podobna była do smyczka.

*

Na koncercie w Krynicy
grali dziwni muzycy.
Jedni używali grzebienia,
drudzy zaś rogów jelenia.
Brawo im bili letnicy.

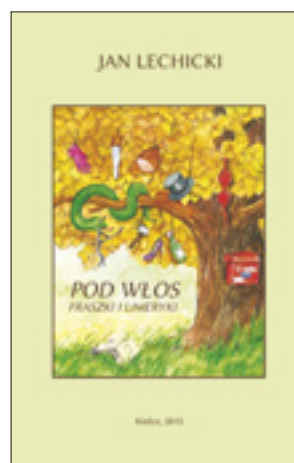
*

Był sobie bardzo młody lekarz stażysta,
który pracować nie chciał za tysiąc trzysta.
Pożegnał więc tę sytuację ponurą
i w Niemczech dostał trzy tysiące euro.
Dziś do kraju przyjeżdża jako turysta.

*

Trzymaj język za zębami – mówi przysłowie.
A mnie tymczasem rodzi się taka myśl w głowie:
jak język za zębami trzymać da się,
kiedy zębów już, niestety, nie ma się?
Może ktoś bardzo mądry na to mi odpowie?

Jan Lechicki



Recykling słów

Ważne, jeśli poeta podchodzi do tworzywa literackiego z pewną nieufnością. A także z poczuciem słabości, niepewności, czy sprosta zmaganiu się ze słowem. To łączy się z pokorą wobec poezji. Nie chodzi o poczucie jakiejś niższości – nie o taką pokorę tu chodzi – ale o świadomość, że wiersz, niczym nieujędzony rumak, może nas ponieść na manowce, a zadaniem poety jest opanowanie go i skierowanie na właściwe tory. A czy można mówić o „właściwych” torach? Choć wyobraźnia jest nieograniczona, to jednak mieści się w pewnych rygorach. Powinna być poddana logice. Logice słowa, precyzji poetyckiej narracji, przejrzystości, konsekwencji w obrazowaniu. Pisanie wierszy nie jest zatem rozrywką, pisaniem „niedzielnym”. Jan Lechicki doskonale zdaje sobie z tego sprawę. W wierszu *Zmęczenie* wyznaje:

coraz częściej
dostaję zadyszki
gdy usiłuję
napisać wiersz”

Poeta zwierza się:

coraz częściej
brak mi słów
aby opisać miłość

To wszystko świadczy o autoświadomości. Dopinguje autora do większej precyzji, szukania odpowiedniego słowa do nazwania rzeczywistości; nie pozwala pozostać w kręgu naskórkowych doznań.

Zauważmy, że poezja Lechickiego usiłuje dotrzeć do głębi ludzkiej psychiki, do pewnego rodzaju zdefiniowania natury człowieka. Oczywiście, o ile to możliwe. Lechicki, jako lekarz, jako znakomity obserwator i psycholog doskonale wie, że tak osobowość człowieka, jak i struktura świata nie są jednoznaczne, czarno-białe. To doświadczenie pozwala mu na uniknięcie banału, na panoramiczny i zróżnicowany ogląd świata i człowieka. Przecież:

człowiek to niezorganizowana
materia
to chaos w mózgu sercu
i innych częściach ciała

jest nie do ogarnięcia
może tak ma być
bo cały świat jest
nieuporządkowany
a przecież jesteśmy stworzeni
na obraz i podobieństwo

Ten, niemal panteistyczny, obraz w skrócie poetyckim ilustruje naszą kondycję. Jesteśmy nie do opisania; jesteśmy stworzeni na obraz niejednoznacznego świata. Poezja także jest niejednoznaczna. Nie jest w stanie uchwycić całej istoty stworzenia. I to przeświadczenie jest właśnie prawdziwą pokorą wobec świata i wobec słowa, za pomocą którego można wyrazić wiele, ale nie wszystko. Tylko zadufani w sobie autorzy mają poczucie, że oto zgłębili strukturę świata.

Tymczasem Lechicki powiada:

czasem marzą mi się
zakłady utylizacji słów
słów
mówionych
pisanych i śpiewanych

Chodzi mu o słowa pogardy, nienawiści, kaleczące język, zatrute. A także te – dodajmy – które nie wnoszą nic nowego do poezji, obrazów, metafor. Słowa pojawiające się w nadmiarze, niszczące wiersz, rozsadzające go od środka. Dlatego wiersze Jana Lechickiego są tak oszczędne, czasami do najwyższego stopnia ascetyczne. Zauważmy, że owa asceza formy potęguje ekspresję utworów. Poeci są w tej sytuacji, że cały czas muszą odnawiać język, który przecież ma swoje słownikowe znaczenia, a często jest zaśmiecany przez nowomowę. O zadaniu stojącym przed każdym poetą Jan Lechicki pisze tak:

a ja codziennie wstaję o świcie
i zabieram się do budowy
nowych wierszy
oraz recyklingu słów
wyrzuconych na wysypisko
technocywilizacji

moja poezja jest reanimacją
materiału z odzysku

Poeta niemal w każdym wierszu stara się uzmysłowić sobie, na czym polega jego zadanie. Czy to wiersze liryczne, czy o zabarwieniu „społecznym” – wszystkie są próbą odświeżenia języka, nowego, indywidualnego spojrzenia na rzeczywistość, choć:

czasem wydaje mi się
że jestem na niby
tu i teraz

Czyżby autor ustawiał się na pozycjach outsidera? I tak, i nie. W wierszu *Nie chcę* powie:

nie chcę być uszczęśliwiany
na siłę

prymitywna agitka mnie nie
wzrusza

niektórzy politycy
powinni być izolowani
jak trędowaci
w hospicjum dla
nieuleczalnych

Jednakże podmiot liryczny wierszy Jana Lechickiego nie ustawia się tyłem do rzeczywistości. Przeciwnie – obserwuje ją, diagnozuje, wartościuje. Nie jest to poezja publicystyczna, wojująca, ale przecież bardzo wyrazista, mówiąca o zewnętrznej kondycji człowieka oraz o jego psychice, stosunku do otaczającego świata i zachodzących w nim zjawisk. Zarazem obiektywna. Pozostaje w opozycji wobec zakłamania, fałszu, hipokryzji. Afirmuje zaś to, co naturalne, szczerze, bezpretensjonalne – jak bezpretensjonalny i komunikatywny jest język tej poezji.

Stefan Jurkowski



Staszowskie Lato Literackie 2016 – Sielec „Szklarki”

Fot. B. Kozieł



Promocja powieści *Trauma Ewy* Ireny Paździerz w DŚT

8 czerwca w Domu Środowisk Twórczych (naszej siedzibie) promowaliśmy najnowszą powieść Ireny J. Paździerz *Trauma Ewy*. Opublikowaną po kilku innych w tym gatunku: *Marzeń zielone migdały* (2000), *Urok tajemnicy* (2002), *Witaj Europo!* (2008, uhonorowaną wcześniej, tj. w 2003, w Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. St. Żeromskiego), *Nie jestem Megi* (2011). Nadmieniam, iż czekamy na wydanie powieści uhonorowanej pod koniec 2014 pierwszą nagrodą w II Konkursie Literackim im. St. Żeromskiego pt. *Ucieczka w dorosłość*.

Powieści to najważniejsza część dorobku pisarki, znanej ponadto jako nowelistka, autorka zbioru opowiadań *To się zdarza* (2009), a wśród młodszych czytelników jako autorka tomu baśni i legend *Biały koń z chęcińskiego zamku* (2002) czy zbioru bajkowych przypowieści *Kiedy zwierzęta mówią* (2007).

O życiu i całym jej dorobku – także poetyckim – mówi książka Liliany Abraham Zubińskiej *W drodze do siebie* (2010), wydana w serii OW „STON 2” „Portrety Literackie” pod moją redakcją, będąca portretem literackim autorki *Traumy Ewy*, która to powieść miała w swej wcześniejszej wersji tytuł *Dogonić cień*. O tej wersji L. Abraham Zubińska po lekturze napisała:

„Czytając tę powieść miałam wrażenie, że autorka przez wiele lat przygotowywała się do jej napisania. Zainteresowania pisarki psychologią, wszelkiego rodzaju ćwiczeniami fizycznymi i energetycznymi miały przygotować ją do przeprowadzenia dogłębnej analizy kobiety, która przeszła traumę gwałtu”.

Podczas promocji – prócz fragmentu *Traumy Ewy*, rozmowy Anny Błachuckiej z autorką i wypowiedzi krytycznoliterackich – usłyszeliśmy młodych skrzypków z Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych im. Ludomira Różyckiego w Kielcach: Julię Brożynę, Krzysztofa Drożdżowskiego, Urszulę Szumską z klasy prof. Agnieszki Kasiak. Wybór młodych skrzypków był nieprzypadkowy; Irena Paździerz w dzieciństwie (w okresie od 10. do 14. roku życia) uczyła się gry właśnie na skrzypcach, o czym po latach napisała w wierszu:

Najpierw byłam muzyką
w pudle rezonansowych skrzypiec
cienkim smyczkiem dziecięcych łat
muzyka rozkwitała kobietą
a nuty zgęstniały w słowa poety

Stanisław Nyczaj





Irena Paździerz w rozmowie z Anną Błachucką



Autorka wraz z Lilianą Abraham Zubińską (z lewej) i Władysławem Szproch



Bohaterka wieczoru dziękuje młodej skrzypaczce za występ



Autorka w otoczeniu rodziny

Fot. z archiwum autorki

Pisanie nie leczy

(Fragment powieści *Trauma Ewy*)

Podejrzewałam, że po spotkaniu w Niewidowie Maks nie pojawi się u mnie tak szybko. I nie myliłam się. Nie pokazał się przez dwa tygodnie, a ja w tym czasie dostałam takiego poweru do pisania, że zarywałam każdą noc i kładłam się spać koło trzeciej. Pisało mi się z zadziwiającą lekkością. Nie czułam potrzeby snu i kiedy wstawałam po czterech godzinach, byłam wypoczęta. Nikę odprowadzałam do żłobka, jechałam do redakcji, potem naprędce wysmarowałam jakiś tekst do gazety i wieczorem znowu to samo – pisanie książki. Wszystko układało się po mojej myśli. Nawet ten tekst o andrzejkowych wróżbach wyszedł mi całkiem zgrabnie, tylko nie zgodziłam się na uczestnictwo w nocnym czytaniu. Szkoda mi było czasu. Najważniejsza była książka.

Nieźle sobie ze wszystkim radziłam, ale zapomniałam notować, ile dni minęło od tamtego feralnego zajścia. Kiedy wreszcie sobie o tym przypomniałam, daty mi się pomieszały i doszłam do wniosku, że nie ma sensu prowadzić takich wyliczeń. Jednak to nie przyniosło zapomnienia. Wciąż złość była we mnie i przelewałam ją na kolejne strony książki. Mściłam się na Maksie.

Bohaterka mojej książki po gwałcie stała się nieufna wobec mężczyzn. Każdy, który szedł za nią, wydawał jej się potencjalnym napastnikiem. Przystawała za każdym razem z biciem serca, odwracała się i czekała, aż ją minie. Ostrzegła też wszystkich znajomych, aby nie podchodzili do niej od tyłu i niespodziewanie nie kładli ręki na jej ramieniu, bo to może przyprawić ją o zawał serca. Miała też zwyczaj siadania zawsze przy ścianie, aby kontrolować to, co wokół niej się dzieje. Wiedziała, skąd to się wzięło, ale nie potrafiła z tym walczyć. Wydawało się jej, że gdy będzie postępować w ten sposób, nic złego jej się nie przytrafi.

Została zgwałcona w swoim mieszkaniu. Miała wtedy dwadzieścia siedem lat. Mieszkała na parterze i zostawiła na noc otwarte okno. Było duszno i gorąco. Nie spodziewała się, że ktoś może wejść i ją zgwałcić. Obudziła się w środku nocy i poczuła, że ktoś próbuje rozchylić jej uda. Przygniata ją swoim cielskiem i dyszy prosto w ucho. Próbowwała się wyzwolić, ale wtedy jej

oprawca uderzył ją w twarz. Poczuła słodki smak krwi. Pomyślała, że jak się będzie bronić, napastnik zabije ją. Pozwoliła, aby zrobił to, co chciał. Było ciemno, ale bardzo dobrze widziała jego twarz. Wryła się w jej mózgu bardzo dokładnie.

Zgłosiła się na policję, ale potraktowano ją jak nawiedzoną wariatkę, której wydawało się, że w nocy przyszedł jakiś facet, aby ją zgwałcić. Może tylko tak jej się wydawało? Sen potrafi płatać różne figle. Przyjęto zgłoszenie i na tym koniec. Wiedziała, że nic w jej sprawie nie zrobią. I miała rację. To było na początku lat dziewięćdziesiątych. Wtedy pracownicy policji nie bardzo się przejmowali takimi sprawami. Dziś, gdy więcej kobiet zdecydowało się mówić o gwałcie, z pewnością potraktowałiby ją poważniej. Po kilku dniach kupiła test ciążowy i okazało się, że to, czego tak bardzo się bała, stało się rzeczywiste. Jest w ciąży.

Tyle mniej więcej udało mi się napisać, zanim nie pojawił się Maks. Miałam pięćdziesiąt stron tekstu i prawdę mówiąc, nie wiedziałam, jak dalej poprowadzić akcję. Temat mi się wyczerpał, a wena najwyraźniej przestała się mną opiekować. Pojawienie się Maksu uruchomiło we mnie chęć do dalszej pracy.

Przesunęłam akcję o kilkanaście lat i zaczęłam pisać o chłopcu poszukującym matki, która oddała go do adopcji. Chce zrozumieć, dlaczego kobieta nie może wychowywać swojego dziecka. Kto jest jego prawowitym ojcem? Znajduje w końcu biologiczną matkę, a w niej odżywa złość, którą przez kilkanaście lat więziła w sobie. Nie odżywają w niej uczucia macierzyńskie. Jest w niej tylko nienawiść do gwałciciela. Wie, kim jest i gdzie mieszka.

Kiedyś nie został oskarżony o gwałt, bo policja zbyt lekko potraktowała jej zgłoszenie. Odnosiła wrażenie, że wcale ich to nie obchodzi i nie chcieli wierzyć, kiedy wskazała Jana Wójcickiego jako tego, który ją zgwałcił. Sama go znalazła. Mieszkał trzy bloki dalej. Był szanowanym obywatelem, dyrektorem jednej z największych fabryk w mieście. Startował w wyborach do samorządu lokalnego. Policjanci powiedzieli, że na pewno w nim rozpoznaje napastnika, bo naoglądała się

billboardów, rozwieszonych w całym mieście, i jego twarz utkwiała jej w pamięci. Ponoć go przesłuchali, ale nie tylko nie przyznał się do niczego, ale miał niepodważalne alibi. A ona wiedziała, że to on. Cały czas o tym wiedziała. Śledziła go, ale po jakimś czasie zniknął jej z oczu. Dowiedziała się, że wyjechał do Moskwy. Prowadzi tam jakieś prace budowlane. Kiedy wrócił, nie był już tym samym człowiekiem. Nadużywał alkoholu, żona się z nim rozwiodła i wkrótce jego mieszkanie zamieniło się w pijacką melinę.

Nie była w stanie pokochać dziecka, które przyszło na świat w wyniku gwałtu. Oddała go i nie chciała więcej widzieć. Niekiedy przypominała sobie o dziecku i wtedy życzyła mu w myślach wszystkiego najlepszego, ale wciąż obawiała się, że jej syn może zechcieć ją odnaleźć. Ta myśl jest kolejną jej obsesją. Zmieniała miejsce zamieszkania, ale strach pozostał. Kolejna ucieczka, stara się zatrzeć za sobą ślady, ale to, czego tak się boi, dogania ją. Jakimś cudem syn ją odnajduje. Nie chce z nim rozmawiać, ale przekonuje się, że w nowej rodzinie nie miał najłatwiejszego życia. Uświadamia sobie w końcu, że musi pomścić to, co się kiedyś stało. Jej życie zostało naznaczone piętnem gwałtu, ale także jej dziecko nie doświadczyło wiele dobra. Wściekłość i ból popychają ją do zbrodni. Chłopiec postanawia jej pomóc. Idą do mieszkania Jana Wójcickiego i go zabijają.

Na tym właściwie mogłabym zakończyć opowieść, gdyby nie było we mnie poczucia, że to jeszcze nie koniec. Nie tak powinnam się z książką rozstać. Było we mnie jakieś niespełnienie. Nie wiedziałam, co to oznacza. Ja tak samo jak bohaterka nie poczułam ulgi. Niejasno zdawałam sobie sprawę, że temat nie wyczerpał się, ale dlaczego? Moja trauma nie znika, tak samo jak zabójstwo nie uwolniło mojej bohaterki od przeżyć. Nie ma dla niej większego znaczenia, że syn, którym przez

te wszystkie lata się nie opiekowała, chce zostać z nią. Kobieta jest pełna sprzecznych myśli. Coś z nią jest nie tak. Wciąż nie może zaznać spokoju.

Na tym zakończyłam i nie wiedziałam, co mam dopisać, dać jakieś wyjaśnienie, co z moją bohaterką tak naprawdę się dzieje. Nic jednak nie przychodziło mi do głowy. Tylko tyle udało mi się wydobyć z siebie. Co to może oznaczać? Siedziałam i zamiast myśleć o książce, rozmyślałam o sobie. W jakiś niezrozumiały dla mnie sposób poczułam się tak, jakbym była tamtą kobietą, ale to nie było uwolnienie. Coś jeszcze muszę dopisać, coś zmienić. Miałam nadzieję, że jak swój ból przetransformuję na literacki opis, poczuję się lepiej. Zemszczę się na Maksie. Czy jedną z form terapii nie jest pisanie? Tak mówią wszystkie poradniki i psycholodzy. Na mnie ta terapia nie wywarła większego wrażenia. Nie uwolniła od traumy. Może za wiele się po niej spodziewałam?

Utożsamiałam się ze swoją bohaterką, ale intuicja podpowiada mi, że nie powinnam myśleć o zemście. Przecież się nie mszczę. Maks może przychodzić, odwiedzać dziecko. Jestem bardzo tolerancyjna. Co prawda wielokrotnie rozmyślałam o tym, żeby go zabić, bo tylko taka forma rekompensaty wydawała mi się właściwa, ale przecież nigdy bym tego nie zrobiła. Gdyby wszystkie kobiety, które zostały zgwałcone, chciały pozbawić życia gwałtocieli, rodzaj ludzki bardzo by się skurczył. Szczególnie po wojnach, gdzie odwieczne, niepisane prawo pozwala na grabież i gwałt.

Zatrzymałam się na ostatnim zdaniu i dalej ani rusz. Wena nagle opuściła mnie o wpół do trzeciej nad ranem i żadne słowa nie chciały uwidocznić się na komputerowym ekranie.

Położyłam się spać.

Irena Paździerz

Anna Błachucka

Zrozumieć kobietę, wyczuć mężczyznę

Mam przed sobą powieść Ireny J. Paździerz zatytułowaną *Trauma Ewy* wydaną w 2016 roku w wydawnictwie Pilgraf. Czytałam ją z zainteresowaniem. Oczywiście, lepiej by było sformułować tytuł mojej wypowiedzi inaczej. Do kobiety wszak

pasowałoby słowo – *wyczuć*, a do mężczyzny – *zrozumieć*.

Gwałt. Słowo straszne. Za tym słowem stoją inne: przemoc, lekceważenie, brutalność... Można rozwijać dalej i to co najmniej na pół strony. Ewa



z powieści Paździerz wpadła w znaczenie tego słowa całym swoim istnieniem, całą swoją wrażliwością. Okaleczona w sferze ciała i ducha próbuje żyć. Tej krzywdy doznała od człowieka, którego znała, akceptowała, polubiła, a nawet myślała, że zdarzy się

więcej. Książkę czytam z zaciekawieniem, bardziej niż wyniki wielu badań naukowców w tej dziedzinie, dlatego że Paździerz jest osobą, która pasjonuje się psychologią, czyta i zna dobrze pejzaże damsko-męskie. Szukam zrozumienia dla Ewy i staram się z pomocą autorki wczuć się i wyczuć postępowanie Maksa. Żaden rezonans magnetyczny pojmowany dosłownie i w przenośni nie dostarczył mi tyle materiału do przemyśleń, co właśnie ta książka. Żadna nauka religijna nie dociera do takich pokładów cierpień, jakie przeżywa Ewa. Bo przecież jest rozsadek, przebaczenie, dobro dziecka, tradycja... Nie sposób nie zauważyć tych wartości wypracowanych przez wiarę, obyczaj i cywilizację. Bo przecież jest jeszcze czysta matematyczna logika. Maks się stara. Buduje dom, w którym chce zamieszkać z Niką i matką jej dziecka, a więc stworzyć rodzinę. Nie sposób tego nie dostrzec.

Momentami wydawało mi się nawet, że autorka nie jest konsekwentna w kreśleniu postaci Ewy, ale po powtórnym przeczytaniu doszłam do wniosku, że jednak nagłe skręty świadomości i podświadomości mają swoje podłoże. Trauma. To słowo w tytule jest użyte przez autorkę świadomie. I przez pryzmat tego słowa należy na Ewę patrzeć i spróbować rozważyć jej losy. Znaleźć w sobie akceptację dla jej decyzji, dotrzeć do jej racji, rozważyć jej obawy, przymierzyć się nawet do jej życia, wrażliwości, do realiów, do sytuacji ekonomicznej kobiety z dzieckiem. Nieprzypadkowe jest też imię głównej bohaterki. Jest dla mnie znakiem pozwalającym przypuszczać, że autorka mówi o wszystkich kobietach świata.

„Już ja pokażę temu draniowi, co o mężczyznach myślą kobiety” – zdanie wypowiedziane przez autorkę zaraz na początku książki w III rozdziale, bardzo mnie zaniepokoiło. Zemsta? Odegranie się? Rozliczenie w stylu „sprawiedliwość sprawiedliwością, a racja musi być po naszej stronie”? Nic z tych rzeczy.

Losy Ewy to wielkie poszukiwanie uczuć, trudne próby określenia granic przyjaźni, miłości i akceptacji drugiej osoby. Te dylematy nie dotyczą tylko Ewy, powieść jest wielowątkowa. Razem z bohaterką szukamy dróg porozumienia z matką, przyjaciółkami, z szefem w pracy, z niedoszlą teściową i wieloma innymi bohaterami tej powieści. Ale we wszystkie te relacje wciska się traumatyczne przeżycie związane z gwałtem. Wraca jak bumerang przy podejmowaniu każdej decyzji, zachwaszcza, wydawałoby się, naturalne uczucia, z których w normalnych układach można by się tylko cieszyć. Drażni ją to, że córka tak dobrze czuje się w ramionach ojca. „Rządzi się, jakby miał do tego jakieś prawo” – stwierdza bohaterka w rozdziale *Przeczekać zamieszanie*.

Różnice w mózgach kobiet i mężczyzn mają znaczenie w ginekologii, endokrynologii, w psychiatrii, psychologii, w innych gałęziach medycyny już mniej, a nawet tych różnic nie da się zauważyć w ogóle. Nie słyszałam o tym, aby kobiety otrzymywały inny lek na przykład na nerki, niż mężczyźni. Nie ma mowy, aby takie różnice odnieść dziś do innego sposobu traktowania mężczyzn i kobiet w społeczeństwie. Równouprawnienie, ruchy feministyczne, które w dużej mierze pomagają kobiecie w uzyskaniu praw, poprawieniu godności osobistej mają też drugie oblicze. I według mnie, straszne oblicze. Nie da się nigdy postawić znaku równości między kobietą a mężczyzną. Różnice między mózgami kobiet i mężczyzn istnieją i im większa wiedza medyczna, tym coraz częściej zaskakiwani jesteśmy nowymi odkryciami. Oczywiście można tu przytoczyć wiele nazwisk. Choćby dr Madhury Ingahalikar z Uniwersytetu w Pensylwanii czy panią Draphne Joel z Uniwersytetu w Tel Awiwie, które możliwymi dzisiaj metodami szukały różnic między mózgiem kobiety i mężczyzny. I takie różnice są do wychwycenia, choć naukowcy skłonni są raczej mówić o „mozaice” cech damsko-męskich.

Opublikowane dane utwierdziły mnie w przekonaniu, że powieść Ireny Paździerz wniknęła właśnie w takie obszary mózgu kobiety, gdzie ta mozaika jest zdominowana przez cechy kobiece.

Kilka dni temu otrzymałam najnowszy numer „NIHIL NOWI” poświęcony w głównej mierze Zdzisławowi Beksińskiemu. Na 22 stronie znalazła się grafika komputerowa artysty z lat 1997-1998. Nie znam lepszej ilustracji obrazującej traumę Ewy. Takiego skrzywienia, zniekształcenia, zniszczenia psychiki nie sposób wyprostować, odbudować ani tym bardziej doprowadzić do takiego stanu, jakby się

nic wcześniej nie wydarzyło. We wnętrzu wrażliwej kobiety wybucha granat, który jedno rozrywa, drugie rani, trzecie likwiduje...

Popularna dziś opinia o tym, że bogatego mężczyznę łatwiej pokochać, rozpada się w tej powieści na strzępy. Wrażliwości kobiety nie można przeliczać na pieniądze. „Przypominała mi łapanie ptaków i umieszczanie ich w złotej klatce” – to stwierdzenie Ewy z rozdziału *Najlepiej w domu*, jest wyraziste, chociaż... Niektóre kobiety dziś wpadają do takiej klatki i to nieprzypadkowo. Szukają takiej klatki. W rozmowie z pewną kobietą o podobnych problemach usłyszałam: – „Lepiej płakać w mercedesie, niż w PKS-ie”. Bohaterka powieści szuka uczucia. Momentami w tym poszukiwaniu wydawała mi się egoistyczna, a nawet bezwzględna. Ale cóż kobieta ma na swoją obronę, a jakie narzędzia do walki o swoje wnętrze?

Samotne macierzyństwo. To też istotny problem tej powieści. Braku ojca nie uzupełni nawet najlepsza babcia. Szamotanina wewnętrzna Ewy, konflikty z matką czy koleżanką w tej powieści unaoczniają

te sprawy całkowicie. A kiedy pojawia się możliwość zbudowania „normalnej” rodziny, Ewa rezygnuje.

Można w tym momencie mieć nawet żal do bohaterki. Można, bo przecież dobro dziecka, ciepło rodzinne... Były momenty, że chciałam Ewie pewne rzeczy, że tak powiem, „wygarnąć”. Chciałam powiedzieć: traktuj lepiej ludzi, którzy ci pomagają, czyli matkę, koleżankę, księdza...

Taka jest ta powieść. Współczesna kobieta zaczęła widzieć siebie, swoje potrzeby, snuć swoje plany, mieć marzenia i nadzieje. Autorka nie zamyka powieści, nie kończy żadną mądrością dawnych ani naszych czasów. Zostawia nas z problemami bohaterki tak jakby wyszła zrobić herbatę. Maks w życiu „namieszal”. Czy ma szansę uładzić sobie życie?

Z tymi pytaniami zostawiam czytelnika i sama z nimi się zmagam.

Kolejna już, siódma pozycja książkowa Ireny J. Paździerz warta jest zauważenia i pochylenia się w celu zrozumienia kobiety i jej relacji z innymi, w celu wczucia się w psychikę mężczyzny.

Anna Błachucka

Wanda Nowik-Pala

Most nad przepaścią

Każdy z nas jest odrębną istotą wyposażoną w mniej lub bardziej sprawny rozum, który jednak często przegrywa w starciu z emocjami. Na emocje składa się bowiem skomplikowany zespół zmian psychicznych i fizycznych będący odpowiedzią organizmu na nagłą i ważną dla niego sytuację. Zbyt gwałtowne reakcje często bywają niebezpieczne, dlatego tak cenna jest umiejętność panowania nad nimi. Tymczasem zdarza się, że dojrzałość emocjonalną osiąga się o wiele później niż dyplom wyższej uczelni. Bohaterowie *Traumy Ewy*, najnowszej powieści Ireny Paździerz, są tego doskonałym przykładem.

Ewa i Maks, dwoje dorosłych, wykształconych, osiągających sukcesy zawodowe ludzi, od dłuższego czasu buduje związek, który pewnego dnia pęka jak bańka mydlana. Czyżby wszystko, co ich łączyło, było jedynie byle jak skleconą kładką nad przepaścią dzielącą kobietę i mężczyznę? Co zawiniło: odmienność pragnień, niedostatek uczuć, nieumiejętność panowania nad emocjami, tradycja, atawizm, wychowanie? A może splot wszystkich tych

okoliczności? Postępowaniem człowieka kieruje pragnienie tego, co jest dla niego dobre i sprawia mu przyjemność. Gdy określi już cel, zaczyna dążyć do jego osiągnięcia, czemu towarzyszą mniej lub bardziej gwałtowne emocje i uczucia. Dla Maksa, w kluczowym momencie, najważniejsze było zaspokojenie własnego pożądanego. Nie słuchając protestów partnerki, zgwałcił ją brutalnie na klatce schodowej. Nie był w stanie czy nie chciał nad sobą zapanować? Dlaczego nie uwierzył w to, że Ewa nie ma ochoty na seks i potraktował jej zachowanie jako zwykłe droczenie się? Czyżby nikt go nie nauczył, że kobiece „nie” jest jednoznaczne? Na dodatek okazał się tchórzem niezdolnym do przeprosin i poniesienia konsekwencji swojego postępowania. Uciekł, przyspieszając swój wyjazd do pracy w Stanach Zjednoczonych, by pojawić się niespodziewanie dopiero po trzech latach.

Niestety, jak łatwo zauważyć, Ewa również nie udźwignęła ciężaru tego zdarzenia. Zamiast wołać sąsiadów na pomoc, zniosła przemoc i gwałt

w milczeniu. Nie jest to przypadek odosobniony. Podobnie postępuje wiele kobiet, często hamuje je bowiem fałszywie pojmowany wstyd. I będzie się to zdarzało dotąd, dopóki nie zniknie przekonanie, że skoro kobieta swoim strojem lub zachowaniem prowokuje mężczyznę, jest niejako współwinna. Skoro zgodnie z prawem panuje równouprawnienie, dlaczego nasze społeczeństwo wciąż ostrzej ocenia kobiety? Czyżby tradycje były mniej podatne na zmiany niż prawo? Ewa, jak wiele innych kobiet w takiej sytuacji, zachodzi w ciążę, rodzi córkę i wychowuje ją, nie przyznając się nikomu, że przyczyną jej pojawienia się na świecie był gwałt. Nie jest świadoma, jak wielką krzywdę wyrządza w ten sposób sobie i swoim bliskim. Gniew, który się w niej pojawił, tkwi nieprzetrawiony, podsycany wspomnieniami i liczeniem upływających dni. Trauma jest tak silna, że budzi w niej nienawiść do Maksa, komplikuje stosunki z matką i córką, zaburza codzienność. Czyżby z tej przepaści nie było wyjścia?

Jak wpłynie na nią powrót gwałtociela, który zachowuje się jakby nic się nie stało? Czy może on liczyć na przebaczenie? Jakim człowiekiem jest Maks, kogo kocha, co ukrywa i jakie ma plany? Co okaże się dla Ewy liną ratunkową – pisanie książki czy wyjazd do ciotki nad morze? Czy uda się jej poprawić relacje z rodziną i odbudować zaufanie do mężczyzn? Ci, co tę powieść przeczytali, znają odpowiedzi na te i inne pytania. Czyta się ją dobrze, między innymi dzięki podziałowi na kilkadziesiąt krótkich rozdziałów oraz zastosowaniu dialogów. Napisana jest klarownym, bogatym językiem, a wartko tocząca się, pełna niespodziewanych meandrów akcja zachęca do dalszego czytania. Warto też zwrócić uwagę na monologi wewnętrzne bohaterki. Pozwalają one zrozumieć aktualny stan jej psychiki, toczącą się w niej walkę oraz obserwować zachodzące zmiany. Bohaterowie główni nie żyją w pustce, mamy więc okazję poznać matkę Ewy, jej koleżankę, współpracowników, razem z nią odwiedzić mieszkającą w Szczecinie siostrę ojca, błędzić z nią po plaży, dyskutować z księdzem, bywać w warszawskim wydawnictwie, obserwować budowę domu Maksa oraz jego próby odbudowania relacji z Ewą i ich córką.

Przede wszystkim warto się jednak zastanowić nad tematyką i niesłychanie ważnym przesłaniem książki, będącej swego rodzaju zwierciadłem naszego społeczeństwa. Twórczość Ireny Paździerz, autorki kilkunastu wcześniej napisanych książek, opiera się bowiem na jej obserwacjach i doświadczeniach życiowych. Znajdujemy w niej obraz naszych

wad i zalet, pragnień, planów, marzeń, szaleństwo emocji i uczuć, a wszystko to podbudowane prawdą i głębią psychologiczną. Pisarka, od 2001 roku członek Związku Literatów Polskich, swego czasu ukończyła roczny kurs psychoterapii w Instytucie Terapii Gestalt w Krakowie, nic dziwnego więc, że jej bohaterowie są pełnokrwistymi, interesującymi, a przede wszystkim prawdziwymi postaciami, które cieszą się, martwią, kochają i nienawidzą podobnie jak my i nasi sąsiedzi. Irena Paździerz w powieści *Trauma Ewy* porusza problem, z którym ludzkość boryka się od zarania swych dziejów. I, niestety, pomimo postępu cywilizacyjnego gwałty zdarzają się we wszystkich zakątkach świata. Intellektualnie sięgamy gwiazd, lecz nasze instynkty najwidoczniej pozostały w jaskiniach. Statystyki są bowiem przerażające. Pierwsze miejsce w rankingu dzierżą Stany Zjednoczone, gdzie policja przyjmuje rocznie około 90. tysięcy zgłoszeń, a jest to zaledwie 15% stanu faktycznego. Drugie miejsce zajmuje RPA, trzecie Szwecja, czwarte Indie, piąte Wielka Brytania, szóste Niemcy, siódme Francja, ósme Kanada, dziewiąte Sri Lanka, a dziesiąte Etiopia. Przy czym w Kanadzie np. podobno co trzecia kobieta doświadczyła przemocy seksualnej, lecz tylko 6% z nich zdecydowało się zgłosić sprawę na policję! Jak z tego wynika, dane te, choć wstrząsające, nigdzie nie odzwierciedlają stanu faktycznego. Nie cieszymy się, że Polska nie zmieściła się w tej dziesiątce, bo ok. 1500 kobiet zgłaszających się rocznie na policję, to przecież wierzchołek góry lodowej. Tym bardziej, że większość mieszanek naszego kraju zmuszanych przez partnera do seksu uważa, że wypełnia jedynie obowiązek małżeński. I dzieje się to bez względu na warunki materialne i wykształcenie członków rodziny. Tego wymaga religia i tradycja, nic dziwnego więc, że w wielu przypadkach to one regulują życie codzienne polskich rodzin.

Ludzkie potrzeby są rozliczne i często skomplikowane, a na dodatek zdarza się, że istnieje pomiędzy nimi konflikt. Każdy pragnie szczęścia, już jednak Platon dostrzegał wielość i przeciwstawność celów, popędów i pragnień ludzkich. I jak ukazuje to autorka powieści, do dzisiaj nie potrafimy znaleźć na to panaceum. Nawet miłość często zawodzi. A jednak wciąż jej poszukujemy. Ostatnia bowiem umiera nadzieja.

Wanda Nowik-Pala

Irena J. Paździerz, *Trauma Ewy*, Wydawnictwo PoliGRAF, 2016, s. 264.

**Barbara Wachowicz gościem Gminy Radoszyce i Gminy Masłów
(11-12 czerwca 2016)**



**WÓJT GMINY RADOSZYCE MICHAŁ PEKAŁA
ZAPRASZA NA OPOWIEŚĆ**

„Kto Cię Polsko będzie kochał?”

„Kto Cię Polsko będzie kochał, w sercu niósł?”

Krzysztof Kamil Baczyński, Harcerz Szarych Szeregów,
Żołnierz Batalionu „Zośka” Armii Krajowej

BARBARA WACHOWICZ

autorka książek, wystaw, programów radiowych i telewizyjnych o Wielkich Polakach,
Mistrzyni Mowy Polskiej obdarzona tytułami
„Pisarki losu polskiego” i „Ministra Patriotyzmu”.

LAUREATKA:

**ORDERU UŚMIECHU, ZŁOTEGO MIKROFONU,
ORDERU „POLONIA MATER NOSTRA EST” – „POLSKA NASZĄ MATKĄ”-
„za wyjątkowy dar przekazywania młodzieży skarbów narodowego dziedzictwa”,
NAGRODY ŚW. BRATA ALBERTA – „za wierność Polsce”, „POLSKIEGO NOBLA” –
TOTUS Episkopatu Polskiego- „za niestrudzone, pełne żarliwości i entuzjazmu
propagowanie kultury chrześcijańskiej, patriotyzmu, i pięknej polszczyzny, postaw
honoru i prawości zwłaszcza wśród młodego pokolenia Polaków”**

OPOWIE O TYCH,

KTÓRZY STALI SIĘ SYMBOLAMI MIŁOŚCI OJCZYZNY

A SĄ TO:

**TADEUSZ KOŚCIUSZKO, ADAM MICKIEWICZ,
HENRYK SIENKIEWICZ, STEFAN ŻEROMSKI, BOHATEROWIE
POWSTANIA WARSZAWSKIEGO, WSPÓŁCZESNA MŁODZIEŻ
POLSKA - SPADKOBIERCY IDEAŁÓW BRATERSTWA I SŁUŻBY,**

**11 czerwca 2016 o godzinie 17.00
w Sali Konferencyjnej
Urzędu Gminy Radoszyce
ul. 1 maja 7**

Po spotkaniu piękne dedykacje Autorki na jej wspaniałych
książkach o Wielkich Polakach - „Dom Sienkiewicza”,
„Marie jego życia”, „Ciebie jedną kocham” – tropami
Stefana Żeromskiego
w „najściślejszej ojczyźnie”,
„Siedziby Wielkich Polaków”,
„Wierna rzeka harcerstwa”.





Rzecz(nie!)pospolita poetów (czerwiec 2015 – maj 2016)

Cykl 8 programów poetycko-muzycznych zrealizowanych w ramach krakowskiego Teatru Promocji Poezji przez Szczęsnego Wrońskiego w kieleckim klubie muzycznym Czerwony Fortepian

Od Redakcji

Zamierzeniem pomysłodawcy i realizatora było budowanie wspólnoty artystów różnych dziedzin poprzez działania poetyckie, muzyczne, plastyczne i happeningowe z mottem wziętym z jego poetyckiego tomiku *Przenikanie* (Kraków 1997). Stanowił je wiersz

Nie pozwól milczeć sercu

nie pozwól milczeć sercu
na przekór twardzieliom tego świata
niech nuci swą piosenkę
choćby wydawała się banalna
niech uczy twoje ciało
Miękkości i Oddania
Posłuszeństwa i Skrucy

Spójrz na padające z trzaskiem
mury
Zobacz
rozsypane się w rdzawy proch szkielety przyłbic

twoje serce jest bramą
zielonym przesmykiem światła

zanurz
w nim
siebie

Konwencja spotkań miała charakter swobodnej zabawy literaturą, z pogranicza kabaretu, koncertu i wieczoru autorskiego. Spotkaniom towarzyszyły występy performerskie i teatralne, miniwystawy plastyczne.

Specjalną niejako odstonę stanowił improwizowany spektakl performance na podstawie poematu Elżbiety Musiał *Mówię pochyloną cambriq* (omawianego w poprzednich dwu numerach „ŚKL”), który został dodatkowo zaprezentowany w stołecznym Domu Literatury.

Program nie był dotowany i artyści biorący w nim udział występowali *con amore*.

Na przyjaznej scenie Czerwonego Fortepianu serca otworzyli artyści nie tylko świętokrzyscy:

Poci: Romuald Bielenda, Anna Błachucka, Krzysztof Korczyński (Kraków), Benedykt Koziół, Grzegorz Kozera, Piotr Lamprecht (Warszawa), Henryk Morawski, Elżbieta Musiał, Stanisław Nyczaj, Adam Ochwanowski, Edward Pać, Andrzej Piskulak Tomasz Piwko, Kazimierz Ryk, Katarzyna Ryrych (Kraków), Jerzy Sitarz, Agata Sobota, Władysława Szproch, Emil Tokarczyk, Magda Węgrzynowicz-Plichta (Kraków), Maria Włodno, Barbara Wrońska, Szczęsny Wroński, Anna Zielińska-Brudek oraz młodzi z grupy „Słowniaczy świętokrzyscy” (której opiekunką jest Anna Błachucka): Magdalena Banaś, Karolina Bugajska, Karolina Gregorczyk, Katarzyna Lesiak, Katarzyna Szychowska **Aktorzy:** Teresa Bielińska, Mirosław Bieliński, Agata Sobota, Dawid Żłobiński oraz DŻINN (również poeta performer z Krakowa);

Muzycy: Marzena Trzebińska (śpiew), Lech Skawiński (akordeon), Arkadiusz Bednarski (gitara), Pitt Krass (muzyk performer z Krakowa) oraz zespół „Zmiana Czasu” w składzie: Michał Zapała (śpiew, gitara), Roch Dobrowolski (wiolonczela), Kuba Koziół (gitara basowa), Łukasz Fiałkowski (instrumenty perkusyjne);

Plastyki: Zbigniew Kubicki, Tomasz Olbiński;
Fotograficy: Janusz Buczkowski, Małgorzata Kaczmarek, Marcin N. Michalski.

Ciekawy cykl został podsumowany 30 czerwca, podczas którego Stanisław Nyczaj w imieniu kieleckiego Oddziału ZLP podziękował Szczęsnemu Wrońskiemu za wspaniałą twórczą inicjatywę: pomysł i pełną ekspresji realizację.

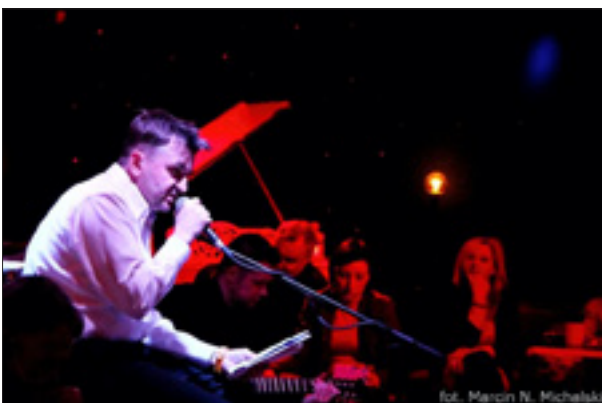


Stanisław Nyczaj i Szczęsny Wroński



Tak oto wykuwały się idee Rzeczy(nie!)pospolitej Poetów w Czerwonym Fortepianie. Od lewej: właścicielka klubu Ewa Urbańska, Szczęsny Wroński i Barbara Wrońska

Odbyła się też performatywna prezentacja poematu Elżbiety Musiał pt. *Mówię pochyloną cambrią*, w czasie której słowa, dźwięki i sytuacje tworzyły niepowtarzalny dialog. Od lewej: Elżbieta Musiał, Barbara Wrońska, wokalistka Marzena Trzebińska i muzyk Lech Skawiński



Piotr Tokarczyk



Tutaj znalazło się też miejsce na inspirowaną poezją, ostrego rock and rolla. Na zdjęciu krakowski poeta i wokalista Daniel Lizoń z zespołem Too Black Project i Szczęsny Wroński – poeta o duszy rockmana



Adam Ochwanowski i Szczęśny Wroński obrzucają się zjadliwymi panegirykami przy okazji promocji tomiku poezji Emila Tokarczyka pt. *Flow*. Z prawej gitarzysta Arkadiusz Bednarski

Fot. Marcin N. Michalski

Czerwcowym wieczorem nadleciał rój niecenzuralnych fraszek na spotkaniu bezpruderyjnych autorów, muzyków i aktorów. Od lewej na pierwszym planie: Jerzy Sitarz, Stanisław Nyczaj, Teresa Bielińska, Agata Sobota, Romuald Bielenda, Anna Zielińska-Brudek, Łukasz Fiałkowski. Od lewej na drugim planie: Mirosław Bieliński, Edward Pać, Barbara Wrońska, Szczęśny Wroński, Katarzyna Ryruch, Krzysztof Korczyński



Pojawiły się też wiersze zakorezowane w żywym drewnie. Poetka Anna Błachucka i rzeźbiarz Zbigniew Kubicki



Aktywne uczestnictwo młodych dusz poetyckich ubarwiło spotkanie i dodało mu skrzydeł. Na zdjęciu od lewej: Szczęsny Wroński i członkinie grupy literackiej „Słowniaci świętokrzyscy” – Karolina Gregorczyk, Magdalena Banaś, Anna Błachucka (opiekunka grupy), Karolina Bugajska, Katarzyna Lesiak, Katarzyna Szychowska



Zespół Zmiana Czasu tworzył muzyczne klimaty na większości spotkań. Na zdjęciu od lewej: Michał Zapała, Kuba Kozioł, Roch Dobrowolski i Łukasz Fiałkowski

Promocje literackie w krakowskim klubie „Pod Gruszką”

W krakowskim Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką” przy ul. Szczepańskiej 1 odbyły się promocje

książek autorek związanych z Kieleckim Oddziałem ZLP: Beaty Kępińskiej i Joanny Rzodkiewicz



Spotkanie z Beatą Kępińską (z lewej) prowadzi Magdalena Węgrzynowicz-Plichta, 11 kwietnia 2016



Piekło-niebo

(fragment)

W sobotę wstali niezbyt wcześnie. Maria zrobiła na śniadanie kakao z pianką, które dzieci uwielbiały, i nakryła na świeżym powietrzu za domem. Jedli do tego placek drożdżowy od Ani. Dużo się śmiali i żartowali. Małgosia powiedziała, że nie chce już kolegować się z Ened, bo dziewczynki mówią, że od niej można się zarazić.

– A na co jest chora? – zaniepokoiła się matka.

– Ona nie jest chora, tylko wszędzie ma kurze jajka.

– Jak to wszędzie? – pytała Maria.

– Na dłoniach i na stopach, takie wystające, brązowe i wstrętne – powiedziała córka, krzywiąc się przy tym okropnie.

– To chyba kurczaki – zorientował się ojciec i wszyscy, oprócz Małgosi, zaczęli się śmiać. W tym momencie zadzwonił telefon.

– Oglądacie telewizję? – Bronek usłyszał w słuchawce podniesiony głos Ryśka.

– Nie. Jemy sobie pyszną... – Bronek chciał pochwalić ciasto od Ani, lecz Rysiek mu przerwał:

– Włączaj! Zabili Haniego! Z tego może wyjść krwawa jatka!

Bronek bez słowa odłożył słuchawkę i włączył telewizor. Zastanawiał się, co powiedzieć dzieciom, że nie pojedą dziś do kościoła. Od razu zdecydował bowiem, że lepiej siedzieć w swoim własnym domu na przedmieściu i nie narażać się na spotkanie z demonstrującym tłumem. Nie wiedział jeszcze wówczas najgorszego, że sprawcą, którego pochwycono niemalże na gorącym uczynku, jest Janusz Waluś, imigrant z Polski. Żałował teraz, że tak niedawno uświadamiał Marii, jak duże znaczenie dla czarnych ma osoba Chrisa Haniego. W tej sytuacji trudno mu będzie przed nią udawać, że to akt terroryzmu bez większego znaczenia. Bał się o nią, żeby nie wróciły jej opalone dopiero co stany lękowe. Postanowił, że święta przesiedzą w domu, żeby jednak nikogo nie straszyć, wymyślił awarię samochodu.

Dzieci były bardzo zdenerwowane na to głupie auto. Jacek miał czytać modlitwę powszechną na mszy, a Małgosia awanturowała się, że przez rodziców będzie miała jeszcze jeden grzech śmiertelny. Tuż przed pierwszą spowiedzią i komunią

bardzo bała się, by nie powiększać długiej już i tak listy swoich win, która starannie wykaligrafowana od miesiąca leżała na jej biurku i stale była aktualizowana. Odetchnęła z ulgą dopiero, gdy ojciec wytłumaczył, że to nie jest jej grzech.

Bronek, jak długo się dało, celowo zabawiał na dworze dzieci i żonę, żeby nie włączali telewizji. Potem przyjechali Ryśkowie i dzieciaki bawiły się razem w ogrodzie oraz planowały wodną bitwę na śmigus-dyngus. I tak jakoś przeszedł im dzień bez telewizora.

Dorośli oglądali telewizję dopiero wtedy, gdy dzieci poszły spać. Bystry Jacek jednak już wcześniej zaczął wypytywać, co się dzieje, bo w ciągu całego dnia wciąż dzwonił telefon i tata jakoś dziwnie chował się ze słuchawką, a to w sypialni, a to w łazience. Cała Polonia była poruszona. Rodacy telefonowali do siebie wzajemnie, by wymienić się wiadomościami i swoimi przemyśleniami. Nie chcieli wierzyć, że to właśnie Janusz Waluś, którego wielu, zwłaszcza ze starszej grupy emigracyjnej, znało, mógł dokonać tej zbrodni. Większość uważała, że został wrobiony. Wątków i domysłów było wiele. Na kościele w Brynston pojawił się napis: „Polacy, zabijemy was!”. W święta w całym RPA było jeszcze w miarę spokojnie, ale z każdym dniem napięcie rośnie. Czternastego kwietnia już dosłownie wrzało. Podawano, że ogółem we wszystkich dużych miastach wyległo na ulice grubo ponad milion osób. Policja w samochodach pancernych ochraniała demonstrantów, bo biali z Afrykańskiego Ruchu Oporu prowokowali do walk. Byli zabici i ranni. Na szczęście głos zabrał Nelson Mandela i jego autorytet zadziałał. Wygłosił orędzie, w którym apelował o spokój umożliwiającą dokończenie prac nad nową konstytucją.

Dziewiętnastego kwietnia, w osiem dni po zamachu, na stadionie „Soccer City” w Johannesburgu odbyły się uroczystości żałobne. Trumna ze zwłokami Chrisa Haniego wystawiona była na widok publiczny i każdy mógł go pożegnać. Pochowano go na cmentarzu w Boksburgu, bo tam mieszkał i tam, przed własnym domem, został zabity. Maria oglądała transmisję z pogrzebu

i płakała rzewnymi łzami, gdyż kamery wciąż pokazywały niezwykle wzruszający obraz trzech córeczek Haniego, trzymających w rękach białe gołąbki pokoju. Wzruszała się losem osieroconych dzieci, a zwłaszcza najmłodszej dziewczynki, która podobno widziała zabójcę i moment śmierci ojca. Znowu miała dość tego kraju, gdzie z przyczyn politycznych zabija się dzieciom ojca. Najgorsze dla niej było to, że sprawcą tego bestialstwa był jej rodak. Nie chciała się przyznawać do tego, że jest Polką, nie ze strachu przed odwetem, ale ze wstydu, że jej rodak okazał się rasistą.

Jakiś czas później Broniek dowiedział się, ile w ukazaniu Haniego jako przykładowego ojca i męża było medialnej manipulacji. Nieprawdą okazało

się to, że najmłodsza córeczka była świadkiem zabójstwa. Broniek próbował tłumaczyć żonie, że prawda o tym zabójstwie może być bardziej skomplikowana, niż się wydaje na pierwszy rzut oka. Różne mogły być motywy mordercy tak kontrowersyjnej postaci, a najmniej prawdopodobne jest tło rasistowskie. Cytował nawet samą Winnie Madikizela-Mandelę, która podejrzewała kogoś z ANC. Mówił o ciemnych sprawach Haniego, mających swoje korzenie w Angoli, ale Maria miała już swój osąd. Uznała, że jedynym wytłumaczeniem jest rasizm, o który oskarżała wszystkich Polaków, a nawet własnego męża.

Beata Kępińska



Beata Kępińska na spotkaniu w Zespole Szkół Nr 2 w Chęcinach (22 czerwca 2016)

Powieść *Piektło-niebo* Beaty Kępińskiej

Motto:

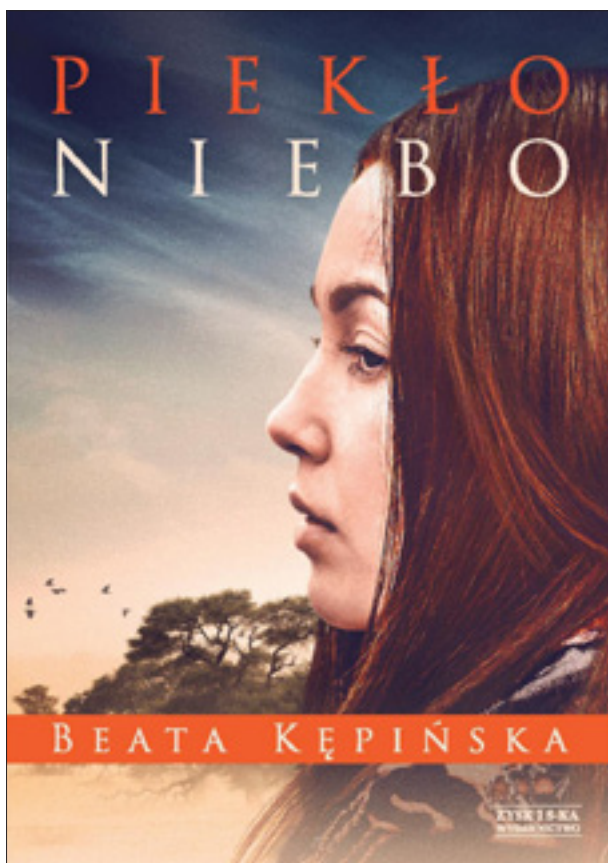
„Chcecie bajki? Oto bajka”

Jan Brzechwa: *Pchła Szachrajka*

Piękna, sprawnie napisana i wydana powieść o nienagannym języku, z wielką wyobraźnią i wielką znajomością realiów ze strony autorskiej pisarki Beaty Kępińskiej, poczytnej autorki kilku pozycji książkowych *Sielsko i diabelsko*, *Taniec z czarownicą*, *Zaradna*, a także tomików wierszy i sztuk teatralnych.

Książka ta przykuła moją uwagę na kilka dni.

Pomimo jednak słów pochwały i otuchy w dalszej twórczości literackiej i dramaturgicznej, mam kilka uwag, które nie dyskredytują książki *Piektło-niebo*, a zwracają uwagę na genezę tego rodzaju twórczości bardzo chętnie czytanej i emocjonalnie odbieranej przez rzesze czytelników. Sam jestem pisarzem realistą, a nawet naturalistą, wobec czego szukam w utworach moich koleżanek i kolegów tych elementów języka i emocji pisarskich, jakie są moim udziałem, i z uwagą obserwuję dokonania innych.



W powieści *Piektło-niebo* Beaty Kępińskiej imponuje mi bujna fantazja autorki wsparta szeroko pojętą wyobraźnią i znajomością realiów polityczno-geograficznych i obyczajowych. Daje to znakomity konglomerat, który wystarczy na wypełnienie czterech i pół stron recenzji z książki czytanej z zapartym tchem.

Dlaczego zatem opatrzyłem kilka stron moich rozważań na temat *Piektła-nieba* Beaty Kępińskiej cytatem pochodzącym z *Pchły Szachrajki* Jana Brzechwy?

Przejdźmy się, moi Państwo, po tekście książki i sami zrozumiecie, że nie jest to złośliwość, tylko uznanie dla inwencji fabularnej i konstrukcyjnej książki, które to atrybuty pozwoliły otworzyć akcję powieści, zawiesić ją w wielokrotnościach różnych rozważań i zamknąć tak pięknie, że aż prosi się, żeby nazwać ją bajką. Bajką opartą zresztą na realiach, o których już wyżej wspomniałem. Nie odważam się na przypuszczenie, że są tutaj wplecione szczegóły życiorysu autorki.

Powieść *Piektło-niebo* skonstruowana jest od początku do końca na pięknym acz niepraktycznym syndromie kobiety jednego mężczyzny, który to syndrom Rzymianie nazywali *univira*. Syndrom ten zapładniał klasyków, takich jak Sienkiewicz (*Quo vadis*, trylogia), Krąszewski, nie mówiąc już o Walterze Scotcie i innych.

Autorka fantazjuje i pisze bajkę na temat życia bohaterki powieści od samego początku. Maria, dziewczyna, jak przyznaje autorka, wielkiego temperamentu, czeka na swego pogromcę Bronka aż do studniówki, po której rzuca się w jego ramiona z całkowitym oddaniem. Zachodzi przy tym w ciążę i traci z oczu wybranego mężczyznę na trzy lata, chowając jego syna i nie rozglądając się za innymi. Proponuje w tym czasie wprawdzie małżeństwo fałszywemu przyjacielowi domu, doktorowi Karolowi Majowi, który na nieszczęście jest pedofilem i odrzuca jej ofiarę.

I tak czeka nieszczęsna *univira* aż do powtórnego spotkania z Bronkiem, ojcem jej dziecka, który właśnie zdał ostatnie egzaminy i zostaje stażystą, jak bajka chce, u ojca Marii, lekarza medycyny, a nawet profesora ginekologii na łódzkiej medycznej uczelni.

Jak chce bajka, ślub i szczęśliwe życie bez wstrząsów i kłopotów finansowych za Gomułki i Gierka. Żeby jednak uniknąć tychże kłopotów, bo przecież nie wszystkim się w tych czasach tak żyło, autorka wprowadza bajkę, komplikację. Okazuje się, że ukochana babcia bohaterki Marii, matka jej ojca, profesora Wierzbickiego, nie ma na imię Anna, tylko Hannah, i jest Żydówką, wprawdzie asymilowaną, ale dalej uprawiającą koszer i wierzącą w Talmud i Torę, a jej mąż komunista Mosze Libermann uciekł z Armią Budionnego w dwudziestym roku i wrócił z wojskami sowieckimi. Zostawia jej ów uciekinier w spadku dolary, jakby zgodnie z okupacyjną gadzinówką: „jestem Moszko komunista, zawód mój kapitalista...”. Jak i w jaki sposób zdobywał te dolary, autorka nie wyjaśnia, fakt, że są i przydają się. Bohaterka wprawdzie nie praktykuje, z wyjątkiem wielkich okazji, w przeciwieństwie do jej męża Bronka, ale jest ochrzczona, bo profesor Wierzbicki ożenił się z piękną, ale też pobożną katoliczką, położną Lucyną, która pochodzi z Łasku i tam ma znajomości w kołach kościelnych.

Czas – wymiar nader ulotny, ale konsekwentny, i niepostrzeżenie nadchodzi rok 1968, a co gorsze, niedługo po nim czasy Solidarności, i profesor Wierzbicki wraz ze swoim zięciem zostaje wywalony (przepraszam, usunięty) z kliniki, gdzie dotąd rządził.

Profesor umiera, Broniek pomimo specjalizacji też nie ma specjalnego powodzenia materialnego bo nie „skrobie” (jest wierzący), ale cóż? Na fali wyjazdów narodu wybranego z Polski udaje się w świat pani prokurator Rottger, coś w rodzaju mniejszej Wolińskiej, ale zawsze... zabierając z sobą synka Adama, tego który małej Marii uparczywie pokazywał piekło, a sobie niebo. Tenże synalek kończy w RPA medycynę i świetnie tam mu się powodzi. W kraju, w którym jeszcze jest apartheid, ale chylący się ku upadkowi. Korzenie żydowskie w życiu Marii nie zawodzą. Słowo „amchu” – swój, którego wprawdzie nie używa, ale trzyma w pogotowiu, a którego nauczyła ją babcia Hannah, nie jest potrzebne. Do RPA sprowadza Bronka, męża Marii, Adam Rottger, syn prokurator Rottger i Karola Maja (to nazwisko czy pseudonim jest chyba aluzją do fantasty pisarza Karola Maja, który nigdy nie widział Ameryki, a pisał powieści z Dzikiego Zachodu). Dodając komplikacji akcji, autorka męża swego Bronka nie wtajemnicza w swoje żydowskie korzenie,

choć pojawiają się w jej życiu jak leitmotiv aż do końca powieści, bo nawet ku swojej, trudno powiedzieć, czy rozpaczy, czy uciesze, zostaje zgwałcona przez pół-żyda pół-hotentota, syna Żyda Szymona i jego czarnej służącej.

Zająłem się, drogi Czytelniku, tylko drobiazgami zawartymi w jednej czwartej powieści i dlatego nie brnąłem w szczegóły. Syndrom *univira* i kompleks *univiry* króluje w powieści, pomimo tego, że pojawia się mężczyzna, który fantastycznie (w rzeczywistości podświadomie) podoba się Marii, ale zbyt odstępiałbym tajemnicę bohaterki, którą dopiero odstępia Bronkowi po odsiedzeniu (sic!) dwudziestoletniego wyroku (w dzisiejszych czasach?) i po spotkaniu z mężem i ich dziećmi, Jackiem i Małgosią – muzulmanką (sic!). Oczywiście wierny Broniek nieco postarzały, ale bez pary i dzieci. Za to z Jankiem, synem Nancy poczętym w zupełnie zagadkowym akcie, z punktu widzenia fizjologii, prokreacji.

Tak więc, Czytelniku, przy całej tej fantastyce i próbach wierności, kto raz weźmie tę książkę do ręki, nie wypuści jej dopóty, dopóki nie przeczyta.

Włodzimierz Kłaczyński

Beata Kępińska, *Piekło-niebo*, Poznań 2016, Zysk i S-ka Wydawnictwo, s. 459.



Beata Kępińska, *Szal ze słów. Serio i żartem*, Kielce 2016, Oficyna Wydawnicza „STON 2”, s. 90.



Ignacy Stanisław Fiut

Poezja w horyzoncie metafor społecznych i przyrodniczych

Joanna Rzodkiewicz w zbiorze poetyckim *Grymasy alter ego* krok po kroku dokonuje inspirującego zwrotu ku własnemu podglebiu osobowości. Z powierzchni oglądanego świata miejskiego próbuje zaglądać do korzeni własnego ja. Wynikają z tego specyficzne i oryginalne formy oglądania zmieniającej się rzeczywistości, inspirujące twórczość poetki, nadając jej również osobliwy sposób wchodzenia w relacje z innymi ludźmi. Jest głęboko przekonana, że właśnie miłość jest siłą sprawczą poznawania świata oraz współistnienia z innymi ludźmi. W tych kontaktach odkrywa, że dzięki temu osobowości podmiotu lirycznego rządzi również powstające z tych związków owo „alter ego”, podnoszące ostrość widzenia oraz wrażliwość estetyczną. Mówiąc bardziej filozoficznie językiem Jana Ja-

13 maja br. także w klubie „Pod Gruszką” Joanna Rzodkiewicz promowała swój nowy tom pt. *Grymasy alter ego*. Słowo krytyczne wygłosiła i spotkanie prowadziła Beata Anna Symoń. Niżej przytaczamy interpretację Ignacego Stanisława Fiuta.

kuba Rousseau – Rzodkiewicz odkrywa w sobie owego „szlachetnego dzikusa”, któremu cywilizacja miasta współczesnego doskwiera, ale i niekiedy fałszuje zawartość osobistego alter ego. W wierszu zamykającym ten tomik, autorka tak oto pisze: „co bardziej realne//czy drzewo/przynależne niebu/żywiłowe w prostych modłach/wybujałe soczystym zapewnieniem/pogodzone z łamliwością ramion/i kaprysmi pór roku//czy drzewa cień/który dotyka stóp/gładzi ramiona/czoło ubiera w relikwie/lecz pozostawia toksyczne drzazgi/ciemnymi smugami pokrywa/ nasłonecznione wrzosa /dławiąc śmiech//sięga głębiej”. To wydaje się być ta pierwotna alternatywa poetki, leżąca u źródeł jej inspiracji twórczych. Rzecz jasna sama identyfikuje się tym drzewem, ale i jego cieniem, które rzuca na własne życie i nazywa go owym alter ego. Ono zaś z kolei buduje jej napięcia egzystencjalne odzwierciedlone we wcześniejszych etapach jej poetyckiego dyskursu.

Tomik otwiera wiersz bez tytułu będący głębokim namysłem nad sensem mądrości człowieka, którą Rzodkiewicz łączy z umiejętnością korzystania z doświadczenia każdej napotkanej osoby i umiejętnością jego egzystencjalnego dyskutowania. Nie jest ona jednak związana z duchowością atmosfery życia codziennego. Każdy bowiem człowiek nosi w sobie własny matrix, owe „praptaki z przeszłości”, które ciągle ograniczają widok na niebo i wykrzywiają jego twarz: od uśmiechu do bólu i tak nieustannie ukazuje on w swej pierwotnej wolności owe inności własnego ego, które musimy nosić w sobie pozostając nieustannie w kontaktach z codziennością świata zewnętrznego. Co istotne – w opinii autorki – to jest właśnie przejaw boskiej obecności w człowieku, który staje się Jego współkreatorem świata, choć nie zawsze szczęśliwym, bo przecież nieustannie musi wybierać między koniecznościami, które narzuca mu kolejne jutro. Boskość bowiem tkwi w przyrodzie i trzeba wiedzieć jak ją zobaczyć, by zrozumieć sens naszego alter ego i właściwie, w duchu miłości z niego korzystać. Dobrze jest

przełgądać się wtedy w żywiole wody, gdzie płynący nasz obraz pozwala dokonywać właściwych korekt naszego istnienia, ale i unikać kuszących iluzji alternatywnego i „poszminkowanego” istnienia. Poetkę nie tylko inspiruje przyroda nizin, „społeczna wrzawa” Krakowa, ale i góry, w których jest jej „bliżej do nieba” i wtedy dokonuje rachunku sumienia, pozwalającego oswoić przeszłość, ale i stawiać czoło przyszłości, doceniać wartości każdej chwili istnienia. Często słyszy głos osobistego Anioła Stróża, przywołującego ją do porządku dnia codziennego, odnajduje ukojenie w wieczornej modlitwie i wtedy powstają wiersze zebrane w cyklu „nadrzeczne impresje”, w których mieści oto takie miniatury: *Wyrosnę ponad brzeg* – „złożę gałąź w pokłonie/a kiedy zadrzę/woda odpowie”, czy w utworze *Zmierzch* – „okrył ramiona/amarantową opończę//ułożył się na

fali/z rozpalonym czołem”. Te próby ekscytacji chwilą w towarzystwie rzeki sytuują jej liryczną wyobraźnię nie tylko pomiędzy jawą i snem, ale i snem prawdziwym, wydobywanym z pamięci dzieciństwa, jak i snem fałszywym, który narzuca jej cywilizacyjny duch miasta, z którym musi się codziennie uporać, by życie jej nie przemieniło się w przysłowiową, nudną prozę codzienności miejskiej. Przekraczanie owej granicy powoduje, że utwory Rzodkiewicz nabierają oryginalności, z której wyrasta jej osobista mitologia artystyczna.

Ignacy S. Fiut

J. Rzodkiewicz, *Grymasy alter ego*, Wydawnictwo Drukarnia Towarzystwa Słowaków w Polsce, Kraków 2016, s. 48.



Staszowskie Lato Literackie 2016. Od lewej stoją: Marek Rak, Kazimiera Szczykutowicz, Maria Włodno, Paweł Nyczaj, Henryk Morawski, Irena i Stanisław Nyczajowie, Stefan Jurkowski, Władysław Sadłocha oraz na pierwszym planie Joanna Rzodkiewicz

Śmiech i refleksja

(O spektaklu *Moralność Pani D.* Włodzimierza Kłaczyńskiego)

Dulszczyna jest postawą, charakteryzującą się obłudą, hipokryzją oraz ograniczeniem uczuciowym i umysłowym. Pochodzące od nazwiska bohaterki utworu Gabrieli Zapolskiej *Moralność pani Dulskiej* określenie nabrało znaczenia słownikowego, czemu nie powinniśmy się dziwić, zważywszy na utrzymującą się ponad sto lat popularność jej dramatu, nie tylko wystawianego na scenach teatrów, ale i filmowanego. W przekonaniu głównej bohaterki tej „tragifarsy kołtuńskiej” należy dbać o pozory przyzwoitości, rodzina w oczach sąsiadów i znajomych powinna pozostać nieskazitelna, a brudy trzeba prać we własnym domu.

Moralność pani Dulskiej Gabrieli Zapolskiej miała prapremierę w 1906 r. w Krakowie, a utwór wydano drukiem w 1907 r. w Warszawie. W 1930 dramat sfilmowano i był to pierwszy w Polsce film dźwiękowy. Po wojnie utwór kilkakrotnie pojawiał się w Teatrze Telewizji. Był wystawiany w większych i mniejszych teatrach w kraju. Zainteresował reżyserów filmowych: Jana Rybkowskiego (*Dulscy*) i Andrzeja Wajdę (serial *Z biegiem lat, z biegiem dni...*). Można więc śmiało rzec, że sztuka jest wiecznie aktualna. Trafia na deski teatrów, porusza i śmieszy. Warto wspomnieć, że uwspółcześniona wersja tego dramatu, zaproponowana przez Włodzimierza Kłaczyńskiego i wystawiana przez Scenę Amatora Biłgorajskiego Centrum Kultury (maj – grudzień 2015), zbiegła się w czasie z premierą pełnometrażowego filmu *Panie Dulskie* w reżyserii Filipa Bajona (wrzesień – październik 2015), będącego wariacją na temat dramatu i jego ciągiem dalszym.

Moralność Pani D... Włodzimierza Kłaczyńskiego to trzeci po *Ożenku* Mikołaja Gogola i *Damach i huzaarach* Aleksandra Fredry spektakl przygotowany przez Scenę Amatora Biłgorajskiego Centrum Kultury. Sztuka została wyreżyserowana przez Alicję Jachiewicz i Stefana Szmidta, aktorów przyjaźniących się z mieleckim pisarzem od czasów filmowego *Popielca* (byli bohaterami serialu telewizyjnego, powstałego na kanwie powieści autora pod tym samym tytułem).

Premiera spektaklu miała miejsce w Biłgoraju 8 maja 2015 r. Wystawieniem *Moralności Pani D...* zainaugurowano tamtejszą „Wiosnę z teatrem na Kresach”. Natomiast w grudniu 2015 r. sztuka trafiła

na Podkarpacie. W sobotę 12 grudnia była pokazywana w Samorządowym Ośrodku Kultury w Nowej Dębie, a w niedzielę 13 grudnia – w Samorządowym Centrum Kultury w Mielcu. Pół roku po premierze powróciła też na biłgorajską scenę.

Pisarz podjął próbę przeniesienia dwóch dni z życia rodziny Dulskich z progu XX na próg XXI wieku. W jego zamiarze nie jest to już więc krytyka mieszczańskiej moralności czasów młodopolskich, ale nam współczesnej. To i owo więc musiało się zmienić, jakkolwiek struktura dramatu pozostała zasadniczo nienaruszona. Na czym polega różnica?

Zamiast Hanki, służącej z polskiej wsi, mamy Anastazję, zatrudnioną na czarno pomoc domową z Taganrogu nad Morzem Czarnym. Jednak główny, dobrze znany problem utworu pozostaje ten sam. Co zrobić ze służącą, która zaszła w ciążę ze Zbyszkim, synalkiem Anieli Dulskiej? Rozwiązanie jest z pozoru nieskomplikowane i nieomylnie podpowiedziała je w swoim utworze już sto lat temu Gabriela Zapolska. Trzeba jej zrekompensować finansowo krzywdy moralne i wyrzucić ją z domu. Włodzimierz Kłaczyński komplikuje to rozwiązanie, a tym samym zmienia finał tragifarsy. Czasy są przecież inne. Jak się okazuje, za dziewczyną, która dostała pieniądze na aborcję, kryje się wschodnia mafia, a do mieszkania Dulskich trafiają ujmujący się za nią groźni Rosjanie, przedsiębiorczy brat Anastazji i jego pomagier, budzący postrach osiłek, gotowy użyć przemocy. Czym się to więc kończy? Klasycznym mafijnym wymuszeniem. Odprawienie służącej kosztuje właścicielkę posesji dużo, dużo więcej niż mogłaby się spodziewać.

Czy matrona w okresie przekwitania i z widoczną nadwagą, zniekształcającą jej sylwetkę, może być jeszcze przez kogoś kochana? Pożegnała się przecież z podstawowymi kobiecymi atutami, jakimi są uroda i wdzięk. To herod-baba. W dodatku ma rodzinę, która nie spełnia jej oczekiwań i musi swoje dzieci wciąż przywoływać do porządku. Ostatnia rzecz, jaka jej pozostała, to w miarę przyzwoity obraz jej ogniska domowego w oczach otoczenia. I nie chce tego stracić. W istocie swej jednak spełnienie dają jej apodyktyczna władza nad rodziną i pieniądze, które ścisza z niewiarygodnym skąpstwem. Przykręca kaloryfer, by zaoszczędzić na ciepło

i pozwala, by w żyrandolu paliła się tylko jedna żarówka. Szmal, szmal, nade wszystko! I krzyżący matriarchat. Gdyby utraciła te dwa atrybuty, stałaby się nikim. Rodzi się więc w autorze pokusa, by jak w *Skąpcu* Moliera próbować pozbawić główną bohaterkę kiesy. I wydaje się, że Włodzimierz Kłaczyński pochylony nad *Panią D* tej pokusie ulega.

Współczesnych akcentów jest w sztuce więcej. Zamiast w mieszczańskiej kamienicy czynszowej akcja toczy się w kilkukondygnacyjnym bloku mieszkalnym, który Aniela Dulka nabywa od komornika i którym zarządza, pragnąc wydrzeć jak najwięcej pieniędzy od lokatorów. Podnajmuje w nim lokal – m.in. agencji towarzyskiej, co nie kłóci się z jej moralnością. Bez skrupułów wyrzuca na bruk lokatorkę z małymi dziećmi, która nie płaci trzy miesiące. Felicjan Dulski zasiada w radzie nadzorczej Funduszy Emerytalnych, tym niemniej żona wydziela mu codziennie kieszonkowe. Zbyszko jest dyrektorem biura senatorskiego, jednak nie stać go finansowo na to, by związać się z Rosjanką, która z nim zaszła w ciążę. Zresztą nie zamierza rezygnować z hulaszczego trybu życia. Juliasiewiczowa, pozostająca w podejrzanych związkach z tajemniczymi mężczyznami, jest właścicielką klubu go-go. Hesia i Mela są gimnazjalistkami, jedna z nich wciąż bardzo naiwna, druga już zepsuta.

Sztuka została życzliwie przyjęta przez mielecką publiczność, która wypełniła salę kinową Samorządowego Centrum Kultury. Oglądano ją z dużym zainteresowaniem, żywiłowo reagując na zabawne dialogi i oklaskując wygłaszane kwestie. Jak wspomniał po spektaklu Włodzimierz Kłaczyński, zależało mu na tym, by tę „tragifarsę kołtuńską” przerobić na komedię, co niewątpliwie mu się udało. Widzowie świetnie się bawili i niedzielny wieczór w towarzystwie dziesięciu aktorów z Biłgoraja mogli uznać za udany. Ci dali z siebie wszystko na mieleckiej scenie, co wzruszyło nawet samego reżysera, Stefana Szmidta, który zapowiedział rychłą kolejną premierę tej trupy i obiecał, że przygotowywaną nową sztukę będą mogli obejrzeć mieleccy miłośnicy teatru.

Na scenie bezsprzecznie królowała Aniela Dulka. Znakomicie się też spisały dwie gimnazjalistki, odtwórczynie ról Hesi i Meli, roztańczone, dynamiczne i żywe, jak przystało na współczesne nastolatki. Wyważona scenografia i dobrze dobrane stroje aktorów sprawiły, że sztuka była również ucztą dla oczu.

Przy okazji tego spektaklu teatralnego nie sposób nie nawiązać do zaangażowania Alicji Jachiewicz i Stefana Szmidta w działalność kulturalną na Ziemi Biłgorajskiej. Ich poczynania są godne podziwu. Wraz

z córką Dominiką ustanowili oni w 1997 r. Fundację Kresy 2000 Dom Służebny Polskiej Sztuce Słowa, Muzyki i Obrazu w Nadrzeczu koło Biłgoraja. Stefan Szmidt, aktor Teatru Polskiego w Warszawie, rozmówany w przyrodzie, urodził się w Biłgoraju w rodzinie z tradycjami lwowskimi. Z kolei pochodząca z Olsztyna Alicja Jachiewicz, również aktorka Teatru Polskiego w Warszawie, swoimi korzeniami rodzinnymi sięga Wileńszczyzny. Ich Dom Służebny Polskiej Sztuce Słowa, Muzyki i Obrazu, będący siedzibą fundacji, z atelier malarskim, z pokojami gościnnymi oraz zapleczem gospodarczym, stał się miejscem ciekawych spotkań i inicjatyw, przy czym niektórych o zasięgu międzynarodowym. Gospodarze goszczą tam – jak można się dowiedzieć ze strony internetowej www.kresy2000.pl – najwybitniejszych artystów teatru, filmu i telewizji, artystów malarzy o znaczącym wkładzie do współczesnej sztuki polskiej, muzyków oraz liczących się ludzi kultury. Ich fundacja finansuje i organizuje wystawy, formy teatralne, koncerty, spotkania autorskie, seminaria, plenery malarskie i warsztaty artystyczne. Każdy kolejny sezon obfituje w premiery teatralne, z którymi jedzie się w Polskę. Dokąd? Dla przykładu wspomnę, że zrealizowana w ramach projektu „Teatr Polska” sztuka *Ostatnia miłość* w reżyserii Samuela Atzmona Wircera była wystawiana w Zwierzyńcu, Janowie Lubelskim, Zamościu, Stąporkowie, Tarnobrzegu, Stalowej Woli, Hrubieszowie, Staszowie, Sanoku, Krasnymstawie, Nisku, Przemyślu, Tarnogrodzie, Tomaszowie Lubelskim i Mielcu.

Działalność tej pary aktorskiej niejednokrotnie wykracza poza ramy fundacji. Można tu się odwołać dla przykładu do studenckiego Teatru Enigmatic, działającego przy Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Alicja Jachiewicz-Szmidt jest jego założycielką i koordynatorką. W grudniu tego roku wystawił on w jej reżyserii lekką i przyjemną komedię Marca Camolettiego *Boeing, boeing czyli latające narzeczone*.

Spektakl *Moralność Pani D*. Włodzimierza Kłaczyńskiego wywołuje więc wiele różnych tematów, ale żeby je wszystkie poruszyć, trzeba by odrębnego, obszerniejszego opracowania. Wspomnę tylko, że *Moralność Pani D*. nie jest jedynym utworem scenicznym tego „pisarza z Atlantydy”, jak go nazywa Leszek Żuliński. Jest on również autorem *Oficyny*, „komedii nieoptymistycznej”, sztuki w trzech aktach, której akcja toczy się tuż po wojnie. Pracuje ponadto nad kolejnymi dramataми.

Edward Guziakiewicz

Spektakl *Moralność Pani D.* Włodzimierza Kłaczyńskiego



Autor dziękuje realizatorom i aktorom

Fot. Janusz Kipa

VIII Nadmorskie Spotkania Literackie

Po raz czwarty zjechali do Międzywodzia (18–28.08.2016) literaci z całej Polski do gościnnego pensjonatu przy Zatocznej 18, a ósmy w historii plenerów organizowanych w sierpniu nad Bałtykiem przez Barbarę i Mariana Jedleckich – animatorów kultury w regionie z ramienia kołobrzeskiego oddziału Stowarzyszenia Autorów Polskich.

Komisarzem tych plenerów, znanych już i cenionych w kraju przez miłośników słowa, był i pozostaje niezmordowany, ciepły i empatyczny w relacjach Stanisław Nyczaj – poeta, eseista, edytor, redaktor naczelny „Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego”, prezes Kieleckiego Oddziału ZLP.

Tym razem, ze względu na rekordową ilość uczestników, prezentacje autorskie i zajęcia warsztatowe organizowaliśmy też przed południem, a nie tylko w godzinach wieczornych.

Jako pierwsza wystąpiła Beata Kępińska. W barwnej, żywej i dowcipnej narracji przedstawiła najważniejsze momenty swego życia osobistego i rodzinnego, które stały się inspiracją do napisania kilku powieści (debiutanckiej bestsellerowej *Sielsko i diabelsko*, a także *Taniec z czarownicą*, *Zaradna*, *Piekło–niebo*) i dwu tomików wierszy.

Perypetie życiowe bohaterki zainteresowały szczególnie żeńską część słuchaczy, bo też proza ta nastawiona jest głównie właśnie na takiego wirtualnego odbiorcę i one też najczęściej kupowały okazałe tomy atrakcyjnej w odbiorze współczesnej prozy.

Spotkanie dopełniały umiejętnie dobrane i zapowiadane przez męża autorki – Michała – przeboje muzyczne z lat 60-70-80., wybrane z imponującej kolekcji, które chętnie emitowało przez pewien czas z jego komentarzem kieleckie radio.

Irena Grabowiecka z Białegostoku i Krystyna Henczel z Poznania (pierwszy raz na plenerze) przedstawiły swoje wiersze z ostatnich tomików. Wybrały teksty o charakterze refleksyjnym, filozoficznym, czasem dydaktycznym (Henczel), wyrażające zadumę nad naturą, kosmosem, tajemnicą życia i przemijania. Pierwsza z nich zaprezentowała też kilka swoich haiku, co wywołało żywą reakcję słuchaczy, pamiętających lata 70., 80. XX wieku, kiedy to na Dolnym Śląsku – w Chojnowie – odbywały się regularnie konkursy

i warsztaty poświęcone tej formie japońskiego wiersza, a to małe miasto okrzyknięto stolicą polskiego haiku goszczącą poetów, japonistów i krytyków literackich z różnych centrów akademickich i kulturalnych kraju.

W naszym gronie znalazła się też osoba nietypowa, która uczestniczyła we wszystkich zajęciach i z zainteresowaniem się nam przyglądała. Okazała się wiktymologiem z tytułem naukowym i długoletnią praktyką mającą na celu pomoc skrzywdzonym dzieciom, ofiarom przestępstw (łac. *victima* – ofiara). Pani dr Mirosława Gawęcka chętnie zgodziła się na spotkanie, które miałem przyjemność prowadzić. Temat brzmiał: „Portret człowieka szczęśliwego w ujęciu wiktymologii”.

Reakcje słuchaczy były żywiołowe; nie wszyscy chcieli się zgodzić z tezą, że każdy z nas jest, gdzieś tam głęboko w sobie, skrzywdzonym dzieckiem lub ofiarą przemocy w ogóle. I że naszym zadaniem (w czym pomaga wiktymologia) jest to sobie uświadomić, przepracować, a nie zadowalać się przyjętymi fałszywie, lękowo i ucieczkowo wartościami zastępczymi (gromadzeniem dóbr, ekstra ubiorem, karierą za wszelką cenę, uwodzicielstwem na pokaz, seksem, pseudo gwiazdorstwem itp.).

W końcu przyjęliśmy kompromis – wiktymologia jest naturą wszystkich istot, każda istota chce przeżyć i zmierza do dobrostanu, a wiktymolog to detektyw, który odkrywa, kim jesteśmy i jacy jesteśmy; umożliwia poznanie prawdy o sobie, dostęp do swego prawdziwego „ja” i wypracowanie sobie metody bycia szczęśliwym.

Jan Chruśliński – laureat nagrody literackiej im. Stefana Żeromskiego (2014), urodzony w 1937 roku, w młodości z powodzeniem uprawiający kolarstwo (należał do kadry), członek Zespołu Pieśni i Tańca w Busku-Zdroju, absolwent Wydziału Historycznego WAP w Warszawie, emerytowany pułkownik WP, aktywność literacką i publicystyczną rozpoczął po siedemdziesiątce i pokonaniu nieuleczalnej, jak się wydawało, choroby.

Swoje niebanalne życie, umiejętność wsłuchiwania się w perypetie życiowe swoich równie interesujących interlokutorów, uczynił materiałem wyjściowym do pięciu wydanych książek: *Rozstania i powroty* (2009), *Tak było... wspomnienia*

oficera wojsk drogowych (2010), *Życie wpisane w historię* (2012), *Starość zaczęła się wczoraj...* (2013), *Miłość i wojna* (2014).

Autor podczas swego wieczoru imponował rozległą wiedzą historyczną i umiejętnym wplataniem w dzieje swoich bohaterów opisów przyrody, krajobrazów, detali architektonicznych.

Jego proza urzekła słuchaczy autentyzmem, prawdą wewnętrznych przeżyć, nostalgicznym klimatem, subtelną emocjonalnością miłosną, której nie uświadczysz dziś w postmodernistycznej i popkulturowej, jednowymiarowej, seksualnej głównie, nadekspresji.

Jako druga tego samego wieczoru wystąpiła Alina Karolewicz – dotąd znana uczestnikom jako świetna konferansjerka, osoba obyta estradowo, która na prośbę autorów czytała ich wiersze lub prozę. Teraz opowiedziała o swojej pasji przywoływania dawnych, historycznych czasów swego regionu. Sięga w tym celu do źródeł, dokumentów, przetwarza i beletryzuje fakty, rozwija stylizowaną narrację w formie gawęd i legend. Przeczytała kilka takich tekstów ze starannie wydanej przez Zachodniopomorską Organizację Turystyczną książeczki *Złoty Most. Gawędy i legendy o Ziemi Czaplńskiej* (2015) i równie efektownej pod względem edytorskim (autor pastelowych ilustracji: Radosław Berek) *Legendy Heinrichsdorf*, wydanej przez Henrykowskie Stowarzyszenie w Siemczynie (2016).

Oprócz oficjalnych spotkań i dyskusji prowadziliśmy też w mniejszym gronie wiele rozmów, analiz i interpretacji, dochodziło nawet do ostrych polemik i konfrontacji; podczas spacerów na plaży, przy grillu, w pokojach, a nawet w pomieszczeniu kuchennym.

Podczas przeglądania poplenerowej antologii i czytania wierszy w niej zamieszczonych (m.in. Wojtka Czapplewskiego z Kołobrzegu) przez Alinę Karolewicz w moim i Staszka Nyczaja pokoju w sobotnie przedpołudnie (które skończyło się późnym popołudniem) postanowiliśmy zadzwonić do Wojtka. Udało mi się go przekonać, że jest wielce oczekiwany i powinien u nas zaistnieć osobiście jako poeta i krytyk z esejami *Pochwała niezrozumiałości* (Wyd. KAMERA, Kołobrzeg 2013), za którą otrzymał prestiżową nagrodę i tomikiem poezji *Próba czytania* (2014).

Na drugi dzień w południe odbyło się spotkanie autorskie. Kołobrzeżanin okazał się znakomitym lektorem swoich wierszy, znajomym Aliny,

z którą konkuruje jako nauczyciel przygotowując młodzież do Ogólnopolskich Konkursów Recytatorskich. Podczas dyskusji była też okazja do porozmawiania o motywach tematycznych pojawiających się w esejach, szkicach i felietonach, wcześniej publikowanych w „Latarni Morskiej” oraz czasopismach z lat 1990-2013.

Specyfiką eseistyki Czapplewskiego jest umiejętność wydobywania odniesień filozoficznych, metafizycznych w utworach literackich i posługiwanie się językiem klarownym, zrozumiałym, żywym, swobodnym i pozbawionym „naukawej”, akademickiej nowomowy i upozowanej powagi.

Podobny ciężar gatunkowy prezentowała twórczość Kazimierza Świągockiego – doktora nauk humanistycznych, poety i autora esejów o relacjach poezji z filozofią. Tom, który prezentował (*Kamień i czas*, Łódź 2014, z reprodukcjami znakomitych obrazów ceramicznych Bronisława Wolanina, przyjaciela autora) jest wielką (350 stron) summą, bilansem dotychczasowej twórczości literackiej. Zawiera juvenilia z lat 50. i wiersze późniejsze oraz szkice i studia dotyczące m.in. cierpienia metafizycznego, tajemnicy istnienia, nieskończoności, czasu i przestrzeni, w której bytujemy jako ludzie.

Aparat pojęciowy i sposób myślenia naukowca przebija wyraźnie w tych tekstach, ale i daje o sobie znać w wierszach o szerokiej frazie zdaniowej i komplikacji semantyczno-frazeologicznej. Wiersze charakteryzuje regularność, budowa zwrotkowa, uporządkowana rytmika i często dopełniana łatwo wpadającymi rymami. Nad wszystkim góruje jakaś niesamowita wyobraźnia; mnóstwo tu zestawów obrazowych o odległych asocjacjach. Oto fragment z wiersza *Ogród* (1972):

(...) Teraz stara jabłoń jak negatyw
ciemnym okiem się do mnie obraca.
Czym tak grzeszę wobec drzewa latem,
że je zimą na zawsze utracam?

Kamień do mnie przemówił omszały,
głosem boga starego jak ziemia:
„W tym ogrodzie przed wiekami stałeś,
czemu pytasz? – tu nic się nie zmienia”.

Z utajonych czarnoziemu źródeł,
w których kiedyś biło serce czasu,
mojej krwi ognisko płonie rude,
a gwiazdy spadają w nie, gasną.

Po tego typu tekstach zaprezentowały swoje utwory, o zdecydowanie mniejszej sile grawitacji

(to konstatacja, a nie sąd wartościujący!) panie:
– Blanka Łukomska-Świegocka, żona Kazimierza,
z wykształceniem muzyczno-kompozytorskim,
która bardzo udatnie skomponowała muzykę
do swoich wierszy adresowanych do najmłodszych.
Teksty lekkie, zabawne, dały nam chwilę
radosnego odprężenia po „ciężkich Norwidach”
metafizycznego Kazimierza. Podobnie cieszyły nas
swoją bezpośredniością utwory kierowane do
dzieci Julii Pawlickiej-Dekert oraz jej pastelowe
obrazy kwiatów, bezpretensjonalnie przypięte
klamkami do sznurka rozwieszzonego na ścianie,
stanowiącej tło dla występu całej trójki.

Jeden z poranków poetyckich oddaliśmy do
dyspozycji twórców miejscowych: Marianowi
Jedleckiemu i Mariannie Kargul oraz Leszkowi
Lutemu z Sosnowca. Ten ostatni zaprezentował
wiersze bardzo osobiste i szczerze, co podkreślał
tytuł zbiorku (*Pisało serce*). Dyskutanci pro-
ponowali potraktować je jako teksty piosenek
i namawiali Blankę Świegocką do ułożenia na
poczekaniu prostej melodii, którą wspólnie mo-
gliśmy zaśpiewać.

Marianna Kargul z Międzyzdrojów rozbawiła
zebranych żartobliwymi wierszami nawiązującymi
do turystycznego charakteru swojej miejscowości.

Wiersze Mariana Jedleckiego zmuszały do
głębszej refleksji zarówno swoją treścią, jak
i organizacją słowną. Próbowaliśmy podczas ich
słuchania krótko nazwać swoje odczucia: intro-
spekcje poetyckie, życiopisanie, obrazy stanów
wewnętrznych, zwierzenia bardzo osobiste, eks-
hibicje literackie, intymne impresje w formie
strumienia świadomości itp.

Dla przykładu dwa wiersze:

Bogactwo kleptomana

Telefon pęk kluczy
zapasowe trzy pinezki
stare zapiski
których nie odczytam
w dniach kapeluszy czarnych
które mi podarowano
karman i dwie chusteczki
książka pomiędzy stronami
zamordowana gardenia –
pomnik pewnego popołudnia
czasem niezapomnianego
przyszłego do niepamięci
jarzącej się cieniem
zachodzącego lustra

bogactwo kleptomana
trwać będzie wiecznie
jak posłuszni skatowani
niewolnicy
rzeczy niekoniecznie potrzebne
niezwyczajnie powściągliwie
w żywym onyksie biegnącym w mit
trwać będą długo złe
jak wiatr użądłony pokrzywą
zapomnienia
nieświadome nieuświadomieniem
naszego odejścia
w cienie smutnych twarzy

17.08.2016

Ja agnostyk

Nie drepczę obłudnie
do Kościoła (jako instytucji)
z jego panem
spotkania przy szynkwasiu
bajdurzymy sobie
od rzeczy
każdy sobie
a wtedy jest nas troje –
nawet dla nas popijając
to genialne

28.08.2016

Taka forma werbalizacji swoich stanów psy-
chicznych bardzo spodobała się pani Mirosławie
Gawęckiej, bo znalazła w nich znakomity materiał
do swoich analiz terapeutycznych. Ja jednak nie
mogłem się z tym zgodzić, bo nasze spotkania
warsztatowe mają mieć charakter literacki, a za-
pis, z jakim się spotkaliśmy, posiada fragmenty
znakomite, ale wymaga przekomponowania,
bardziej zdyscyplinowanej formy, porządnej
„obróbki skrawaniem” w obecności życzliwie
krytycznego doradcy, redaktora. Autor po dwóch
dniach przyznał mi rację... To budzi nadzieję, że
należy mu tom poezji wkrótce się ukaże.

Miałem i ja swój czas, aby podzielić się z ko-
leżankami i kolegami po piórze refleksjami na
temat sposobów uprawiania krytyki literac-
kiej, jej zadań i funkcji. Spotkanie pomyślałem
jako wspólny dialog, a wprowadzeniem miał
być mój zmodernizowany ostatnio szkic *Uwa-
gi o krytyce literackiej*, drukowany przed laty
w miesięczniku „Odra”. Przeczytała go, uważnie
rozkładając akcenty, nie za szybko, dobitnie, gdy
tego wymagała treść – Alina Karolewicz. Może



Stanisław Nyczaj – komisarz pleneru



Piotr Dumin, Tadeusz Sznerch, Beata Kępińska



Didżej Michał Kępiński



Irena Grabowiecka, Krystyna Henczel, Tadeusz Sznerch

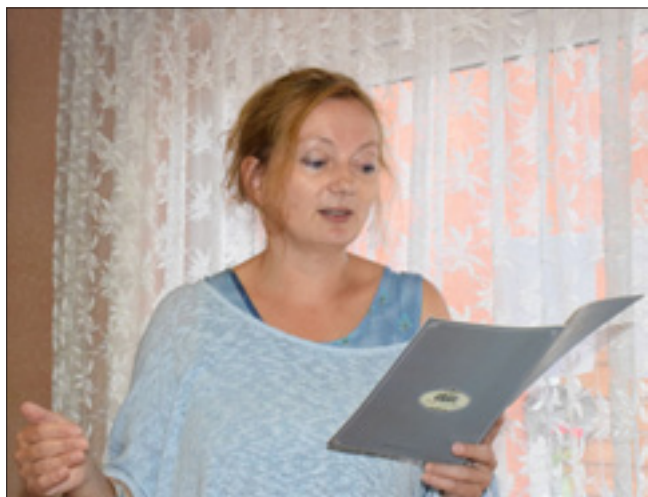


Swoje wiersze czyta Leszek Luty



Prezentuje się Jan Chruśliński

Fot. Jadwiga Siwińska-Pacak



Alina Karolewicz



Wojciech Czaplewski



Członkinie Kieleckiego UTW „Ponad Czasem”



Kazimierz Świegocki



Stanisław Nyczaj, Marian Jedlecki



Alicja Patey-Grabowska

Fot. Jadwiga Sivińska-Pacak



Uczestnicy pleneru



Julia Pawlicka-Dekert z mężem
Fot. Jadwiga Sivińska-Pacak



W środku Irena Łukszo (czł. ZLP z Warszawy)



Śpiewa wnuczka Małgorzaty Siemienieć, Samanta

Wokalistka pleneru Małgorzata Siemienieć

Fot. Leszek Luty

Spotkanie w Bibliotece Publicznej w Międzyzdrojach (25.08.2016)



to spowodowało, że tekst skłonił do dyskusji wiele osób.

Stwierdzono, że wypowiedź przedstawia model krytyki idealnej, niezależnej, posługującej się różnorodną metodologią badawczą, zależną od specyficznych właściwości materiału literackiego, wieloaspektową.

Ubolewano też nad stanem krytyki literackiej ostatniego ćwierćwiecza. – Zniknęła krytyka problemowa (o którą tak się upominał Karol Irzykowski w 20. i 30. latach XX wieku), nikt dziś nie waży się na krytyczny bilans roczny (robił to niegdyś Andrzej K. Waśkiewicz), obejmujący poszczególne dekady, czy całe okresy np. od transformacji. Krytykę z prawdziwego zdarzenia zastąpiło recenzentstwo, często koteryjne, dworskie...

W dodatku zniknęły periodyki literackie i kulturalne („Życie Literackie”, „Kultura”, „Tygodnik Kulturalny”, miesięcznik „Poezja” itp., a te nieliczne, które istnieją (np. „Odra”, „Akant” czy pisma internetowe), nie są w stanie sprostać zadaniu.

Czytelnik dzisiejszy gubi się w tej masie tysięcy książek o ambicjach literackich, które każdy może wydać, bo nie obowiązuje już cenzura (na szczęście), ale też i recenzje wewnętrzne w licznych prywatnych wydawnictwach. Krytyka nie spełnia więc roli sita, selekcyjnego ocenającego, jak to kiedyś określano, „poziomu drukowalności”. Nie towarzyszy tym samym twórcom na etapie przygotowywania książki do druku (szczególnie debiutantom, osobom mniej obytym literacko) i nie pełni tym samym roli akuszera w momencie „rodzenia się” publikacji i pośrednika między autorem a odbiorcą.

Było to pierwsze i jedyne dwugodzinne spotkanie poświęcone tej dziedzinie literaturoznawczej, z jakim się zetknąłem, uczestnicząc w plenerach od kilkudziesięciu lat.

Kończył nasze spotkania wieczór poezji i muzyki patriotycznej i religijnej, w którym uczestniczyć mógł każdy, również przedstawiciele grupy senioralnej z UTW w Kielcach, z ich szefową Teresą Mróz, mieszkający z nami w pensjonacie. Aplauz obecnych zdobyły dialogowe, patriotyczno-dydaktyczne rymowane wierszyki Anny Tyszkiewicz, w których autorka zwraca się do swojej 5-letniej wnuczki obecnej na sali, którą zaprosiła do wspólnego wykonania.

Od połowy pleneru w naszych zajęciach uczestniczyła jako gość specjalny Alicja Patey-Grabow-

ska. W 1996 roku otrzymała tytuł Damy Poezji przyznawany przez Międzynarodową Akademię Kultury i Sztuki we Włoszech. Osoba wysokiej kultury, pełna ciepła i kobiecego uroku. Jedna z najwybitniejszych współczesnych poetek, autorka kilkunastu tomów wierszy, kilku antologii poetyckich, tłumaczka z języka francuskiego, niemieckiego i języków słowiańskich, popularyzatorka polskiej poezji w przedszkolach, szkołach, bibliotekach i domach kultury. Nie stroniła też od porad krytycznoliterackich, czemu dawała wyraz wielokrotnie, zabierając głos podczas naszych zajęć i dzieląc się swoimi uwagami w bezpośrednich rozmowach z autorami.

Należy na koniec powiedzieć, że niektórym z naszych prezentacji literackich, spotkań otwierających i zamykających plener towarzyszył śpiew Małgorzaty Siemieniec, dysponującej profesjonalnym podkładem muzycznym do wielu szlagierów. Czasem też uzupełniała jej repertuarowe menu melodiami z młodzieżowego repertuaru jej 13-letnia wnuczka Samanta.

Dzięki zabiegom i doświadczeniu w pracy kulturalnej na rzecz środowiska Barbary Jedleckiej, w ciągu 10-dniowego pobytu spontanicznie sformowane grupy poetów wraz z Małgorzatą Siemieniec przygotowały sześć występów dla mieszkańców i wczasowiczów w Międzyzdrojach i Międzywodziu – w domach wczasowych i bibliotekach. Uczestniczyła w nich m.in. Irena Łukszo z Warszawy, poetka i prozautorka, która na samodzielne spotkanie autorskie się nie zdecydowała, ale w tych występach uczestniczyła kilkakrotnie.

Szczególnym zainteresowaniem cieszył się recital poświęcony Annie German, przeplatany interesującą narracją przypominającą meandry życiowe piosenkarki (w wykonaniu Aliny Karolewicz, Beaty Kępińskiej i Blanki Łukomskiej-Świegockiej) oraz pełna swady i humoru konferansjerka naszego (kto by pomyślał, że ma i takie talenty!) plenerowego komisarza – Staszka Nyczaja.

Wyjeżdżaliśmy więc w pełni usatysfakcjonowani, radośni, wspominając prowadzone rozmowy, spacer, polemiki, tańce, wycieczki katamaranem, koncert organowy i instrumentalny w Kamieniu Pomorskim, ciesząc się zawartymi przyjaźniami i smakiem polskiego morza, w tym roku obleganego, jak nigdy dotąd – bo i pogoda latoś nam dopisała...

Tadeusz Sznerch

Niepowtarzalne klimaty

Zawsze podziwiałem rozliczne talenty Stanisława Nyczaja. Przede wszystkim poetycki, bo to twórca wybitny. Nie sposób jednak nie dostrzec innych: Staszek organizuje świetne spotkania i plenery literackie.

Choć niekiedy trudno wyciągnąć mnie z domu, Nyczajowi się to z reguły udaje, jak choćby tej jesieni, we wrześniu. Dlaczego? Oto urządził Staszek plener w Mąchocichach-Scholasterii na żeromszczyźnie. Przyjechali twórcy, kilkanaście osób, aby się – jak zwykle – spotkać, odetchnąć świętokrzyskim powietrzem, pobyc razem, poznać wzajemnie siebie oraz własną twórczość. Trzeba wspomnieć, że plenery te nie ograniczają się wyłącznie do literackich, ale obejmują i plastyków. Obie te dziedziny – poezja i malarstwo – mówią tutaj pełnym, równorzędnym głosem.

I tak przyjechałem do Scholasterii. Wsiadam z samochodu, a tu pusto i cicho. Dzwonię więc do Staszka. Okazało się, że wszyscy już są na obiedzie. Ale zdążyłem z niewielkim opóźnieniem.

Po południu prezentowała swoje wiersze Joanna Kłaczyńska, z zawodu lekarz medycyny. Delikatne, nastrojowe, głęboko refleksyjne. Dużo w nich empatii. Ktoś zauważył, że zawód lekarza uwrażliwia na drugiego człowieka, na jego cierpienie, i lekarze powinni pisać wiersze. Nie powiedziałem nic, ale wewnętrznie zaprotestowałem. Do pisania potrzebne są jeszcze predyspozycje, zdolności, talent. Nie wystarczy samo współczucie. Ale w tym przypadku to wszystko istniało. Joanna Kłaczyńska pisze bardzo dobre wiersze.

Przyjechał na plener jej mąż, Włodzimierz Kłaczyński, znakomity prozaik. Z zawodu lekarz weterynarii. Pomyślałem sobie, że świetnie się uzupełniają, bo – jak brzmi tytuł książki Kłaczyńskiego – *I kot ma duszę*, a człowiek to bez wątpienia zwierzę. Fragmenty tej prozy wyraźnie na to wskazują, jednak wyżej stawiając czworonożne gatunki.

Swoje wiersze prezentowali Kazimierz Ryk i Teresa Tymoszek. Były to wiersze o miłości. O uczuciu, a nie wyłącznie o „bara-bara”. Na plenerze Staszka – co bardzo cenne – mogą zaistnieć wiersze, które nie narzucają się krzykliwością, nie muszą epatować wulgaryzmami, nie są uduchowione. To najlepszy dowód, że twórczość bardziej tradycyjna czy kameralna także ma rację bytu, tylko nie może się nieraz przebić przez zgiełk literackich targowisk.

A ja, w zastępstwie nieobecnej Anny Marii Musz, prezentowałem jej książkę *Poeta i przestrzeń*, wyda-

ną przez STON 2 w ramach serii „Portrety Literackie”. Nie było mi specjalnie trudno, bo to książka... o mnie.

Następnego dnia Marlena Zynger prezentowała numer „LiryDramu” poświęcony pisarzom i artystom świętokrzyskim.

Stanisław Nyczaj zawsze dba o specjalne uatrakcyjnienie plenerów. Tym razem pojechaliśmy do Kielc na promocję tomiku wierszy Romualda Bielendy *Tabu*. To utwory o tragedii Żydów kieleckich, bardzo przejmujące, przełamujące owe „tabu”, kiedy o tych sprawach nie mówiło się prawie nic. Promocja ta była uświetniona wspaniałym koncertem pieśni żydowskich. Znaleźliśmy się jakby w innym zupełnie świecie. Dla trzynaściorga artystów, uczestników pleneru, było to niepowtarzalne, jedyne w swoim rodzaju przeżycie.

Wielkie wrażenia zrobiła na nas wizyta w Dąbrowie Dolnej koło Bodzentyna, w „Liberatorium” – pracowni książki Radosława Nowakowskiego. Tego jeszcze w życiu nie widziałem! Radosław Nowakowski posługuje się książką jako formą plastyczną. Są więc tam książki rozkładane (niektóre mają po kilkanaście albo i więcej metrów), okrągłe, kuliste... Wszystkie jednak spełniają swoją rolę książki, można je czytać, rozkładać, składać, oglądać ilustracje. Są to i kompozycje tworzone przez R. Nowakowskiego, jak księga o ulicy Sienkiewicza w Kielcach, i oryginalnie oprawiana literatura klasyczna, nawet poezja. Wnętrze tej pracowni ma w sobie coś z osobliwej świątyni. Mieści się na poddaszu domu mieszkalnego, ukrytym w zagładających do wnętrza gałęziach gęsto rosnących drzew. Regały, specyficzny zapach papieru, farb, klejów – tego się nie da opisać! Dość powiedzieć, że to miejsce na wskroś artystyczne!

A sama żeromszczyzna, mała ojczyzna pisarza, to także wymarzony region dla artystów. Piękne okolice, Góry Świętokrzyskie, Ciekoty ze „Szklanym Domem”, a przede wszystkim ze zrekonstruowanym dworkiem Żeromskich, po których oprowadzała nas żona pana Radosława, Krystyna Nowakowska – to wszystko tworzy niepowtarzalny, pełen uroku artystyczny klimat. I o takie klimaty dba zawsze Stanisław Nyczaj, wiedząc, że one są w tym wszystkim najważniejsze i najciekawsze.

Stefan Jurkowski

Świat mądrym sercem widziany

(Fragment wypowiedzi o przygotowanym do druku trzecim tomiku Joanny Kłaczyńskiej)

Joanna Kłaczyńska w wierszu *Zarażeni poezją*, datowanym z kwietnia tego roku, mówi jakby formułowała lekarską diagnozę:

Nieuleczalnie chorzy na poezję
 nosiciele wyobraźni
 chorują ciężko.
 Ich umysł cierpi metaforami.
 Słowami mącą rytm serca.
 Oczy widzą światy
 dla innych nieogłdalne,
 uszy słyszą muzykę wszechświata.
 Zarażeni poezją mają lęki.
 Boją się banału,
 nocy bez rymu i rytmu,
 dnia bez strofy lekarstwa.
 Modlą się wierszami, by umrzeć
 na nieśmiertelność.

Ten zapis to majstersztyk, potwierdzający sprawiedliwą miarodajność opinii wspomnianych krytyków. Właśnie doradziłem, by poetka koniecznie dołączyła go do już ułożonego nowego tomu, który Państwo otrzymujecie. Są w nim upamiętnione miejsca świętokrzyskie, jak Solec-Zdrój, Sandomierz, są poetyckie pejzaże z podróży do Katalonii, gdzie w rytm kastanietów „werble stóp / niecierpliwie wystukują / rytm tańca, wina, / miłości / w barwach morza, / plaży i lasów”. Otwierają się „szuflady wspomnień” w miejscu od dawna oswojonym, gdzie „święty spokój, / lokator główny, / na stałe zameldowany. // A miłość / – powiedziałaś kiedyś żartem [to mrugnięcie w stronę Włodzimierza – S.N.] – / przez zasiedzenie / mieszka z nami”. Autorka, przejęta zachwytem chwili wzruszenia, znajduje środki wyrazu nawet dla obrony krajobrazowej popolitości trącej zwykłym kiczem. Oto wywołany z wyobraźni znany nam dobrze jesienny obraz: „Złoty dywan liści / pod stopami, / nade mną / drzew purpura / i lazur nieba / słońcem malowany...” i po chwili jakaż konstatacja: „Zrobię zdjęcie powiększone, / oprawię w złotą ramę / jak landszaft, / powieszę na ścianie / i podpiszę pod kiczem: / autor – Złota Jesień, / tytuł dzieła – *Piękne Przemijanie*”. Która z poetek zdobyłaby się na taki dystansik?! Wszyscy się w duchu zachwycamy złotą polską jesienią, a każdy się tej swojej romantycznej melancholii wstydzi, zamiast oddać potocznemu pięknu i pogod-

nemu czasowi to, co im się należy... pomysłowym fortelem metonimicznego określenia. Pomysłowa łamigłówka liryczno-filozoficzna, jaką jest wiersz *Pytania*, rozpoczynająca się od słynnej formuły Leibniza: „Dlaczego istnieje raczej coś niż nic? i zawierająca w środku astronomiczno-teistyczną zagwozdkę: „Jaki był zamysł Boga, / gdy osobliwość ruszył, / sprawiając wielki wybuch?”, w zakończeniu niespodziewanie – jak bywało u Anny Kamieńskiej czy Wisławy Szymborskiej – wyostrzona jest żartobliwą kwestią: „A czy nas obchodzi, / o co pyta mrówka...?”. Świadczy to, że Joanna Kłaczyńska lubi i wyczuwa zalety sztuki paradoksu. Wie, że tak naprawdę nie ma co łamać sobie głowę, bo wszak można by równie dobrze zapytać: „Nic nie jest jednoznaczne, / a wszystko – niestałe? I trzeba z pokorą spuentować *Moralitet*: „Przecież / po wąskiej plaży / nad oceanem niewiedzy / niepewnie stąpamy”. Niepewność mędrkującej poetki w wierszu *Po wykładzie* ma swój niewątpliwly liryczny wdzięk. Niebłaha sprawa dotyczy możliwej perspektywy miłości, będącej dla zagubionego we wszechświecie i wszechczasie człowieka najważniejszą wartością. Bo cóż nam przyjdzie za korzyść po spełnieniu się samej mądrości, skoro „To przecież bez znaczenia, / czy nas, jak garść atomów, / myśląca próżnia rozsypie / lub w inne byty wplecie”. „Nie żartuj, / że wzór na wszystko wymyślisz” – strofuje pyszałka podmiot wiersza *Mgła*. „Bo jak mgła / tylko chwilę trwamy / i jak ona bez śladu / mijamy...”.

Okazuje się, że obok miłości ogromnie bliska jest naszej wrażliwości nadzieja, choćby ta złudna, pocieszająca chorych w utrapieniu. Nadzieja – dawniej mieszcząca się w miłosierdziu opiekuńczych „aniołów w czarnych i czerwonych aureolach”, co „wygładzały zmarszczki bólu / na pościeli”, w wierze w cud „ciepłego dotyku i dobrego słowa lekarza” – zawsze ważniejsza była od chłodnej procedury. Skończyła się bajka o tej bezpowrotnie minionej przeszłości, kiedy „Nikt nie zabijał nadziei / ciosem procedury / w serce. / Każdy miał czas” – czytamy w wierszu *Bajka*.

Świat widziany mądrym sercem Joanny Kłaczyńskiej ujawni się Czytelnikowi w całym swoim bogactwie, gdy w tom ten głębiej wejrzy, gdy zaufa słowom poetki, które w wymiarze lirycznym mogą stać się dlań także panaceum.

Plener literacko-plastyczny na żeromszczynie (wrzesień 2016)



Stanisław Nyczaj (komisarz) prowadzi spotkanie literackie
Fot. Teresa Tymoszuk



Świętokrzyskie wydanie kwartalnika LiryDram, który prezentuje red. nacz. Marlena Zynger (obok przy ławeczce Żeromskiego)





W gościnnym „Liberatorium” Krystyny i Radosława Nowakowskich



Artysta prezentuje swoje niezwykle wydawnictwa Ucie Przybós i Włodzimierzowi Kłaczyńskiemu



Fragment dziesięciometrowej rozkładanej książki *Ulica Sienkiewicza w Kielcach*

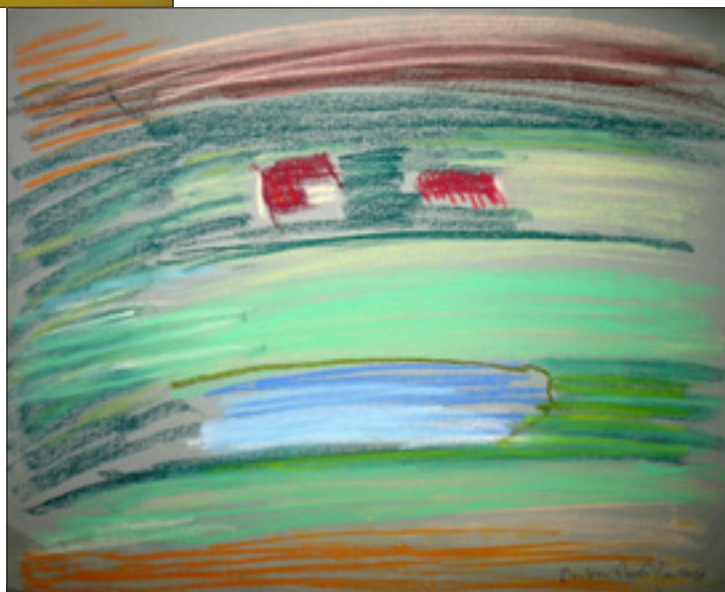


Urszula Sznerch: *Poeta i jego Muza*, kolaż

Barbara Pasierb-Jezierska – pastele



Dworek Stefana Żeromskiego w Ciekotach



Pejzaż z Pasmem Małowskim I



Przed burzą

45. Warszawska Jesień Poezji (październik 2016)

Jan Zdzisław Brudnicki

Gala świętokrzyskich poetów podczas 45. Warszawskiej Jesieni Poezji

„Byłem zawsze jak doboz... znany takt wybija-
jąc pałkami” – napisał Stefan Żeromski. Stanisław
Nyczaj, jakby nawiązując do tego fundamentu
nowoczesnej, postępowej literatury polskiej
i świętokrzyskiej, prosi, żeby na początku pre-
zentacji swego środowiska zacytować opinię
Piotra Kuncewicza z jego wywiadu: „Literatura
jest kieleckim sztandarem”. Prezes Nyczaj, poeta,
eseista, redaktor i wydawca, sumuje radości
i smutki środowiska w wywiadzie dla pisma „Liry
Dram” nr 11/2016, nazywając ich twórczość
„myśl-obrazami”, i w innej wypowiedzi przy-
pomina najważniejsze środowiskowe antolo-
gie oraz wypowiedzi krytycznoliterackie. Prócz
tego prawie tysiąc książek indywidualnych 52.
aktualnie członków Kieleckiego Oddziału ZLP
z zakresu prozy, poezji, esejów, dramatów, satyry
i literatury dla dzieci i młodzieży. Wymienia także
spotkania studyjne, rocznicowe, warsztatowe,
promocyjne. Kieleccyzna zawsze przodowała
w nowatorskich formach oświaty, muzealnictwa,
promocji, współpracy interdyscyplinarnej (liczni
pisarze są też profesjonalnymi plastykami).

Uroczysty był moment rozpoczęcia spotkania:
gratulacje dla poetki i malarki Uty Przyboś, która
otrzymała prestiżową nagrodę im. C.K. Norwida
za tom wierszy pt. *Prosta*, przyznaną przez mar-
szałką województwa mazowieckiego. Następnie
przed liczną publicznością zaprezentowali się
poeci: Joanna Babiarz, Benedykt Kozieł, Elżbieta
Musiał, Stanisław Nyczaj, Irena Paździerz, Andrzej
Piskulak, Irena Stopierzyńska-Siek, Kazimiera
Szczykutowicz, Zofia Walas, Maria Włodno, Ewa
M. Wojtasik, Anna Zielińska-Brudek, Iwona Zie-
lińska-Zamora, Marlena Zynger, a spoza grona
członków Oddziału ZLP Stanisław Bartos, Kazi-
mierz Ryk, Teresa Tymoszek.

Z poezją śpiewaną na podstawie wierszy Be-
nedykta Kozieła wystąpił duet w składzie: Vikto-
ria Pikul i Kamil Kondek. W trakcie recytacji na
ekranie pokazane zostało malarstwo kilku osób
spośród wymienionych. Na koniec Jan Rychner
ze Stowarzyszenia „Nasza Twórczość” zaśpiewał

balladę Bułata Okudźawy przy akompaniamencie
pianisty Aleksandra Żukowskiego pamiętanego ze
wspaniałych „Podwieczorków przy mikrofonie”.
Publiczność nagrodziła występujących brawami
i długo trwały jeszcze rozmowy przy kiermaszu
z książkami. Miałem prawdziwą satysfakcję.

Jan Zdzisław Brudnicki



CENTRUM PROMOCJI KULTURY W DZIELNICY PRAGA-POŁUDNIE M. ST. WARSZAWY

oraz

KLUB LITERACKI „PRASKA PRZYSTAŃ SŁOWA”

serdecznie zapraszają
na spotkanie z kieleckim
środowiskiem literackim
które prezentuje lider

Stanisław Nyczaj

Wykonawcy poezji śpiewanej do słów
Benedykta Kozieła

**Viktoria Pikul
Kamil Kondek**

Spotkanie poprowadzą
**Jan Zdzisław Brudnicki
i Stanisław Nyczaj**

**6 października 2016 r. (czwartek)
godz. 18.00**

**CPK, ul. Podskarbińska 2
www.cpk.art.pl**





Laureatka Uta Przyboś



Elżbieta Musiał



Joanna Babiarcz



Iwona Zielińska-Zamora z mężem Andrzejem



Irena Stopierzyńska-Siek z mężem Januszem



Irena Paździerz



Anna Zielińska-Brudek



Andrzej Piskulak



Kazimiera Szczykutowicz



Maria Włodno



Stanisław Bartos



Teresa Tymoszuk, Kazimierz Ryk

Fot. Jan Rychner



Fot. Jan Rychner



Śpiewa Jan Rychner, akompaniuje Aleksander Żukowski

Ewa Wojtasik, Stanisław Nyczaj



Śpiewa Viktoria Pikul



Akompaniuje kompozytor Kamil Kondek



Poruszająca promocja tomu poetyckiego Romualda Bielendy pt. *Tabu* w Kieleckim Centrum Kultury (16 września 2016)



Fot. Tadeusz Sznerch

Jeszcze...

szumi zielen
na werandzie
babuni i dziadka
jeszcze chce zrywać
kiście winogron
pieścić
objętość stanika
zwierać w ramionach
pień sosny rozwarty

uderzać
w Judymową miłość!?

Urna

Kładę różę na łonie
niczym Krzysztof Cedro
na scenie powieści
zapominanego pisarza

próbuję rozniecić ogień
z wyżarzonego drewna

wskrzeszam
pojedyncze skierki

i nic –
tylko popioły
popioły
popioły!

Rafy kontynentów

Nie przyzywałem ich pamięci
nie znałem
rozrzuconej klątwą Jahwe
odmienności
holocaust
a niechęć świata
„wieszanie” narodowych symboli!

problem ten
czai się w nas tchórzliwie
oczekuje objaśnień
pewnie
promieni słońca

Obojętność

Nie pamiętam
by ktoś modlił się za Żydów

holocaust –
jakby go nie było

migawki w TVP
na czarnym ekranie
przy okazji rocznic
sterty zwłok
spychane do dołów
nagość –
rażąca nie wstydem
obecna
 obojętność

Tabu

Obrazy z życia Żydów
mającą cieniem opowieści
rzucanego na nie światła
od kopcącej lampy
na pobielone ściany
żyjących w sztetlu
współobywateli

powojenne tabu

a kirkut
na obrzeżach miasteczka
rozrzucone ludzkie kości
macewy
z dziwnym pismem
w pytającej świadomości
dziecka?

Zamknięci w przeszłości

Wyróżniali się pracowitością
łączeniem grosz do grosza
dobro tym budowali
bez afiszowania się
choć porzekadło
„wasze ulice, nasze kamienice” –
próżne
jak nasze
„zastaw się, a postaw się”

obyczajowość
zamknięta w domu
synagodze

Torą uświęcona
 przeszłość

Sztetl

Patrzę na sztetl brodaty

sklepikarz
zachęca gestem do kupna
koszernernej chałki
inny
drapagą obmiata obejście
jeszcze inny
na zydelku
reperuje schodzony czas

wszystko szare smutne
utyka
w egzystencji odmiennej
acz nie poróżnionej

Unieść cały Świat

Pamięci Zofii Korzeńskiej

Nikt tak jak Ona
nie rozmawiał z Tobą
Panie
nie prosił o łaskę
metaforą
nie poszerzał trudnych dziś
przestrzeni wiary
Fizyczna słabość
potrzebowała wsparcia

Uwolniłeś ją Panie
i obdarowałeś
najwyższym dla pisarza
wyróżnieniem
 Psalmem Wieczności

15.10.2016

Romuald Bielenda

Objaśnianie czasu

W kolejnym tomie swojej poetyckiej wędrówki po zakamarkach ludzkich uczuć i wrażeń Romuald Bielenda zmierzył się z trudnym, bolesnym, bo wciąż nabrzmiałym emocjami tematem polskiej pamięci o zamordowanym żydowskim narodzie. Tom nosi tytuł *Tabu*. To słowo, tchnące tajemniczością, wywołujące podświadomy lęk przed nieznanym, doskonale definiuje zjawisko pamięci o holocauście. Autor, urodzony tuż po wojnie, Żydów nie może pamiętać. Ale i jako dziecko, i jako dorosły nie może uciec od dziwnych słów, tajemniczych znaków, cmentarnych kamieni, rodzinnych opowieści, imion i nazwisk ludzi, których już nie ma. Wszystko to tworzy dziwny świat, który nie istnieje materialnie, ale który wciąż jest obecny, od którego nie można się oddalić i przykryć go niepamięcią.

Tematy żydowskie dla wielu Polaków jeszcze dziś są tabu. Groźne, niemal zakazane, choć nikt nie wie dlaczego, ale zarazem jakby uświęcone niewyobrażalnym ogromem zbrodni. Romuald Bielenda, jak wielu z nas, doskonale wie, że wokół „tematu Żydów” przez długie powojenne lata istniała swego rodzaju zmowa milczenia, oficjalna autocenzura, która przedstawiała działać zawsze, gdy do głosu dochodziły uczucia, a zamiast o Żydach, zaczynało się mówić o Abramku, biednej Ryfce, mądrym Szmulu, głupim Icku czy pięknej Salci – tych, którzy byli tu, żyli obok. I którzy zginęli. To tabu, przez lata silne z najróżniejszych przyczyn, w dodatku mocno utrwalane przez powojenne władze, dzisiaj niczemu dobremu już nie służy. Przeszkadza nam, uwiera. Wiemy to, bo dziś, jak autor, żyjemy w innym świecie, w którym niepotrzebne nam upiory przeszłości wskrzeszane są właśnie przez istnienie tabu. Zamiast nich potrzebna jest szczerą, ludzka pamięć, która dobro nazwie dobrem, a zło – złem.

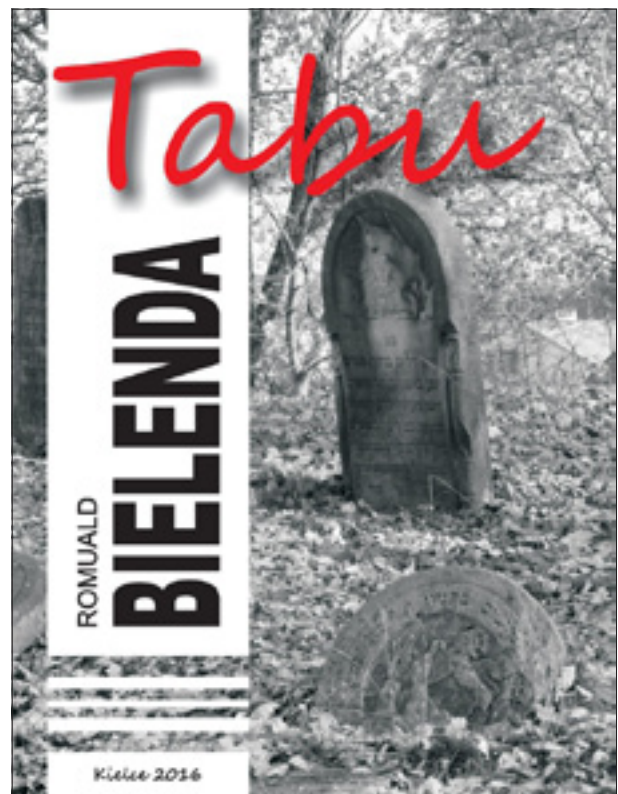
Romuald Bielenda swoimi wierszami przełamuje tabu, jakim była do niedawna pamięć o Żydach. Jego przejawem stała się obojętność. To straszne słowo w obliczu niewypowiedzianej tragedii narodu. Zauważa, że w tę obojętność uderza z całą siłą gest nadziei, gdy po latach ktoś zapala lampkę przy macewie. I wte-

dy zaczynamy wiedzieć, że Żydzi byli tu, żyli, że dzieci bawiły się na tych samych ulicach. A potem wiemy, że zostali zabici, że mordowano ich okrutnie, że ktoś ocalał.

Wiersze zawarte w tomie *Tabu* są refleksją dojrzałego człowieka, próbującego zrozumieć i zdefiniować rzeczywistość, której istnienie czuł i doświadczał od dziecka, ale która przecież stanowiła tabu. Czy było ono potrzebne? Czy spełniało jakąś pozytywną rolę?

„Jak wiele tragedii można by ominąć, gdyby nie podawać zmyślonych przepisów” – stwierdza autor. To kwintesencja pamięci o Żydach, w której do dziś wiele prawd, ale też i półprawd, i zmyśleń, i bają. Tworzonych właśnie po to, by podtrzymać życie tabu. Tylko, że to tabu nie jest do niczego potrzebne człowiekowi. Nadzieję daje tylko twórcza refleksja nad życiem, która pomaga „objaśniać czas” i sprawia, że świat trwa także dzięki mądrej pamięci pokoleń.

Romuald Bielenda, *Tabu*, Kielce 2016, OW „STON 2”, s. 51.



Liliana Abraham Zubińska

Olimpio

(Fragment powieści nagrodzonej w II Konkursie Literackim im. Stefana Żeromskiego)

Kolejną godzinę przeglądania internetowych stron Lisa uznała za bezowocną. To wydaje się takie proste, wpisujesz hasło w wyszukiwarce i otrzymujesz odpowiedź na wszystkie nurtujące pytania i męczące problemy.

Może nie potrafię dobrze sformułować hasła, by dostać to, czego szukam. Przecież to proste – *sens życia*. To znaczy, co tak naprawdę jest w życiu ważne, najważniejsze, co nadaje życiu sens. To oczywiste, że chyba każdy chce to wiedzieć, a nic nie można tu znaleźć. Jakieś pogotowie psychologiczne dla potencjalnych samobójców, strony religijne, chyba jakaś sekta. Z ciekawszych, to strona ze złotymi myślami np. *Poznaj siebie, a posiądziesz to, co najcenniejsze i zapomnisz co znaczy pytać*. Autor nieznany.

Właśnie to „zapomnisz, co znaczy pytać” najbardziej ją zaintrygowało. – Nie pytać, to znaczy wiedzieć albo już nie czuć takiej potrzeby, by dowiedzieć się czegokolwiek. Nie musieć o nic pytać, tak – przez skórę czuła, że właśnie o to chodzi.

Przeczytała już tyle książek, artykułów, które miały przybliżyć ją do prawdy. Do wiedzy, która sprawi, że wszystko stanie się jaśniejsze, chociaż trochę bardziej rozumiała, życie i cały ten zgiełk wokół.

– Och, Lisa, nie myśl tyle, to niezdrowe.

– Przecież wiesz, czym to się może skończyć, znasz ten dowcip – napominały ją koleżanki w pracy, gdy na chwilę traciła kontakt z otoczeniem patrząc w przestrzeń za oknem.

A z tym myśleniem to było tak: Do autobusu miejskiego wsiadają kobieta i mężczyzna, oboje podpici. Mężczyzna siada, kobieta stoi przytulając się do metalowej rury.

Mężczyzna przezornie napomina swoją towarzyszkę podróży – Hela, usiądź.

– Cicho, myślę – odpowiada kobieta, nie puszczając metalowej rury.

I tak kilka razy – Hela, usiądź – perswaduje mężczyznę.

– Cicho, myślę – ucisza go kobieta.

Na rondzie autobus gwałtownie zakręca, kobieta tracąc równowagę efektownie przewraca się niemal nakrywając się nogami. Co mężczyzna z dezaprobatą komentuje – aleś, kurwa, wymyśliła.

Lisa kocha, może nie tyle myśleć, co zastanawiać się, nad sprawami, którym inni zajęci życiem nie poświęcają wiele uwagi. Inni żyją, a ona myśli, czym jest jej życie i dokąd zmierza. Może dlatego właśnie wypadła na życiowym zakręcie, rozstała się z facetem, który miał być przecież mężczyzną życia. Ale po co zaraz takie wielkie słowa – mężczyzna życia, było, minęło, faceta nie ma, a życie, jak to życie, trwa.

– Naprawdę, nie ma o czym mówić – zapewnia każdego, kto próbuje ją pocieszać i użalać się nad losem samotnej, żeby nie powiedzieć porzuconej kobiety. – Będę obchodzić każdą rocznicę tego rozstania, to będzie moje osobiste święto, tak – zdecydowała.

Postanowiła tę porażkę życiową przeistoczyć w osobisty triumf i tę deklarację przypieczerowała uroczystą kolacją przy świecach, którą przygotowała i zjadła sama z sobą. Nakryła stół w pokoju, włożyła długą spódnicę, koronkową bluzkę i usiadła naprzeciw lustra. Jedząc polędwicę na chrupko obiecała sobie, że już żadnemu facetowi nie odda władzy nad sobą, a gdy przeszła do deseru – lodów waniliowych polewanych ajerkoniakiem – podnosząc prawą rękę przysięgła wierność samej sobie. Po czym, jakby inaczej, rozptakała się, wierzchem dłoni wycierając łzy razem z tuszem do rzęs.

Teraz, od wielu tygodni każdego wieczora, patrzy w monitor komputera z nadzieją, że znajdzie odpowiedź na swoje pytanie – jaki jest sens tego wszystkiego, co nazywamy życiem?

– Mam, do cholery, jak Budda usiąść pod drzewem, żeby zrozumieć, przecież to nie klimat na takie eksperymenty, o 17 jest już ciemno jak w nocy, jak nie pada, to jest wilgotno, a w nocy przymrozki. W takich warunkach siedząc

pod jakimkolwiek drzewem prędzej trafię na tamten świat, niż dowiem się coś o tym świecie – miała ochotę z niecierpliwości rzucić myszką o blat biurka. – 23.30, trzeba iść spać, bo jutro znów będę nieprzytomna – skwitowała. – Znów jakaś reklama – pomyślała widząc ikonę listu w skrzynce. Otworzyła, a tam tylko jedno słowo – *Czekaj*. Skasowała list, zamknęła programy i wyłączyła komputer.

W ciemności akwarium zawsze wygląda pięknie i tajemniczo. – Wam to dobrze – zwróciła się do rybek, które pływały leniwie – programowo milczycie. Śpijcie już, jutro do was pogadam, wam mogę powiedzieć wszystko.

Jestem sama – Lisa patrzyła w lusterko nad łazienkową umywalką, jej obraz był lekko zamglony przez łzy, które napłynęły do oczu. – Jestem samotna jak rozbitek. Tak, jestem życiowym rozbitek – przyznała przed samą sobą. Dlaczego mnie to wszystko spotyka? Trzydzieści trzy lata, oto co mam, bo już nic więcej.

Trzeba mieć odwagę, by tak wprost powiedzieć sobie prawdę w oczy. Tylko co z tym dalej zrobić?

Przez kilka ostatnich miesięcy oszukiwała się, że wszystko jest w porządku, że panuje nad sytuacją. Że potrafi zająć siebie różnymi ciekawymi rzeczami, które odkładała dotąd, bo nie było na nie czasu. Czytanie książek, serfowanie po internecie, oglądanie filmów, fryzjer, kosmetyczka, chodzenie po sklepach z ciuchami, nauka języka. Wszystko na nic, wszystko nie to. Każdego, kto interesował się jej stanem ducha zapewniała, że świetnie się bawi, żyje jak nigdy dotąd, bo jest nareszcie wolną kobietą, nikt i nic jej nie ogranicza. Póki co nie chce też myśleć o mężczyznach, patrzeć na nich, a już tym bardziej angażować się w jakikolwiek związek. I chociaż tak mówiła, w głębi serca o niczym innym nie marzyła, tylko o tym, by ktoś pojawił się w jej życiu, by mogła jakoś to swoje serce zająć, a później niech się dzieje co chce. Kobieta najbardziej cierpi, gdy nie kocha, bo nawet gdy kocha bez wzajemności wie, że jest zdolna do uczuć, a życie wypełnia się tym wszystkim, co niesie ze sobą uczucie, to znaczy marzeniami, pragnieniami i nadzieją, że to jest właśnie miłość życia, która spełni się i uszczęśliwi na zawsze. Choćby to zawsze miało trwać kilka lat, nawet kilka miesięcy.

Regularnie co dwa, trzy tygodnie ponosiła ją ta fala melodramatycznej tęsknoty, którą próbo-

wała jakoś ukoić, najczęściej czerwonym winem. Zostawał po tym tylko ból głowy.

To było tak. Któregoś wieczoru, gdy Jurek wrócił z pracy, zastał Lisę siedzącą przy komputerze. – Cześć, odwołali mi ostatnią lekcję, większość grupy się pochorowała, pomyślałem, że może pójdziemy dziś do kina, wiesz na co, na *Stąd do nieba* – mówił zdejmując buty w przedpokoju, podniósł jedwabny szalik w panterkę, który zsunął się z wieszaka i leżąc na podłodze wyglądał jak boa wypoczywający po udanym polowaniu. – Co słyszać? – zapytał.

– Nic – odpowiedziała. – Odgrzej sobie obiad, bo jestem teraz zajęta.

– A co robisz? – zajął jej przez ramię, choć już domyślał się odpowiedzi.

– Piszę list do Olimpio.

– Aha – przyjął do wiadomości i poszedł do kuchni. Po chwili jednak wrócił. Przy regale z książkami ustawił karton przeznaczony na zbieranie makulatury i zdejmując z półek książki z impetem wrzucał je do kartonu.

– Co ty robisz? – Lisa patrzyła zdumiona.

– Nic – odpowiedział. – No, to chyba wszystko – upewnił się przeglądając pozostałe półki. – Tak – potwierdził. Przesunął karton na środek pokoju. – Lisa, tak dłużej być nie może – zaczęła. – To są wszystkie książki Olimpio. Mam dosyć życia w trójkacie, musisz wybierać, albo ja, albo on. Któryś z nas musi opuścić ten dom. Decyduj – dłoń oparł na biodrach czekając na jej reakcję.

– Ty chyba zwariowałeś? – Lisa patrzyła z niedowierzaniem. – Nie wygłupiaj się – zlekceważyła jego gest. – Skończę list, to porozmawiamy – oznajmiła zwracając się w stronę komputera.

– Zatem widzę, że już wybrałaś – zawyrokował i wyszedł z pokoju. Po chwili usłyszała odgłos zamykanych drzwi mieszkania.

Zerwała się z krzesła, by pobiec za nim, omal nie przewróciła się o róg kartonu. – A, przejdzie mu – machnęła ręką – to nie pierwsza i nie ostatnia awantura o Olimpio. Jak można być zazdrosnym o książki, nie rozumiem – skwitowała lekceważąco, choć w głębi siebie czuła, że tym razem to nie jest już zwyczajna kłótnia.

– To wszystko, co się stało, to wina Olimpio – Jurek nad szklanką piwa opowiadał swojemu przyjacielowi, Bartkowi, o tym co się wydarzyło. – I pomyśleć, że nie kto inny, a ja sam kupiłem jej pierwszą jego książkę w prezencie ślubnym.

Przeczytaliśmy ją oboje i długo dyskutowaliśmy na jej temat. Widząc jej fascynację tym autorem, zdobyłem dwie wcześniejsze, już przetłumaczone książki. Tak chciałem ją ucieszyć. I rzeczywiście udało mi się, była wniebowzięta, rzuciła się do czytania ich jak wygłodniałe zwierzę na jedzenie. Ja też je przeczytałem, żebyśmy mogli o nich porozmawiać. I rozmawialiśmy. Lisa zaczęła pogłębiać znajomość angielskiego, by zapoznać się z tym, czego jeszcze nie przetłumaczono. Część udało się kupić w antykwariatach, część sprowadziła z zagranicy.

Ale prawdziwy problem zaczął się, gdy zainstalowaliśmy stałe łącze internetu i znalazła jego stronę. Pierwszy list, który wysłała do niego, pisała dwa tygodnie. Rozumiesz? Dwa tygodnie. Miał być niedługi, ale chciała zmieścić w nim jak dla mnie za wiele, bo całe swoje uwielbienie. Poprosiła mnie, żebym przeczytał, czy dobrze się wyraziła, poprawiłem jej kilka błędów, ale czułem co się święci i tylko modliłem się w duchu, żeby on jej nie odpisał. Ale na moje nieszczęście odpisał – Jurek stuknął szklanką piwa o blat stolika, kilka kropeł wyskoczyło ze szklanki rozbryzgując się wokół.

– No i co z tego, niech sobie piszą, dzieci z tego nie będzie – zażartował Bartek.

– Właśnie, teraz to się cieszę, że zwlekałem z tą decyzją i nie mamy dzieci, chociaż tak jej zależało. Mam wrażenie, że ona do tej roli nie dorosła, zachowuje się jak nastolatka zakochana w swoim idolu – Jurek pokręcił głową z dezaprobatą.

– A może właśnie źle się stało, bo zajęłyby się dziećmi i nie miałyby czasu na pierdoły, na przykład pisanie listów do jakiegoś podstarzałego pismaka – Bartek wziął łyk piwa i rozglądał się po sali, utkwiał wzrok w dwóch dziewczynach siedzących przy barze, a właściwie ich tyłkach. – Widzisz, ja to mam spokój, chłopie, nie muszę kobiety pilnować, praca i dzieci tak ją zajmują, że nie ma czasu myśleć o jakichś głupotach. Ale poczekaj – zwrócił się w jego stronę – porozmawiam z Ewą, one zawsze dobrze się rozumiały, no wiesz, pogadają jak baba z babą i...

– Nie, to jest koniec. Ja postawiłem wszystko na jedną kartę, kazałem jej wybierać, no i wybrała. Nie mam zamiaru o nic ją prosić. Już złożyłem pozew – dodał ciszej i wypił do dna całe piwo.

– Chcesz się rozwieść?

– A po co to ciągnąć?

– Jak zawsze szybko działasz.

– Tak będzie lepiej.

– Jak uważasz. Zawsze podziwiałem ciebie za to, że wiesz czego chcesz od życia – Bartek poklepał go po ramieniu. – Powiem szczerze, że ja bym tak nie potrafił. – Dopił swoje piwo i zaczął rozglądać się za kelnerką. – Zobacz, tamte laseczki przy barze uśmiechają się do nas. Może je zaprosimy do stolika, co? Jakoś nareperujemy to twoje nadszarpnięte męskie ego – zaproponował.

– A daj mi spokój z babami – warknął Jurek.

– Nienawidzę tego rodu, niech je wszystkie szlag trafi. Ja wszystko przemyślałem i postanowiłem już. Wyjeżdżam.

– Gdzie? – zainteresował się Bartek.

– Jak najdalej.

– To byłoby chyba do Nowej Zelandii albo na Alaskę – podsumował Bartek.

– A dlaczego nie? Może być. Ale na początek to będzie Anglia, a konkretnie Londyn.

– Znając angielski tak doskonale jak ty, to wcale się nie dziwię. Na pewno szybko znajdziesz pracę.

– W zasadzie już ją mam – Jurek z uśmiechem podrapał się po brodzie.

– A to jakim cudem? – Bartek patrzył na niego z niekłamanym podziwem.

– Żadnego cudu w tym nie ma. Sara, koleżanka ze szkoły językowej, tam gdzie uczę popołudniami, wystawiła mi rekomendację, ona jest z Londynu i poleciła mnie w szkole, w której kiedyś sama pracowała. W następny poniedziałek mam rozmowę kwalifikacyjną. A jak się powiedzie, to od nowego roku szkolnego zacznę.

– Tak szybko?

– A na co mam czekać? Może jak zmienię otoczenie, to szybciej zapomnę o tej życiowej porażce. To wszystko i tak za długo trwało – podsumował.

Bartek już nie zamierzał dochodzić, co zdaniem Jurka trwało za długo. Nie wypatrzył nigdzie kelnerki, więc sam zgarnął puste szklanki. – W takim razie widzę, że trzeba nam jeszcze piwa, idę po następne – zdecydował i podszedł do baru, przy okazji nie podarował sobie, by nie zagadać dziewczyny, które przeniosły się już do stolika przy stole bilardowym. Dziewczyny zaśmiały się głośno i pomachały Jurkowi na koniec wysyłając buziaka.

Panie Olimpio,
świat, który Pan tworzy, jest tak bliski mojemu wnętrzu, czytając mam wrażenie, że sama to

opowiadam, że to wypływa ze mnie. Zachwycają mnie opisy natury, zamykam oczy i widzę to wszystko jak prawdziwe, prawdziwsze, bo wzbogacone moim przeżywaniem. Jestem jak bohater „Wtajemniczenia”, zbliżam się do granicy wyrażalnego i niewyrażalnego, badam każde słowo. Czy to możliwe, że pan pisał to wszystko tylko dla mnie, bym mogła siebie zobaczyć, bym mogła zobaczyć świat, którym żyję. Wiem, że to nie tak, Pana książki rozchodzą się w milionowych nakładach. A ja mimo to czuję się jedynym ich odbiorcą. Nawet domyślałam się, z czego to wynika. Pisarz jest jak Bóg, stwarza świat, stwarza ludzi, nadaje im imiona, daje życie. I to jest tak, że czytając odnajdują siebie, czytają siebie. Pan mnie stwarza, Panie Olimpio, z każdym zdaniem, każdym słowem coraz lepiej poznaję siebie. Pytam, skąd Pan tak dobrze mnie zna. Nikt mnie dotąd nie opowiedział, nie wyraził tak pięknie, jak Pan to zrobił. Jestem po stokroć wdzięczna. Pytam – co jeszcze mi Pan opowie, o mnie i o moim świecie, kim teraz będę? Chcę wiedzieć, co mnie jeszcze czeka, co dane mi będzie przeżyć?

Lisa

Wysyłając maila na adres autorskiej strony internetowej pisarza, nie liczyła na odpowiedź, doskonale zdawała sobie sprawę, że ktoś o takiej sławie dostaje setki, może tysiące pełnych uwielbienia listów i najprawdopodobniej wcale ich nie czyta, przynajmniej nie osobiście, no, może niektóre, wyrywkowo. Jednak wewnątrz miała nadzieję, może bardziej liczyła na łut szczęścia... A gdy po kilku dniach zobaczyła w skrzynce list z jego nazwiskiem, omal nie spadła z krzesła.

Droga Liso,

dziękuję za wyjątkowy list. Jest dla mnie w jakiś sposób potwierdzeniem właściwych wyborów w konstruowaniu postaci, zwłaszcza skomplikowanej natury kobiecej. Wiele czytelniczek potwierdza, że odnajduje w bohaterkach ich osobiste cechy.

Tak, będąc pisarzem, można poczuć się panem świata, swojego świata, autor książki ustala reguły, jest panem życia i śmierci swoich bohaterów. Często jednak nachodzi pokusa, by przenieść to do prawdziwego życia. Rzeczywisty świat porusza doskonalszy mechanizm, i to mogą być przykre konfrontacje dla pisarza.

Czym jest twórca, choćby najpiękniejszej książki, wobec twórcy świata? Dlatego ważne, by w tym, co się robi, cokolwiek to jest, nie stracić wewnętrznej pokory.

Dostaję wiele listów, na które niestety nie mam czasu odpowiadać, ale zdecydowałam się odpowiedzieć na Twój list, bo czytając poczułam, że mogłabyś stać się pierwowzorem jednej z moich bohaterek. Czy to możliwe? Napisz mi więc coś więcej o sobie, żebym mógł lepiej opowiedzieć Ciebie w następnej książce.

Samuel Olimpio

Nie tylko odpisał, ale zaprasza do korespondencji. Z radości zakręciła młynek na fotelu. – Uszczyplnij mnie szybko – poprosiła koleżankę z sąsiedniego biurka – chcę upewnić się, że nie śnię.

– Nie, nie śpisz z całą pewnością, jesteś w pracy, ale co się stało, wygrałaś w toto-lotka czy co? – zainteresowała się Krysia. – A może w jakimś konkursie? Słuchajcie – oznajmiła na głos Krysia – Lisa wygrała w konkursie...

– W którym?

– Co wygrałaś?

– Kiedy?

Posypały się pytania. Od jakiegoś czasu cały dział ogarnęła mania grania we wszelkiego rodzaju konkursach, poczynając od wysyłania rozwiązań krzyżówek, wysyłania SMS-ów z odpowiedzią na pytanie zadane w radiu czy w kobiecym czasopiśmie, gdzie można wygrać czasem nawet kilka tysięcy złotych, albo na przykład elegancką torebkę, komplet pięknej bielizny albo odtwarzacz MP3. To jednak były ledwie drobiazgi, bo głównie chodziło o prawdziwe wygrane, takie jak samochód, mieszkanie i pieniądze, ale prawdziwe pieniądze, to znaczy w odpowiedniej kwocie, takiej, która pozwoli spełnić życiowe marzenia. Ten cały proceder łączył się ze zbieraniem etykietek, pasków kreskowych, paragonów, kuponów, punktów, kapsli, nakrętek, wymyślaniem haseł reklamowych, i tropieniem wszelkich promocyjnych opakowań, a także wymianą wszelkich pomocnych w tej sprawie informacji.

– Nie wygrałam – zdementowała Lisa i szybko w myślach poszukała jakiegoś sensownego powodu, którym wyjaśniłaby swoją nagłą radość. – Mojej koleżance urodziły się bliźniaki – wytłumaczyła. Skrzywiła się, że beznadziejne to kłamstwo, ale trudno, nie znalazła lepszego.

– A... to podwójne szczęście – podsumowała Ela. – Ale współczuję jej. A wiecie, że w Wedlu rozpoczął się nowy konkurs? – nawiązała do tematu, który wszystkich interesował.

– Tak? Co trzeba zbierać? – dopytywała się Monika, najlepsza we wszelkiego rodzaju zawłóściach konkursowych.

– Punkty z opakowań promocyjnych. Jak się obrobisz z dokumentami, to wejdę na stronę i wydrukuję regulamin, to sprawdzimy dokładnie jakie nagrody, wiem, że samochód jakiś.

– Szkoda, że wcześniej nie wiedziałam – zamruciała się Krysia – wczoraj wyrzuciłam opakowanie po mleczku, a może było promocyjne, nie oglądałam go.

Zosia cichutko odsunęła szufladę w biurku, gdzie trzymała swoje zapasy słodyczy, sprawdziła czekoladowy batonik i jej oczy zaśmiały się na widok czerwonego znaczka promocji. – A ja mam – zawołała – mój batonik jest promocyjny – ogłosiła z triumfem.

– To jeszcze dziewięć takich i masz szansę na samochód – pozazdrościła jej Krysia.

– Całe szczęście, że to batoniki, a nie paluszki. Boże, po tych kilogramach paluszków z Majkonika nie mogę na nie patrzeć, chyba zjadłam przydział na całe życie – skrzywiła się Zosia.

– No, ja też – potwierdziła Ela – ale co się dziwić, przecież jadłyśmy po dwie paczki dziennie, każdemu by się przejadło. Na same znaczki pocztowe, kiedy wysyłałam kupony wydałam chyba ze dwadzieścia złotych i nic, nie dostałam od nich nawet kubka – wyraziła swoje rozczarowanie.

– Paluszki, batoniki, to wszystko luksus, w porównaniu z tym, co ja muszę jeść – pocieszyła ich Monika. – Już drugi tydzień jem na kolację serdelki Makowskiego. Naprawdę mam już dosyć, ale szkoda mi zrezygnować, brakuje mi już tylko dwóch kuponów.

– To rzeczywiście szkoda – przyznała jej rację Ela. – A nie możesz tych ostatnich dwóch opakowań zamrozić? Może kiedyś będziesz miała gości, to im podasz – podsunęła jej myśl Ela, która z zasady nie wyrzucała jedzenia.

– Wiecie co? – odezwał się milczący dotąd Damian – dajcie sobie spokój z tymi głupotami. Do tej pory tylko on ani razu nie uległ szaleństwu konkursowemu, bo uważał, że to wariactwo i wręcanie naiwnych klientów. – Czy znacie kogokolwiek ze swoich znajomych, kto wygrał cokolwiek w takim konkursie? To po prostu jedna

wielka bzdura. Jeżeli nawet są jakieś nagrody, to oni dają je swoim rodzinom i znajomym.

– A ja znam kogoś, kto wygrał – szybko zaprotestowała Monika.

– Ja też – zawołała Ela. – Szwagierka teściowej mojej sąsiadki wygrała lodówkę.

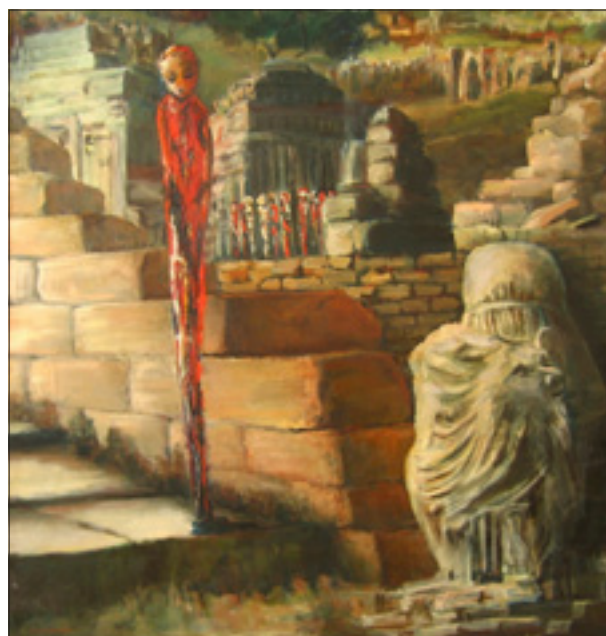
– Kuzyn kolegi mojego męża wygrał odkurzacz – odezwała się Zosia.

– No, rzeczywiście – kiwnął Damian – przekonajcie mnie jak nie wiem co.

– Jak nie wierzysz, to twoja sprawa – skwitowała Krysia – nikt nie każe ci grać – ucięła dyskusję i nastała cisza, było słychać szum pracujących komputerów i stukanie w klawiaturę.

Lisa przeczytała list Olimpio jeszcze raz i po raz kolejny. Zamknęła oczy i wydało jej się, że straciła poczucie swojego ciała, po chwili to minęło, gdy napłynęła fala ciepła. Chciało jej się śmiać i płakać zarazem. Do końca dnia nie była w stanie skupić się na pracy, w myślach układała już kolejny i kolejny list.

Liliana Abraham Zubińska



Maria Wollenberg-Kluza: *W poszukiwaniu człowieka*, olej, płótno, 105 x 105 cm

Kwartet

Wszystko zaczęło się od pewnego koncertu. Pani X, wielbicielka muzyki pasjami chodziła na koncerty. Szczególnie lubiła kwartety smyczkowe. Siedziała wsluchana, rozmarzona i z zamkniętymi oczyma oddawała się muzyce.

Tym razem na koncert wybrała się sama. Koleżanki akurat nie mogły jej towarzyszyć – jedna rozchorowała się, a druga wyjechała służbowo na kilka dni.

Był deszczowy dzień, ale co tam – pomyślała – nie potrafiła sobie odmówić uczyty duchowej. Skrzypcowy kwartet zagrał znakomicie. Pani X stała oczarowana i długo oklaskiwała muzyków. Nie zauważyła, że wszyscy już wyszli i tylko ona wiernie klaskała nadal. Kwartet zagrał jeszcze kilka utworów – a byli to mężczyźni dobrze wychowani i nie chcieli zawieść widowni – nawet gdy składała się z jednej osoby. Kiedy muzycy kłaniali się po ostatnim utworze pani X z niepokojem zauważyła, że wszyscy już wyszli.

Rano budząc się usłyszała tę samą muzykę co na wczorajszym koncercie. Pomyślała, że pewnie jeszcze w niej brzmią te dźwięki, ale im bardziej czuła się rozbudzona, tym bardziej słyszała znajome frazy.

Wstała, podeszła do okna i... zamarła. Przed jej domem stali ci sami skrzypkowie i grali z zapamiętaniem. Kiedy zobaczyli ją w oknie, ukłonili się i grali dalej.

Nie, to nie mogło być prawdą, ja chyba śnię – pomyślała i poszła się ubrać i przygotować do pracy. Gdy wyszła z łazienki, znów usłyszała granie. Kwartet grał nadal.

Zaniepokoiła się, co sobie pomyślą sąsiedzi, kiedy zobaczą przed domem to widowisko, pewnie niektórzy już coś usłyszeli. To śmieszne.

Jednak nikt nie zwracał na kwartet uwagi. Wszyscy zachowywali się jakby się nic nie stało. Pani X wymknęła się dyskretnie do pracy.

Około godziny 12 znów usłyszała muzykę. Przed jej biurem stali oni. Nie wiedziała co robić, postanowiła udawać, że o niczym nie wie i jej to nie dotyczy.

Wieczorem powtórzyła się ta sama historia. Znów stali pod jej domem i koncertowali. Sytuacja stawała się niezręczna, gdyż przychodzili codziennie. Rano grali przed jej domem. Potem pojawiali się w południe przed biurem, a wieczorem... wieczorem to już byli tak rozegrani, że koncertowanie ich trwało do północy.

Kiedyś podeszła do nich, podziękowała za występ i pochwaliła dobór repertuaru, jednak nie potrafiła ot tak sobie przepędzić ich, gdyż była zbyt dobrze wychowana. Nikt z sąsiadów nie miał żadnych pretensji, a wręcz przeciwnie, przystawali nawet, aby posłuchać koncertu.

I tak grali całe lato, potem przyszła jesień. Zimą też ciepło ubrani grali z oddaniem i wielką pasją.

Pewnego dnia zauważyła, że jest ich trzech. Pod koniec zimy było już dwóch. I tak w wiosenny poranek zobaczyła jednego. Grał dzielnie sam i trochę kichał, czasem kaszłał, ale cóż, muzyka była czarowna. Wieczorem nadal był tylko jeden. Odważyła się zapytać, co stało się z pozostałymi. Kiedy podeszła do skrzypka, zobaczyła w jego oczach łzy. Odczekała na koniec utworu i zapytała – a koledzy?

– Umarli – odpowiedział smutno. – Rozchorowali się i poumierali. Tylko ja zostałem, ale też coś mnie bierze – pociągnął nosem.

Pani X zdecydowanym głosem zaproponowała – a może pan wejdzie? do domu, zrobię cieplej herbaty?

Muzyk przystał na to z wielką radością. Wypił herbatę i został u pani X. Na zawsze.

serce kamieni

nie tylko w nas
bije ciemne źródło
jest ono w środku
każdej rzeczy
w sercu słońca

na dnie jeziora
w pięści wiatru
na brzegu rozpaczy

świat jest wykuty z kamienia
lecz musisz wiedzieć
serce kamieni drży

jak serce leśnych zwierząt
i czasem
trzeba je oswoić
lub zamknąć w dłoni
jak kamień

wtedy ciepło
rozbudzi się
rozkwitnie w nas łagodnie
i trwać będzie
dopóki nie skończy się świat

To wszystko

jesień świecki mistyk
mglisty anioł
z astmatyczną zadyszka duszy

radość jest blisko
i szczęście
tchnące smutkiem
kadzidlanych prostych zdziwień
przełamanych słów

podejrzana w listach
twoja niewinność
para zniszczonych buciorów
kruchość podeptanych gałązek
lub świeczek wotywnych

to wszystko
jak pajęczyna
i wtulona w nią kropla rosy
odpłynie babim latem
z ostatnim krzykiem łabędzia

Jak próchno

czasem wyłamujesz mi rękę
kość wysuwa się powoli
bezkrwawo
przecinając skórę

patrzę na ciebie
i udaję
że nic się nie stało
kość błyszczący twoimi łzami
jak próchno

Nie stało się nic

powróciliśmy do swoich gniazd
po przeciwnych stronach
góry minionych lat

pociąg mojej tęsknoty
wykoleił się gdzieś
wśród niepokojów i ulotnych westchnień

dziś
kiedy patrzę na ciebie
przez rozbite okulary wspomnień
coraz słabiej cię widzę

myślałam
trwać będziemy wiecznie
wszystko przeminie
a my jak dwa drzewa

myślałeś
będziemy się nawzajem potrzebować

lecz nadszedł dzień
kiedy nasze pociągi
w dwie różne strony odjechały
na zawsze

i nie stało się nic

żadne z nas
nie runęło w przepaść rozpacz

gwiazdy pozostały na swoim miejscu

teraz
pod napiętym żaglem księżycy
czekam na pełnię

Góral podwodny

Pamięci Henryka Cyganika

umierał delikatnie
bez pośpiechu
i długo
śmierć rozłożyła mu to umieranie
na raty
umierał cicho
bez wielkich fanfar

bez czekania na cud
co roku umierał bardziej lub mniej
jesienią cieszył się
że jeszcze jedna zima przed nim
na wiosnę wyczekiwał lata

jakoś udawało mu się uciec
przeskoczyć
przejąć przez ścianę
wyrównać oddech
uspokoić serce

śmierć czekała na niego w saniach
otulona w barani kozuch
zziębnięta
odjechali razem
na cmentarz

Początek lata

kiedy spadł deszcz
ucichły nagle
cykady wśród kamieni

noc była krótka

wtulony za wodospadem
początek lata
rozkołysał zieleń drzew

Ikar

odwiedził mnie Ikar
opowiadał o podniebnych lotach
o słońcu którego dotknął skrzydłem

zjadł mi wszystkie kanapki
wypił ostatnią kawę

zostawił połamane skrzydła

może kiedyś będą mi potrzebne

Być

tak być bez końca
wiatrem potarganym
trawą, która co wiosnę
zieleń rodzi nową

być jakim jesteś
masek nie nakładać
i być bez końca
tak naprawdę sobą

Na tej samej drodze

nie szukałam cię wcale
a jednak stanęliśmy
na tej samej drodze
tak bardzo samotni

długo patrzyliśmy sobie w oczy
nie dowierzając jeszcze
że to właśnie był
początek świata

pulsowałeś we mnie
jak krew
wrosłam w ciebie
jak drzewo wrasta w ziemię

związani węzłem zależności

czy spróbujesz teraz
wyrwać mnie
nie kalecząc siebie

W lesie

zatopić się w ciszy
mchem obrosnąć
zakwitnąć wrzosem
i po leśnej ścieżce
snuć się powoli
mgłą poranną

zatrzymać burzę
wiatru naczepać do kieszeni
deszczem spłynąć po liściu

zapytać zająca o strach
spojrzeć w sarnie oczy
z ptakiem podzielić się
ziarnem słońca

i pozostać na zawsze
w tej ciszy
w mchu
i we wrzosie

Joanna Babiarz

Domyśl się tato

Ojcom dzieci autystycznych

Domyśl się, tato, mych snów o tym świecie,
które zaznaczam mimowolnym wrzaskiem.
Wychwyć z mej twarzy każde uśmiechnięcie,
oswajaj wolno, jak oczy zórz blaskiem.

Brzemienna tylko w niepokoje mnogie
nie dam ci wnuka. Jak wielkie strapienie
tkwię zwykle w poprzek, obok lub za rogiem
wprost z gigantycznym ról niezrozumieniem.

Czasem podpływasz na muzyki falach
tak blisko, że aż chwytasz rytm inności
mojej i gotów wtedy teorie obalać
dotykasz struny drżącej od czułości.

Bo choć Bóg widzi mnie pełnym człowiekiem
ludzkie patrzeć od tego – dalekie.

Domyśl się mammo

Matkom dzieci autystycznych

Domyśl się, mammo, z niewypowiedzianych
słów czasu mego – codziennych udręczeń.
Dobądź uczucia z zakamuflowanych
głębin mej duszy i przetóż na serce.

Rozwiewaj lęki tych, co się mnie boją.
Nie myśl o śmierci wykończona na śmierć
czuwaniem, trwaniem – bóle moje kojąc.
Rozświećl uśmiechem chwile bliskie zgaśnięć...

Trudno jest komuś dojrzeć moce we mnie,
których ty, mammo, wcześniej nie odkryłaś.
Szukaj i ufaj tej prostej wzajemnej,
na której nasza bliskość się zrodziła,

bo choć Bóg zechciał, bym był mu podobny,
to pośród ludzi wciąż jestem – osobny.

01.11.2015

Kto śmiał ściąć pierwsze pąki kobiecości
twojej? Czy to młodziak był z tych lekkomyślnych
biorców natury, a więc twego ciała?
Z kim ci musiało być tak źle, że teraz

lecysz bezlistne pędy marzeń za walutę
własnej młodości. Kto z kłamstwami wtargnął
na dywan tkany z pierwszych jarzeń serca,
by ciąć ich ostrzem ciąg dalszy osnowy?

Czy to był cwaniak, czy też zongler uczuć,
karmiący ciebie tylko iluzjami?
Uwolnij szybko z łańcuszka drzwi serca.

Niech je roztańczą przyjaciele twoi,
niech zrobią światło na świeże powiewy
uczuć. Zapowiedz się znowu nadzieją.

Sonet ojcowski

Zaproszę rzeki, czyste kryształowe,
by ci przybliżyć mądrość *panta rhei*.
Podejmę szczyty górskie boskogłowe,
by cię uczyły pokory, nadziei.

Ja bardzo wcześnie z czasem cię zapoznam,
byś nie zmarnował dni swojej młodości,
byś był autorem, akuszerem doznań
niezwykłych, ważnych – w zwykłej powszedniości.

Ja przygotuję cię, by losu atak
nie spadł na ciebie gradem. Dopilnuję,
byś nie wpadł w sidła zwykłej dziejby świata.

Mężnieję, synku, gdy twą rączkę czuję.
Mogę płaszcz nocy złej zwinąć w rulony.
Razem te strachy zrobimy w balony.

Osadzony w sobie

Dla zainteresowanych literaturą współczesną Grzegorz Kociuba nie jest człowiekiem znikąd. Na jego dotychczasowy dorobek twórczy składa się siedem tomów poezji: *Obserwacje* (1991), *Budzenie twarzy* (1997), *Ślady i znaki* (2001), *Widoki i widzenia* (2005), *Powiększenia. Wiersze 1991-2006*, *Stonka i inne wiersze* (2011) oraz ostatnio wydany tom *Osady*. Poza tym jest autorem tomu prozy *Ktoś* oraz książek krytycznoliterackich *Mascki/Twarze. Eseje, szkice, recenzje o poezji* (2009) i *Twarze rozbitka. Poezja i eseistyka Krzysztofa Karaska*. Wyprzedzając fakty powiedzmy, że niebawem ukaże się jego wywiad rzeka z tymże poetą. Dodajmy też, że był współzałożycielem i redaktorem kwartalnika literackiego „Fraza” (1991-1998) oraz redaktorem kwartalnika „Nowa Okolica Poetów” (1998-2011). Współpracuje z wieloma pismami literackimi (m.in. „Twórczością”, „Toposem”, „Arteriami”, „Migotaniami”) i jest inicjatorem wielu przedsięwzięć literackich.

Okazją do przypomnienia literackiej biografii tego twórcy jest niedawno wydany tomik poezji *Osady*, w którym Grzegorz Kociuba nie tylko

potwierdził swoją pozycję znaczącego twórcy, ale w pełni ujawnił swą poetycką dojrzałość. Pochlebiam sobie, że nieźle znam twórczość Grzegorza Kociuby, co umożliwi mi prześledzenie jego drogi twórczej oraz sformułowanie wniosków na temat ewolucji osobowości poety oraz rozwoju jego twórczego warsztatu.

Twórczość Grzegorza Kociuby od początku cechowała daleko idąca wrażliwość, profesjonalność formalna oraz wysoka kultura literacka. Konkretnie mówiąc była to poezja głęboko przemyślana i przeżyta, wyrażona ładnym, celnie użytym słowem, dobrze dobraną metaforą, gęstością poetyckich argumentów, umiejętnym stopniowaniem dramaturgii wiersza oraz dbałością o jasność i klarowność przekazu. Innymi pozytywnymi cechami były umiejętność twórczej syntezy obrazu oraz sformułowania subiektywnej, głębokiej poetyckiej reakcji. Na podkreślenie zasługuje także wysoki poziom twórczej intuicji i umiejętność unikania pułapek w postaci łatwego nawiązywania do literackiej przeszłości – co często zdarza się literatom z wykształceniem polonistycznym – dzięki czemu zasadny jest komplement o walorach oryginalności jego poezji. Przy czym owa oryginalność nie oznacza buntowniczej kontestacji, lecz raczej modyfikację formy, wprowadzenie elementów różnicujących w postaci łamania szablonu dramaturgii oraz poszukiwanie słów poszerzających i pogłębiających kontekst znaczeniowy, które to walory potwierdzały kolejne tomiki. To co zmieniło się na przestrzeni niemal ćwierćwiecza, to sposób patrzenia na świat, a przede wszystkim odejście od konfrontacji z rzeczywistością i uczynienie z własnej osoby podmiotu poetyckiego doświadczenia. Z upływem czasu w każdym nowym tomiku ubywało naiwności i retorycznych pytań, a pod starannym poetyckim kamuflażem czuło się wzrastające ciśnienie frustracji, nieprzyjemnej do wyobrażeń, życiowej prozy. Łatwo też było wyczytać rozczarowanie samym sobą oraz własną bezradnością w oporze przeciw temu, co pragnęło się zmienić, a co bezlitośnie zmienia nas. W efekcie poczucie osamotnienia, niedopasowania, szukanie wyjścia z życiowej matni. W przypadku poety nie jest to jawny bunt, ale



rejestracja powodów do pretensji wobec siebie i mechanizmów świata. Czyli w sumie nic nowego, ale w innej, subiektywnej wersji.

Z czasem jednak uładziła się potęgująca emocję wrażliwość, doprowadzając do wniosków gorzkich, ale nader racjonalnych. Wraz z wiekiem i przyrostem życiowych doświadczeń poeta dostrzegł retoryczność stawianych pytań, naiwność zdziwień i zrozumiał, że praw natury nie zmieni. Że raczej to on musi przystosować się do rzeczywistości, a dla uczynienia jej łagodniejszą powinien znaleźć metodę na jej oswojenie. I w ten oto sposób, niejako metodą prób i błędów, doszedł do emocjonalnej dojrzałości i egzystencjalnego stoicyzmu, który chociaż gorzki, przecież odpowiada prawdzie o życiu. W przypadku twórcy taki proces jest intelektualnym maratonem z rzetelnym przemyśleniem wszelkich aspektów własnej obecności w zmiennym wymiarze, wielokrotnej polemice z własnymi racjami oraz koniecznością przełknięcia gorzkiej tabletki prawdy o powszechnej, także własnej, nietrwałości. A po drodze trzeba znaleźć słowa, które zdołają pomieścić wagę tych przemyśleń oraz ciężar prawdy:

...szklanka nieduża a w niej wodna burza choć nawet
[nie wiadomo
czy jest jakiś stół lub stolik na którym szklanka stoi
wokół dzieje się dziełko a ilekroć zsiadasz z krzeselka
[karuzeli
zawsze ta sama ulga że choć przez chwilę możesz
[być poza nią
(*Mysłane*)

I o tym właśnie traktuje ostatni tomik wierszy Grzegorza Kociuby *Osady*. Symptomatyczny i jednoznaczny jest już jego tytuł, bowiem oznacza koniec płynności. Wszak zazwyczaj to co się osadza, jest cięższe i nie daje się porwać płynącej wodzie. W przypadku poety chodzi o osadzenie się ustalonej hierarchii spraw, rzeczy i prawd kotwiczących go w przestrzeni życiowej niepewności, ale także biograficznie różnicujących i podkreślających wyjątkowość jego tożsamości.

Osady to tom mało optymistyczny, bo w gruncie rzeczy mało optymistyczny jest powrót do przeszłości:

zaczynać na chybił trafił ze wskazaniem na chybił
bo na trafił już przerabiałem i na starcie żadnych

klarownych obrazów ani zgrabnie spakowanych idei
ma być uczciwie a więc ciemność czuwanie w ciemności
nawet gdyby się okazało że to tylko czuwanie w ciemności

(*Poetica choć nie koniecznie ars*)

Poezja z założenia jest aktem bardzo osobistym, ale w tym przypadku czuje się, że sprężenie subiektywizmu znacznie przekroczyło średnią. W efekcie, chociaż opisane wierszem przypadki każdy zna z autopsji, podczas lektury, zapominając o własnych doświadczeniach, bezwiednie wchodzimy w skórę autora przeżywając jego odyseję. To efekt szczególnego potraktowania własnej jaźni poety, który zdając sobie sprawę z enigmatyczności materii, nie ma ambicji tworzenia ocen obiektywnych, absolutnych i kładzie siebie pod okular mikroskopu. Przewrotnie wynika to także z zaufania do czytelnika potrafiącego postawić się w jego roli.

Dobre jest przynajmniej, że mało optymistyczna pewność amortyzuje instynkt samozachowawczy nakazujący poszukiwanie metody na zagospodarowanie odcinka pozostałego od zejścia ze sceny:

...ale coś we mnie ciągle szuka
a szukając odrzuca wszystko co nazbyt pod ręką
nic więc dziwnego że w końcu ląduje na pustyni
a przez pustynię idzie się zawsze we wszystkie strony naraz

(*Poszukiwania*)

Odsuwając więc zakończenie recenzji, powiem jeszcze, że tomik *Osady* Grzegorza Kociuby to coś więcej niż ograniczona okładką pewna liczba wierszy. To tom tematycznie i formalnie tak bardzo zwarty, że okoliczność ta w pełni uzasadnia nazwanie go książką poetycką, w której aż gęsto od filozofii. Większość wierszy to wręcz poetyckie minieseje, a wiele z nich mogłoby złożyć się na poemat, który mógłby ograniczać się do kilku słów:

urodziłem się
więc jestem
włączony
złowiony
zgubiony...

(*Ziemia raz jeszcze*)

Jan Adam Borzęcki

Grzegorz Kociuba, *Osady*. INSTYTUT. Mikołów 2015

Z cyklu *Słowa*

I

Słowa są niekiedy jak glina
można z nich ulepić wszystko
wystarczy mieć zręczne palce

a gdy już powstanie misterna budowla
nikt nie będzie pytał o fundamenty

II

Czy od początku świata
nie zanadto bawimy się słowami
wierząc że można nimi igrać bezkarnie

rzucać na wiatr
zręcznie żonglować
w pojedynku użyć

dać słowo
być po słowie
i nie dotrzymać słowa

i jeszcze mieć je ostatnie

III

A może świat
składa się tylko ze słów
co jak wezbrana fala
wystąpiły z brzegów
i zamiast koić
dotkliwie ranią

czy odarty z nich człowiek
nie byłby wolny jak ptak
wreszcie sam na sam
z niemą rzeczywistością

i zamiast słów
miałby już tylko
niebo nad głową
gwiazdy i księżyc

IV

Ale czy słowo nie jest
budulcem naszego świata
czy z niego nie rodzi się wszystko

stalagmity pojęć
uskoki myśli
pokłady doznań
lawiny marzeń
muldy przyzwyczajień

słowo

czy nie jest dziś zagrożone
czy tylko przeżywa kolejny
etap w procesie ewolucji

V

Słowem w wodę
napisał poeta

a woda ma to do siebie
że wszystko zabiera
albo wyrzuca na brzeg

jeśli więc ktoś zobaczy
dryfujące słowo
niech po nie sięgnie
na właściwym miejscu postawi
i cierpliwie czeka

aż odrodzone
falą obmyte
nowym zachwyci go
blaskiem



Barbara Pasierb-Jeziarska: *Pejzaż z Pasmem Masłowskim II* – pastel

niebo zielone
opóźnionym świtem
zielone moje oczy w lustrze
pierwszy promień ma zapach mięty

w chwilę potem wpełza
by oświetlić stół nasz i uczucia
zamierzeniem zostanie do jutra
by mi coś powiedzieć.

wracamy
wracamy do przeszłości
dawne ścieżki ciągle są

chwilowo oddaleni
wracamy do siebie
bardziej bogaci
piękni
wracamy
duże dzieci do pluszowych lalek.

schodzę ze sceny
kolejna podróż
za szybą smętny krajobraz
i jeszcze smętniejsze drzewa
widzę je często
widzę ich zmiany
unoszę myśli
mijane słupy, świetlne latarnie
pośpiech
chcę odbyć drogę do gwiazd.

w pokoju
od lat te same obrazy
odkurzane wspomnienia
zagrzewane miejsca chwilowo
nuta kawy wplata się w książkowy temat
umieszczeni czasowo w życiu innych
dostojni smakiem chwili.

znowu idę
drzewo zdobi złotym liściem
już jesień
osuszona ścieżka po deszczu
jakby wybierała kamyki spod stóp.



Edycje poezji Autorki w językach angielskim i włoskim

Z Chrobza na wojenną tułaczkę

Rozdział XXII

Po jakimś czasie wróciła mi świadomość, do moich uszu z obu stron dobiegały coraz głośniejsze okrzyki. Słyszałem również ostre głosy, które nakazywały wszystkim, by kryli się w okopach i nie strzelali. Z miejsca, gdzie się znajdowałem, widać było tylko czubki hełmów, jedyny dowód na to, że dobiegające mnie głosy należą do realnych ludzi.

Do leja, w którym się skryłem, sączyło się szare światło. Wiatr zamiatał śnieg z pól. Wyczołgałem się ponad brzeg zapadliska. W brudnym półmroku leżały przede mną ludzkie szczątki, części oporządzenia i umundurowania; w tym momencie widziałem wszystko wyraźnie. Kątem oka dostrzegam, że żołnierz w siwym mundurze wychodzi z okopu i macha białą flagą. Pociski przestały padać. Po obu stronach pasa ziemi niczyjej żołnierze przeciwnych armii wyszli z okopów, wykrzykując coś i machając hełmami. Podniosłem głowę i przyglądam się, jak ów żołnierz podchodzi do zasieków, rozplątuje drut i odciąga go na bok, by podejść do mnie. Kiedy zbliżył się, zobaczyłem, że był wysoki, jego twarzznaczona była zmarszczkami. Przypominał mi mojego dziadka. Wydawał się powolny i łagodny, nie miał na głowie hełmu, lecz dobrze znaną mi czapkę maciejówkę z orzełkiem piastowskim bez korony, zsuniętą niedbale na tył głowy. Odwrócił się w stronę okopów i kiwał do pozostałych o pomoc. Podbiegł drugi. We dwóch wzięli mnie pod ramiona. Potykając się, odeszliśmy śpiesznie do polskich okopów.

Pole między liniami frontu wyglądało teraz jak wielkie rumowisko. Wszędzie porozrzucani byli zabici, zbierano rannych.

Powolutku odprowadzono mnie na punkt opatrunkowy.

– Gdzie dostałeś, kolego?

Poruszyłem tylko oczami, byłem za słaby, żeby odpowiedzieć.

Ostrożnie rozcięto mi spodnie.

– Spokojnie, spokojnie, przecież będzie ci wygodniej.

Sanitariusze odsłanili lewą nogę od biodra w dół.

– Jedna wielka breja z posiekanego ciała – rzekł sanitariusz. – Pocisk trafił dokładnie pod kość udową i rozerwał mięsień.

– No, masz chłopie szczęście, bo gdyby pocisk trafił w kość, to do końca życia nie mógłbyś chodzić.

Zwilżoną w wodzie z manierki szmatką pocierano mi skronie i podawano łyk do picia. Moje oczy ożywiły się i dopiero teraz zobaczyłem, że również szyja i prawe ramię mi krwawi. Sanitariusz rozpruł dwa opatrunki najszerzej, jak to możliwe, żeby zakryły ranę. Następnie wyciągnął z kieszeni jakiegoś zabitego następnego opatrunki, które ostrożnie przykładał do rany.

– Poczekaj tutaj... – zwrócił się do mnie sanitariusz.

– Zaraz wrócimy. Przyniesiemy dla ciebie nosze.

Kiedy odeszli, usłyszałem, jak jeden z nich szeptem mówił do drugiego:

– Jak ten chłopak wytrzyma transport. Wszystko, co do tej pory było, jest niczym. Teraz jest otępiaty i niewiele czuje. Za godzinę stanie się wrzeszczącym kłębkim nieznośnych bólów. Dni, jakie go czekają, staną się dla niego jedną wielką szaloną męczarnią. Gdy wyruszałem z punktu sanitarnego, zegnali mnie sanitariusze i lekko ranni żołnierze.

Na nierównych, dziurawych drogach, zranioną nogę i ramię przejmował trudny do opisanego ból, i obejmował całe ciało, gdyż wóz sanitarny oddalał się powoli od linii frontu i kotłował leniwie na boki. Ciągnęły go dwa masywne czarne konie.

Oslabiony, obolały, wyczerpany i z wysoką gorączką, traciłem poczucie rzeczywistości. Wziąłem głęboki oddech, wypełniając pierś powietrzem... nie, ciemnością. Dzięki temu mogłem zapanować nad bólem i dreszczami trzęsącymi ciałem. Nie chciałem stchórzyć ani wydać z siebie przerażonego krzyku, który mogliby usłyszeć jadący z przodu sanitariusze.

„Do cholery, nie mogę dać im usłyszeć mojego krzyku, pokazać swojej słabości”.

Przełknąłem kolejny oddech. Sanitariusz zbliżył ucho do mojej piersi.

– Żyje, myślę, że go dowieziemy – stwierdził. Usłyszałem pusty głos wyprany z wszelkich emocji.

Jego dźwięk niczym mroźny wiatr owinął się wokół mojego ciała. Pomimo całego bólu i strachu, przez krótką chwilę stał się jak pancierz cykady, jak gdyby powłoką będącą jedynie pozostałością po swoim właścicielu. Czasem dosięgało mnie takie uczucie. Nie przejmowałem się tym jednak za bardzo. Właściwie było to nawet całkiem orzeźwiające. Fascynujące, nawet jeśli pozostawiało go pustym.

Nagle odniosłem wrażenie, jakbym spadał prosto w dół – a przynajmniej tak powinno być, bo nie miałem pojęcia, co się wokół mnie dzieło. Nie byłem pewien, czy spadam, unoszę się, czy trwam w miejscu. Nie mogłem rozróżnić wznoszenia, spadku i bezruchu. Moje zmysły pochłonęła otaczająca mnie zewsząd ciemność. Poczulem uderzenie. Całe moje ciało wbiło się w coś twardego. Oddech zatrzymał się w ustach. Mimo wszystko spadłem na coś w miarę elastycznego, pochłaniającego energię uderzenia. Gdy położyłem dłoń na dnie wozu, by się unieść, poczułem drganie i wibracje, coś w rodzaju dudnienia. To wóz sanitarny z hukiem jechał po wyboistej, dziurawej drodze i podrzucał mnie o podłogę wozu i jego boki. W takich momentach odzykiwałem na chwilę świadomość, by po chwili znów zapadać w mrok.

Za zamkniętymi powiekami przebiegały moje wspomnienia z dni spędzonych w dzieciństwie: różę tysiąca kolorów kwitnące w rezydencji Wielopolskich, wieczorne niebo, jasnoniebieskie ściany sali lekcyjnej, machająca ręką matka, wczesny ranek w Pińczowie, wypełniający dom zapach chleba, odwrócona plecami Basia, „Dzień dobry, braciszku”, „Dzień dobry, Basiu”, siostra w udekorowanym kwiatami kapeluszu, aromat kawy, którą uwielbiał dziadek, gałęzie drzew uginające się na wietrze; och, ta zieleń, wszystko jest tak odległe.

„Chcę do domu”. Błagałem o to z bólem. Chciałem powrócić do normalnego, spokojnego świata.

Zacisnąłem zęby. Przełknąłem żółć w ustach. Powoli uniosłem głowę, stęchlizna dopłynęła do mojego nosa. Zupełnie jakby wszystkie moje zmysły, do teraz tępe i uśpione, otworzyły się na świat wszystkie naraz. Obficie oblał mnie zimny pot. Szczęki odmawiały zamknięcia, zgrzytając bez przerwy zębami. Smród krwi, odór fekalii, fetor ciał uderzyły moje nozdrza znacznie mocniej, niż w wozie sanitarnym.

– To piekło – usłyszał mrużący cicho własny głos.

– To rzeczywistość – odpowiedział inny – a nie żadne piekło. Tak wygląda rzeczywistość świata, w którym żyjesz.

Niemal w tym samym momencie błysnęło pomarańczowe światełko. Wytrzeszczyłem oczy. Moje serce drgnęło na widok maleńkiego promyka światła. Czułem, jakbym zaraz miał się popłakać. Moja ręka poszybowała naprzód w kierunku światła, a palce zacisnęły się w powietrzu. Miniaturowe świetliste kule były przytwierdzone do ściany w regularnych odstępach. Były to maleńkie światełka, ledwie wystarczające do rozświetlenia leżących pod nimi ciemności. Jednak mimo wszystko było to światło. Wciąż pozostało coś, co nie stało się mrokiem.

– Gdzie jestem? Co mam teraz zrobić? – udało mi się przemówić mimo wszystko, zachrypłym głosem.

Czułem wokół siebie czyjąś obecność.

– Możesz się ruszać. To dobrze. Jesteś w szpitalu wojskowym. Zajmiemy się tobą, nie martw się, będziesz zdrow.

Pułkowi chirurdzy, ich asystenci i wojskowi sanitariusze nadzorowali przenosiny pacjentów na noszach do sal chorych. Obok chorych szła młoda, śliczna pielęgniarka. Zagadywała jęczących, przykładała kompresy do ich rozgorączkowanych głów, trzymała za rękę, uśmiechała się i zapewniała, że w szpitalu, do którego ich przywieziono, wyleczą ich rany i zdrowi wrócą do domów.

Kiedy przyszła kolej na mnie, z wysiłkiem otworzyłem oczy, zebrałem w sobie siły i jakoś udało mi się usiąść. Zobaczyłem wpatrzony we mnie śliczne szmaragdowe oczy owej pielęgniarki. Zdziwiło mnie opanowanie dziewczyny. Była silna jak na tak młodą osobę; ja zaś, który dość się napatrzyłem na potworności w czasie walk i miałem słuch skażony dźwiękami, jakimi wyraża się ból w swej masie, a wzrok widokiem niezliczonych ran, których ofiarą pada armia mężczyzn, czyniąc z nich żałosne i dziwaczne ludzkie strzępy, z odrażającymi zmianami skórnymi, obłędem, opuchlizną, wstrętnymi wydzielinami – tym bezsprzecznym, bezbożnym szyderstwem z idei ludzkiej godności. Siostra Natalia tymczasem – tak było na imię pielęgniarkie – podawała rękę rannemu, którego kiedyś znała i, jeśli się uda, odzyska go znowu.

– Dzielna z ciebie dziewczyna, siostrze Natalia – zwróciłem się do niej pewnego dnia, gdy

zmieniała na moich ranach opatrunki. – Żeby z własnej woli oglądać takie rzeczy.

Położono mnie na parterze budynku, na oddziale chirurgicznym. Byłem niezmiernie rad z takich luksusów po mordędzie w szpitalu polowym. Z czterdziestu łóżek na oddziale połowę zajmowali żołnierze polscy. Umierali z ran albo zżerały ich inne choroby. Smród był potworny, mimo że siostra kazała szeroko otworzyć okna i dokładnie wywietrzyć sale. Z powodu blokady rosyjskiej w szpitalu brakowało nawet bandaży. Nie było chloroformu. Nie było ani środków wymiotnych, ani narkotyków i innych środków przeciwbólowych. Musieli więc czerpać zaopatrzenie z zapasów polowych. A ponadto zgłaszali się żołnierze chorzy, z gorączką i przekrwieniem oskrzeli, czego nabawili się przebywając w okopach; tkwili na pozycjach na bagnistym terenie, w mokrych mundurach, głodni, zziębnięci, nie mogąc rozpaścić ognisk i teraz ledwo trzymali się na nogach. Co gorsza, brakowało personelu. W salach oddziału było miejsce dla czterdziestu rannych, lecz interwencji medycznej wymagało ich prawie dziewięćdziesięciu. Trzech sanitariuszy chorowało – dwóch na zapalenie płuc, trzeci na anginę. Było tylko dwóch chirurgów potrafiących dokonać resekcji. Chirurdzy taśmowo wykonywali operacje. Padali ze zmęczenia i niewyspania.

Siostra Natalia wiozła mnie z sali operacyjnej po zabiegu, wzdłuż szeregu zwłok. Byli tam chłopcy w wystrzępionych szarych mundurach legionowych i niebieskich austriackich, podartych i okrwawionych. Uważnie przyglądałem się wszystkim martwym żołnierzom, niezależnie, jaki mieli na sobie uniform. Wpatrywałem się w nich z uroczystą powagą, gdyż chciałem zrozumieć śmierć. Niektóre twarze były tak opuchnięte, zmasakrowane i zakrwawione, że nie dawało się rozpoznać rysów. Inne czyste, niepoznanne, zastygłe, z obnażonym zębami, wyglądały, jakby chciały kogoś ugryźć. Skąd u nich ten grymas? – zastanawiałem się.

Pewnego wieczoru z frontu przyjechał dowódca kompanii porucznik Starzyński i przywiózł straszną wieść: mój przyjaciel, kapral Józek Lesiecki, zginął wraz z dwoma żołnierzami, kiedy wracali z patrolu zza linii frontu.

– Jeden zabłąkany pocisk – powiedział porucznik – nie wiadomo skąd, i już go nie ma. Będzie go brakowało. Wielu żołnierzom będzie go brakowało, prawda?

Porucznik Starzyński usiadł na taborecie koło łóżka.

– Józek był wspaniałym żołnierzem i dowódcą, kochali go żołnierze. A wiesz, co robił przed wojną? – zapytał.

– Tak, wiem.

– Był najlepszym polskim taternikiem, narciarzem wysokogórskim, ratownikiem tatrzańskim, artystą rzeźbiarzem; zbierał zabytki sztuki ludowej, jako pierwszy wszedł na nartach na liczne tatrzańskie szczyty, brał udział w wielu wyprawach ratowniczych.

– Wiele dla mnie znaczył. Opiekował się mną, uczył mnie wojny – powiedziałem. – Był dla mnie jak brat. Miał tylko dwadzieścia osiem lat. Przed sobą całe życie. I wszystko stracone przez jeden zabłąkany pocisk. Zawsze powtarzał: „Jeśli zginę, przynajmniej nikt nie będzie mnie żałował. Mam tylko narty, swoje rzeźby i trochę zebranych artystycznych zabytków sztuki ludowej, a tego z sobą nie zabiorę, choć chciałbym”.

Był dumny ze swych zbiorów, pokazywał mi nawet zdjęcia. Ściana w pokoju cała wymalowana, na niej regał i poukładane na półkach wyrzeźbione figurki różnej wielkości, w rogu ustawione narty, a obok Józek uśmiechnięty od ucha do ucha.

Był wczesny ranek – marzec 1915 roku. Nad głowami mieliśmy jasnobłękitne niebo, przez bezlistne korony drzew przeświecało słońce, rześkie powietrze tchnęło wiosenną świeżością, ale skądinąd widok był ponury – wokół leżeli ranni na noszach, krzycząc o wodę, przeklinając Boga, wrzeszcząc z bólu.

W takich okolicznościach do szpitala przybył Komendant Legionów, Józef Piłsudski z grupą oficerów, odwiedzić rannych i chorych legionistów. Przechodził między postaniami, szukając twarzy przytomnej, mniej surowej i zbolątej, aby zbliżyć się i porozmawiać.

– Gdzie jesteś raniony? – pytał z wahaniem starego wychudzonego żołnierza, który siedząc na pryczy śledził przechodzącą delegację dobrodusznym spojrzeniem i jak gdyby zapraszał, aby podejść do niego.

– W nogę – odpowiedział żołnierz, a jednocześnie fałdy koca zdradzały, że nie ma on nogi od uda. – Teraz, dzięki Bogu – dodał – chcę się już wypisać.

– Dawno zostałeś ranny?

– A ot, dziewiąty tydzień już minął.

– I co? Boli cię teraz?
– Nie, teraz to nic nie boli; tylko na niepogodę tak jakby mnie rwało w tyłde, ale to nic.
– W jaki sposób zostałeś ranny?
– Pod Łowczówkiem, jak był pierwszy atak artyleryjski, ruszyliśmy z okopów do ataku, a tu pocisk jak nie palnie mnie w nogę, miałem wrażenie, jakbym wpadł w czeluść. Patrzę, a nogi nie ma.
– Bardzo bolało w pierwszej chwili?
– Nie bardzo, tak jakby mnie czymś gorącym dźgnęli w nogę.
– No, a później?
– Później odczuwałem przeszywający, ogromny ból, który przenosił się na całe ciało; tylko jak zaczęli skórę naciągać, to jakby swędziało. Najważniejsza rzecz, obywatelu Komendancie, nie myśleć teraz o tym dużo: jak człowiek nie myśli, to jakoś mniej odczuwa. Najgorzej bywa wtedy, gdy się o tym myśli.
– Niech ci Bóg jak najprędzej wróci zdrowie – zwrócił się Piłsudski do rannego i zawahał się, jakby zastanawiając, w którą pójść stronę.
– Nie ufajmy uczuciu, które powstrzymuje nas przed dalszymi odwiedzinami – usłyszałem, jak ściszone głosem odezwał się chirurg do Komendanta – to niedobre uczucie! Idźmy naprzód, nie wstydzmy się tego, że przyszliliśmy jakby oglądać cierpiących, nie krępujemy się podejść i pomówić z nimi. Ci nieszczęśnicy pragną zobaczyć współczującą ludzką twarz, pragną opowiedzieć o swych cierpieniach i usłyszeć słowa miłości i współczucia.
Ruszyli i zatrzymali się przed następnym rannym, który leżał na podłodze i jak się zdawało, wśród nieznośnych cierpień oczekiwał na śmierć.
Był to jasnowłosy młody chłopiec z bladą okrągłą twarzą. Leżał na wznak, odrzuciwszy w tył lewą rękę, w pozycji świadczącej o okrutnym cierpieniu. Z wyschniętych otwartych ust z trudem

wydobywał się chrapliwy oddech; niebieskie ołowiane oczy wywrócone były do góry, a spod ściągniętego koca wysuwała się resztką prawej obandażowanej ręki.

– Co, nieprzytomny? – zapytał Komendant lekarza, który szedł za nim i patrzył na nas życzliwie, jak na kogoś bliskiego.

– Nie, jeszcze słyszy, ale już bardzo z nim źle – dodał szeptem. – Siostra Natalia poiła go dzisiaj herbatą, ale nie chciał już pić.

– Jak się czujesz? – padło pytanie.

Ranny obrócił źrenice w stronę, skąd dochodził głos, ale chyba nie widział nikogo i nie rozumiał pytania.

Nieco dalej Piłsudski zatrzymał się koło starego żołnierza zmieniającego bieliznę. Twarz jego i ciało miały jakąś brązową barwę, chudy był jak szkielet. Ręki zupełnie nie miał: Amputowano ją w stawie barkowym. Siedział pewnie, widać było, że poprawił się na zdrowiu, ale martwy, przygasły wzrok, straszliwa chudość i bruzdy na twarzy świadczyły, że cierpienie zżarło już najlepszą część życia tej istoty.

Ci, którzy zdecydują się odwiedzić rannych w szpitalu wojennym – ujrzą okropne, wstrząsające widoki; zobaczą wojnę nie w postaci regularnych i świetnych szeregów z orkiestrą wojskową na czele i biciem w werble, z powiewającymi sztandarami i generałami harczącymi na koniach, ale wojnę w prawdziwej jej postaci – we krwi, w cierpieniach i śmierci.

Wychodząc z tego domu cierpień, z pewnością doznają uczucia ulgi, głębiej wciągną w płuca świeże powietrze, poczują zadowolenie płynące ze świadomości własnego zdrowia, a jednocześnie przyjrawszy się tym cierpieniom uświadomią sobie własną nicość...

Jan Chruśliński

Lech Wyszczelski

Postowie

Jan Chruśliński – historyk z wykształcenia – w nieco senioralnym już okresie swego życia odkrył w sobie bakcył pisarski i zdobył na polu literatury wielkie osiągnięcia i zasłużone nagrody, specjalizując się w powieści historycznej.

Studia historyczne mają niewątpliwie na to duży wpływ. Jest pisarzem bardzo dobrze łączącym dwie cechy: rzetelność rekonstrukcji dziejów historycznych epoki i bohatera w niej żyjącego z jednoczesnym barwnym literackim opisem jego



przygód, wydarzeń, przeżyć.

Moje zainteresowania naukowe to badanie dziejów Polski i świata przede wszystkim osadzonych w XX wieku, a w szczególności odnoszących się do dokonań polskiej wojskowości okresu między-

wojennego. Składa się na ten dorobek wiele książek. Nie czuję się jednak upoważniony do oceny literackiej powieści, czego dokonają z pewnością literaturoznawcy. Skupię się zatem na warstwie historycznej powieści, egzemplifikowanej przez losy jej bohatera.

Wysoko oceniam skrupulatność autora, który dotarł do ogromnej ilości informacji o bohaterze – majorze Janie Zgrzebnickim – mającym przebogatą biografię historyczną. Wskażę tylko na jego działalność bojową w Legionach Polskich, konkretnie w sławnym 5. Pułku Piechoty Legionów, walczącym brawurowo z oddziałami rosyjskimi w najbardziej krwawej bitwie 1914 roku pod Łowczókiem, na barwne osobowości jego dowódców: kapitana Witolda Ścibora-Rylskiego, a od 1915 majora Leona Berbeckiego.

Jeszcze nie ucichły echa końca I Wojny Światowej, a Lwów wołał o pomoc, gdzie na ulicach miasta walczyły bohaterskie dzieci polskie. Trzeba było Orlątom Lwowskim śpieszyć z odsieczą, więc organizacja oddziałów Wojska Polskiego stała się jedynym ratunkiem. W ostatnich dniach października, znajdująca się w Krakowie garstka byłych żołnierzy 5. Pułku Piechoty Legionów (piątaków) z kapitanem Karaszewiczem-Tokarzewskim, postanowiła zorganizować się i wziąć udział w walkach z Ukraińcami o miasto. Zamysłem tego przedsięwzięcia było, żeby pierwszymi oddziałami powstającymi w odradzającej się Ojczyźnie nie były nowe jednostki, ale wskrzeszone dawne legionowe, zapisane bohatersko w historii walk o niepodległość.

Chruśliński w swojej książce niezwykle barwnie i plastycznie przedstawił historyczne tło tych wydarzeń i wojenne losy głównego bohatera.

Wzruszająca jest w jej treści autentyczność owych wydarzeń opartych na faktach. Szlachetne wzory i postawy bohaterów, wyznawane przez nich wartości Honor i Ojczyzna, czynią tę książkę godną najwyższej oceny i uznania.

Niezwykle wysoko oceniam rekonstrukcję zdarzeń z punktu widzenia historycznego, jak i dalszej kariery wojskowej bohatera powieści, tym razem już w pokojowych strukturach Wojska Polskiego. Szczególnie w odniesieniu do końcowego okresu jego służby w Korpusie Ochrony Pogranicza, a następnie do wojennych losów już podczas II wojny światowej, udziału w bitwach i potyczkach na szlaku bojowym 60. Wielkopolskiego Pułku Piechoty i w obronie Warszawy we wrześniu 1939 roku, a potem pobytu w niewoli niemieckiej oraz dalszego okresu jego życia.

Autor wzruszająco ukazuje patriotyczne postawy dziadka i ojca bohatera powieści. Przywołuje tradycje Ziemi Kieleckiej, które można by uznać za najbardziej polskie.

To bardzo udana powieść historyczna o człowieku żyjącym w różnych momentach historycznych, w okresie braku niepodległości Polski i walki o nią, w dwudziestolecie międzywojennym, w okresie kolejnej narodowej tragedii II wojny światowej (walki i niewoli), też w czasie powojennym. Jest ona wolna od tak modnych obecnie tendencji do prowadzenia „polityki historycznej”, niezwykle wybiórczo traktujących dzieje naszego narodu i państwa. Autor pozostał wierny głównym przekazom stawianym historykom – dążenia do obiektywizmu w ujmowaniu wydarzeń, opinii, ocen. Bardzo wysoko oceniam historyczne i literackie ujęcie ciekawej fabuły dzieła, bez nadmiernych upiększeń, bez kierowania się „modami” w przekazie wiedzy historycznej. Polecam tę metodę pisarską, mającą duże znaczenie dla budowania postaw patriotycznych współczesnych, pokoleń polskiej młodzieży i szerokiego ogółu czytelników. Liczę na kolejną nagrodę – po sukcesie Miłości i wojny w II Konkursie Literackim im. Stefana Żeromskiego – na którą, w moim przeświadczeniu, ta powieść w pełni zasługuje.

Warszawa, 3.05.2016

prof. dr hab. Lech Wyszczelski

Anna Fornal

samotne drzewo
– wspomnienie lasu

prosiła o pomoc
nikt jej nie chciał

Miałam przyjaciela

samotna starość
– wspomnienie rodziny

przygarnęłam ją

miałam przyjaciela
odszedł

samotna myśl
– wspomnienie idei

jest mi wdzięczna
uczy mnie życia

zatrzymywałam
nieudolnie

samotny drogowskaz
– wspomnienie celu

zaprzyjaźniłyśmy się
będziemy razem do końca

odszedł

12.01.2016

zawałił mi się świat
zapadła ziemia

samotna planeta
– wspomnienie kosmosu

One

jemu
otworzyło się niebo

samotny uśmiech
– wspomnienie radości

przychodzą do mnie
pojawiają się

17.06.2014

trwanie

1.01.2016

bywają mgławicą
błyskawicą
ulotną myślą

We mnie cisza

Ciągle tu

we mnie cisza
wokół chaos
wszystko pędzi, wiruje

stoję przed bramą tam
zamknięta

na niektóre czekam
uprzedzona o spotkaniu
zbliżają się ostrożnie
przystają
pozwalają się podziwiać

dlaczego?
po co?
nie wiem

nie dobijam się
jestem ciągle tu

przychodzą

coraz głośniejsz
i ciemniejsz

zapomnieli?
mają dużo pracy?
pomyliłam datę?

skąd?
nie wiem

coraz groźniejsz
i obco

wracam do domu
może wiersz napiszę...

są tajemnicą

moje wiersze

a ten znikający
punkt na horyzoncie
to mój świat...

dzwoni telefon
nie odbiorę

22.02.2016

26.03.2014

na wszelki wypadek

6.01.2016

Samotność

Razem

samotna róża
– wspomnienie bukietu

spotkałam chorobę
była bezdomna i samotna

Stanisław Fornal urodził się 1 listopada 1933 r. w Częstochowie, w rodzinie hutniczej wywodzącej się z Kielecczyny. Ukończył polonistykę (Uniwersytety we Wrocławiu i Łodzi, 1951–1956). Dziennikarz Rozgłośni Polskiego Radia w Kielcach (1956–1975), gdzie m.in. kierował Redakcją Literacką, i Lublinie – był tam zastępcą redaktora naczelnego (1975–1982); reżyser Teatru Polskiego Radia.

Autor słuchowisk, reportaży, magazynów literackich i felietonów w programach radia publicznego, laureat nagród regionalnych i ogólnopolskich; nominowany w 1969 r. do „Złotego Mikrofonu”, z uzasadnieniem: „za reportaże literackie”.

Dokumentalista dziejów Polskiego Radia – audycje i prezentacje telewizyjne, książki: *Anteny nad Bystrzycą* (1998), *Harce na hercach* (2002), *Spod półwiecznego pióra* (2006). Współpracownik Centrum Historii Polskiej Radiofonii.

Zbieracz i popularyzator ludowych facecji, legend i przypowieści w radiu, prasie oraz książce *Roztropność wieśniacza*, którą wydał jako stypendysta Ministra Kultury.

Jako satyryk debiutował fraszkami w „Słowie Tygodnia” w 1955 r. W latach 1956–2006 nadawał w programach Kielc, Lublina i Warszawy wiele audycji satyryczno-rozrywkowych, wśród nich, wspólnie z Ryszardem Podlewskim, 10 wydań „Szopki Kieleckiej” (1956–1967), drukowanej także kilkakrotnie w prasie. W ostatnich latach liczne jego aforyzmy pojawiają się w Internecie (często bez wiedzy i zgody autora).

Wydał 12 książek – w tym 8 zbiorów aforyzmów, fraszek i innych krótkich form literackich: *Miecz nad stajnią* (1998), *Minimy* (2002), *Frachy na Lachy – Fraszki na Laszki* (2003), *Powiedzenia i niedopowiedzenia* (2005), *Zbieram myśli, sieję fraszki* (2006), *Myśli ultrakrótkie – Ultrakurzgedanken – w jęz. polskim i niemieckim* (2006), *Niedomilczenia* (2007), *Fraszne rzeczy – Fraszkobliwe myśli* (2012).

Teksty w publikacjach zbiorowych: *Strachy na smugu* (1975), *Nie tylko dowcipy o Wąchocku* (2002), *Księga aforyzmów* (2005), *Z fraszką przez stulecie* (2005), *Wielka księga myśli polskiej* (2005), *Księga fraszek* (2006), *Wspomnienia niekontrolowane* (2006) *Podziemne słowo* (2006), *Leksykon twórców Polskiego Radia* (2006), *Satyrbia* (2008), *Od pierwszej miłości do grobowej deski* (2011).

Przekorny aforyzm dwie matki ssie: filozofię i poezję.

Oczekiwania są urodziwsze od spełnień.

Filozofia – lot myśli nad lasem rzeczy.

Utarte szlaki też były kiedyś bezdrożami.

Teraz to nic między było a będzie.

Najtrwalsze pomniki epok budują ich prześmiewcy, nie apologeci.

Pyszni zjadają się sami.

Wzdycha się do ziemi obiecanej, uprawia ziemię daną.

Słabym głowom marzą się rządy silnej ręki.

Kto warzy, niech uważa.

Religie wabią instrukcjami użycia po życiu.

Bóg – jedyny Pan, z którym jesteśmy na „ty”.

Mecze wygrywa się ruszaniem nogami, nie unieruchamianiem kciuków!

Łatwiej obejść prawo niż dojść sprawiedliwości.

Źle szarym komórkom w głowach do pozłoty.

Szafa zdobi kobietę.

Cenniejszy kroczek zrobiony, niż skok projektowany.

Erotyczna szczodrość pani domu rozchodzi się po gościach.

Muza całuje poetę w czoło. O więcej pieśnyczot musi zadbać sam.

Narzeczeństwo: chwila poezji przed wiekami prozy.

Gremia polityczne: towarzystwa wzajemnej aberracji.

Egoizm jest altruizmem do użytku wewnętrznego.

Szef jak szew – tym lepszy, im mniej widoczny.
Nie kucaj przed małymi, bo wydadzą ci się wielcy.
Monogamista robi wszystko z jedną, poligamista – jedno z wszystkimi.
Spod marnego pędzla wychodzą obrazy sztuki.
Przy wyświęceniach tłok, przy poświęceniach luz.
Obłuda bywa maścią na wyrzuty sumienia.
Cywilizacja obrazkowa pozwala coraz więcej widzieć, coraz mniej wiedzieć.
Dalej zajdzie, kto idzie sobie na rękę.
Polityk tak bije się w piersi, żeby bolało przeciwników.
Kiedy Laury więdną, Filonowie dziadzieją.
Jedni nie noszą kapelusza na głowie, inni – głowy pod kapeluszem.
Pismo było jasne. Zagmatwały je komentarze.
Gry pozbawione reguł toczą się według wyjątków.
Zakochujemy się w zaletach, rozwodzimy z wadami.
Poeci wyczekują na sytuacje przyMuzowe.
Amor nagradza panie miłością za ciałokształt urody i wdzięku.
Wypaczanie błędów prostuje drogę do celu.
Kury domowe miewają do pary pozadomowych kogutów.
Bałwanowi łatwo wypłynąć na szerokie wody.
Ciało w złocie, dusza w błocie.
Dość steranych u steru, niech nas wreszcie młoda krew zaleje!
Seks bez miłości: fizyka bez chemii.
Bywają prozaicy piszący pozą.

Łatwiej chłopu wyjść ze wsi, niż wsi z chłopu.
Gładko się z ludźmi gada, sękato dogaduje.
Kłopotliwy spadek niejednego przytłukł.
Z tego samego życiorysu da się skroić i hagiografię, i akt oskarżenia.
Patriota nie wypiera się dumy narodowej. Póki nie zobaczy, kto i jak się nią podpira.
Zanim *nie wszystkich umrę*, próbuję jeszcze częściowo pożyć.
Optymista trzyma rękę na plusie.
Jestem autorem zaściankowym: tkwię w opłotkach globalnej wioski.
Nów szczęścia wspomina się po latach jako pełnię.
Życie jest długie jak epigramat i wesołe jak epitafium.

Fraszki czyli stanforymy

Na fraszki spod lipy

O fraszki Janowe pod lipą pisane,
z narzekań słowików, z tonów lutni tkane...
Hojne dary niebios zesłane poecie,
miodem uszlachcane, dzbanem wina w lecie...
Przez Muzę zwabione w czarnoleską stronę,
Fraszki mistrza Jana, bądźcie uwielbione!

Janie Kochanowski, coś u Boga w niebie,
ojcze fraszkopisów, myśmy wszyscy z Ciebie!

Istota życia

Szukanie na wiele sposobów
najdłuższej drogi do grobu.

Do satyry

Satyro, ty jesteś jak brzęcząca mucha:
choć wielu cię słyszy, niewielu cię słucha.

Loty i łopoty

Najwięcej czyni łopotu
ptactwo niskiego lotu.

Przemawiacze

Święta czczą
mową czczą.

Festina Lente

Prędzej dojdiesz do finału,
gdy wiesz, kiedy iść pomału.

Sex libris

Co pagina,
to wagina.

Nagrobek oryginała

Tutaj leży oryginał.
Banalny go spotkał finał.

Raj by trwał wiecznie...

Gdybyż do Ewy rzekł w t e d y Adam:
– Jabłkę nie jadam!

Na opak

Czasem miewamy większe korzyści,
gdy planowanie nam się nie ziści.

Problem techniczny

Czy można spotwarzyć
człowieka bez twarzy?!

Państwo polskie

Łup
Grup.

Z narodowych tradycji

Polak od stuleci praktykuje modę;
z motyką na słońce. W pochmurną pogodę.

Szybkie numerki

Ciało spotyka się z ciałem,
z dusz raczej skromnym udziałem...

Ziemi przypisanym

Do zauważenia nieba
nieraz luster kałuż trzeba.

Tu i teraz

Czasy
kasy.

Pobożność polityków

Wołają: „Szczęść Boże!”
i idą na noże.

Rękojmia

Dożyją w swym stadle sędziwej starości,
bo wszystko ich łączy. Z wyjątkiem miłości.

Przy stole życia

Nic tak nie napętnia misy,
jak posilne kompromisy.

Wyznanie wstydlive

Kiedyś mi płacono za fraszki, choć grosze.
Dziś sam za nie płacę. I darmo roznoszę.

Po rozum do baby

Skorygować trza przysłowie:
Chłopski rozum – w babskiej głowie.

Bigot

Postępuję podle?
Ale ja się modłę!

Pożegnanie z bronią

Dopiero nad ranem umknąłem jej dłoniom.
Tak się przeciągnęło pożegnanie z Bronią...

Odgłosy tworzenia

Gdy artyście w brzuchu burczy,
mówi skromnie: „ferment twórczy!”.

Pewnik

Pod sztandarem nienawiści
lepszą Polską się nie ziści.

Nijakiemu u steru

Pożycz charyzmy
choćby od Dyzmy.

Cienizna

Z chudą panienką
jest randka w cienko.

Degradacja idei

Wczoraj – sztandarowa myśl,
marna chorągiewka dziś.

W dobie nieżyczliwości

Odżywa we mnie na nowo
wilczy apetyt na ludzkie słowo.

Ciąg do książ

Przewrotna książkowo jest Rzeczpospolita:
wielu książki pisze, niewielu je czyta.

Niepłodna zamiana

Baba mężnieje, chłop się kobieci...
Skąd się, u licha, mają brać dzieci!?

Liryczna entomologia

Nad rzeczką unosi się ważka –
natury urocza fraszka.

Wiedza zobowiązuje

Kto ma dużo doświadczeń,
Ten ma dużo do świadczeń.

Trasa asa

Dobiegł zwycięsko, lecz niestety
do innej mety.

Paradoksoza

O urodo życia w paradoksach skryta:
w radościach pożegnań i w smutkach powitań...

Swój, swoja, swoi...

Udawana cnota krytyk się nie boi,
gdy grono krytyków tworzą sami swoi.

Rozgraniczać!

Gryzą się z sobą wiara i wiedza,
gdy między nimi zbyt wąska miedza.

Dojrzewanie do niuansów

Z wiekiem bardziej cenię
życia światłocienie.

Redukcja

Wiele pewników stopniało już
do: może, prawie, oby, a nuż...

Nadal wesoło czyli smutno

Choć czas zmienił wiele rzeczy,
ciągle *pospolitość skrzeczy*,
kulawią nas nierówności
w polskiej drodze do wielkości.

Miary wielkości człowieka

Niech Fidiasz się dąsa, niech krawiec obraża:
miarą ostateczną jest miara grabarza.



Stanisław Fornal przy pisaniu. Fot. Anna Fornal



Spotkanie autorskie w Domu Kultury Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, 2012. Fot. Mirosław Trembecki

Tu i tam

Stoję u wieczności bram:
pół kroku tu, pół kroku Tam...

Stanisław Fornal



Rok 2006, Muzeum Lat Szkolnych Stefana Żeromskiego. Stanisław Fornal prezentuje swoje słuchowisko „Kieleckie lata”, wg młodzieńczych „Dzienników” pisarza
Fot. Stanisław Chałupczak



Stanisław Fornal na spacerze po Osiedlu Mickiewiczowskim w Lublinie
Fot. Anna Fornal

Antek

– Jak on się czuje? – spytał lekarza.

– A pan, kim jest? Rodzina?

– Kuzynem – skłamałem.

– No cóż, nie należy liczyć na poprawę – spojrział na mnie badawczo – skoro pan jest z rodziny, powinien pan wiedzieć.

– Wiem, ale człowiek, panie doktorze, to takie zwierzę, że gdy mu się nawet sto razy przydarzy coś złego, to zapomina i pamięta tylko to co dobre. I ma nadzieję, że jak coś kogoś ma dotknąć, to owszem wszystkich wokół, tylko nie jego. A tak w ogóle, to w jakiej jest kondycji?

– Dostaje silne środki przeciwbólowe i nasenne. Może być oszołomiony. Ból męczy i osłabia. Proszę nie siedzieć przy nim za długo.

W sali OIOM-u były trzy łóżka. Stałem w drzwiach, spoglądałem na zmienione chorobą twarze i nie mogłem rozpoznać Antka. Dopiero umiejscowiło go ciche „witaj”.

– Cześć, jak się masz – spytał jak idiota. Spróbował się uśmiechnąć. – Masz poczucie humoru – wyszeptał – jak zawsze zresztą...

Zamilkłem. Miarowy odgłos z aparatury, do której był podłączony, i wykres z monitora potwierdzały, że żyje. Potem jeszcze powiedziałem coś o dobrych lekach, jakie dostaje i o tym, że jak wyjdzie, pójdziemy na wódkę. Oddychał ciężko – oczywiście, że jak wyjdę, pójdziemy i to ja będę w lepszym położeniu. To ostatnie słowo zechciej rozumieć dosłownie. A tobie być może będzie potrzebny parasol. Zapowiadają deszczową jesień. Potem wypij za mnie. Postaram się być przy tobie. Przerwał na chwilę. Nie próbowałem zaprzeczać, przekonywać, że będzie dobrze.

– Idź już. Jestem zmęczony. I do zobaczenia na wódcę. Chciałem go uścisnąć, ale ująłem tylko jego dłoń i w tej samej chwili dotarło do mnie, jak wiele życia już z niego wyciekło. Wyszedłem ze szpitala. Pomyślałem, że on nie na mnie czekał. Siadłem na ławeczce w parku. Wczesnojesienne słońce wyzłoćiło liście klonów, gorzej miał kasztan utkany zwiędłymi, brązowymi strzępami czegoś, co kiedyś było liściem. Być może także próbowałby wpasować się w jesienne barwy, gdyby nie to, że jakiś tam robał skądś z dala przywleczony, skutecznie przyspieszył mu tę porę roku. Dendrolodzy próbowali leczyć biedne kasztany, ale takie indywidualne leczenie nie mogło dotyczyć wszystkich drzew. Zajęto się głównie grupami, które rosły w parkach, i wyjątkowymi okazami. Reszta,

podobnie jak ten przede mną, były skazane na nieuleczalną chorobę i śmierć. Próbował się jeszcze bronić wypuszczając zalążki kwiatów, które przydane były przecież wiośnie, ale to, w połączeniu ze strupiałymi liśćmi zapowiadało rychłą agonię. Jednak kasztany rosące w pobliżu jesienniały zwyczajnie. Czyżby więc rozmyślnie skazano biedne drzewo na śmierć? A może podający leki przypadkowo pominieli ten – może nazwę go moim – mój kasztan? W końcu tę szczepionkę podaje się w chwili, gdy nie ma jeszcze objawów choroby.

Przedem mną przebiegł młody goniący za piłką, potknął się i po chwili rozległ się krzyk – Maaamooo! Rozbite kolano dostosowało się do jesiennej kolorystyki, gasząc czerwień krwi brązem żwirku parkowej alejki. Matka siedziała na sąsiedniej ławce nie reagując na krzyk malca zajęta rozmową z koleżanką. Jego bolało kolano, mnie istnienie na tym, podobno, najlepszym ze światów.

Próbowałem cofnąć się w czasie. Jak się poznałiśmy? Kiedy to było? Nigdy tego nie analizowałem, po prostu znałem go. Gdy teraz spojrziałem wstecz, pojawiły się obrazy wspólnych studenckich wypraw do klubu, potem do żeńskich akademików. Dziewczyn, które raz tylko sprawiły, że doszło między nami do poważnego kryzysu. Tak to bowiem jest, że jeśli cokolwiek jest w stanie zachwiać męską przyjaźnią, to jest to rozdźwięk wprowadzony przez kobietę. No, może jeszcze wówczas gdy w grę wchodzi pieniądze, ale temu prawdziwa przyjaźń jest w stanie się oprzeć, podobnie jak różnicom w wyznawanych poglądach. Właściwie to nasze pokrewieństwo dusz przetrwało wszelki zamiecie polityczne i dopiero pojawienie się na horyzoncie Agaty sprawiło, że coś się w relacjach między nami zaczęło zmieniać. To nie była zmiana, którą można by było dostrzec. Dokonywało się niepostrzeżenie. Między nas wpętał powoli wąż sącząc jad. Nieszczęście polegało na tym, że ona nie była żadną kokietką, nie próbowała nas uwodzić, była kumplem traktującym nas obu jednakowo. Jednak była przecież kobietą, w dodatku atrakcyjną, co nie mogło ująć uwadze nie tylko dwu młodych ludzi wkraczających w dorosłość, ale żadnego mężczyzny. Tak więc, gdy Agata pojawiała się na horyzoncie, staraliśmy się być bardziej. A to oznaczało bycie bardziej dowcipnym, bardziej szarmanckim, bardziej przewidującym życzenia Agaty. Nie ulega wątpliwości, że podobała się nam obu. I tak, nie wiedzieć kiedy, rozpoczęła

się rywalizacja o jej względy. Gdy obdarzała któregoś z nas uśmiechem o pół tonu radośniejszym niż tego drugiego, gdzieś w okolicach serca pojawiało się ukłucie tworzące delikatną rysę na naszej przyjaźni. Byliśmy też o Agatę zazdrośni, gdy chodzi o innych mężczyzn, choć ten fakt nie miał wpływu na relacje między nami. Agata zdawała się nie zauważać naszego prześcigania się w próbach stroszenia kogucich piór. Każdy z nas starał się stworzyć w jej oczach wizerunek siebie nie tylko lepszego niż byliśmy w rzeczywistości, ale przede wszystkim lepszego niż ten drugi. To nie mogło się dobrze skończyć. I pewnie tak by się stało, gdyby nie pewien fakt, który co prawda pogrążył nas obu w rozpacz, ale jednocześnie sprawił, że nasza przyjaźń odżyła. Jak zwykle mieliśmy się spotkać w klubie „Pod Lwami”. Trochę byłem podekscytowany, zresztą podejrzewam, podobnie jak Antek, bowiem Agata zapowiedziała, że chce nam oznajmić coś ważnego. Pomyślałem, że może po tak długim okresie znajomości i testowania naszej męskości – bo przecież naturą kobiety jest podświadomy wybór nie tylko przystojniejszego, ale też tego bardziej męskiego – zechce wreszcie oznajmić, którego z nas wybiera. Gdy zjawiłem się w klubie, Antek już tam był. Nie zauważył mnie. Sączył powoli wino. Niby ubrany jak zwykle, jednak sylwetka, sposób, w jaki usadowił się przy stoliku, uniesiona inaczej głowa sprawiały, że było w nim coś uroczystego. Zaniepokoiło mnie to nieco, podszedłem.

– Cześć, jakie wino?

– Cześć, takie sobie. Elegant z ciebie dzisiaj – zauważył.

– Podobnie jak z ciebie. Czekać, pójdę po wino – Poszedłem do bufetu, nad którym wisiała wywieszka z napisem dołującym studentów „Kredyt umarł, czekamy na zmartwychwstanie”. Gdy wracałem z kieliszkiem w ręku, przy stoliku stała już Agata z jakimś facetem.

– Cześć Agata. – Odwróciła się z uśmiechem. – Cześć Bartek. Poznajcie się: To jest Julian. A to Bartek.

Byłem nieco zaskoczony. Po co ona przyprowadziła tego faceta? Przyjrzałem mu się uważnie. Nie był jakimś wyjątkowym przystojniakiem. Owszem, wysoki, dobrze ubrany, w naszym wieku, ale bez przesady, żaden macho. No może tylko spojrzenie, z jednej strony przenikliwe, z drugiej pełne ciepła, sprawiające, że mimo wszystko poczułem do niego sympatię. Antek, przed którym pojawili się nagle, także nie ukrywał zaskoczenia. To znaczy może i próbował je ukryć, ale fakt że Agata przyszła na spotkanie nie sama, jak oczekiwaliśmy, lecz z nieznanym, zrobił wrażenie.

– Siadajcie, czego się napijecie? Kawa, herbata, wino?

Wróciłem do bufetu wypełnić zamówienie. To pozwoliło mi nieco ochłonąć.

– Słuchajcie moi kochani – Agata wpadła w familiarnie uroczysty ton – umówiłam się tu z wami, ponieważ chciałabym powiedzieć coś ważnego. A jako że to wy jesteście najbliższymi mi osobami – przyjaźnimosię przecież od lat – jako pierwsi dowiedziecie się o tym, o czym za kilka dni poinformuję moją rodzinę.

Miałem złe przeczucie. Agata sprawdzała przez chwilę, jakie wrażenie robiła na nas ta deklaracja, po czym ciągnęła dalej – Otóż z Julkiem znam się od dawna, o czym zapewne nie wiedzieliście. Dziś poprosił mnie o rękę, a ja oświadczyłam, że przyjmę.

Zatkało mnie, podobnie zresztą jak Antka. Musieliśmy mieć głupie miny, bo Agata stłumiła śmiech. Julian też z trudem zachowywał powagę.

Tego wieczoru wino miało wyjątkowo cierpki smak. Potem, zaproszeni, byliśmy jeszcze na ich ślubie, ale nasze kontakty powoli się rozluźniały, by wreszcie zemrzeć naturalną śmiercią. Bowiem przyjaźń z Agatą nam nie wystarczała, a na rozbijanie małżeństwa żaden z nas nie miał ochoty.

Tak to wtedy Agata uratowała naszą przyjaźń. Ile to czasu minęło od tej chwili? Trzydzieści, czterdzieści lat bez jakiegokolwiek kontaktu. Nie wiedziałem, czy Agata żyje, czy ma rodzinę, dzieci, czy może się rozwiodła...?

Teraz jednak Antek odchodził i pomyślałem, że może Agata chciałaby o tym wiedzieć. Wygrzebałem gdzieś w starym notesie numer jej telefonu i zadzwoniłem, bez przekonania, że odbierze, minęło przecież tyle lat. W końcu mogła mieszkać gdzie indziej. Po kilku sygnałach w słuchawce odezwał się kobiecy głos. Przedstawiłem się. W jej głosie słychać było zdziwienie. – Bartek? A... tak pamiętam, słucham.

– Nie wiem czy pamiętasz, czy pani pamięta Antka?

– Antka?

– Przyjaźniliśmy się.

– A tak, chyba sobie przypominam – w jej głosie wyczułem niepewność.

– Otóż on... w tym momencie pomyślałem, że to co dla mnie i dla Antka było ważne, dla niej było nic nieznaczącym epizodem. – Otóż on i ja chcieliśmy złożyć pani życzenia imieninowe.

– Ale ja nie obchodzę teraz imienin. Choć to miłe, że pan zadzwonił.

Pomyślałem, że nie będę o nic pytał i nie zaproszę jej na kawę. Tego wieczoru wróciłem jeszcze do szpitala, ale łóżko, na którym leżał Antek, zajmował już inny mężczyzna. Jego też oplatały kabelki podłączone do urządzenia czuwającego nad kończącym się życiem.

Bohdan Gumowski

* * *

małe cerkiewki na klifach
niczym jaskółcze gniazda

absolut jest wszechjaskółką
jaskółki jego prorokami
znakami dla naszych niewidzących oczu?

to bardzo prawdopodobne
nawet bardziej niż ohrydzkie jezioro –
nad jego brzegami na schodach cerkiewki
czytamy wiersze nierzeczywiste

zaraz ulatują
ku szczytom gór babel
gdzie mieszają się frazy słowa metafory
pisane różnymi alfabetami

jaskółki unoszą
wersy do gniazd
wierząc bardziej niż my
w swoje posłannictwo

Erotyk świetlisto-subiektywny

w naszym pokoju są białe noce
ciemność nie ma przystępu
nasze ciała są środkiem światła
wnętrzem słońca
kwintesencją ognia
jesteśmy płonącymi zwierciadłami
zwielokrotnieni w słowach i spojrzeniach
ukryci i odkryci w sobie – pulsujemy
w krwiobiegu połączonym
poziomach i pionach
oślepego blasku

Podróż sentymentalna

oprowadzam cię po mieście mojego dzieciństwa
ale najpierw chciałbym odnaleźć
moje ślady kiedyś zapisane w chodnikach
odsłuchać – niczym z taśmy – głosy
tych którzy tu ze mną byli
nałożyć przyniesione w pamięci obrazy

na miejsca których nie ma
albo są zupełnie inne

wtedy moja opowieść byłaby prawdziwsza

ale nie będzie bo nawet kamień
mnie nie poznaje powietrze nie potrafi
wskrzesić zburzonych budynków
trwa bezradne i bawi się pustką

jak ci to wszystko powiedzieć
abyś uwierzyła że zacząłem się tutaj naprawdę
że ja to ja – wiem że słuchasz
i odnajdujesz ślady
których nie widzę

i to mi wystarcza

Święty pies

mój pies jest bliżej nieba
niż ja – rozumie i widzi więcej
pod jego niskim czołem
kłębią się wysokie myśli
filozofia mięsa teologia człowieka
nie ma grzechu pierworodnego
ani jakiegokolwiek innego
nieskażony w swojej dobroci
ma szczerość w piwnych oczach
nawet gdy kapłana chce ugryźć w pośladek
nie wyzbywa się świętości
bo widzi lepiej od nas i rozumie
co kryje się po lewej stronie błękitu – –

Zabawa w istnienie

za mną umierają moje dawne światy
– nie przeglądam się w pustce

gonię widnokrąg
patrzę przed siebie

dopóki ucieka – dopinguje do biegu
niczym przynęta wisząca na drągu
przed psim zaprzęgiem

porzucane koleiny
coraz bardziej niewyraźne

przede mną
mieni się dobra moneta:
tajemnica iluzja nic – niepoznane
nierozpoznane

w którym być może coś
zanim się połamie
kółko graniaste widnokregu – a ja
bęć!

Dialog ostateczny

już cię nie rozpoznaję w dewocyjnym obrazku
już nie boję się *dance macabre*
ani sądu ostatecznego

wiem że dopóki żyję
na ziemi w swoim kraju mieście
jestem ci obojętny
dla ciebie niewidzialny

kiedy zostaną wyjęty spod prawa
natury
stanę przed tobą tak aby cię przeczuć
abyś dowiedział się że przyszedłem
jestem i poznaję twój świat

wtedy opowiem ci swój

i zamyślimy się – nie wierząc obaj
we własne milczenia

Połączenie

mówimy do siebie w liczbie mnogiej

tak bardzo nie zgadzamy się
na osobność
boimy się
osamotnionych ciał i wierszy

jesteśmy
żywe domki z kart

– wiatr nabiera siły –

razem
przerywamy jego ciemne drogi
oswajamy bezkres

osłabiamy oddech pochtaniających nas widnokreęgów

wypełniamy siebie
po kres liczby mnogiej

klękają przed nami
słowa zwielokrotnione

Mała elegia

cisza i stare fotografie
niebale odsunięte krzesło

ostre cienie ranią światło

już nie spotkamy się tutaj
nie zagoimy światła
nie posprzątamy mroku
nie wydobędziemy z wnętrza fotografii
uwięzionych ludzi

oni wyzwalają się sami
idą za mną
w ciszy opuszczonych sprzętów
i własnych wizerunków

widzę umarły świat
i swój – ciągle żywy

śmieje się do mnie

ze mnie – –

Względność

słowo rozdwojone
– język węża –
w dwie strony mówimy

do dwóch różnych światów
biegniemy

a one są tym samym

choć domy różne
inne słońca
wokół
gorejące krzaki
w każdym z nich
inny bóg

cokolwiek nazywamy –
nazywa się inaczej

na końcach
rozdwojonego języka

Stan nieprzytomności

jeszcze jestem
ale tak jakby mnie nie było
bo już nie dostrzegam żadnego widnokągu
a twoja twarz
staje się nieczytelną mapą

ty
wpatrujesz się we mnie
widzisz w mojej twarzy
wszystkie dawne kontynenty

szaleństwo wyobraźni
wskrzesza moje uśmiechy

scala na moment myśli
wyzwala z amnezji

choćbym za życia
był martwy
znów żywy
powracam w tobie

Nieuchwytnie

lekceważę wszelkie zmartwychwstania
duchy smoki anioły
cudowne poczęcia i wniebowstąpienia

– zamykanie morza w butelce
niepojętość w państwie wyobraźni
która jest tylko rojeniem idioty

wzrok – gra światła –
siatkówka przesyła obrazy
które znikają
po zamknięciu oczu

słuch dalej nie sięga
niż na odległość kilku metrów
a mowa jest wyłącznie
naszą obronną twierdzą

nie mogę
uchwycić tego co nie ma kształtu
i – jeśli –
jest miliony lat świetlnych od nas

więc zagłębiam się milcząc
w oczy zwierzęcia

Stefan Jurkowski

Magdalena Węgrzynowicz-Plichta

Pustka i słowa zwielokrotnione w liryce Stefana Jurkowskiego

W najnowszym tomie poetyckim Stefana Jurkowskiego pt. *Pamiętka po nieobecności* czytelnik znajdzie bardzo zwięzłą notkę biograficzną o poecie, z której dowiaduje się, że autor do tej pory opublikował 16 tomów poezji i jako poeta debiutował w 1967 r. na łamach „Kierunków”. Dlaczego te dwie informacje mają takie istotne znaczenie, że je przytaczam? Wszak nie ilość wydanych książek i nie lata poety decydują o tym, czy jego poezja jest oryginalna w warstwie treściowej i ideowej, nie decydują także o wartości artystycznej napisanego dzieła. Jakkolwiek zgodzimy się z tym, że wiek i dorobek nie decyduje, to możemy polemizować, na ile wpływa i w jaki sposób światopoglądowo

i kompozycyjnie wywiera nacisk na najnowsze utwory, ponieważ zarówno osobiste doświadczenie, jak i pokoleniowe więzi oraz ciągła praca nad słowem zawsze zostawiają jakieś piętno w postaci liryki osobistej (bezpośredniej). A tej w najnowszym siedemnastym tomie *Pamiętka po nieobecności*, skierowanej proporcjonalnie do kilku adresatów, w stosunku do liryki pośredniej jest dużo. Monologi, gdy podmiot liryczny jest wyrażony w liczbie pojedynczej z gramatyczną końcówką subiektywnego „ja”, przeplatają się z wyznaniem podmiotu zbiorowego „my” i mniej lub bardziej typowymi elegiami i rap-sodami, bo jak inaczej nazwać pozostałe wiersze o śmierci, przemijaniu i zagładzie.

Dla przyszłego badacza literatury ciekawe może być zagadnienie, na ile dominujące uczucie pustki i przecucie kataklizmu podmiotu literackiego, zawarte w większości utworów tego tomu, jest wynikiem osobistych przeżyć Autora i jego osobniczego doświadczania świata, a na ile jest efektem pewnej świadomości zbiorowej; tego faktu, że wszyscy jesteśmy zanurzeni w określonej kulturze, konkretnej religii i jako istoty społeczne podatni na wszelkiego typu sugestie i manipulacje. A jednak, jak Stefan Jurkowski podkreśla w wierszu pt. *Połączenie*, przede wszystkim stęsknieni jesteśmy obecności drugiego człowieka:

mówimy do siebie w liczbie mnogiej

*tak bardzo nie zgadzamy się
na osobność
boimy się
osamotnionych ciał i wierszy*

Ten prawie egzystencjalny lęk przed samotnością powoduje bardzo ważne implikacje – zbiorowy podmiot literacki konstatuje zapewne na podstawie bezpośredniej obserwacji, że dopiero obcowanie z drugim człowiekiem, dzielenie z nim życia i bycie we wspólnocie stanowi o dopełnieniu człowieczego losu, a nawet przynosi ocalenie. Choć poprzez zastosowanie przenośni, że ludzie to *żywe domki z kart*, sugeruje słabą kondycję *homo sapiens*, to jednak zaraz dzięki metaforycznemu dopełnieniu:

wypełniamy siebie
po kres liczby mnogiej

w oryginalny sposób podkreśla jego wytrwałość w dążeniu do budowania więzi. Kiedy rodzi się bliskość, wraz z intymnością pojawiają się nowe obszary, nowe sfery wspólnego życia, nie tylko spełnienie, ale także, jak pisze w innym wierszu (*Obecność*), łagodna tęsknota:

wiem że jesteś przy mnie kiedy piszę wiersz
i kiedy go nie piszę
przychodzisz z lepkiego mroku
niczym zwielokrotnione słońce

albo przebudzenie do życia jak w wierszu pt. *Nadzieja*:

kochana przynieś mi poranek
i w ślepych oczach zapal światło
wtedy się zbudzę – i zobaczę

że dzień się zbliża – w twojej twarzy
w której rozpoznam swe odbicie

Owo metaforyczne wypełnianie siebie w znaczeniu do głębi do ostateczności – po kres liczby mnogiej – manifestuje się pięknie także w kolejnym liryku pt. *Chwila razem*:

we wszystkim co nas przenika
i co my przenikamy
w znakach wszystkich alfabetów świata
w najstarszych księgach i modlitwach zwierząt

jesteśmy i nie jesteśmy
żyjemy dla umierania
umieramy do siebie

Aż owo wypełnianie siebie uzyskuje apogeum w *Erotyku świetlisto-subiektywnym*, w zmysłowy i dynamiczny sposób wyrażającym miłosne zespolenie:

jesteśmy płonącymi zwierciadłami
zwielokrotnieni w słowach i spojrzeniach
ukryci i odkryci w sobie – pulsujemy
w krwiobiegu połączonym
poziomach i pionach
oślepego blasku

Miłość to dla światowej literatury i sztuki idealny motyw, a dzięki wszelkim jej przejawom i obliczom wprost niewyczerpany. Gdy na jednym skraju kontinuum zakochanych znajdują się bohaterowie i herosi, na drugim odszczepieńcy i nędznicy, to całą przestrzeń pomiędzy wypełniają zwyczajni kochankowie, którzy postrzegają siebie jako „my”, jak fizyczną niemal odrębność, gdy mówią do siebie lub o sobie w kategorii mnogości. Szczególnie w kulturze europejskiej w przypadku kochanków, małżonków, więzi rodzicielskich i braterskich słowo „my” powoduje odrębny status. We wspólnotach religijnych przybiera postać sakramentów, dlatego musi mieć ogromny wpływ na język i obyczaje. Przypuszczam, że względu na pewne kody kulturowe i tradycję, która implikuje określone znaki i symbole, jak np. wiara, nadzieja i miłość, można zrozumieć utwór bez doszukiwania się deklaracji poetów do przynależności do określonych kościołów. Choćby wyznanie (z wiersza *Nadzieja*):

kochana – kiedy mnie ocalisz
to może skończy się legenda
pięknej miłości – dzień się zaczyna
z nagłą powszedni choć świetlisty

absolutnie czytelne w swej prostocie, przez zastosowanie słowa *światlisty* nabiera prawie mistycznego charakteru, który podkreśla w poincie retoryczne pytanie do ukochanej:

powiedz mi tylko czy nad tobą
dalej trwa jasność przezroczyista
którą chcesz unieść z ufnością
że pewnie nic nas nie rozdzieli – –

Parodiowane przez wszystkich, którzy w latach 70. ubiegłego wieku chodzili do szkoły, powiedzenie – co Poeta miał na myśli? – nie jest zupełnie pozbawione sensu. Postawione inaczej jest punktem wyjścia badań hermeneutyki – zapoczątkowanej w starożytnej Grecji interpretacji tekstów literackich i źródeł historycznych, a w szerszym znaczeniu także wszelkich treści symbolicznych. Oczywiście wielka poezja, a z taką tym razem mam do czynienia, ma to do siebie, że nie daje się w sposób jednoznaczny zinterpretować. Kiedy wiersz przemawia obrazami, zmusza czytelnika do snucia refleksji, pobudza do odwołania się do osobistych doświadczeń, wywołuje określony nastrój, czyli dociera do czytelnika poprzez zręcznie zbudowany wielopoziomowy komunikat; to zupełnie niemożliwe, żeby wszyscy czytający tak samo zrozumieli użyte w nim metafory. Wynika to po części z samej struktury dynamicznie zmieniającego się języka, który zawiera nie tylko synonimy, ale także wyrazy o wielu znaczeniach, np. *zamek*, *pilot*, *mysz*, *zebra*, *komórka*. A po części z faktu, że to samo słowo może mieć wiele desygnatów, np. choć słowo *chleb* ma dla wielu osób podobne znaczenie, to może wywoływać inny obraz. Dodatkowo sprawę często komplikują dwa (nie tylko literackie) zjawiska: stosowanie symbolu i toposu. Dlatego odczytanie najgłębszej znaczeniowej warstwy niektórych utworów wymaga nie tylko erudycji, ale czasem nawet wiedzy specjalistycznej. Ciekawa jestem, ile możliwych interpretacji może pojawić się po przeczytaniu omawianego wiersza do końca, gdy pojawia się obraz, kiedy:

klękają przed nami
słowa zwielokrotnione

Mnie nasuwa się jedno skojarzenie (i naprawdę nie wiem, czy poeta miał je na myśli), że robią to one z szacunku, oddania dla tej wielkiej sprawy, jaką jest miłość. Artyzm tego wiersza polega nie tylko na samej metaforze – doskonała także jest kompozycja tego utworu. Już sam tytuł *Połączenie*

podkreśla ową wielokrotność, a gdy zauważymy, że wiersz rozpoczyna się wolnym wersem, o znaczeniu jakby osobnej zwrotki: mówimy do siebie w liczbie mnogiej, a kończy pointą wyrażoną dwuwersem: klękają przed nami / słowa zwielokrotnione, która zamyka go jakby klamrą, to otrzymujemy wrażenie nie tylko personifikacji słów zwielokrotnionych, ale jednocześnie podniesienie rangi tych, którzy je wymawiają.

A jednak autor nie chce być wynoszony ani na piedestał, ani na pomniki, ale nie wynika to tylko z jego skromności; jako osoba krytycznie patrząca na rzeczywistość wie – w licznych elegiach i satyrach w omawianym tomie daje temu wyraz – jak niełaskawe są ogólnie rzecz biorąc i „społeczeństwa” i „czasy” dla bohaterów z jednej strony i jak fałszywi bohaterowie z drugiej. W liryku osobistym bez tytułu (* * * mówią że piszę smutne wiersze) Stefan Jurkowski, który nie chce być zaklasyfikowany jako poeta sentymentalny, dokonuje swoistej demaskacji. We fragmencie wiersza cytowanego poniżej wyrażnie wybrzmiewa prawie że groteskowa autoironia:

mówią że piszę smutne wiersze
a ja się śmieję
ciągle wyśmiewam
z wszelkiego smutku

najlepiej bawię się na pogrzebach:
śmierć jest clownem
z przyklejoną zabawnie czaszką

Kiedy jednak w strofach pojawiają się skojarzenia i konotacje wywołane przez słowo *pustka*, raczej nie do śmiechu ani autorowi, ani czytelnikowi. Snucie refleksji o przejściu do innego wymiaru, kiedy to stan nieważkości nie pozwala nam wracać, gdy wsiąkamy w inną stronę świata, wymaga nie tyle podniosłego patetycznego nastroju, ile gorzkiej zadumy nad ulotnością życia, jego kruchością i poczuciem osamotnienia. W lirycznym wyznaniu pt. *Małe katharsis* poeta zauważa, że kiedy: odchodzimy / w szczeliny między godzinami to wtedy nawet / pustka / nie domaga się dopełnień. Dopiero teraz, w takim kontekście metafizycznym, gdy, jak w wierszu pt. *Umiera słowo*, następuje: wyciszenie / miłości i śmierci/ aż po strzępy widnokągu, możemy przyjrzeć się tytułowi tomu: *Pamiętka po nieobecności*. Tytuł, który jest intrygujący od samego początku, nie wyjaśnia się wcale w prosty sposób w czasie lektury, ponieważ znaczenia słów gęstnieją nie tylko za sprawą doskonałych metafor, ale także ze względu

na obrazy i zarysowane opowieści, które mają dwie równorzędne bohaterki: śmierć i życie. A ponieważ liryka osobista Jurkowskiego ze względu na adresata może być pogrupowana w co najmniej trzy cykle, to do tytułu można się odnieść zarówno w kategoriach uniwersalnych, jak i osobistych, gdy po śmierci poety / zostaje niedokończony wiersz. Jest wszakże jeszcze trzecie metaforyczne, oryginalne znaczenie, które budzi we mnie tzw. dysonans poznawczy: jak może istnieć pamiątka po kimś, kto nigdy nie zaistniał? Słowo *nieobecność* jako kategoria ogólna pojawia się na początku wiersza *Światy wspólne*:

jesteśmy w nieobecnościach
bardziej niż przy sobie

w różnych światach
lecz w jednej przestrzeni
w której istniejemy prawdziwie

a z drugiej strony pojawia się, jak w wierszu bez tytułu „(* * *) ciemne miasto bez latarni”, jako kategoria ogólna słowo *pamięć*:

pamięć nasza – oddzielona
od nas samych – nic nie wiemy

Czy zatem w tytule wiersza mamy do czynienia z oksymoronem? Trudno sobie „przedstawić”, jak ma fizycznie wyglądać owa *pamiątka po nieobecności*. Może wskazówki należy szukać w utworze *Szczelina*, kiedy to poeta wyznaje, że:

pomiędzy jestem a nie ma mnie
zakrzywiona linia krajobrazu
ludzie zapamiętani na mgnienie twarzy
wzruszenia niczym sekundy
– biegają zmieniają się niektóre
trwają dłużej – zapis śladów – książka

A zatem może to być i ów tom poetycki – *pamiątka po nieobecności* jako zapis chwili, chociaż ta jest przelotna i w wierszu *Do Muzy* poeta ostrzega:

nie możesz tutaj być
nie możesz tutaj trwać
w zmiennej przestrzeni
wiersza
w trzęsieniu
metafory

Tym bardziej, że w kolejnym liryku osobistym *Zabawa w istnienie* zauważa:

za mną umierają moje dawne światy
nie przeglądam się w pustce

gonię widnokraj
patrzę przed siebie

Chociaż topos śmierci w rozmaitych konfiguracjach i odmianach w liryce Stefana Jurkowskiego jest równie ważny z miłością, która jest synonimem życia, to ostatecznie zwycięża ta druga, gdy wiersz *Mała elegia* puentuje takim wyznaniem:

widzę umarły świat
i swój – ciągle żywy

śmieje się do mnie
ze mnie – –

Dlatego kiedy lekturę wierszy z omawianego tomu Jurkowskiego kończymy wierszem „(* * *) nie wiń mnie za tę miłość”, możemy odetchnąć z ulgą. W zakończeniu nie ma przysłowiowego happy endu, bo przecież w prawdziwym życiu taki literacki „twór” wydarzyć się nie może. Jest natomiast zwyczajne pogodzenie się z losem, wyrażone w niezwykły sposób, gdy podmiot liryczny zauważając swoją nieobecność:

pustka która po mnie
zostaje w jednym miejscu
w drugim się wypełnia

prosi o wybaczenie:

i nie wiń mnie za to
co nam zapisano
w niepojętej księdze

Możemy odetchnąć z ulgą i za jakiś czas powrócić ponownie do lektury, ponieważ miarą wielkości tej poezji jest jej ponadczasowość i uniwersalizm, a bogactwo refleksji i doznań – ośmielę się napisać – powoduje odkrywanie nowych pamiątek po nieobecności.

Magdalena Węgrzynowicz-Plichta

Dziedzictwo

twój lęk trzyma mnie za rękę
latami sączy się do krwi
wciela w ciało. wmyśla w każdą myśl
nauczyłam się go już
– kiedy czynię gest
cofam się odruchowo i opuszczam dłonie

mój mieszczański lęk z twojego mieszczańskiego lęku
w spojrzeniu zza firanki
znad ciasnego kołnierza
i milczących ust

to przez niego
gdy idę po owoc wzdłuż pnia i konarów
w ostatniej chwili widzę
jak cofa się gałąź

i zostaje mi w ręce złote jabłko z krzyżem
– strach

* * *

zaułki uliczki cienie
nad głową przejaśnienia ćmienia i przeloty
z dachu na dach prosto w puste gniazda
ile tu się dzieje – wprost nie do pojęcia

a to wszystko jest tylko biegiem
z ciemności w nieznanie
przez wąską smugę światła

Jakie to szczęście, że możemy iść

*przechodzimy poprzez siebie
na drugie nasze strony
(Stefan Jurkowski)*

dzień od którego jesteś ze mną
to jednocześnie
dzień od którego cię brak
nagle, w tylu naszych miejscach

bo nie ma cię
– przy oknie i w wejściowych drzwiach
przy biurku i przy stole

w przestrzeni w której – nie patrząc –
szukam twojej dłoni

choć jesteś
– w czekaniu
w słuchawce telefonu
w każdym słowie listu

na szczęście możemy iść
w sobie poprzez siebie
wracać w przeciwnie strony
na początek świata

coraz bliżsi w tej głębi
– brnąc w wysokich słowach
po nieobcej ścieżce wśród łagodnych myśli –
jakie mamy szczęście że możemy iść:
gubić się w sobie, odnajdywać w sobie

* * *

szczęśliwy kto żyje tylko swoim światem
i wraz z nim odchodzi gdy nadejdzie pora

my – zanurzeni w historii –
jesteśmy zawsze w połowie cudzego umierania
i trochę z nas też ubywa
z każdym słowem
rozdanych nekrologów

nasze powroty
to powroty w miejsca ludzi umarłych

szukanie dawnych przyjaciół
– spacer żywych
pośród świeżych grobów

jak teatralne kukiełki na długich sznurkach
huśtamy się
to w obcą przyszłość
to w znajomą przeszłość
już uciekającą

* * *

tę poezję widziałam
jak odległe lądy
podpływające coraz bliżej w śnie
– tak blisko
aż mogłam zajrzeć za widnokrąg

– w wielkie przenikanie
w cały kosmos znaczeń

tę poezję wiedziałam
od pierwszego wersu:
nagle budzę się w każdym słowie
każde słowo się we mnie odzywa

– doskonała harmonia
równowaga szal

gdzieś z wysoka
niepokój sięgają obce ręce
ale tu nie wschodzi

Pisanie wiersza

słowo
niezwykłe jak kamień
w którym się przeczuwa
niemożliwy puls

w nim opisywać
odważnie
ciosać i szlifować
aż ukaże się całość zasklepiona w sobie

później
martwić się
i obawiać wiecznie

czy nam sens największy
nie zaginął w okrucinach
i odpryskach

Kosmogonia

zawsze jest święto gdy tak patrzysz przed siebie:
w oczach masz wielką przestrzeń i historię gwiazd.
brzegi prakontynentu rwą się na strzępy.
słowa szukają rzeczy. wszystkie filozofie
pną się różnymi drogami lecz na ten sam szczyt
i płynię w nadmorskiej mgłę mały obłok wiedzy
naszej – o nas

aż w końcu na którejś mapie
zjawiają się postacie
tak jednomyślnie
jakby sobie wzajemnie użyczały cieni

– tak musiał patrzeć On
wieczorem w szóstym dniu stworzenia
choć teraz mniej prawdziwy
niż my w tej chwili

Na powierzchni

to słowo jest proste i nieuniknione
jak szaleństwo u tego
kto je zechce pojąć:
i gołymi rękami rozewie planety
i rozgrzebie ziemię i przeczesze wody
ale znajdzie tylko samo dno obłądu

to słowo jest nieskończone i pełne jak światło:
kryształ z fenickich luster. pogodzone z sobą
powtarzające się w sobie aż do upewnienia

nie mogę go przejrzeć. wiem jedynie
po której stronie srebra jestem w tej całości

więc sięgam po słowo
a zostaje mi w ręce tylko konkret liter.
dotyk powierzchni. powierzchnia dotyku

Źródło

zagłębiamy się w siebie
jakbyśmy szli wzdłuż rzeki
do jasnego źródła

stąd tyle spijamy słów. tyle myśli czerpiemy.
stąd spływa na nas ufność:

znam cię coraz lepiej
więc znajduję tego samego w każdej z twoich twarzy

a z każdym krokiem w górę
po drodze
niezauważalnie zaszczepiamy pamięć
naszą – której nie sposób opisać
żadnym cudzym szczęściem
ani strachem

Anna Maria Musz

Żelazo i rdza

(fragment powieści)

Według sołtysa Wita Kulilulki, na całym bożym świecie nie ma wsi piękniejszej od Międzymościa. W Międzymościu – dowodził siedząc na wkopanej w ziemię ławce pod zakratowanym oknem sklepu Julii i Romana Synowców – jest wszystko, czego zwykły śmiertelnik potrzebuje do szczęścia. Są ludzie, krewni albo przynajmniej starzy znajomi, rzeka, las, szkoła z salą gimnastyczną, ośrodek zdrowia, kościół, cmentarz, pałac Wapińskich w ruinie, remiza strażacka w remoncie i Dom Ludowy w budowie. Kiedyś była jeszcze kolejka wąskotorowa. Osiemdziesiąt lat jeździła przez Ponidzie wte i wewte, aż nastąpiła przemiana, wajchę przestawiono z lewa na prawo i po wąskotorówce, poza rdzewiejącymi szynami na nasypie, nie zostało nic.

Weźmy wspomniany sklep. Niegdyś geesowski, dzisiaj prywatny. Przeszłość zamknięto w okazjonalnej przyśpiewce.

Śpiewaj Polsko cała
niechaj echo drze się
jak nowe prześcieradło
kupione w geesie

Synowcowie postawili na rozległą ofertę, tak żeby klient opuszczając przybytek z mocno odchudzonym portfelem miał przekonanie, że zrobił korzystny interes i otrzymał, po co przybył. Pasek do spodni, bateria do zegara, pieprz mielony, zeszyt w kratkę, łańcuch dla psa, mąka tortowa, parówki i pół litra żółdkowej gorzkiej. Czym dla profesora uniwersyteckiego katedra, dla księdza ambona, dla agitatora politycznego trybuna z mównicą, tym dla Międzymościa jest rzeczona ławka wraz z sąsiadującymi z nią po bokach dwoma pieńkami po ściętych akacjach. Katedra, ambona i mównica pod wspólną postacią, jako że kto jak kto, lecz sołtys Kulilulka na owo honorowe miejsce w pełni zasłużył. Gdyby skrupulatnie podliczyć lata publicznej misji, sołtysował Międzymościu przeszło czterdzieści lat, z rzadka i na krótko ustępując stołką konkurencji. Był jakby logo rodzinnej wsi. Mówiąc Międzymoście myślało się Kulilulka, mówiąc Kulilulka, myślało się Międzymoście.

Ale dość ochów i achów. Pora na konkrety. Te zaś są takowe, że Kulilulka siedząc na ławce omawia niespiesznie bieżące kwestie z podsołtysem Cukrow-

skim i naczelnikiem straży pożarnej Hynogą. Dwaj przypadkowi uczestnicy narady Barański i Chruszcz przycupnęli na pniaczkach.

– W Międzymościu jest wszystko, tylko pieniędzy jakby za mało w kieszeniach i społecznej szkatule. – Wszyscy zgromadzeni zgodzili się z przedmówcą. – Ale na to nikt nie poradzi. Musi być jak jest. Wczoraj wieczorem dzwonił do mnie wójt Kabała. Pytał, kiedy skończymy remont remizy. Odpowiedziałem, że damy czynu społecznego, na ile nas stać, przy pracach wykończeniowych i porządkach, ale na kupno tego czy tamtego Międzymościa po prostu nie stać.

– Po prostu jest krzywo – zauważył zde gustowany postawą wójta naczelnik Hynoga.

– Właśnie. Gdyż mamy na głowie również Dom Ludowy.

– Jak go zwał, tak go zwał, byle był i trwał – wtrącił swoje trzy grosze Hynoga zdradzający zacięcie do filozoficznych sentencji.

– Taaa – sołtys umyślnie przeciągnął samogłoskę dla podkreślenia powagi sprawowanego urzędu, jako osobistość pozostająca poza i ponad wszelkimi układami i presją z zewnątrz, jakby chciał przekazać niższej rangi współplemieńcom lakoniczną acz znaczącą informację: Międzymoście to Kulilulka i na odwyrtek.

Biegli w sztuce dyplomacji słuchacze wynagrodzili słowny popis sołtysa aprobującym rechetem. Zresztą, żaden nie zdołałby podskoczyć Kulilulce powyżej kolan. Ponadto nie było czasu ni miejsca na personalne przepychanki. Remont strażnicy z braku pieniędzy przeciągał się ponad miarę oraz wytrzymałość strażackiej braci. Do zakończenia budowy Domu Ludowego też było daleko. Tutaj znów całą mocą napierały agresywnie panie w liczbie ponad trzydziestu skupione w Kole Gospodyń Wiejskich, którym oddano we władanie Ośrodek Nowoczesnej Gospodyni zlokalizowany właśnie w gotowej części Domu Ludowego, gdzie urządzano babskie wieczorki, wszelkiego rodzaju kursy i prelekcje, złożono naczynia i obrusy, gdzie wreszcie wolnymi chwilami ćwiczył chór Międzymościanki pod potrzeby dożynek, akademii, jubileuszów. O co zahaczyć, pośrednio lub bezpośrednio tyczyło osoby Kulilulki, bez aprobaty którego nawet wójt Kabała nie śmiałby kiwnąć małym palcem w lewym bucie. Rachunek strat i zysków dla tego ostatniego był niezwykle prosty. W Między-

mościu mieszkało prawie tysiąc osób. Więcej niż połowa to wyborcy. Wystarczyło zadrzeć z Kulilulką na jakimkolwiek polu, aby tuż przed kolejnymi wyborami samorządowymi pakować manatki i opuszczać niezgorzej płatne stanowisko gospodarza gminy.

– A zatem, moi panowie – podjął sołtys po krótkiej acz wymownej pauzie – jeżeli tylko człowiek posiada łeb mniej więcej pośrodku tułowia, wyjdzie cało i zdrowo z każdego bagna. Czy na ten przykład wspominałem kiedyś, jak zostałem swatem majstra Magdonia?

Chociaż znali historię ze szczegółami, chóralnie stanowczo zaprzeczyli. Wobec powyższego sołtys wygodniej rozsiadł się na ławce i wierzchem dłoni otarł spierzchnięte wargi, rychnując dłuższą opowieść żywcem wziętą z bogatej autobiografii.

– Otóż, moi panowie – dla większej jasności umysłu przymknął oczy – z Klimka Magdonia zawsze wyłaziła na wierzch nieśmiałość jak włosie z kota na wiosnę. Na zabawach i weselach przeważnie stał w kącie. Ale chociaż niepozobierany, był mężczyzną, i kiedy nastawała odpowiednia pora, zaczął głupieć na punkcie dziewczyn. Ale nie miał do nich szczęścia. Co do której wystartował, dostawał prztyka w nos i odchodził z płaczem. Aż padło na Hortensję Gregor z Chrobaków zza lasu. Akurat skończyła szkołę pielęgniarską. Magdoń jeździł do roboty w Łężyckim Przedsiębiorstwie Budowlanym, już jako technik. On kruchej kości, ona grubszej. On wysoki i chudy, ona niskawa pusia jak puchowa podusia. Ona przedsiębiorcza i zadziorna, on miękki w sobie i rzewny. Czy tam rozmawiali, tego nie powiem, gdyż nie wiem, ale raczej myślę, że Magdoń więcej przewracał ślepiami i wzdychał, niż czarował. Mazgaj i kropka, ale kiedy spotkaliśmy się na drodze koło kościoła i mnie spytał, czy byłbym chętny zostać swatem, bez namysłu powiedziałem: oczywiście, z miłą chęcią – bo ja zawsze frontem do uczciwego człowieka.

Naczelnik Hynoga, obdarzony najbystrzejszymi oczami, brutalnie przerwał fascynującą opowieść o skojarzeniu pielęgniarki z majstrem budowlanym w parę małżeńską. Targnął sołtysa za łokieć, jednocześnie wskazując paluchem dość odległy przykościelny plac, gdzie zwykle odbywały się trzy doroczne odpusty, na pewno nie tak rozbuchane, jak za dawnych czasów, ale zawsze z nieodłączną asystą zapobiegliwych wiślickich kramarzy.

– Patrzaj, sołtys, o wilku mowa.

– Czego? – zachnął się zbity z pantaląku Kulilulka, wielce nierad z przerwania mownego spektaklu.

– Podąża majster Magdoń.

– Prawda – potwierdził Chruszcz. – Chyba trzeźwy, bo się nie kiwa na boki.

– Magdonia – chrypnął sołtys – chociaż chudy, a wypić nieraz musi, nikt nigdy nie widział w stanie upojenia alkoholowego.

– Ładnie powiedziane – przypodchlebił się Cukrowski. – Jakbym czytał wiersz jakiegoś sławnego poety.

Zgromadzeni zgodnym pomrukiem potwierdzili, że są jednego zdania z Cukrowskim, co częściowo wynagrodziło Kulilulce gorycz porażki, jako że nawet wójt Kabata trzymał język za płótem zębów, gdy na sesji Rady Gminy głos zabierał znamienity sołtys Międzymościa. Natchnienie spadło do poziomu zerowego.

Faktycznie, poboczem asfaltowej drogi wiodącej od dawnej stacji wąskotorówki koło kościoła, sklepu Synowców ku otoczonemu ogrodem, zrujnowanemu niemal doszczętnie pałacowi Wapińskich zdążył niespiesznie wysoki i chudy mężczyzna w powalnym wapnem i farbami roboczym kombinezonie, z drewnianą skrzynką na narzędzia, swobodnie dyndającą na rzemiennym pasie z lewego ramienia. Magdoń zaszalutował Kulilulce i pozostałemu kwartetowi, przystawiając otwartą prawą dłoń do wysokiego czoła z brązową plamą po farbie nad lewym okiem.

– Jak się masz, Klimuś – zagadał łaskawie Kulilulka. – Gdzie dzisiaj robieś?

– U Cebulaja na Smugu.

– Patrzcie państwo, jak się odbił od dna. Cóż ci takiego zlecił do roboty?

– Łazienkę z włoskimi płytkami i prysznicem.

– Co, co?

Dyplomatów ławkowych formalnie zamurowało. Wszak ludziska miewali rozmaite, nierzadko porąbane pomysły, jak chociażby ten, ażeby Międzymoście przemianować na miasto, który to projekt władze zwierzchnie odrzuciły jako bezpodstawny i niemożliwy do realizacji. Ale łazienka z kafelkami? Sołtys pierwszy odzyskał zmysły i względną równowagę psychiczną.

– Zapłaci ci chociaż, Klimuś, za usługę?

– Dwie trzecie uiścił z wyprzedzeniem, co mnie mocno ujęło.

– Ho, ho. No ale nic. Ja, jako sołtys, popieram każdą oddolną inicjatywę. Kiedyś chodziło się za potrzebą za stodołę z liściem od buraka cukrowego w garści. Do Łężycy, żeby zaoszczędzić na bilecie na kolejkę czy autobus, baby chodziły z masłem i jajkami na targ piechotą czternaście kilometrów tam i drugie tyle nazad. Po wojnie we wsi były tylko trzy murowane budynki. Dzisiaj jest kanalizacja, wodociąg, u każdego chętnego telefon, telewizory najnowszej generacji, Internet i ledwo kilka drewnianych chałup u babki Modrakowej, u dziadka Fijałka, u starych Ta-

łajów i jeszcze u kogoś, tylko zapomniałem. Później sobie na pewno przypomnę. Ale, ale, Klimuś, miałbyś trochę czasu pro publico bono?

– Pro publico jak pro publico, dla sołtysa Kulilulki jak najbardziej, chociażby w środku nocy.

– W środku nocy – sołtys skierował ku Chruszczowi palec wskazujący – każdy mężczyzna go-dzien tego miana posiada w swoim własnym łożu ważniejsze sprawy do załatwienia z żoną. Dobrze mówię, panowie?

Zaś panowie wybuchnęli gromkim śmiechem, jako że Kulilulka jak zwykle utrafił w sedno, w czułą strunę każdej dobranej pary, która koniec końców wylądowała na wiele godzin w wygodnym łożu,

– Chodzi o to, Klimuś, że pomału kończymy prace w sali konferencyjnej Domu Ludowego. Tylko potrzeba solidnie posprzątać. Na wójcie Kabale wymogłem nareszcie, że dał zgodę na dochodową zabawę w Międzymoście z przeznaczeniem na kupno potrzebnych sprzętów do Domu Ludowego. Wszystkie formalności załatwi osobiście i dostarczy potrzebne pismo zaraz po niedzieli. Straż zajmie się ochroną. Bilety będą po dwie dychy od pary i po dysze od singlów i singielek. W bufecie piwo, pieczywo, kielbasa, salceson, kaszanka, bez zdzierania skóry. Weźmiemy orkiestrę Byczyńskiego. Skrzypce, harmonia, trąbka, kontrabas i bęben, żeby zagrała od ucha jak za dawnych dobrych czasów, kiedy jeszcze nie słyszano na Ponidziu o szarpidrutach. Wziąłbyś, Klimuś, żonę, córkę, syna.

– Kiedy?

– Pasuje w sobotę?

– Po obiedzie pasuje.

– Rzecz załatwiona. No, nie zatrzymuję cię dłużej.

Wal na obiad. Życzymy smacznego.

Magdoń w odpowiedzi przystawił do czoła otwartą dłoń, jak wówczas, kiedy jako poborowy oddawał honory starszym rangą wojskowym.

Wzmianka o zabawie ludowej z wyszynkiem znacznie podniosła temperaturę twórczego spotkania na ławce przed sklepem. Zgromadzeni w komplecie należeli do pokolenia tradycjonalistów. Wspominano zatem niemal ze szlochom rozmaite zdarzenia z mniej lub bardziej odległej przeszłości, jak kiedy nasi bili się z tamtymi z za lasu czy z za rzeki pięściami, kołkami z płotu, krzesłami, czym popadło, byle do krwi. Im więcej rozbitych nosów, wybitych zębów i krwi, tym dla nowożeńców lepsza prognoza na długie, dostatnie i w ogóle szczęśliwe życie. Później nasi gonili tych z za rzeki aż za most, gdzie role się odwracały. Następował przełom, mobilizacja sił i środków po przeciwnej stronie i pogoń tamtych za naszymi do

punktu wyjścia, czyli do domu, w którym grała muzyka i odbywało się wesele. Tutaj nasi i tamci zmywali z siebie w korycie przy studni krew i kurz, i już jako tako pogodzeni siadali za biesiadnymi stołami, aby hucznym toastem uczcić zdrowie młodej pary.

– Tak było – przyznał Chruszcz. – Sam się lałem z tamtymi. Jednego razu oberwałem po łbie grabiami. Od tamtej pory gorzej słyszę na jedno ucho.

– Na które? – rad był wiedzieć Barański.

– Co na które?

– Na które ucho mianowicie gorzej słyszysz, głuchu!

– Właściwie na oba.

– Pamiętacie – ciągnął nić wspomnień Barański – jak śpiewali muzykanci od Byczyńskiego?

Dziewczyno kochana

pokaż mi kolana

a ja ci pokażę

stojącego pana

– Tak było, ale się zmyło – potwierdził Chruszcz. – I se ne wrati.

– Wróci, wróci – przerwał jałową dyskusję Kulilulka. – Niech tylko Byczyński ze swoimi przystąpi do dzieła.

– Bić się też będziemy? – dociekał Barański. – Jak sołtys uważa?

– Jak Bozia da, to kto wie, moi panowie. Kto wie.

Na Jagodniku, na prawo od ogrodu, jak ku rzece, wbrew szumnej nazwie, nigdy nie rosły żadne jagody, natomiast od niepamiętnych czasów stała gorzelnia, niewyczerpalne źródło dochodów miejscowych dziedziców. We wrześniu 1939 roku niemiecki samolot rzucił na Międzymoście dwie bomby. Jedna wpadła w bagno wyrzucając w górę fontannę błotka na wysokość wieży kościelnej. Druga trafiła w gorzelnię, burząc mury zewnętrzne i uszkadzając zbiorniki wypełnione gotowym do wysyłki spirytusem. Cóż to było za święto i radość dla mieszkańców. Nosili spirytus do domów wiadrami. Pewien szczęśliwiec przyniósł czternaście wiader i zlał do szczelnie zamkniętej metalowej beczki, żeby starczyło na dłużej. Za darmo i do syta. Dziadkowie wnukom opowiadali tę poruszającą historię, uśmiechając się lubieżnie i oblizując wargi jak kot wpatrzony w wiszący pod powatą polec słońcy.

Po wyburzeniu rudery i spożytkowaniu pozyskanego budulca na utwardzenie dróg wiejskich, teren zniwelowano pod budownictwo indywidualne. Pomału powstało siedemnaście domów, po większej części piętrowych. Magdoń zajmował czwartą działkę po prawej stronie Jagodnika, patrząc od wsi, na której postawił piętrowe cacko z przeszklonym gankiem,

jakże różne od drewnianej chatki pod strzechą po dziadku Wieku, z kuchnią, izbą i komorą, na zimę gaconą ugrabionymi w parku liśćmi, żeby było cieplej. Zaś w domu czekały żona Hortensja z córką Blanką, dwie pusie, oraz wysoki brunet o smolistych oczach i dziwnym jak na Ponidzie imieniu Samson, całkiem niepodobny do żadnego z domowników, syn przysposobiony po śmierci własnego, którego w wieku dwóch lat pograżyła jakaś tajemnicza a nieuleczalna choroba. Właśnie zjechał ze studiów już jako student piątego roku kieleckiej Politechniki, a więc o mały co inżynier. Wracający z roboty majster przez otwarte okno w pokoju widział siedzące przy stole trzy postacie, a gdy podszedł całkiem blisko do ganku, usłyszał szczełk łyżek i poczuł smakowitą woń rosółu na kogutku. Należy przyznać z ręką na żołądku, że Hortensja była wyborną kucharką. Odezwało się dobrze znane ssanie w brzuchu i ślinka nabiegła zwiększoną strużką do ust. Miał to w charakterze, iż nigdy nie jadał u zleceniodawców, chyba że zaistniały nadzwyczajne okoliczności. U Cebulaja nie zaistniały. Wprawdzie Cebulajowa wyniosła mu spory kawałek placka drożdżowego z zakalcelem, ale gdy tylko zniknęła w kuchni, podrobił ciasto w palcach i rzucił kurom.

Skrzynkę z narzędziami zostawił pod ławką na ganku. Przebrał się i z grubsza umył w łazience.

– Smacznego państwu – rzucił od niechcienia przekraczając próg pokoju.

– Kujemy – powiedziała żona z pyzată buzią pełną klusków własnej roboty.

– Dzięki – pisnęła nie mniej pyzată córuchna, która właśnie skończyła zawodówkę w Łężycy o kierunku kucharz–kelner i już miała przez sołtysa Kulilulkę posadę kierowniczkę Ośrodka Nowoczesnej Gospodyni w nowo budowanym Domu Ludowym.

– Dziękuję, tato – zakończył rodzinny popis Samson, nieco unosząc tyłek z krzesła i odwracając ku przybranemu ojcu szczerą, wylewnie uśmiechniętą twarz. Przez całe długie lata nawykli do siebie jak wędzidło do końskiego pyska, niemniej majster za każdym prawie razem, kiedy się spotykali po dłuższym niewidzeniu, doznawał przejmującego uczucia, że nie wszystko jest na miejscu, jak być powinno i natura przykazała. To nie Samson powinien teraz siedzieć przy stole i wcinać rosół, lecz tamten nieszczęśnik, kość z kości, wszędobylski Adaś, skarb, szkrab, drobina, w której płynęła krew i biło serduszko.

Pomimo krągotności niektórych kobiecych atrybutów, Hortensja z lekkością i zwiewnością nastolatki chyżo pomknęła do kuchni, skąd po kilku minutach przyniosła wazę dymiącego rosółu, którym zalała

makaronowe wstążki czekające w głębokim talerzu. Całość posypała posiekaną natką pietruszki. Magdoń siorbną wyraziście raz, drugi i trzeci napełniając serce gospodyni prawdziwym szczęściem, jako że właśnie wypełniła jedno z najświętszych przykazań: głodnego nakarmić, spragnionego napoić, nagiego przyodziać, bezdomnego przygarnąć pod dach.

– Nic ci nie dali jeść u Cebulaja, biedaku?

– Przecież wiesz, że nie jadam u obcych.

– Ja bym nie potrafiła nie dać.

– Cebulajowa przyniosła jakiś zakalec, ale podrobiłem kurom.

Po drugim talerzu otarł wargi chusteczką i przekazał domownikom prośbę sołtysa w sprawie sobotnich porządków w sali konferencyjnej Domu Ludowego pod wizytę wójta Kabały i nieco późniejszą dochodową zabawę strażacką.

– Zgodziłem się chętnie – zakończył perorę.

– Jeszcze by nie – dopowiedziała Hortensja. – Dla naszego sołtysa tobym poszła pieszo do Lichenia, gdyby zaszła pilna potrzeba. Już trzy razy byliśmy pieszo z pielgrzymką w Częstochowie i nawet schudłam przy okazji o cztery kilo.

Magdoń jakoś owego schudnięcia nie zauważył, lecz przykrą uwagę zachował dla siebie, aby nie psuć panującego przy stole odświętnego nastroju. Odświętnego z tej przyczyny, że nie dalej jak wczoraj zjechał ze studiów Samson. Tymczasem panie zajęły się obmyślaniami strojów na rzeczoną zabawę. Co przerobić, co dokupić, a co wyprać i wyprasować; aż majster rozgłośnym chrząknięciem dał sygnał, że po zupie winno pojawić się drugie danie. Faktycznie było. Mięso z kogutka, tłuczone ziemniaki, gotowana marchewka i kisiel.

Między jednym a drugim kęsem Magdoń popatrzył lewym okiem na Samsona, zaś prawym na Blankę. Jakażeż pomiędzy młodymi jest reakcja. Wszak córka skończyła w marcu osiemnaście wiosenek. Studentowi minął dwudziesty czwarty rok. Sześć lat różnicy nie stanowiło problemu. Sam był od Hortensji starszy o pięć z hakiem. Blanka była bardzo ładną panienką na wydaniu, jasną blondynką o lekko puszystych kształtach po matce, lecz dosyć wysoka po ojcu. Wszystkiego było w sam raz, tyle ile potrzeba, żeby podbijać serca rówieśnikom. Tak też się działo.

W szkole zawodowej w Łężycy nieustannie otaczał ją krąg wielbicieli, pośród nich Grzesiek Cukrowski i Franek Hynoga, wnukowie znanych nam z ławki przed sklepem podsołtysa i naczelnika straży pożarnej. Razem jeździli do miasta, razem wracali na niedziele, święta i wszelkie wolne od nauki dni. Magdoń

miał cichą nadzieję, że w młodym życiu Blanki nie zdarzyło się nic takiego, z czego mogłyby powstać kłopoty. Ale, przecież, nadzieja matką głupich. Nie miał wprawdzie, Boże broń, nic przeciwko młodym Cukrowskiemu i Hynodze. Zdali maturę, znaleźli zajęcie w warsztacie samochodowym w Łęczycy, przynosili do domu pierwsze uczciwie zarobione pieniądze, nie hulali zanadto. Ale majster patrzył wyżej. Mianowicie na o mała co inżyniera. Obaj byli budowlańcami. Samson mógł zejść wysoko. Był super pod każdym względem. Chociaż obcy, zadomowił się u Magdoniów na dobre. Blanka patrzyła na Samsona jak na święty obraz, nie mogło być pomyłki. Co do Samsona, na dwoje babka wróżyła. W przeszłości kilkakrotnie wymienił jakąś Lili Git. To nie był nikt konkretny. Bardziej symbol. Wyobrazenie czegoś lub kogoś. Najpewniej czegoś pod czyjąś postacią. Bez dowodów. Same domysły. Samson indagowany delikatnie w tej materii, nie dał się pociągnąć za język. Jakby w ogóle nie było tematu. W mniej osobistych okolicznościach mogło nie być, a i owszem, teraz wszakże zaczął się nowy rozdział w biografii urodziwej potomkini rodu Magdoniów. Czowała wolę bożą i to tak intensywnie, aż tarła pod stołem udem o udo i błyszczącymi zielonkawymi oczami o mała nie przewierciła Samsona na wylot. Ani chybi, trafiło Blankę. A ojciec wcale jej się nie dziwował. Jego też swojego czasu trafiło, kiedy poznał Hortensję, tyle że nie posiadał odwagi oświadczyć się osobiście, tylko wysłał w swaty sołtysa Kulilulkę. Z wiadomym, pożądanym skutkiem, czego owocem był pierworodny Adaś, a w trzy lata później Blanka. Sęk w tym, że Samson, zajęty konsumpcją dóbr doczesnych, jakby ciut za mała udzielał się uczuciowo. Czasem coś bąknął, popatrzył to tu, to tam bez większego przekonania. Fakt, w domu nie było chłopaka szmat czasu, od świąt Wielkanocnych. Siedział w Kielcach w akademik i kuł do egzaminów. Magdoń to rozumiał, lecz sesja egzaminacyjna dobiegła szczęśliwie końca, czwarty rok został zaliczony, brudy do prania przywiezione, zatem wypadało zająć się sprawami rodzinnymi, nie zaś bując w obłokach.

– Samson, widziałeś drabinkę przeciwpożarową na ścianie koło swojego okna?

– Naturalnie.

– Wiesz, straż pożarna prowadziła wiosną kontrolę po zagrodach pod kątem zabezpieczenia na wypadek zaproszenia ognia. Nam zalecono montaż drabinki. Gdyby na przykład zajęły się schody wiodące na piętro, wystarczy otworzyć okno, złapać się drabinki i spokojnie zejść na ziemię.

– Tuż koło okna Blanki.

– Gdyby ogień zajął parter, uciekłyby bezpiecznie przez okno.

– A jużci – przytaknęła Hortensja, świadoma, chytrego mężowskiego zamysłu. – Bezpieczeństwo jest najważniejsze.

– Straż pożarna czuwa – uzupełnił Magdoń. – Mamy najlepszą jednostkę w powiecie. Dzięki sołtysowi Kulilulce. On jak do czegoś rękę przyłoży, to klękajcie narody. Swojego czasu był moim swatem, kiedy chodziłem w konkury do obecnej żony.

– Owszem, byłeś trzy razy – parsknęła Hortensja krótkim, urywanym śmiechem, albowiem знаła całą nagą prawdę o wyprawie sołtysa w charakterze swata za las, do Chrobaków, gdzie wtenczas mieszkała z rodzicami. Otóż wyposażył Kulilulkę na drogę w dwie półlitrowki wódki, kilo kiełbasy, torbę bułek pińczowskich oraz pełnomocnictwo co do daty zaręczyn i późniejszych kroków przedślubnych. Kulilulka, jako że sprawa była poważna, dobrał sobie do towarzystwa naczelnika straży Hynogę. Magdonia zostawili pod kamienną figurą na Poprzeczce, nakazując czekać do skutku na – miejmy nadzieję – pozytywne wieści z Chrobaków. Pośląncy dobrej nowiny szli kwadrans przez ciemny, gęsty las, co i rusz utykając na wystających z ziemi korzeniach i klnąc na czym świat stoi. Jako pierwszy Kulilulka zawetował sens dalszej wyprawy.

Do celu były jeszcze ze dwa kilometry i istniała realna obawa, że nie doniosą cało butelek z alkoholem.

– Tak czy inaczej, musimy odsapnąć – rzucił na chybił trafił.

Jak się pokazało niebawem, trafił. Przysiedli zatem na powalonym drzewie. Kulilulka wyjął z papierowej torby po dużej bułce, ułamał dwa kawały kiełbasy, odpieczętował półlitrowkę, pociągnął z gwinta solidnie, chuchnął i podał szkło koledze. Potem zakąsili. Nim oprzytomnieli, nie było ani wódki, ani kiełbasy, ani bułek. Nie było z czym iść w swaty. Posiedziawszy jeszcze czas jakiś, powrócili do pozostawionego w szczerym polu żonkosia. Kulilulka powiadomił Magdonia, że misja powiodła się nadzwyczajnie, droga przetarta, rodzina przychylna, zaś termin najbliższej oficjalnej wizyty konkurenta ustalono na niedzielę po sumie. Albowiem należy objaśnić mała obeznanym z tutejszymi realiami, iż parafia w Międzymościu obejmowała swym zasięgiem sześć wsi, samo Międzymoście, położoną obok Gąsawę, Kały i Mszary za Nidą oraz Chrobaki i Halinówkę za lasem. Dwie wioski to nasi, pozostałe cztery tamci. Z przewagą liczebną i siłą ognia naszych. Otóż w każdą niedzielę i święta do tutejszego kościoła ciągnęli wierni zarówno z rzeki, jak i z lasu. Obowiązkowo musieli przede-

filować główną drogą przez wieś, czyli koło sklepu Synowców. Sołtys z naczelnikiem straży siedzieli na ławce od świtu. Ich cierpliwość została wystawiona na ciężką próbę, albowiem Hortensja z rodzicami objawiła się dopiero za kwadrans ósma. Kulilulka żwawo poskoczył. Odciągnął zaskoczonego ojca dziewczyny na bok i w krótkich słowach wyłuszczył rzecz całą od początku, niczego nie tając. Zakończył żądaniem, aby zaraz po nabożeństwie zabrali zakochanego po uszy biedaka do swego domostwa w Chrobakach, wysłuchali uprzejmie, podjęli gościnnie i zgodzili się na ślub. Fakt faktem, Kulilulka potrafił przemówić do rozumu, chociażby najślabszego. Magdoń znany był w okolicy jako cichy, pracowity, beznatógowy rzemieślnik. Jak się rzekło, tak się i stało. Weselisko było huczne na cztery fajerki, aż echo niosło za rzekę i za las. Lecz pełną wiedzę o swatach Hortensja dla spokoju ducha wolała zachować dla siebie. Minione ćwierćwiecze pokazało, że trochę przez przypadek, lecz dokonała słusznego wyboru. Klemens okazał się wzorowym mężem i ojcem. Mniej czy więcej, ale zawsze zarabiał, postawił elegancki dom, zmajstrował parkę dorodnych dzieciaków. Adasia przedwcześnie powołał Bóg do sfer niebieskich. Wola nieba, trudno z nią walczyć. Trudno i na próżno. Ale Blanka chowała się wybornie. Rosta i piękniała w oczach, aż do owego przełomowego momentu, kiedy uległa czarowi tego piękniś Samsona. Tyle że ów piękniś jakoś migał się bokami, mało podatny na wręcz jawny afekt przybranej siostry. Ognistych listów nie przysyłał z Kielc, na wyprawy po okolicy chadzał samotnie, o komplementach w ogóle zapomniał, jakby Blanka była kukłą z amatorskiego teatrzyku lalek, nie zaś pełnokrwistą co się zowie panią na wydaniu. Stąd właśnie pomysł z drabinką przeciwpożarową. Gdyby Samson skapował i zechciał skorzystać. Przy obiedzie nie wydarzyło się nic więcej. Blanka pomogła matce sprzątać ze stołu i zmyć naczynia. Magdoń leżał na wersalce, żeby rozprostować utrudzone gnaty. Samson czym prędzej wyniósł się na górkę. Dysponował kwadratowym pokojem. Pozostałą część piętra zajmował lamus, gdzie gromadzono zużyte bądź uszkodzone sprzęty, szmaty, murarskie i malarskie narzędzia. Przez szeroko otwarte okno na północ widać było nielichy kęs Ponidzia, a więc samą Nidę, łąki i pastwiska za rzeką, obie zarzeczne wioski przynależne do tutejszej parafii, a zasiedlone przez tamtych, dalej fabrykę domów, jak nazywano Zakłady Przemysłu Gipsowego w Stegnach, wraz z malowniczym osiedlem mieszkaniowym. Znacznie dalej leżały Kielce i za nimi masyw Gór Świętokrzyskich. Samson wystawił głowę poza ramy okienne. Magdoń nie zmyślał. Nigdy zresztą nie cygańił. Drabinka tkwiła

przytwierdzona do muru na fest. Dotknął jej zacieka-wiony. Szybko cofnął rękę. Metal aż parzył, nagrzał się od słońca. Drabinka była fabrycznie nowa. Ani śladu rdzy. Kusilo, żeby skorzystać z tej drogi ewakuacyjnej. Lecz nie wypadało w biały dzień, mimo że aluzja była aż nadto wyraźna. Samson nie był przecież głupi ani bezmyślny. Od dawna widział i wiedział, co się wokół święci. Owszem, Blanka była śliczna jak malowanie. Porządna, gospodarna, przylepna. Tyle tylko, że Samson jeszcze nie dojrzał do roli narzeczonego, tym bardziej głowy rodziny i stróża domowego ogniska, a nie chciał mącić wody w spokojnym stawie i brudzić dziewczynie w życiorysie, pomimo licznych dowodów, że jest nim zauroczona i zainteresowana. Jakby na potwierdzenie powyższej myśli z dołu, z pokoju Blanki dobiegł śpiew. Blanka dysponowała czystym, szlachetnym altmem. Razem z matką występowały w liczącym przeszło dwadzieścia pań zespole Międzymościanki. Samson uważnie wsłuchał się w słowa.

Jak długo mam jeszcze
czekać na ciebie
ile wieczorów i ile dni
tyle już znaków
spisałam na niebie
że mnie kochasz
powiedz mi

Ta znowu swoje. Jedno i to samo. Jak koń w kieracie podczas rżnięcia sieczi. Samson powinien jakoś zareagować na jawną zaczepkę. Na przykład odśpiewać, jak to czynili miejscowi na ludowych zabawach, może nawet zejść po drabince? Wszak w tym właśnie celu została przez zapobiegliwego ojca zamontowana. Wybrał trzecie, najprostsze rozwiązanie. Mianowicie leżał na wersalce na wznak z przygodnie zgarniętą ze stołu książką. Wszakże litery latały przed oczami jak rozłozzone osy. Nie, nie chciało mu się czytać i myśleć, co autor miał na myśli pisząc to, co napisał. Owszem, postąpił niegrzecznie wobec Bogu ducha winnej dziewczyny. Cóż winna, że się zadurzyła. Zgoła nic. W śpiewie dziewczyny znać było radość życia, siłę serca i żądzę szczęścia. Czy to tak wiele? Tyle że w Samsonie radości, siły i żądzę było nie więcej niż łez u kota. W sam raz, ażeby istnieć i już. Wściekle cisnął książkę na dawne miejsce, przysięgając sobie w duchu, że w niedzielę rano wyjedzie do Łęczycy poszukać jakiegoś sensownego zajęcia na wakacje.

Z powyższym postanowieniem zasnął smacznie, mimo dobiegających z parteru kolejnych skarg na nieodwzajemnioną namiętność.

Henryk Kawiorski

Odzyskać najważniejsze

Książka Henryka Kawiorskiego *Pocałunek na dobranoc* zdobyła I nagrodę w II Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Stefana Żeromskiego w roku 2015. Autor, jak w wielu wcześniej już wydanych powieściach, eksponuje Poniemie i Ziemię Świętokrzyską, z którymi związany jest właściwie przez całe swoje życie. Gdziekolwiek znaleźliby się bohaterowie utworów H. Kawiorskiego, ich drogi życiowe prowadzą do świętokrzyskiej krainy. Najczęściej też tu się zaczyniają. I jeśli nawet, tak jak w *Pocałunku na dobranoc*, pojawiają się inne regiony naszego kraju (np. Kraków, Śląsk, Stalowa Wola), bo tam los rzucił bohaterów, to zawsze rozbudza się tęsknota i pragnienie powrotu do tych oswojonych miejsc, będących niejako Arkadią – bo przecież to z nimi na zawsze zjednoczył się czas dzieciństwa i wczesnej młodości. Powiedziałabym tu, że H. Kawiorski idzie drogą samego S. Żeromskiego, który wyszedłszy z świętokrzyskiej ziemi pozostał jej wierny i tu prowadził swoich literackich bohaterów, co też wielokrotnie podkreślała wybitna znawczyni i miłośniczka twórczości autora *Szyfowych prac* – Barbara Wachowicz.

W powieści H. Kawiorskiego jeden z głównych bohaterów Fabian Gajski żywi niemal kult dla Żeromskiego. Kolekcjonuje jego dzieła, szuka ich po księgarniach i antykwariatach, wiele fragmentów prozy Stefana, jak go w myślach nazywa, zna na pamięć. I chyba nie bez racji będzie powiedzieć, że autor uwypuklając niezwykle silne oddziaływanie dzieł Żeromskiego włożył tu i własne emocje. Jego bohaterowie, Fabian i Luluś, mają coś z Marcina Borowicza i Andrzeja Radka, przede wszystkim pochodzenie społeczne – jeden z rodziny inteligenckiej (ojciec – kierownik szkoły), drugi z chłopskiej – syn analfabety. Czas jest już inny, powojenny, ale ciągle trudny dla Polaków. Nowa władza narzuca swoją ideologię i trzeba się temu podporządkować. Ale wszystko to, co dzieje się na przestrzeni aż kilkudziesięciu lat ciekawych biografii bohaterów, pokazuje autor z dystansu czasu. I może ten właśnie dystans pozwala spojrzeć na to, co już odległe, z przymrużeniem oka, z poczuciem humoru i niekiedy ironią, bo i los przedstawionych postaci bywa ironiczny. Ale też sam autor ma takie właśnie lekko ironiczne spojrzenie na ludzkie poczynania, zmaganie się z losem, ludzkie wady i słabości, i co więcej, umie

je pokazać w kategoriach humoru, nawet zabawy. Czytelnik nie może się tu nudzić, zaskakiwany coraz to innymi zdarzeniami; niekiedy są to małe, ale jakże znaczące scenki z życia.

Pocałunek na dobranoc jest chyba książką bardziej osobistą dla Henryka. To moje spostrzeżenie, ale w powieści jest sporo wątków, które można odnieść do autora. Własna biografia, a przynajmniej niektóre jej fragmenty stają się często tworzywem dla pisarza. Ale przecież w tych splatających się ze sobą losach Fabiana i Lulusia wielu czytelników, zwłaszcza tych, których dzieciństwo i młodość przypadły na czasy powojenne, odnajdzie tu coś z własnej biografii. Także w postaciach innych, dalszoplanowych. Dla młodego pokolenia będzie to już historia.

H. Kawiorski nie stroni w swych powieściach od wątków miłosnych, erotycznych. I w tej jest ich niemało, stanowią one jej silną stronę, zwłaszcza że ukazują wchodzenie młodych ludzi w pierwsze seksualne doznania równoległe z wchodzeniem w świat ludzi dorosłych. Te pierwsze zauroczenia, te pierwsze miłości, te pocałunki na dobranoc zostaną w pamięci, gdy to aż nadto dorosłe, nadto ustabilizowane życie nie przyniesie szczęścia.

Książka H. Kawiorskiego zawiera inną jeszcze refleksję, a mianowicie pytanie, co w życiu człowieka jest naprawdę ważne. Odpowiedź przyniesie tu sam los działający niekiedy na zasadzie przypadku. Gdy Fabian przeżyje tragiczny wypadek samochodowy, gdy będzie zdany na długotrwałą rehabilitację, pojawiają się takie właśnie refleksje i rozterki. Ogarnie myślą swoje życie, a w nim też dążenie do sukcesu. Ale czym ono jest, gdy nie ma w nim miłości bliskiej osoby, nie ma rodziny. Nic więc dziwnego, że spróbuje odzyskać to, co najważniejsze.

Henryk Kawiorski, *Pocałunek na dobranoc*, Kielce 2016, OW „STON 2”, s. 125.



W matematyce łąk

W matematyce łąk
wytoczone koła czasu
rozwijają kwadraty dywanów
stawiają prostopadłościany malowanego tła
napinają cięciwy znaczeń

utkane materie
zaskakują
potęgowaniem obrazu

spodziewane kształty
oplecione promieniami ruchu
zaginają brzegi powietrza
przetaczają kręgi

sieczne dążeń
zapadają się w głębię

zaplatane barwy
odnajdują się w aromatach
kielichy
przelewają się
napętnieniem

światło
strzela życiem

styczne dmuchawców
podkreślają przestrzeń

W obłoku czasu

Otwieram ciszę

w obłoku czasu
unosi się
niewypowiedziana przestrzeń

nabrzmiwa

w braku słów
zapis stanu

obecność

Przed klasztorem kamedułów
w Rytwianach
u pierwszej bramy
pustelni złotego lasu
u bramy ciszy
wsłuchuję się w wiosnę

sanktuarium
otwiera się
lasem odgłosów

modlitwa i praca
przepełniają
moją pustelnię



Maria Wollenberg-Kluza: *Quo vadis*, olej, płótno, 120 x 105 cm

Pożegnanie

„Dlaczego drugi człowiek
podwójnie?”
(Karolina Turkiewicz-Suchanowska)

więc nie spod naszych nóg
droga uciekać będzie

więc to nie jedność lecz
osobność
nam pisana

weź chociaż mnie tyle
ile waży
uścisk dłoni
albo odwrócenie wzroku

a ja poproszę słońce
o taniec
na Twojej planecie

i o deszczu symfonie
niech Ci grają
najpiękniej

Fotografia

podglądam twój świat
w świecie za światami

patrzę przez uchyloną nieuwagę
uważnie
z odległości tak niebezpiecznie bezpiecznej
że nawet cień nie sięgnie

świat zawsze bez wczoraj
sentymentów
i wątpliwości

tyle tam wszystkiego
tyle barw
ile na naszych zdjęciach
powiększanych czasem przez pamięć

tyle tego
ile mojego
na które wyszło

zdążyć przed sobą
za Tobą nadążyć
uprzedzić wszystkie znaki
zanim we znaki się wdadzą

dogonić jutro
czarne ptaki przegonić
zanim się w gorzkie czcionki obrócą

nieznacznie naznaczyć nieznaczące gesty
by znaczeń przydać przestrzeni
bez Ciebie nieruchomej

do poruszenia jeszcze
niebo i ziemia
i tyle kartek do przewrócenia
do wysłania listów
słów do wyłuskania
ugłaskania
niezawracania z dróg

ponagla mnie każdy Twój krok
nie obok
ponagla każde uderzenie serca

Od redaktora: Szczęśliwym trafem, goszcząc jesienią w opolskich bibliotekach, spotkałem od dawna niewidzianego utalentowanego poetę, autora tych wierszy. Syna nieodżałowanej wspaniałej pisarki członkini ZLP (poetki, prozatkini), animatorki życia kulturalno-literackiego w Namysłowie i Opolu Karoliny Turkiewicz-Suchanowskiej (1939–2007). Tej, „której róża powierzyła swój sekret”; od 2008 patronki ogólnopolskiego konkursu poetyckiego pn. „O Różę Karoliny”, organizowanego przez Namysłowski Ośrodek Kultury. Tej, co „umiała tylko zaklinać wierszem / swoje «teraz» żeby było / powietrzem którym jeszcze / można oddychać”. Która wiersz *Cierpliwość II*, dedykowany swym dzieciom Beacie i Kordianowi, zakończyła puentą: „Wyrzuć przez lewe ramię wirtualne światy / uwierz chociaż na chwilę w niemodne słowo «czułość» / i prześlij go myślą / na drugi kraniec ziemi”.

Syn Kordian „uwierzył w to niemodne słowo”, autor tomików *Rachunek sumienia* i *Dreszcze*, laureat wielu ogólnopolskich konkursów. Będziemy owocnie współpracować, popularyzując jeszcze szerzej niż dotychczas piękną ideę Karoliny: poetycki „dialog serc”.

Stanisław Nyczaj

Olej z pierwszego tłoczenia

(aforyzmy, sentencje)

*

Myśl z pozoru genialna może okazać się olśnieniem lub zgoła zaślepieniem, dlatego wymaga rozsądnego dystansu, by z miejsca nie poraziła zdrowego punktu widzenia.

*

Źródła przemian biją często po kieszeniach prostych obywateli, natomiast sporadycznie uderzają w prawodawców.

*

Od wyroków losu nie przysługują apelacje, także prorokom, jak i domorosłym wróżbitom.

*

Przepowiednie dają wiele do myślenia, niejednokrotnie jednak odbierają wolę działania.

*

Nie niszczy reliktów przeszłości, gdyż po latach mogą zostać uznane za relikwie.

*

Wszystkie epoki kończą się bankructwem idei, zaś bankructwo idei – wyprzedzą pamiętek z epoki.

*

Zanim wynaleziono koło, ludzkość tak szybko się nie staczała, zaś obywatele na okrągło nie byli rozjeżdżani.

*

Zwykle szukamy partnera z odmiennym charakterem, aby mieć okazję przerobić go na własne kopyto.

*

Nieśmiertelność ma przyszłość, ale nie dla osobnika, który przez całe życie się nudził.

*

Mur nieufności rozbierajmy cegła po cegle. Beton należy wysadzać od razu, jednak siłą umysłu, a nie dynamitem.

*

Kiedy trudno ocenić, że zdołamy uciec, strach na wszelki wypadek paraliżuje nam nogi, żeby szybciej ustawić nas w pozycji klęczącej.

*

Najbardziej popularną filozofią w polityce będzie zawsze partyjny egzystencjalizm.

*

Zgoda rujnuje prawników, prawnicy – obywateli, zaś obywatele mogą się co najwyżej pogodzić z niesprawiedliwością losu.

*

Trudno jest rozwinąć skrzydła, podpierając się na co dzień jedynie własnym piórem.

*

Czy złoto to zło? To nie wyłącznie anagram, lecz aluzja do tego, że to ono poddaje nas próbom.

*

Silny argument to nie wyłącznie argument siły, chyba że mamy na myśli wyłącznie siłę sugestii.

*

Trudno docenić nektar życia bez goryczy wyrzeczeń bądź piołun porażki bez marzeń o słodkim wyniesieniu na piedestał sukcesu.

*

Aby kochać życie, trzeba mocno wierzyć, że wszystko i zawsze z pomocą kochającej osoby da się w nim naprawić.

*

Czy ktoś zauważył, że uchylane przed nami rąbki prawdy już dawno się wystrzępiły?

*

Kordony policji nigdy nie służyły spajaniu władzy, natomiast skutecznie zacieśniały opozycję.

*

Choćbyśmy wszystko w swoim życiu ugrali, to i tak w końcu oddamy karty do powtórnego rozdania.

Od Redakcji:

Marka Niegodajewa (zam. w Piotrkowie Trybunalskim) pamiętamy z pokłosa Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Mikołaja Reja (Nagłowice 1998), opublikowanego m.in. w tomiku *Nowe figliki*, głównie z powodu wymownej fraszki pt. *Rozbrat*: „Dwa literackie związki, / a tylko jedne Powązki”. Popularyzowaliśmy publicznie tę fraszkę, optując np. z trybuny Krajowych Zjazdów ZLP za połączeniem pisarskich organizacji, czego gorącym orędownikiem był do końca swych dni prezes Piotr Kuncewicz. I cały czas opowiadamy się za zgodną obustronną rezygnacją z tego nonsensownego podziału, szkodzącego wspólnym przecież interesom literackiego środowiska, bez – jak dotąd – pozytywnego odzewu ze strony kierownictwa Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Elegia

Ani wypowiedziane w ciągu życia słowa,
ani grymasy czy uśmiechy nie marszczą im twarzy.
Bardzo długo nie można ocenić ich wieku.

Aż przychodzi starość.
Nagle poruszają się sztywniej, koślawią grzbiety, matowieje sierść.
Stare konie jeszcze chcą galopować, ale potykają się, stare
koty nie wskakują już na fotele, a psy sztywnym krokiem
przemierzają coraz krótsze spacer.

Nie mają twarzy chociaż czasem z oczu płyną łzy.

Wczoraj widziałam konia. Jeszcze wstał i skubał siano. Nie wiedział, że ludzie już zdecydowali.
Przecież nie okrutni widzieli, że boli go noga.
Usłyszałam jak zamieniali zdania o zwolnieniu miejsca w stajni.
Skubał siano, pogłaskałam.
Ja wiedziałam.

Trzeba będzie

Wokoło tyłu z nieznaną im jeszcze śmiercią.

Jeszcze będzie trzeba się wyrwać z klatki piersiowej,
rozerwać serce, wypruć żyły, przełamać kości?

Jakiż trud!

Ciążą te kilogramy
jak w rzeźniach na hakach tusze... Mnie jeszcze trzyma słoneczny kosmyk grzywy kasztana w galopie.
Jeszcze ulegam życiu.

Trzeba będzie...
na szczęście wielu już ją planuje dla innych.

Zmierzch

niebo niepewne zmiennością kolorów
jaśniejsze gęstnieniem drzew

zmierzch

po dniu upalnym
nabrzmiałym słońcem
w zbożach i żółtych kwiatach
chwila wytchnienia

zastygła w kroplę bursztynowego blasku
bezwietrzna

czas – tęsknota za wtedy...
(było? jest?)
zamarły w tę chwilę
bezczas?

niebo świeci pomarańczem
dojrzewa w jabłka na drzewach
odwiecznie
wzbiera róże czerwienią
jak w aureoli krwi palce

zmierzch

bezhwila

zaraz ruszemy
między gwiazdy?

Śnieg

Świeży śnieg ochłoniął ziemię.
Niepowtarzalny gwieździście,
pokornie biały całym światłem Słońca obdarza.
Nowy świat bez śladów życia: przemijania.
Spokój nieskończoności na Ziemi.

O! Pierwszy ślad sikorki!
Mój trop.

Nawzajem

stojąc w świetle promieniści
wpadamy głową na dół w źrenice
wzajemnie

iskrząc się
w mózgow szarych materiałach
migocząc
na dłużej jako przyjaciele albo wrogowie
na krócej jako towarzysze krótkiej podróży

(tak samo bolą nas zęby
cieszy promień słońca na liściach)

gromadzimy odbite od nas światło
w zero-jedynkowej pamięci
pulsuje
impuls za impulsem
rozedrgani wspólnie

pustelnicy wiedzą:
z piekła rodem pomysł że osobni

Uta Przyboś

Piotr Michałowski

Ścieżki, ślady, widnokręgi

Uta Przyboś stanowi w poezji polskiej fenomen niezmiernie rzadki: weszła bowiem do literatury, zanim jeszcze zaczęła ją uprawiać samodzielnie i w pełni świadomie. Wydaje się więc spełnieniem podobnym do tego, które projektował Kochanowski swej Urszulce – z tą wszakże różnicą, że w przypadku Jana z Czarnolasu nie mamy żadnych dowodów na talent poetycki małej córki, tu natomiast zachowały się zapisy dziecięcych prób poezjowania, których Uta była współautorką. Wielki prawodawca awangardy tworzył bowiem wspólnie z nią rymowanki stanowiące niejako dwugłos – dialog dorosłego wypracowanego języka poetyckiego z mową dziecięcą. Z interferencji dwóch wyobraźni rodziły się więc próby wspólnych interpretacji świata.

Dzisiaj samodzielnej już od dłuższego czasu i dojrzałej twórczości poetki nie możemy czytać w oderwaniu od

tamtej, oddalonej o półwiecze, inicjacji artystycznej, bo pamięć o genealogii narzuca nam pewne oczekiwania. Szukamy wciąż źródeł i trwałego śladu poezji Juliana Przybosia, w książkach którego poetka debiutowała. Chcielibyśmy odnaleźć najpierw zależność obu poetyk i wpływ, a następnie jakiś dialog z duchem ojca i językiem awangardy, który będzie zarówno hołdem oddanym wielkiemu dziedzictwu rodzinnemu i tradycji literackiej, jak próbą przekroczenia jego granic w poszukiwaniu własnego stylu.

Obydwa te oczekiwania poetka spełnia z nawiązką, a nawet je uprzedza. Już drugi wiersz *Miejsce na ziemi* przywołuje swym tytułem cykl Juliana Przybosia, a kilka następnych opowiada wprost o powrocie do jego miejsca urodzenia, podbeskidzkiej Gwoźnicy. Poetka odwiedza dom, grób i pejzaże utrwalone w wierszach

ojca, a czyni to ze świadomością, iż w tej wędrówce po śladach odkrywane przez nią sytuacje liryczne muszą stać się poetyckim palimpsestem. Szkoła awangardy jest domem wyobraźni poetki. Słyszymy jej głos w tym samym emocyjnym rytmie frazy, podobnej arytmii wersu i zbliżonej dynamice obrazowania. Temat zobowiązuje zatem do realizacji wzorca – zresztą tak udanej i trafnej, że bliskiej pastiszowi, gdyż niektóre wiersze mogłyby uchodzić za nieznanne teksty autora *W głąb las*. Z innej perspektywy można uznać, że Uta Przyboś realizuje model, który w manifestach ojca miał stać się uniwersalną metodą poezji XX wieku, ale pozostał jednak stylem autora, choć jego wynalazki w rozmaitych mutacjach przenikały do wierszy innych twórców i nadal – świadomie lub nie – kształtują cudze style. Chodzi zatem o twórczą kontynuację, czyli rozszerzenie wzorca o nowe tematy i sytuacje przeżyć.

Podobna jest ambiwalencja bezpośrednich doznań i pamięci – ów stan zawieszenia między spostrzeganiem a wspomnianiem. O ile jednak w wierszach Juliana Przybosia obserwujemy wojnę czasów, w poezji Uty silniejsza wydaje się potrzeba zatrzymania czasu i bezruchu, ocierającego się o wieczność. Jej impresje krajobrazów utrwalają sytuacje trwania chwili przeciwstawionej przemijaniu. Istnieją dla niej bowiem jedynie chwile, sumujące się w życie – „niepojętą ilość chwil, którymi jestem i pamiętam na wyrwyki”. Inne konwencje chronologii i podziału czasu odrzuca jako wtórne i nieważne. Moc ocalenia ma tylko chwila wypełniona intensywnością przeżycia – to ona sprawia, że „jestem w życiu po uszy”. Można to wiązać z propagowaną dziś metodą „uważności” (*mindfulness*) – wywiedzioną z buddyizmu, a na gruncie chrześcijaństwa z kontemplacji Ignacjańskiej, która oznacza zdolność połączenia się z tym, co w danej chwili obecne.

Epifanie pejzażu rodzą zachwyty podszyte wiarą w samoznaczenie przyrody, ale bierność percepcji jest pozorna, gdyż zachodzi synergiczna wymiana: świat dowodzi i utwierdza istnienie „ja”, a nawet w jakiś sposób stwarza podmiot, wypełniając zmysły widokiem, dźwiękiem i wonią, tak jak płuca powietrzem, a żołądek jadłem; ale zarazem to właśnie „ja” stwarza świat swymi pięcioma zmysłami, by przetworzyć go na słowo.

Pierwszy wiersz to *Ścieżki*, na których poetka śledzi znajome tropy refleksji metajęzykowej – o prawach semantyki słów, ich tajemnej potencji, która ze „spłaszczonych” w zapisie głosek uwalnia w naszych umysłach rozchodzące się kręgi konotacji, by dopiero w świadomości czytelnika ustanowić sens. Tymczasem decyzje twórcy obciąża odpowiedzialność za przebieg tego procesu, a hamuje niepewność skutku. Poezja to wolność obwarowana dyscypliną i zobowiązaniem programisty wobec odbiorcy wrażeń.

Bezpośredniemu zapisowi efemerycznej teraźniejszości przyświeca idea ocalania. Przeszłość natomiast

musi być zapośredniczona jako dostępna jedynie przez pozostawione ślady. Powstają więc epitafia – portrety wyobraźni zmarłych pisarzy, którym słowo ich własne i słowo czytelniczki-poetki niejako przedłuża życie. Stąd blisko już do refleksji o przemijaniu i ocaleniu w języku, ale prócz Horacjańskiego optymizmu pojawiają się jeszcze pytania eschatologiczne: czym jest tajemnica śmierci – czy także słowem?

Niektóre pejzaże ukazane w perspektywie panteistycznej otwierają się na nieskończoność. Las to pamięć korzeni połączona z pamięcią chmur. Siła kreująca słowa uwolniona z niewoli percepcji spełnia się w uogólnieniach filozoficznych i aforystycznych puentach. Spojrzenie kosmiczne – spoza ziemskiej perspektywy – projektuje natomiast układ komunikacyjny skazany na abstrakcję rozumowania, tak wszechogarniającą i pozbawioną ramy, że trudno ją uznać za „sytuację liryczną”, a jest to raczej liryka uogólnień pojęciowych. I wówczas poetka pozbawiona wsparcia widokiem, również dowodzi mistrzostwa słowa tworząc znakomite aforystyczne puenty, niekiedy wywiedzione z gry słów.

Refleksje antropologiczne, ontologiczne, historyczofizyczne, metafizyczne i religijne – nad cywilizacją, czasem i człowieczeństwem powstają w oderwaniu od obserwacji i stają się polemicznymi głosami w dyskusjach o istocie wojen czy eksperymentach klonowania. Niektóre wydają się bliskie poezji Szymborskiej: o przytłaczającym „nadmiarze świata” wymykającym się poznaniu i opisowi, o paradoksalnej logice natury „ja” podzielonego (*Dżdżownica pamięta*).

Co ciekawe, poetka, choć parokrotnie wspomina o swym zajęciu głównym, malarstwie, to jednak unika ekfrazy i innych form przetwarzania doświadczeń plastycznych na słowo. Wybiera natomiast przekład bezpośredniego doznania na wiersz. *Na początku było Słowo* – jak stwierdza przytaczając incipit *Ewangelii św. Jana* w tytule utworu – a dopiero potem rozproszyło się ono na zmysły i poszczególne słowa. Zadaniem poezji jest zatem powrót do pierwotnej jedności słowa ze światem.

Wydaje się, że porządek ten w jakiejś mierze odpowiada następstwu zdarzeń w biografii wrażliwości poetki, która – jak pisze – „rosła do swojego imienia” (oznaczającego po japońsku gatunek poetycki o kompozycji opisowo-refleksyjnej). A prócz imienia – nazwisko, również musiała „dorastać” do nazwiska – wypełniającego ważny rozdział dziejów literatury. Nakładają się więc ścieżki czasów przyszłego i przeszłego, ale obie, zbudowane z nieskończoności nieobliczalnych chwil, dźwigają ruchomy wciąż widokrąg.

Piotr Michałowski

Uta Przyboś, *Prosta*, Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berezy, Szczecin-Bezrzecze 2015, s. 126.

Na swary i przywary

Narkoman

Z prochu powstał;
Przy prochach pozostał.

Pociąg

W procesie karmienia wybór miał niewielki.
Zaczął od piersi, przeszedł – na butelki.

Jak chorągiewka

Czeka, mając nadzieję,
Że kiedyś wiatr powieje.

Światły

W pokoju świeczkami zastawionym
Czuje się człowiekiem oświeconym.

Lisopodobny

Wzrok i charakter lisi,
Nawet kita mu wisi.

Po-winowaty

Najtrudniej przebaczyć winy
Komuś z własnej rodziny.

Obieckanki

Wszystko dostanę od niego
Dnia trzydziestego lutego.

Na artystów

Nie brakuje artystów,
Co wszystko zrobią – dla zysku.

Priorytet

Dla Rusa czy Lacha
Najważniejsza flacha.

Zapach pieniędzy

Brudne pieniądze śmierdzą.
Tak jeno ucziwi twierdzą.

Na napalonego

Nawe jeśli się napalisz,
Głową muru nie rozwalisz.

Pielęgnowanie urazy

Chociaż ciężko w sobie jest urazy nosić,
Łatwiej pielęgnować, niżeli przeprosić.

Egoizm bogatych

Wszem wobec rozpowiadają bogaci,
Że pomóc biednym im się nie optaci.

Troskliwy opiekun

Chce mieć czyste środowisko –
Powycinał prawie wszystko!

Światowiec

Będzie obywatelem Ziemi,
Gdy go złożą między swemi.

Siewcy zła

Bywają też artyści
Od... siania nienawiści.

Na zamówienie

Nie rób afrontu wenie,
Pisząc na zamówienie.

Pustelnik

Bogaty duchem
Z pustym brzuchem.

Nieuk

Bywa napuszony
Bardziej niż uczoney.

Nieostrożny lizus

Tak mu kadził,
Że zaczął kadzić.

Na odludka

On się nudzi
Pośród ludzi.



Rys. Wanda Szykshnian

Syria

Komu będzie służyć ta ziemia
Tak już przeklęta

Jaką przyszłość urodzi
Gdy krwią użyźniona
Opłakuje ruiny miast

Z prochu i popiołu wygrzebują się
Jacyś wybrańcy losu
Co jeszcze uszli przed pożogą

Dokąd pójdą

Jak los człowieka

Wietrze mój co przy lesie chadzasz swoimi drogami
Jak los człowieka nigdy nieznanym i niepowtarzalnym
Jednym mgnieniem możesz uciszyć istnienie
Tylko po co wszak jesteś z natury
Ona ciebie stworzyła
Dla niej pełen pokory jestem

Nieustępliwa tęsknota

Tęsknota moja
Jest jak obłok o poranku
Co płynie sycąc się żarem

I pewnie nie ustanie
Bo znów jawi się jak ciężka chmura
Sypiąca wieloma kroplami

Rozdanie

Byłoby ono kwietnej zieleni pełne
Słoneczny promień dotknąłby
Przymkniętych powiek a czas
Mdłą codziennością nie nękał
I łaskawie otworzył przede mną
Nowe ciekawsze rozdanie

W rozgwarze codzienności
Gubię własne myśli
Czas – niegdyś przyjaciel
Dziś ponagla nieustannie
I karcąco uczy pokory

Nie sposób go zignorować
I ziarno niezgody zasiać
Bo przecież teraz jak nigdy
Potrzebne mi jego wsparcie

Choćby nawet odporne
Choćby nawet jak z łaski

Ulotna pamięć

Z zakamarków pamięci
Co jak bumerang powraca
Wyłaniają się coraz to inne
Twarze bliskich

Jedne wyraziste
Inne jak na impresjonistycznym obrazie
Rozmyte i nieostre

Ale wszystkie w tej ulotnej pamięci
Jednako hołubię
I jednako do serca przytulam



Miłość w czas uwikłana

Drugi tomik wierszy Kazimierza Ryka zatytułowany *W miłość uwikłani* i poświęcony nieżyjącej już żonie poety Grażynie rozpoczyna osobisty utwór, w którym czytamy: „Ostoję mojego życia / Gdzie jesteś / Gdzie mam cię szukać // Nawet spadający liść / Tego nie wie / I nowym każdej wiosny powraca”.

Takie właśnie słowa-pytania zadajemy sobie często, gdy tracimy kogoś bliskiego, gdy nie możemy pogodzić się z tym, co nieuchronne, a co spada na nas w sposób niespodziewany. Trudno wówczas pojąć wszystkie zawitości, meandry ludzkiego losu.

Zaduma nad przemijaniem, nad kruchością naszego istnienia towarzyszy często podmiotowi lirycznemu. Ten egzystencjalny wątek pojawia się i w innych tematach wierszy, np. tych o potrzebie miłości rozumianej tu szerzej, bo nie tylko w kontekście relacji między mężczyzną i kobietą.

Tytuł tomiku sugeruje, że nie „wykręcimy się” od miłości, nie unikniemy jej, bo leży ona w naszej naturze, bo tak już jesteśmy skonstruowani, że pragniemy kochać i być kochanymi. Więc ulegamy tej wielkiej sile motywującej życie, wikłamy się w nią, we wszelkie jej odcienie i niuanse. Podmiot liryczny rozumie blaski i cienie miłości, umie „dotykać ich głębi / Podążać za nią / Niewidzialnym śladem”. Jeden z utworów kończy się uniwersalną konstatacją: „Człowieczą sprawą jest trwanie w nadziei / Człowieczą na miłość czekanie”.

Ale czy słowa mogą wyrazić wszystkie tajemnice ludzkiej natury podążającej za miłością, czy w pełni oddadzą je, czy też „bezbronnie jak oczy bez powiek” będą tylko ranić? I takie pytanie pojawia się również, bo przecież każdy poeta wie, jak trudne jest zmaganie się ze słowną materią. Ale co począć, gdy cisną się one na „białą kartę wyobraźni” i trzeba po nie sięgnąć, „by w deszczową noc / Zapalić światła miasta / By nie czuć się osaczonym złowrogą ciemnością / I pustym powietrzem”?

Kazimierz Ryk ciągle rozwija i wzbogaca tę emocjonalną potrzebę pisania. W drugim tomiku wrażliwość poety sprawia, że nawiąże w cytowanym wyżej wierszu *Syria* do dziejących się obecnie tragicznych wydarzeń:

Wiersz ten znalazł się w jednej z części tego tomiku *Głuchych kamieni tęsknota*, najobszerniejszej – widać, że punkt ciężkości w poezji K. Ryka

przesunął się w stronę autorefleksji, jak zauważył to w postłowie S. Nyczaj.

Szczególną uwagę zwracają wiersze, których tematem jest czas. Ta kategoria jest wyraźnie obecna we współczesnej poezji. Jak zauważa Z. Korzeńska w ciekawym eseju *Kategoria czasu w filozofii i literaturze*, poezja traktuje to zagadnienie jako swego rodzaju imperatyw. Dzieje się tak i dlatego, że w obecnej rzeczywistości pełnej lęku, obaw i zagrożeń, człowiek jest zagubiony i wyalienowany. Istotnym jest jednak, by podejmując temat czasu, znaleźć dla niego atrakcyjny poetycko pomysł, co właśnie robi K. Ryk. W jednym z wierszy tytułowy Czas jest dla ludzi bezwzględny, bo nie jest mu z nimi już po drodze, zostawia ich nie prosząc o wybaczenie, a przecież „Skrycie sycił się ich miłością / Kiedy w dłoniach mieli siebie / I zapach nieba”.

Teraz ów Czas, upersonifikowany bohater tego utworu, porzucił ich „Pośród prostych drzew/ I wędrujących promieni”. Zacytuję jeszcze jeden fragment z wiersza *Podniesiony wzrok* (już z działu *Bliskość*), gdzie również pojawia się kategoria czasu:

Gdy samotność mnie dopadnie
Cisza jej zazdrościć będzie
Do lekkości piórka moja bezradność dojrzeje
Z maleńką garstką czasu pozostanę
Opustoszałym brzegiem rzeki pójdę

Ale ta garstka czasu, o której pisze poeta, tym bardziej może stać się cenna, że tak właśnie już niewielka. I paradoksalnie możemy w niej zmieścić to, czego nie zmieściliśmy, gdy była tak duża, że nie wiedzieliśmy, co z nią zrobić.

Nowy tomik wierszy Kazimierza Ryka, wprowadzając nas na egzystencjalne ścieżki ludzkiego losu, przekazuje ponadczasowe przesłanie: ostoją naszego ziemskiego trwania jest miłość. Wikłajmy się w nią, bo tylko ona może nadać sens naszemu życiu.

Kazimierz Ryk, *W miłość uwikłani*, postłowie Stanisława Nyczaja, kołaże Ireny Nyczaj, Kielce 2016, s. 93.

Ramy

Ograniczają nas z każdej strony,
a też nie warto pchać się w złocone.

Głowa

Nieoceniona moja głowa,
bo mi pomaga twarz zachować.

Człowiek rozumny

Człowiek rozumny, a wszak gotowy
szukać rozumu – z dala od głowy.

Mieć własne zdanie

Mieć własne zdanie? Na własną szkodę?
Lepiej mieć u nas plecy i chody.

Ze sfery marzeń

Jedynie w niebie ponoć czeka
właściwe miejsce dla człowieka.

Potem

W siódmym niebie jest przyjemnie,
ale trzeba zejść na ziemię.

Grafoman

Z zapalem pomnaża
odchody Pegaza.

Cokolwiek na cokole

Nie wystarczy wejść na cokół,
by mieć wieczność na widoku.

Chudy literat

Nie jeden chciałby udawać wieszczą,
tylko go Muza kiepsko dopieszczą.

Cogito ergo sum?

Dziś powiedzieć mi to przyszło:
nie jest łatwo tym, co myślą.

Pocieszenie piszącego

Może dożyję kiedyś tej pociechy,
że ktoś to przeczyta od dechy do dechy.

Przywódca

Kolejny psychopata
Od poprawiania świata.

Położenie

Kraj wesolutki
nad morzem wódki.

Kolejne wojny

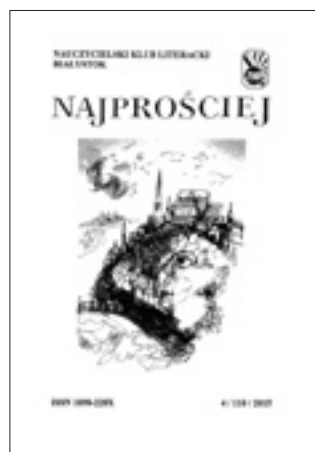
Odsłony dramatu
fundowanego świata.

Porządek rzeczy

Porządek rzeczy niepokój budzi,
kiedy ważniejsze rzeczy od ludzi.

Od Redakcji: Z końcem roku 2015 ukazał się numer 110 „Najprościej” – kwartalnika Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Białymstoku, do którego teksty wybiera i przygotowuje do druku niestrudzony od lat redaktor Kazimierz Słomiński, ceniony nie tylko w swoim środowisku autor utworów satyrycznych (zwłaszcza fraszek), ale też wnikliwych recenzji. W ostatnim numerze są jego dowcipne *Rymowanki ciut przewrotne na tematy istotne* (w układzie alfabetycznym), fraszki z cyklu *Parada miast*, jest też wypowiedź o zbiorze wierszy Mieczysława Czajkowskiego *Pieśń o Świętej Wodzie*, znanego w naszym regionie z wielu ciekawych książkowych wydań, publikowanych staraniem OW „STON 2”.

S.N.



Regina

(Fragment powieści *Miłosne miraż*)

Księga życia

Przeszłości już nie ma
Patrzę w lustro własnego odbicia
Jest tylko magia bycia teraz
Wchodzę w przyszłość...

Paruje powierzchnia od tchnienia
Chwytam wątek istnienia
Znów czekam?...
Czy przyjdzie następna miłość...

Ten dzień pamiętam najlepiej: znów szłam do nowej pracy. Kiedyś w podobnej chwili poznałam Huberta. Czy teraz też się coś wydarzy? Czy mnie coś zaskoczy i uda mi się zapomnieć o tamtej miłości? Chcę bardzo przestać za nim tęsknić. Czy takie uczucie można czymś stłumić lub czymś zastąpić? Do dzisiaj nie wiem, jak wtedy wyglądało niebo. Szłam do jakiegoś celu, żeby przetrwać. Nieważna ulica ani miasto. Wszystko było obce, samotne i powtarzało się jak retrospekcja. Wydawało mi się, że każdy człowiek myśli to samo.

Zatrzymałam się na chwilę przed wejściem do szarego budynku. Miałam wrażenie, że jeśli wejdem, to zniknę. Przeczytałam obojętnie napis: „Biblioteka”. Wcześniej znałam takie przybytki kultury. Przypominałam sobie spotkania z książką. Czytałam od zawsze, zachłannie. Gdy chodziłam do liceum, była moda na czytanie. Nagle zdałam sobie sprawę, jakie to dla mnie było ważne. Nie rozpatrywałam tego dotąd w tym aspekcie, a przecież to mnie ukształtowało. Rodzina i książki, to było mi najbliższe...

Nagle przyspieszyłam kroku, zaczęła mnie popychać ciekawość... Krew we mnie zaczynała szybciej krążyć...

Przywracam krążenie myśli
Czytanie umysł pobudza
Przybliża się absolut...
Wieczność jest chwilą w ciszy
Rozjaśnia tło...

Dziwi mnie własny głos
Wzrok głaszcze każde słowo
Zachwył jest aksamitem

Odkrywam siebie na nowo
Znów zacznę cieszyć się życiem

Teraz zaczęłam się spieszyć. Poczułam radość. Wreszcie przestałam być obojętna i ucieszyłam się, zdając sobie z tego sprawę. Wzięłam głęboki oddech na odwagę, uśmiechnęłam się do swoich myśli i weszłam. Wewnątrz było ciemnowo. Przy biurku siedziała pochylona kobieta. Gdy podniosła głowę, spojrzałam jej w oczy i wiedziałam, że niechętnie wpuszcza intruzów do swojego królestwa. Zamieniłyśmy kilka zdań i w końcu zaprosiła mnie do środka. Wyobraziłam sobie, że przekraczam jakąś wyimaginowaną bramę. Ona kazała mi teraz rozgościć się i rozejrzeć. Stałam w jednej z uliczek pomiędzy wysokimi regałami pełnymi książek. Zrobiło mi się ciasno i duszno. Jakbym za chwilę miała popękać. Wyobraziłam sobie nawet, że „zrzucam skórę”, żeby tylko mieć z książkami lepszy kontakt, wszystkimi komórkami. Zapragnęłam je wchłonąć. Chciałam się dowiedzieć natychmiast, co w nich jest napisane, i zgłębić wszystkie związane z nimi tajemnice. Powoli zaczęłam rozróżniać tytuły i autorów. Niektórzy byli mi dobrze znani, a innych chciałam poznać teraz, już, od razu. Zobaczyłam tu nagle ogromny barwny świat, świat innych ludzi i ciekawych zdarzeń. „Zanurzę się w nim i będę go zgłębiać do końca. Napisałam przecież sama kilka wierszy, a teraz mam szansę uczyć się i wybierać wzorce z tych najlepszych”.

Postanowienie zapadło. Wiedziałam już, że dam radę. Znałam swoją cierpliwość.

„Czy czytanie i pisanie może zastąpić miłość? Przynajmniej tego spróbuję” – postanowiłam.

Wyobraziłam sobie, że naga turlam się po zapisanych kartkach, że mnie wypełniają poszczególne słowa. Jest tutaj tyle wiedzy z różnych



dziedzin! Będę to wertować i roztrząsać, aż zgłębię tajniki ludzkiego bytu i psychologię uczuć. Dowiem się, od czego wszystko zależy. Mam tyle pytań i wiem, że tu znajdę na nie odpowiedzi. Poczułam ulgę, bo miałam wrażenie, że znalazłam znów ciekawy cel w życiu. To będzie wyjaśnienie nurtujących mnie problemów. Może trochę zapomnę albo chociaż odsunę na odległość dotychczasowe uporczywe doznania kłęski.

Zabijam tęsknotę codziennie...
Nikt do nikogo nie należy...
Próbuję się z tym sprzymierzyć
Cenne są tylko niektóre myśli...

Wyrzucam kamyki wspomnień
Jakbym chciała kogoś uderzyć
Nie jestem jeszcze gotowa
Chociaż próbuję na nowo żyć...

Po nocy spędzonej z Markiem nie mogę dojść do siebie. Czuję wstręt. Zdradziłam Huberta. To jest obrzydliwe i niezrozumiałe, było trochę tak jak wtedy z Piotrem. Przecież Marek i Hubert byli jak bracia. Moje życie to horror. Ciągłe się obwiniam i rozpaczam. Prześladowuje mnie jakiś pech. Hubert śni mi się, jak tylko zdołam zasnąć. Znow bierze mnie na kolana. A ja go obejmuję i całuję. Potem mu tłumaczę, że to był błąd, że już nigdy go nie zdradzę. On wymyka się z moich ramion, odsuwa mnie i odchodzi. Nic nie mówi i nie jestem pewna, czy słyszy. Tęsknię za nim i płaczę. Chcę go znowu przytulać. Błagam, żeby mnie nie zostawiał. Budzę się z krzykiem. Chcę się za niego modlić, ale nie potrafię. Potem widzę jakieś zgliszczą. Szukam swoich dzieci. Nie mogę ich znaleźć, a jemu nie wybaczam, że umarł i mi nie pomaga. Tylko on umiał mnie pocieszyć. Teraz klękam i proszę Boga, żeby mnie też zabrał. Do Huberta. Ale nagle sobie uświadamiam, że nie mamy nawet ślubu. Przychodzi refleksja... Więc nawet tam, po ciemnej stronie, nie będziemy mogli być razem... Pragnę poczuć chociaż jego zapach... Przytulam twarz do poduszki i chowam głowę pod kołdrę.

Nie wiem, jak dalej żyć. Z Markiem boję się rozmawiać. Nie chcę wiedzieć, co on myśli i czuje. Czy nie żałuje tej przypadkowej rozkoszy?! Co wieczór zmywam z siebie, długo pod prysznicem, jego dotyk. Czasem trę całe ciało i drapię do krwi. Nie czuję fizycznego bólu, tylko rozpacz z tęsknoty. Rano suszę poduszkę... Wstaję najwcześniej i szybko zamykam za sobą drzwi. Nie pomaga mi nawet

praca. Dni są zasnute mgłą i smutkiem szarości... Co ja tu robię? Mija czas i pewnego dnia przerywa moje myśli Marek. A raczej jego zniecierpliwiony ton, prawie krzyk:

– Co się z tobą dzieje?! – Trzyma mnie za ręce i potrząsa ramionami. – Musisz wrócić do normalności, życie się dalej toczy. Poświęć więcej czasu dzieciom. Ty będziesz od jutra odwozić je do przedszkola. Musimy coś zmienić. Umówić się i ustalić, co dalej, zrobić jakiś plan. Ja sam też nie daję rady. Nasze życie to szarpanie. Źle się poczułem, więc do nas szybko wróć, zanim dojdzie do jakiejś tragedii...

Gdy skończył, poczułam ból, jakbym uderzyła twarzą w ścianę. Zawstydziłam się, może na sekundę straciłam świadomość. Potem nagle zaczęłam przytomnieć...

Jakbym się budziła po długiej nocy...

Jeszcze księżyc cieniuje kontury
Za oknem samotność
Skrzypi lęk
Pokój płynie
Cisza porusza fotel
Widzę jak szmer
Wdaje się ze mną w rozmowę...

Ale ty jesteś cały czas
W mojej głowie...
Odsuwam myśli firanę
Dygoczą zygzaki fałd
Otwieram ramę z obrazem
Wpuszczam wiatr...
Chłonę wszechświat

Wraca czas i pusta głębia
Oddała się szum jakichś fal...

Od tego dnia wzięłam się w garść. Kochałam przecież nie tylko Huberta, ale również jego dzieci. Zaczęłam powolutku dzięki nim wychodzić z depresji. Uczylałam się na nowo koncentrować na faktach. Próbowałam rozmawiać i uśmiechać się. Chciałam sama rozwiązywać swoje codzienne problemy. Byłam zdziwiona i zachwycona Dorotką i Pawełkiem. Jak rosną i pięknieją. Zauważyłam to kiedyś przy ich kąpieli. Zaniepokoiło mnie na chwilę to, że Dorotka stawiała się coraz bardziej podobna do swojego ojca, a Pawełek do swojego dorosłego przyrodniego brata Piotra.

Teraz Marek zaczął od nas uciekać. Całe noce i dni spędzał w szpitalu. Brał dyżury na okrągło. Trochę się niepokoiłam o jego zdrowie, ale tak

było dla nas obydwójga wygodniej, gdy się nie spotykaliśmy. Bardzo rzadko jedliśmy razem kolację. Nie patrzyliśmy sobie nawet wtedy, siedząc naprzeciwko, w oczy. Byliśmy jakby skażeni lub zatruci. Nie mogliśmy jednak uwolnić się od następstwa wydarzeń dziejących się wokół... Choć od śmierci Huberta, często miałam wrażenie, że wszystko dzieje się gdzieś poza mną. Inni odgrywali role, a ja byłam tylko widzem w tym teatrze życia. Chwilami nie wiedziałam, co robić, jakbym zgubiła tekst swojej roli. Ale starałam się podzielić swoje życie na dzień i noc, jak na dwie różne bajki. Tylko w ciemności zanurzałam się we wspomnieniach i odtwarzałam obrazy minionego szczęścia. Jeszcze miałam w głowie ruchome zdjęcia z czułymi słowami i gestami Huberta. Zanurzałam się w sen i trwałam w nim z marzeniami.

Rano musiałam wszystko zmieniać. Wykonywałam swoje obowiązki automatycznie. Świat nierzeczywisty przesuwalam na tył głowy. Robiłam tylko to, co musiałam. Żyłam na pograniczu dwóch światów, gubiłam się w nich i wtedy bolało. Kamery nakręcały mój film w zwolnionym tempie.

Pod przymusem...

Zapada się echo w głębię
Wariują tylko słowa zakochane
Wypieranie jest w rozstaniu...

Nowa czułość przychodzi powoli...
Wielka miłość jest samotna w tłumie
Zniewala i trwa bezrozumnie...

Tylko bliskość może zespolić
Reszta jest czekaniem
Ślad dotyku nie odchodzi...

Pamięć czasem pulsuje jak rana
Mieszają się w tyglu zdarzenia...
Życie jest dobre i wszystko wybacza

Więc się staram już nie rozpaczać...

Wysłałam za mąż za Marka. Może zrobiłam to dla dzieci, a może chciałam coś wyprostować... Zawsze chciałam być czyjąś żoną. Gdy byłam nastolatką, często widziałam się jako panna młoda. Miałam piękną, białą koronkową suknię i szłam z kimś pod rękę. Zapomniałam o tym marzeniu przy Hubercie. Teraz też o tym śnię i idę pod rękę z Markiem. Moje życie z Hubertem było dotąd mirażem. Obecnie moim największym marzeniem było to, żeby już

przestać bujać w obłokach. Od nowa uczyłam się być szczęśliwa. Powoli sytuacja między nami zaczęła się klarować i wyjaśniać. W myślach, gdziekolwiek byłam, tłumaczyłam sobie, że Marek to przyjaciel i dobry człowiek. Na jakiś czas odzyskiwałam spokój i czułam grunt pod nogami. Mój mąż (jak dziwnie brzmią te słowa) dopełnił wszystkich formalności, by zapewnić nam z dziećmi dobry byt. Adoptował też dzieci Huberta zaraz po jego śmierci. Już nie musiałam się niczego bać ani wstydzić. Moi rodzice byli na ślubie i popłakali się ze szczęścia. Powtarzali mi co dzień: – jesteś nareszcie bezpieczna. Bardzo chciałam taka być dla nich wszystkich: Marka, rodziców i dzieci. Śmiałam się częściej dopóki byli. Zostali dłużej, by poznać się z wnukami, a one były ich obecnością zafascynowane. Dziadkowie obiecali, że wezmą ich do siebie na wakacje. Byłam szczęśliwa i dumna, gdy razem spacerowaliśmy.

Wyrzuty sumienia dopadły mnie dopiero po ich wyjeździe. Znowu wrócił niesmak z tego powodu, że nie jestem całkiem szczerą. Szukałam tej iskry, którą zgubiłam po śmierci Huberta. Zastanawiałam się, ile czasu mi trzeba, by zagoić rany. Żyłam nadzieją i musiałam być cierpliwa. Czekałam, że prawdziwa miłość jeszcze przyjdzie, że będzie radość, a dotychczasowy koszmar zniknie.

Tymczasem Marek dokładnie wszystko obserwował. Czułam, jak jego oczy mnie prześwietlały, szczególnie podczas seksu. Bardzo się starałam, żeby go w myślach nie zdradzać i nawet przez chwilę nie wracać do Huberta. Zamykałam mocno oczy, ale on był pod powiekami. Jakby na złość przeszkadzał mi się kochać z Markiem i był obecny wszędzie. Najbardziej realny jawił się jednak we śnie. Znowu siadał na fotelu i brał mnie na kolana. Tulił mnie czule i jak dziecko uspokajał. W dzień godzinami dzwoniłam do mamy skarżąc się, że duch Huberta mnie nachodzi w nocy. Prosiłam o radę i pomoc, bo nie mogłam tego znieść. Nie wiedziałam, co zrobić, żeby przestał mnie nękać swoją niematerialną obecnością i stawać pomiędzy mną i Markiem. Rodzice mieli na wszystko jedną radę; żebym zaczęła się modlić o spokój jego duszy. Matka mówiła, że to jest ogromna siła, że długo trwa, zanim dusza opuści nasz ziemski padół. Postępowałam, chodziłam częściej do kościoła i zapalałam świeczki, by mu jego drogę do nieba oświetlić. Rozmawiałam z nim, modląc się równocześnie i prosząc, żeby mnie zostawił.

Pewnego dnia Marek, jakby czytając w moich myślach, zaproponował przeprowadzkę. Zgodzi-

łam się bez zastanowienia. Gdy tylko nastąpiło lato, braliśmy dzieci i codziennie jeździliśmy po okolicy szukać nowego lokum. Zachwycił nas piętrowy dom z dwoma tarasami i pięknym ogrodem. Znajdował się na przedmieściu kurortu, w spokojnej dzielnicy domów jednorodzinnych. Wszystko zmieniliśmy, żeby nie wracać do wspomnień. Teraz Marek zaprzestał prywatnej lekarskiej praktyki. Ja z pracy w bibliotece też odeszłam, bo za daleko było dojeżdżać. Mieliśmy za co żyć. Mnie Hubert finansowo zabezpieczył. Poświęciliśmy dużo czasu dla rodziny i siebie wzajemnie. Często siadywaliśmy na huśtawce, obserwując bawiące się piłką dzieci. Kolacje jedliśmy wspólnie wieczorem w ogrodzie. Upajaliśmy się zapachem kwiatów. Czasem się zastanawiałam, czy tak mogło być w raju.

Pomimo wszystko był jednak we mnie niepokój. Kiedyś Marek zaczął mówić o przeszłości. Powiedział, jak gdyby znając moje myśli, że pomimo iż Hubert nie żyje, to on jest o niego bardzo zazdrosny.

– Wyznam ci teraz Regino pewną tajemnicę. On się o tym nigdy nie dowiedział. Spodobałaś mi się od pierwszego wejrzenia. Zgodziłem się na to wszystko, na wasze pobyty u mnie, bo nie chciałem cię stracić z oczu. Musiałem być w pobliżu. Potem zakochałem się coraz bardziej. Pewnego razu, gdy poczułem twój zapach i muśnięcie dotyku, omal nie zemdlałem z wrażenia. Uczucie stawało się tym silniejsze, im bardziej było beznadziejne. Wiedziałem, że jestem bez szans u ciebie. Wiem, że byłem okrutny, lecz chwilami życzyłem rywalowi śmierci. Myślałem wtedy, że wszystko się zmieni między nami na lepsze, ale teraz tracę nadzieję. Czuję, że coraz trudniejsza jest z nim walka o ciebie. On w tobie żyje. Nie chcę cię zmuszać do miłości. Nie będę z nim rywalizował. Widzę, jak zamykasz mocno powieki, jakbyś nie chciała widzieć, z kim się kochasz. Boję się, że myślisz wtedy o nim. Wiem, że się starasz, bo jesteś mi wdzięczna, ale ja nienawidzę litości. Na początku myślałem, że dam sobie z tym radę, że wszystko będzie prostsze. Od dzisiaj będę spał na kanapie, żeby dać ci więcej czasu. Wybacz mi, ale nie chcę się tobą dzielić. Wszystko przemyśl, nie będę cię do niczego zmuszał. Chcę tylko pomóc tobie i sobie – tu Marek zakończył, a ja słuchając tego wywodu chciałam się zapaść pod ziemię. Nie wiedziałam, że to takie widoczne. Czuję się winna, bo trochę jednak oszukiwałam, ale pragnęłam naszego szczęścia.

„Czy nigdy nie uwolnię się od tamtej miłości?”. Myślałam że tak, ale byłam naiwna. Chciałam zwal-

czyć wewnętrzne rozterki. Nie mogłam być już dłużej sama w łóżku. Pragnęłam się przytulać, znów poczuć bliskość mężczyzny.

„Co mam zrobić? Jak to wszystko pogodzić?”.

Bałam się szczerości, żeby jeszcze bardziej nie zranić Marka. Więc się nic nie odezwałam. Byłam sobą rozczarowana.

Nastąpiły ciche, samotne dni. Zastanawiałam się intensywnie, jak się bardziej postarać. Zaczęłam gotować, troskliwiej dbać o dom i o Marka. Przywiązywałam większą wagę do szczegółów w swoim zachowaniu. Zaczęłam mu nawet nadskakiwać. Coraz bardziej się do niego zbliżałam. Zabiegałam o jego zainteresowanie i obecność. Bałam się panicznie, że odejdzie i zostanę sama z dziećmi. Zorganizowałam kolację przy świecach. Marek się na to wszystko grzecznie uśmiechał. Dał się przeproszać i poddawał się nastrojowi, ale do seksu między nami długo nie dochodziło. Stawaliśmy się zbyt onieśmieleni, by się otworzyć na intymność. Sporo czasu minęło, zanim zaczęły się goić rany. Postanowiłam na wakacje zawieźć dzieci do dziadków. Uważałam, że powinniśmy zostać sami, by naprawić nasze relacje. Dojrzywałam do podjęcia ważnej decyzji. Musieliśmy dalej iść i wybrać którąś stronę drzwi; zostać tu gdzie jesteśmy już nie było można.

Zaczęłam sobie nagle zdawać sprawę, że bez Marka nie potrafię już żyć. „Chyba przejmuję nadę mną kontrolę”. Bałam się, że znowu się od kogoś uzależnię.

W ostatnim czasie, nawet nie bardzo zauważyłam kiedy, Marek stał się dla mnie niezbędnym. Był zawsze gotowy i pomocny... Wszystko wiedział, co trzeba...

Starłam się to nazwać i uporządkować, pisząc swoim zwyczajem na ten temat wiersz...

Po prostu...

Teraz i na zawsze ty
Bez ciebie nic...
Ty wiesz co trzeba zrobić, którędy iść...
Życie z tobą jest jak piórko, bo takie ma być
Nie najważniejszy jest styl...

Ale ja nie mam nadal pewności...

Zbyt często wychodzisz
Nie wiem dokąd i z kim...
Bywasz jak piramida albo jak milczący sfinks...
Mam tylko pachnieć w twoim ogrodzie...
Nie powinnam myśleć tylko istnieć...

Po prostu muszę z tobą być...

Zdecydowałam się spędzić szaloną noc z Markiem, a o Hubercie całkiem zapomnieć. Umieściłam go w głębokim kąciку serca. Teraz miałam do załatwienia sprawy ważniejsze. Musiałam się przestawić i nauczyć kochać Marka. Chciałam się przygotować na bycie z nim razem, tylko we dwoje. Układałam powoli noce i dni, wypełniając życie od nowa obecnością Marka. Zaczęłam planować naszą podróż poślubną. Marzyłam, żeby zrobić Markowi miłą niespodziankę, proponując wspólny wyjazd. Myślałam coraz częściej o słonecznej Italii. Sporo czytałam o tym kraju. Chciałam zobaczyć miejsca, które znałam z relacji i barwnego opisu różnych pisarzy, zauroczonych pobytom w tym kraju. Rzym i Sycylia, zabytki i egzotyczna przyroda to raj inspirujący różnych artystów. Muszę się tam znaleźć, by zaleczyć duszę i zacząć nowe, prawdziwe życie. Chcę zebrać siły do wypracowania innego szczęścia i zapomnieć o tym, co było. Od dawna wszystko zmierzało w stronę związku z Markiem, ale ja zauważyłam ten kierunek drogi dopiero teraz.

Zmianę zaczęłam od wizyty z dziećmi u rodziców. Gdy odwiedziłam ich ostatnio, spotkałam na ulicy szkolną przyjaciółkę Urszulę. Zawsze nam się dobrze rozmawiało. Wstąpiłyśmy do kawiarni i tam dopiero zaczęły się bliższe zwierzenia. Ja tylko ogólnikowo wspominałam o Hubercie jako o ojcu moich dzieci. Więcej starałam się mówić o teraźniejszości i o obecnym mężu Marku. Ona już miała dorosłą córkę, która, jak wynikało z dalszej rozmowy, przebywała od kilku lat we Włoszech. Była teraz żoną Włocha. Mieszkali w Torvaianica, przepięknej miejscowości oddalanej około 30 km od Rzymu, nad Morzem Tyrreńskim. Była to miejscowość wczasowa, ludzie udawali się tam przeważnie na letni wypoczynek. Mówiła, że z Europejczyków najczęściej jeździli tam Niemcy. Roztaczała długo uroki tego, podobno niezbyt dużego, miasteczka. Gdy ja nadmieniłam o planowanej podróży, Urszula zaproponowała pomoc. Zadzwoniła zaraz z komórki do swojej latorośli, pytając czy mogłaby nas parę dni gościć u siebie i doradzić coś w sprawie zwiedzania tego kraju. Byłam zachwycona, gdy Agnieszka natychmiast się na to zgodziła. Znałam ją prawie od urodzenia. Była miłą, dobrze wychowaną dziewczyną. Dobrze się dogadywałyśmy, miałyśmy tak jak z jej matką podobne poczucie humoru. Powiedziała, że ma duży dom, więc przyjmie nas w nim z przyjemnością. Podała numer telefonu i prosiła, żeby się z nią bez skrępowania kontaktować. Na koniec dodała, że ona też się cieszy. Wieczorem będziemy

mogły wspominać dawne czasy, będzie się czuła, jakby ją odwiedziła cząstka Polski. Bardzo tęskni za krajem, chociaż jest tam we Włoszech szczęśliwa.

W podróży Marek był bardzo opiekuńczy. Uspokajał mnie podczas lotu w samolocie. On już wcześniej nim podróżował, więc miał doświadczenie. Cały czas trzymał mnie za rękę. Podprowadził mnie i ubezpieczał nawet podczas drogi do toalety po ruchomej, jak mi się wydawało, i trzęsącej się podłodze samolotu. Czekał na mnie i trzymał w pogotowiu torebkę. Czułam się w jego obecności przez cały czas bezpiecznie. Uświadomiłam sobie różne sprawy. Dotarło do mnie, że mu ufam, a raczej – że ufałam mu już od dawna. Tylko sobie z tego nie zdawałam sprawy. Przez ostatnie lata był zawsze blisko, gdzieś w tle. Myślę, że nawet stał się naszym cieniem. Był bardzo dobrym przyjacielem. To dzięki niemu mogliśmy się nacieszyć naszą wspólną obecnością z Hubertem. Wiele mu zawdzięczaliśmy. „Jestem mu bardzo wdzięczna, muszę mu to teraz okazać. Będę dla niego bardzo dobra” – postanowiłam i zasnęłam. Byłam nareszcie całkiem odprężona. Potem obudziłam się i pomyślałam: „To nic, że jestem tak wysoko, obok jest Marek i mama modli się w domu o nasz szczęśliwy powrót”.

Nabrałam wtedy, w tym samolocie, innego spojrzenia na moje życie. Odległość od Ziemi umożliwiła dystans. Oderwałam się emocjonalnie i przeszłość zaczęła się zacierać.

Ulatują myśli
Fruwam pod niebem
Niesie mnie żelazny pegaz
Porusza skrzydłem
Jestem nad górą chmur
W dole gdzieś gdzie płaska ziemia
Na niej mapa romantycznej przestrzeni
Szkic domów i ojcowizn
Pola w kratę, zielony kwadrat lasu
Kręci się koło
Oddalając przeszłość
Staję się srebrnym ptakiem...

Małgorzata Anna Spychaj

M.A. Spychaj, *Miłosne miraż*, postowie Krystyna Cel, Kielce 2016, OW „STON 2”, s. 178.

Postowie

Czytając książkę Małgorzaty Anny Spychaj ma się nieodpartą chęć powiedzieć, że temat wielkiej miłości, będącej niekiedy ponad uznanymi normami czy zasadami, miłości na nic niezważającej, będzie zawsze ponadczasowy i uniwersalny. I jeśli nawet to niezwykle, pełne namiętności uczucie przysparza wielu cierpień, to przecież jest samo w sobie wartością, choćby dlatego, że nie zdarza się każdemu. Na ogół staramy się widzieć miłość w jakichś racjonalnych ramach, nie pozwalając jej zawładnąć nami na tyle, by zaważyła na życiowych planach, a nawet je zniweczyła. Ale przecież zdarza się, że uczucie i rządząca nim namiętność sprawiają, iż poddajemy się tej niezwyklej, obezwładniającej nas sile, nie bacząc już na cokolwiek. I chociaż rozum przestrzega przed konsekwencjami, to nie jesteśmy już w stanie zapanować nad zmysłami i emocjami.

O takiej miłości pisze autorka, kreując postać młodej, wchodzącej dopiero w życie bohaterki zauroczonej starszym, ale jakże jeszcze przystojnym żonatym mężczyzną. Pierwszoosobowa narracja nadaje tej miłosnej historii znamion szczeroci i autentyczności. I dzięki temu ów scenariusz miłosnych miraży staje się lekturą ciekawą, trzymającą czytelnika w napięciu. Chce on wiedzieć, co stanie się dalej z losami zarówno głównej bohaterki Reginy, jak i innych postaci mających swój „udział” w jej życiu. Postaci, bo oprócz zapisków niejako pamiętnikarskich samej Reginy, autorka odda też głos (w narracji również pierwszoosobowej) innym jeszcze osobom, jak np. Hubert, Piotr, Marek czy Ewa. Ich wyznania dopełniają niejako jej relację i pozwalają na ogląd tych samych sytuacji, tej samej rzeczywistości z wielu stron. Oczywiście, interesuje nas najbardziej miłość Reginy i Huberta. I choć zdajemy sobie sprawę, że wybór tematu nie jest czymś nowym, to jednak siła tej książki tkwi w niezwykle emocjonalnym, świeżym i szczerym opisie przeżywanych doznań, zwłaszcza wspomnianej już Reginy. Jej narracja ukazuje całą potęgę i moc uczucia, któremu nie można się oprzeć. To jakby wielka romantyczna miłość, tyle że tocząca się współcześnie i ogarniająca w zasadzie zwyczajnych ludzi. Autorka z dużą znajomością psychologii potrafiła wnikać w sytuację młodej dziewczyny z tzw. dobrego domu, zdającej sobie sprawę, że jej związek z żonatym mężczyzną jest dla niej samej czymś niewłaściwym, a nawet gorszącym, ponadto rani jej

rodziców. Bohaterka wielokrotnie dokonuje oceny samej siebie i zawsze ta ocena wypada negatywnie. Ale też zdaje sobie sprawę, że nie potrafi stłumić w sobie tego zła, według niej, ulokowanego uczucia. Poddaje się więc tej wielkiej miłości i namiętności przynoszącej tyleż samo szczęścia, co i cierpienia.

Dalsze losy Reginy ukażą, jak trudny scenariusz pisze jej życie i jak trudna jest ta miłość, budząca w konsekwencji wyrzuty sumienia, przypominająca słowa matki, że nie można budować szczęścia na cudzym nieszczęściu. Zmaga się więc bohaterka z pragnieniem przeżywania tej miłości, która nie gaśnie, a nawet się wzmacnia, jak też z oporami natury moralnej. Ciekawe, że i Hubert przeżywa rozterki moralne pojmując, że jako dojrzały żonaty mężczyzna zaważył na losie swej młodziutkiej partnerki, że powinien dla jej dobra zapanować nad swoimi namiętnościami.

Ciekawie się czyta tę współczesną *love story*, zwłaszcza gdy komplikują się losy bohaterów. Ukochany Reginy jest nieuleczalnie chory, w tę miłość wdzierają się lęk i niepokój. Ale to nie jedyny wątek w tym jakże już bogatym, choć tak jeszcze młodym życiorysie bohaterki. Można powiedzieć, że życie nie szczędzi jej rozmaitych trosk i smartwień.

Sądzę, że Małgorzata Spychaj ukazuje całe zawiąkanie ludzkich losów, cały ich niekiedy dramatyzm. To dobrze, że autorka podjęła taki temat, który jest ciągle bliski i po prostu ludzki, bo wpisany również w nasz los.

Jeszcze jednym z walorów tej książki jest zaistnienie w niej obok ciekawej prozy również i... wierszy. Mamy więc utwory poetyckie autorstwa głównej bohaterki ilustrujące momenty najbardziej intensywnie przez nią przeżywane. Niekiedy bohaterce wydaje się, że jej życie staje się jakby sceną, na której ona gra jakąś rolę, że wszystko, co się w jej życiu dzieje jest jak gdyby poza nią i bez jej zgody. Życie wzięła ją w tak różne koleje, że trudno jej ten swój nowy los objąć, ogarnąć. Stąd również płynie pragnienie zapisania owego losu, tego tak intensywnego dla niej czasu, co później przeradza się w pragnienie pisania w ogóle. Regina dojrzewa, by w końcu odnaleźć samą siebie.

Sądzę, że owe „miłosne miraże” rozbudzą w czytelniku wiele refleksji, zarówno co do oceny postępowania bohaterów, jak i tej wiecznotrwalej siły rządzącej naszym losem – miłości.

Czy istnienie Boga może być przedmiotem zakładu?

Od czasu sformułowania przez Fryderyka Nietzschego słynnego zdania: „Bóg umarł”, po dziś dzień, wciąż pojawiają się spory o istnienie Boga. Obecnie napotykamy na nie nie tylko w rozprawach filozoficznych czy teologicznych, lecz także w środkach masowego przekazu. W marcu na ekrany polskich kin wszedł głośny film produkcji amerykańskiej *Bóg nie umarł*.

Kwestia czy Bóg istnieje, czy też Boga nie ma, jakie są argumenty za i przeciw, zaprzętała w dziejach filozofii wielu myślicieli. W tym nurcie dociekań szczególne miejsce zajmuje Blaise Pascal. Jego oryginalna myśl z całą pewnością zasługuje na przypomnienie.

Blaise Pascal (1623-1662) był wszechstronnie uzdolniony. Jego niezwykle zdolności matematyczne i techniczne ujawniły się już we wczesnej młodości. Znane są matematykom jego odkrycia w dziedzinie geometrii, a fizykom – jego metoda uzyskiwania próżni i mierzenia ciśnienia gazów. Najbardziej jednak znany jest jako filozof, jeden z najwybitniejszych myślicieli francuskich.

Wiek XVII obfitował w różnorodne nurty filozoficzne. Wielu uznawało matematykę i jej metody za szczyt nauki – wiedzy opartej na przesłankach racjonalnych. Toteż liczni filozofowie zawężali własne dociekania do ujęć apriorycznych, wyraźnie odrzucając to, co się im wydawało subiektywne, nieracjonalne, niepoddające się jednoznaczному zdefiniowaniu. Coraz więcej zwolenników znajdowały poglądy sceptyków, agnostyków i ateistów.

A co zostało zepchnięte na margines ówczesnego „ducha czasu”? Przede wszystkim poznanie intuicyjne, bezpośrednie, niewymagające dowodzenia, w tym kwestie moralne, religijne i doświadczenie wewnętrzne wraz z bogactwem emocji i aktów woli. Pascal nie godził się z takim stanem rzeczy, krytycznie oceniał ograniczenie refleksji filozoficznej do wąsko pojętej racjonalności. Przekonywał, że ten dewaluowany obszar dociekań jest terenem wartościowego poznawania prawd o istotnym znaczeniu dla egzystencji człowieka. Jako chrześcijanin szukał nowych sposobów obrony pomijanych wartości.

W różnych swoich pismach podejmował dyskusję z ówczesnie dominującą filozofią. A w najbardziej znanym jego dziele – *Myślach* – znajdziemy między innymi fragment określany jako „Zakład Pascala”. Chciał pokonać swoich adwersarzy ich własną bronią. Sami sobie musieli odpowiedzieć, co się bardziej opłaca: wygrać niepojęcie dużo czy też przegrać wszystko. Pascal nie sięgnął po znane, lecz, jego zdaniem, nieskuteczne

dowody św. Tomasza z Akwinu na istnienie Boga, ani po żadne inne dowody metafizyczne. Zwrócił uwagę na konieczność rozstrzygnięcia pewnego dylematu, który staje przed każdym myślącym człowiekiem: jest Bóg czy Boga nie ma? Jeśli jest i prawdziwe jest spisane w Biblii Objawienie, między innymi nauczanie o istnieniu życia wiecznego, istnieniu duszy, o winie i karze, o nagrodzie i wiecznej szczęśliwości, to może warto zrezygnować z niektórych przyjemności w doczesności, nawet z rozkoszy, na rzecz niedającej się wypowiedzieć wiecznej szczęśliwości. Tu na ziemi tracąc nie tak wiele, zyska się wiele.

Owóż, cóż ci grozi przez to, że obierzesz tę drogę? Będziesz wierny, uczciwy, pokorny, wdzięczny, dobroczynny, przyjacielski, szczery, prawdomówny. To prawda, nie będziesz opływał w zatrute uciechy, chwałę, rozkosze: czyż nie będziesz miał innych? Powiadam ci, zyskasz jeszcze w tym życiu; za każdym krokiem, jaki uczynisz na tej drodze, ujrzesz tyle pewności zysku i taką nicość tego, co ryzykujesz, iż w końcu poznasz, że założyłeś się o rzecz pewną, nieskończoną, za którą nie dałeś nic.

Jeśli jednak Boga nie ma i nie istnieje pozaziemska rzeczywistość, to umierając nie traci się nic.

Wybór między istnieniem a nieistnieniem Boga nie dotyczył samego Pascala, gdyż był on człowiekiem głęboko wierzącym, ale wiarę uznawał za łaskę. Innym próbował jedynie ukazać, jak wiele pomijają, akceptując jedynie wąsko pojęty racjonalizm. Chciał swoim oponentom wskazać, że sama nauka nie ma odpowiednich narzędzi, by dowieść, że Bóg jest lub że go nie ma, stąd odrzucając *a priori* Boga podejmują ryzyko utraty tego, za czym, nie przyznając się przed sobą, tęsknią – za nieskończonością, za trwaniem bez końca.

Pascal napisał wiele, ale nie był klasycznym apologetą. Nie wierzył w moc własnej argumentacji na rzecz udzielenia innym swojej wiary. Mógł liczyć tylko na spowodowanie uszczerbku w murze nienaruszalnej pewności ludzi niewierzących. Chciał ich ostrzec, że taka pewność jest niepewna, ryzykowna. Za tym murem może być coś znacznie wspanialszego niż oni są w stanie sobie wyobrazić.

Uważa się powszechnie, że był pod silnym wpływem jansenistów, dla których asceza była istotnym elementem codzienności chrześcijańskiej. Może dlatego Eliot powiedział o nim, że jest „światowcem wśród ascetów, ascetą wśród światowców”.

I.S.

W jesieni

Tańczą me oczy z radością krajobrazu. Płasają ciepłe kolory. Od słońca lato zapaliło zieleni. Migocą płomyki, wpychają się pomiędzy iglaste. Żywicznie wacha wiatr ściółkę. Grzybnią obdarowuje.

Ognisko płonie na łące. Dym snuje się w poziomie. Pieśń gitarą przetykana. Biesiada „Pieczonogo Ziemniaka”. Przepijamy bukietem wina owoców dzikiej róży. Wokół krąży taniec.

Powiewy łąka niesie. Odbija echo. Wielokrotnie koronuje. Między drzewa wchodzi głos. I śpiewa ognisko i krąg i las. Echo śpiewa. Toczy się powierzchnią łąk: dym, śpiew, jesień i woń.

Oblicze Ziemi

Ziemia – wspaniałe jeździecko we mgle niewiedzy.

Z(z)iemia ma warstwy, również społeczne. Otwiera się na nasiona. Na korzenie trzeba ją otworzyć. Również na człowieka, dla którego zatrzymał się czas, należy otworzyć ziemię.

Jej oblicze ma wielkie rumieńce. Pulsuje sercem lawy. Oddycha zielenią. Gleba rodzi roślinność, także piach i skały. Pomiedzy – życie drapieżców. Strach, walka i śmierć – trójca nierozdzielna. Przyczajenie, obrona, ucieczka – towarzyszą wszystkim gatunkom. Silniejszy zwycięża, uległość pozwala przetrwać. Poddani zawsze byli i są.

W zasięgu Słońca niemoc umysłu. Niesyty człowiek – wyżej i wyżej, głębiej i głębiej. Intelktem sięga w nieznanne i odkrywa... własną niedoskonałość. Wulkany, kataklizmy – grzebią.

W zbiorowości okruczeństwa pokoleniowa wieczność. Jak schody do wiedzy.

Nasza wola

Zwyczajna ludzka słabość do czegoś popycha.

Wciąż ważne jest paliwko – ta człowiecza micha.

Przyczyna nieprawości, sporów i niesnasek, zakładania kurtyn, parawanów, masek. W celu ukrycia czegoś, by coś uwydatnić, podkreślić, upiększyć czy wyeksponować, odkryć coś lub zakryć, stworzyć wokół siebie, ku sobie samemu.

No bo jakżeby inaczej – grabić po swojemu.

Grabie w drugą stronę trudno przystosować.

Ja grabię, ty grabisz, on i ona, oni także czynią czynność wyćwiczoną. Zagarniam w swą stronę, choćby twarz zwróconą.

Ale jeśli wszyscy ku sobie nas wszystkich, wtedy będziemy w kupie ludzi sobie bliskich.

Zagrabimy przyjaźń, bo to najważniejsze.

Powpinamy róże bez-kolcowe w miejsca gdzie szaro bywało.

Stokrotki stokrotnie przywłaszczymy sobie.

Tulipany przytulą nas wszystkich.

Ku sobie skierujemy ręce – jak bluszcz nas oplotą.

I więcej... więcej... więcej miłości wzniesimy.

Uśmiechając się otworzymy ciepło serc serdeczne.

Utrwalimy na kliszy, aby nieobecnym uświadomić, że jeśli zechcemy –

SZCZĘŚCIE BĘDZIE WIECZNE.

Czarno-biały świat

Słońce wybucha!

Czerń chłonie jasność, ale wciąż jest czernią.

Drapieżnie zjada blask i nie zmienia intensywności własnego cienia.

Jak tęsknota za słońcem tkwi w nocnej chmurze.

Jak tęsknota za radością żyje w żałobnych kirach.

W połączeniu z bielą wyznacza krechę.

Kontrast rodzi iskielki jak gwiazdki w rozpozyczeniu nocy.

Gardło zimy

Śnieg połknął ziemię. Termometry zniżają słupek.

Snują dym kominy.

Biel chrząści. Szczypie powietrze. Oszronione gałęzie.

Sikorki i wróble ufają człowiekowi.

Bezdomni w noclegowni. Kolejka do łazienki.

Na miejskim placu samochód z kotłami gorącej zupy –

odrobina ciepła w mroźny dzień.

Zima czyha na wystudzone życie.

Proza poetycka z przygotowywanego tomu pt. *Wzdłuż rozdarcia*.

Bezskrzydły anioł

Mój anioł nie ma skrzydeł.
Ma twoje ramiona,
Twój głos,
Twoje oczy,
Twoją postać.

Jesteś moim aniołem.

Nie ukazuj mi się więcej!
Nie mów, że jesteś człowiekiem,
Tym, który zgubił skrzydła.

Eros i Thanatos

Jest takie światło
W obrazach EL Greca,
W powietrzu nasyconym
Najczęściej przed burzą,

W ogniu, który nie płonie,
W płomieniu, gdy gaśnie nagle
Jak życie lub miłość.

Eros i Thanatos
To prawie to samo,
Bo nic się nie zmienia.
Może tylko światło,
Gdy w oczach twych nie odbite,
Blask traci

Wiersze to tylko słowa,
A słowa jak ptaki stworzone są do lotu.
Ściągnięte na ziemię,
Nie ukażą skrzydeł rozpiętości barwnej,
Gdy łącząc się
Swym kluczem otwierają przestrzeń

Wiersze magiczne gniazda kołyszają w przestrzeni ptaki,
Co wzniosły się
Ponad własnych skrzydeł miarę
I czas,
Gdy lot ostatni.

Te wiersze przetłumaczone zostały przez Łyczczara Seliaszkiego (zasłużonego tłumacza współczesnej poezji polskiej) na język bułgarski i wydane jego staraniem w Sofii w 2016 r. Okładkę zaprojektował związany z rodziną Autorki Norbert Rasiński.



Spotkanie promocyjne Zofii Walas w krakowskim klubie „Pod Gruszką” prowadziły Magdalena Węgrzynowicz-Plichta i Beata Kępińska

Marek Wawrzekiewicz

Ułamki

Jedna czwarta przedwiośnia, trzy czwarte jesieni,
Cztery czwarte pewności, że nic się nie zmieni.

Noc prawie nieprzespana, połowa snu nocą,
Pięć szóstych przekonania, że już nie ma po co.

Przepełniony kasztan i opadłe liście,
W siedmiu ósmym życia już nic się nie ziści

I nic się stać nie może, skoro się nie stało,
Dwie trzecie świadomości, że tak być musiało.

Jeden procent nadziei, a reszta żalości,
Zero po stronie zysku, sto procent nicości.

Sto procent przekonania, że ja, nie kto inny
Tej zawiei i mgieł tych jestem sobie winny.

Jedna siódma, pięć szóstych, pełne cztery czwarte.
Mam, na co zasłużyłem, co życia niewarte.

Niech się stanie, co stać ma, a kiedy się stanie,
Niech spełni się do reszty każdy ten ułamek.

Wrzesień, 2015

Podanie

Joasi Rawik, kiedy śpiewała „Mon Dieu” Edith Piaf

Panie Boże, czymkolwiek jesteś, gdziekolwiek jesteś
I czy w ogóle jesteś – mam na wszelki wypadek
Jedną uprzejmą prośbę do Ciebie.

Mianowicie zastanów się w chwili wolnego czasu
Czy ewentualnie mógłbyś cofnąć
Albo choćby zatrzymać czas. I proszę,
Żebyś zdecydował za mnie, czy by to się
Komukolwiek opłaciło, bo przecież sam
Nie mam prawa tego wiedzieć. Wprawdzie jesteś
Od rozstrzygania wielkich spraw, od tworzenia światów,
Oraz wszelkiego istnienia, ale też, jak mnie zapewnijają,
Masz pewne obowiązki wobec mnie, tym bardziej
Że od trzynastego roku życia nie zaprzątałem Ci głowy.

Nie wymagam od Ciebie wytłumaczeń. Przyjmuję z pokorą
To, że niezbadane są Twoje wyroki. Ale co Ci szkodzi
Jednak wyjaśnić mi, dlaczego ona urodziła się tak późno,
A ja tak wcześnie. I co to jest, Twoim zdaniem,
Wcześnie i późno. Bo coś mi się zdaje, że ja wiem,
Co to jest późno. Ale może się mylę? W każdym razie
Chciałbym to wiedzieć na pewno, zanim mnie
Gdzieś tam powołasz.

Z poważaniem – gdziekolwiek jestem i czymkolwiek jestem –
(rozumiesz tę wspólność: na obraz i podobieństwo)

Z antologii 45. Warszawskiej Jesieni Poezji pt. *Za trawą...
wszechświat*, opatrzonej wstępem poety – prezesa Zarządu
Głównego Związku Literatów Polskich



Magdalena Węgrzynowicz-Plichta

z cyklu: *Spod prasy*

3 x E

jesteśmy po nich przed nimi; tak samo światłoczuli
jak oni; choć ich nie znamy tak samo tęsknimy
za światłem

za słońcem za życiodajnym blaskiem na mgnienie
na rozmnożenie na kwant światła na pęd do wieczności;

gdy nawałnica warkocz deszczu rozplata marniejemy;
tylko chwast gwałtem ziemię spazmatycznie porasta...

chwały pośmiertnej żądni; w skuteczność rzymskiej
maksymy *per aspera ad astra* codziennie wątpiący;

gotowi przyjąć zbawienie na wiarę; tracimy się; łudzimy;
mrzonkami żyjemy; spragnieni kontaktu bez przerwy

przy teleskopach wyczekujący: czy w kosmos
wyszlalone (na plakietkach pozłacanych)

Przesłanie Pioniera z trasą przelotu sondy przez
Układ Słoneczny dotarło już do istot pozaziemskich!

świat ginie; rozplywa się gdzieś i majaczy na linii
horyzontu a rozległa w kosmosie czasoprzestrzeń

to tylko twór językowy; nie ugryziesz go; nie posmakujesz
choć jesteś w żywiole życia zanurzony po same uszy

póki na strunach duszy elan vital żywiołowe marsze gra!

e m p a t i a – e k l e z j a – e n t r o p i a

cóż znaczą? kto to czuje? kto choć zrozumieć próbuje?
przedapokaliptyczna cisza; nikt nas z głębi niebios
nie woła!

dlaczego to nie działa? czym zbrukaliśmy świat?
wszystko zostało tak dobrze obmyślane – miłość

i pożądanie; męczyzna i kobieta; rodzice i dzieci
a nawet dziadkowie; ziemscy bogowie i wszyscy święci;

czy nazbyt długo mamiały nas błyskotki doczesnego
świata?

czyśmy winni w sercu wszystkich morderstw
Kaina i Aba...

Tożsamość

w księgarniach w bibliotekach w zwojach
na kartkach w ibukach i online – w chmurze

jak w wiązce światła zbiegają się ludzkie losy;
jak drogi krzyżują i jak miedze dzielą;

niczym psy wierne – noga w nogę wędrują;
tu historia nie drzemie na zakurzonych półkach;

w świetle prawa dzieją się rzeczy proste jak uśmiech;
pod nocy osłoną wstydlive – niczym nieskrępowane;

kto się niedźwiedzi boi ten do lasu nie wchodzi
ale komu ani gąszcz ani wilk nie straszny

niech pędem się w przepastne knieje
dziejopisów zanurza; niech uchem łowi

szczęk polskiego oręża; niech mu żadnej
dziejowej zawieruchy lament za wymówkę nie służy

od przygody z wiedzą
ucieczka karkołomna na łeb na szyję

kto historii własnego narodu nie zna –
jest na wieczne wygnanie skazany

za przyczyną ignorancji z własnej
nieprzymuszonej woli banitą się stanie

Martwa natura (?)

a może by tak

dać się oprawić
w ramę raz i na zawsze –

cisza bezruch spokój
plaster miodu na serce

pod światło z bliska
same refleksy świetlne

nie starzeć się nie martwić
zawsze wyglądać tak samo

kusząco i atrakcyjnie
jak niewzruszona góra

spoglądając sponad
tajemniczo milczeć

„Na odwyku” (Fragment powieści)

Upalny i burzowy czerwiec okazał się łaskawy w dniu pogrzebu Lalki. Rzeński poranek i prawie bezchmurne niebo zapowiadały spokojne, bezdeszczowe chwile. Jakoś tak irracjonalnie bałam się, że Lalka coś wykombinuje, wywoła skandal, narozrabia. – Ależ idiotka ze mnie, przecież moja biedna siostra nie żyje – myślałam. Pogrzeb był skromny, ale uroczysty. Trochę rodziny, liczne grono znajomych, mnóstwo kwiatów. Nikt nie spodziewał się śmierci Lalki. Prawie wszyscy wiedzieli o jej kłopotach z sercem, była jednak względnie młodą, niespełna pięćdziesięcioletnią osobą. Na pewno jej kłopoty nasiliły się i choroba rozwinęła znacznie, kiedy opiekowała się Karolem. Jego przedwczesna śmierć, a przedtem prawie roczna walka z rakiem były dla rodziny i przyjaciół bardzo stresujące. Mnie najbardziej zaskoczyła postawa Lalki. Z Karolem rozwiódła się (a właściwie Karol rozwiódł się z nią) pięć lat przed jego śmiercią. Mieszkali osobno. Kiedy jednak dowiedziała się o nieuleczalnej chorobie Karola (był to nowotwór złośliwy trzustki), przeniosiła się do niego i bardzo troskliwie i z oddaniem opiekowała byłym mężem. Karol promieniał. Zawsze kochał Lalkę. Tuż przed śmiercią wyznał mi, że robił wszystko, by ją uszczęśliwić. Sfingował rozwód, kupił jej mieszkanie i czuwał, by jego Lalunia miała wszystko, o czym tylko zamarzy.

Opowiedziałam całą historię znajomości oraz ich życia Margaricie (a właściwie Małgosi, bo tak ją nazywałyśmy), teściowej mojego syna, która cztery dni temu przyjechała z Niemiec na moje imieniny. Wyjątkowo w tym roku gościły u mnie jeszcze tylko Anna i Aleksandra. Nie przyszła Lalka, chociaż obiecała.

Po pogrzebie zaprosiłam uczestników uroczystości na obiad i kawę do niewielkiej restauracji przy cmentarzu. Małgosia, Ania i Ola pojechały do mojego mieszkania, żebyśmy mogły wszystko obgadać. Wprawdzie z dziewczynami widziałam się trzy dni temu i długo rozmawiałyśmy o naszych poczynaniach, i prawie podsumowałyśmy ostatnie dwa lata, które minęły od chwili po moich imieninach, kiedy to postanowiłyśmy zmienić

nasze życie i zacząć zupełnie inaczej, zacząć życie „na odwyku”.

Ale historia Lalki i moja przez ostatnie dni miała jednak dalszy ciąg. Bardzo, bardzo głęboko zastanawiałam się, czy powiedzieć moim przyjaciółkom, że śmierć Lalki nie była śmiercią naturalną, że było to samobójstwo.



Ewa Wojtasik czyta swoje wiersze podczas spotkania w Centrum Promocji Kultury na warszawskiej Pradze-Południe w ramach 45. Warszawskiej Jesieni Poezji (październik 2016) Fot. Jan Rychner

Andrzej Zaniewski

* * *

Wiersz umiera i wiersz zmartwychwstaje.

Poeta umiera i nie wraca.

Bezradny wobec czasu boisz się
i uciekasz, wiesz co cię czeka, znerwicowany
wpadasz w przepaść za przepaścią,
podpalasz, topisz, rozbijasz...

Twój wiersz trwa – już bez ciebie –
wyczekuje, lub gdzieś ranny, w klinicznej śmierci
milczy w komodzie, chce być – zostać przeczytanym,
ożyć i albo – albo...

Znam wiersze nieśmiertelne i zabijane
natychmiast po napisaniu, ginące w zapomnieniu,
spalające się w sobie, zakłamate lecz piękne,
i te mordowane tuż przed narodzeniem.

Katem bywa poeta, autor lub przyjaciel,
krytyk mniej lub bardziej fałszywy,
często żona lub mąż, matka lub ojciec...

Są jednak wiersze, które zmartwychwstają, na pewno,
po latach, po wiekach, po wojnach i klęskach
wracają – strudzeni tułacze naszych myśli,
zatrzymują się przy otwartych drzwiach na werandzie
przy ulicy Emanuela Ringelbluma i w ciszy
patrzają mi w oczy.

* * *

To twoja ostatnia Odyseja... Strach. Zmierzch. Zapaść.
Tuż przed zmierzchem cieszysz się ze zniszczenia
[wroga
– wyimaginowanego przeciwnika. Nie ma go, wyjechał,
uciekł z Warszawy, niedługo zgaśnie,
rozpłynie się w prowincjonalnym zaciszu.

Podróżujesz, pędzisz, decydujesz i nie pamiętasz, że
zbliżasz się, podchodzisz, podlatujesz do kresu,
do zsypu, do śmietnika, zamykanego na kłódkę,
że to już nie kraj Lotofagów, a taniec Zwłok
twych przyjaciół i nieprzyjaciół.

Jeszcze dziś, jeszcze jutro, może pojutrze
i już nas nie będzie – po prostu znikniemy,
i nie wskreszą nas modlitwy, obrzędy, echa,
i polegniemy w zapomnieniu i śmiechu młodszych.

Na razie jesteś Odyseuszem, lecz już na ścieżce
Apokalipsy... Ze zbielałą, zmiętą, starą twarzą
pochylasz się nad obiadem za 12 złotych,
i z ironicznym półuśmiechem pytasz przez
telefon: – Co u ciebie?

U mnie śmierć, u ciebie śmierć, lecz pokonani
wiedzą już jak mało czasu im zostało,
więc nie porzucają wiosła, nie zapominają kluczy,
nie marnują chwil na kłótnie i protesty.

Kończy się odyseja... Cieszymy się z jutra,
jeżeli będzie jutro.

Trzymam w ręce księgę poetycką pod najkrótszym
z możliwych tytułem *Przed...* i zdumiewającym
podtytułem w nawiasie *400 nowych wierszy*, podarowa-
naną mi przez Przyjaciela z dedykacyjnym wpisem
datowanym: „Warszawa, 12.10.2016”. To ważny
poniekąd wpis, bo księga nie ma daty, choć zawarte
w niej wiersze nierzadko datę, jakby postawioną ot
tak sobie, odruchowo, posiadają. Nieumiejszczenie
w czasie całego tomu (zadbanego edytorsko przez
Wydawnictwo Komograf z mazowieckiego Ożarowa,
w twardej oprawie, z kolorowymi ilustracjami
Amandy Żejmis-Zaniewskiej) wynikało zapewne
z przekonania Autora, iż „cała przeszłość wydaje
się nam mgieniem, momentem, wieloobrazową
chwilą, błyskawicą. Wiersze [...] są właściwie próbą
zatrzymania czasu, powstrzymania tej niezależnej
od nas fali, która dla jednych jest źródłem jasności,
ale wielu spycha w mroczną dolinę”. I – tu akcent
krzepiący! – choć „o naszym losie decydują kom-
putery, statystyki, limity, a rozmowa z komputerem
bądź wyposażonym w paragrafy urzędnikiem nie
sprzyja uczciwej, autentycznej wymianie myśli
[...], jednak świat poetów – świat pisarzy – świat
wrażliwych i głębiej myślących broni się, istnieje,
przetwał, pozostał właściwie niezmienny...”.

Stanisław Nyczaj



Przywiązanie

Przecież ucho tej filizanki
nie może rozczarować.
Dotykane przez Ciebie,
oddycha ciepłem tkliwości.
Mnie ogrzewa przywiązanie
do rzeczy, co nas przeżyją,
na przykład porcelany i książek,
do których częściej się przytulam.

Dobrze się razem zatrzymać,
budować słowa, gesty otwarte.
Pod ich naporem szyby topnieją.
Odpowiedź na coś nieznanego
widoczna jest w naszych oczach.
Przyglądanie się sobie jest darem.

W poszukiwaniu okna

Patrzemy na siebie
i książki w pokoju,
co nam potakują.
O tym oknie myślę
z widokiem na miłość
mrugającą w dali
naszym wzruszeniem.
Nie mówmy do i o ciemności,
trzeba wybierać dni.

O tym oknie myślę
otulonym kroplami rosy
w oszklonym uścisku
niegaszonego światła.
Z prawdziwych słów,
jakich nie usłyszał nikt.

Wspinaczka po zaufanie

Pierwszy szczebel we śnie
zapamiętany, wcale nienowy
wyżłobił pokusę zdobywania
kolejnych, niepokonanych.
Spotkać bosa zaufanie nocą –
jakiż to odkrycie!

Potknięcie o drugi szczebel
to przystanek na wycofanie,
póki się jeszcze nie spadnie
z drabiny oczekiwań
na romantyczną głowę
za rzeźbienie swoich mrzonek.

Przy wspinaniu na ten szczebel
słysząc jak snuje się pajęczyna,
przez którą widać okno zaufania.
Ziewnął rozbudzony poranek,
stanął na niepewnych nóżkach,
wyruszył na poszukiwanie.

Wytęskniony dzień

To zdarza się niewielu –
uchwycić bijące serce
ptaka w locie
na zielonej łące
pokrytej szronem.
Nam się udało.

To zdarza się niewielu –
niespodziewanie,
jak na obcych,
mamy wiele przestrzeni
ciepła, światła,
czasu na złote sny.

To zdarza się niewielu –
kołysać zaufanie
owinięte w koszulkę
lekką, bielutką
jak niewinność.
Nam jest to dane.

Gdzieżeś ty jest?

Na niebie jesieni
kłębią się koników
siwe łby.
Jeden jest mój.
Puchate grzywy
wiercipięty
zwijają lato
rozczochrane.
Gdzieżeś ty jest?

W zabłąkanym
błysku pioruna
kropla wody
oblekła się w tęczę.
Siedem kolorów
wygiętych ciał
ociera się i skręca
w modrą dal.
Gdzieżeś ty jest?

Na niebie jesieni
już dni przyćmione.
Opaste i w pianie
stada rącznych koni
skubią mgłę,
by wymościć
bielone postanie.
Ślubuje im wiatr.
Gdzieżeś ty jest?

Na białym szlaku

Wcale nieślepy przypadek
obuł nas w gwiazdne wędrówki.
Prowadź, idziemy po miłość
przylutni do przestrzeni ciszy.
Niepewni swego miejsca,
ocieramy się o bliskość.

Wielki Wóz bez pośpiechu
zabiera na Mleczną Droę.
Prowadź, jedziemy po miłość
łagodną, otuloną trwaniem
z prostych słów i gestów
na wyciągnięcie dłoni.

Schadzka Słońca z Księżycem
na niebie budzi zaćmienie.
Nie przysłoni planet ani gwiazd,
promienieje droga na Ziemię.
Prowadź, schodzimy po miłość.
Spieszmy się, są widoki na jutro.

Wyrazić co przed nami

Pragnienie nazywania
tego, co pozostało,
przyptywa falami
w dobrej wierze do brzegu
i chroni od beznadziei.

Jest po co się budzić.
Niewinność jutra
od świtania życia
niewyparta z pamięci
nadal ma oczy dziecka.

Pod naporem dwóch serc
uginają się nasze dni.
Sprowadzenie miłości
z nieba na ziemię
nie kończy wszystkiego.

Co dalej

Braknie drogi,
by w pełni pokochać,
a wcześniej nazwać
przysłone powietrza
nad naszymi głowami.

I przystanki
na międlenie obrusu
przy pustej szklance
i nieme oczekiwanie
na to, co dalej.

Bal spełniony

W muzyce spojrzeń
zatrzymane chwile
obejmują zasięgiem
nieznaną bliskość
splecionych oczu.

Na balu spełnionym –
uniesieni tańcem.
Zbyt długo i czule
wiruje z nami świt,
krążąc bez wytchnienia.

Stało się prawdziwie.
Płynie ton czysty
i pnie się, pnie...
To, cośmy zgubili,
nietknięte wróciło.

Anna Zielińska-Brudek



Prezydent Wojciech Lubawski wręcza nagrodę Annie Zielińskiej-Brudek (czerwiec 2016)

Fot. Irena Nyczaj



Kazimiera Szczykutowicz, Irena Nyczaj wraz z laureatką Anną Zielińską-Brudek w drodze na Warszawską Jesień Poezji

Fot. Andrzej Piskulak

zniewoleni

zasoby są ograniczone
lub na ten czas niedostępne

stworzono więc
wirtualny świat
chłonny
alternatywny

spacyfikowano realne potrzeby
jak niegdyś faraonowie wykorzystywali naturalne zjawiska
by lud nieświadomy szedł na klęczkach

współcześni faraonowie
są nawet hojni

rozdają ziemię w grach
tudzież skarby i trony
ilość obojętna

pozwalają siał sadzić świętować zbiory
powiększać majątki

prowadzić krwawe wojny
rozkoszować się zwycięstwem

i dzielić się wszystkim
w każdej chwili
podczas zbliżenia w sieci

można nawet otrzymać od nich
w internetowej przestrzeni
nieskończoną liczbę żyć

do wirtualnego pakietu dodali gadżety
modny pośpiech samochody i komórki

zbuntowanym serwują prozac



Z antologii 45. Warszawskiej Jesieni Poezji 2016

Marlena Zynger była gościem pleneru na żeromszczycynie
(wrzesień 2016)

Ciekawa książka o Kresach

Stanisław Nyczaj

Bolesław Żabski

O miejscach pełnych życia, które zniknęły

Jako repatriant polecam Czytelnikom ten zbiór wspomnień, będący cennym przyczynkiem do bliższego poznania trudnych lat przeżytych na Kresach Wschodnich przez opolan, którzy przed powojenną repatriacją przeszli istną gehennę. Też z tamtych stron pochodzę, ale będąc młodszym od Autora, nie doświadczyłem tego co on. Natomiast pamiętam niemało z rodzinnych opowieści.

Relacja Bolesława Żabskiego – mojego wychowawcy z liceum im. Marii Konopnickiej w Opolu, wspomnianego z czułym sentymentem jako wspaniałego, opiekuńczego profesora i zarazem męża także naszej profesorki Zofii Wandy Żabskiej – jest w kontekście mojego rozeznania bardzo wiarygodna i wrażliwa. Wiarygodna w zasobie informacji, opisów sytuacji, rejestracji ważnych historycznie faktów. Wrażliwa, gdyż ujmowana tu z dużym zaangażowaniem emocjonalnym, spojrzeniem przez pryzmat losów rodzinnych, a więc tych najdotkliwiej osobistych.

Miałem sposobność śledzić tok pracy Autora nad tą książką, doceniając jego dbałość o najdrobniejsze nawet szczegóły, by uczciwie, trafnie ocalić od zapomnienia wszystko to, co się rzeczywiście zdarzyło, a szczególnie związane było z miejscami, które zniknęły, jak jego rodzinny Tyczyn, i znajdują się już tylko na starych mapach, pokazanych tu we fragmentach na okładce. Toteż, w moim przekonaniu, z całą pewnością uważny Czytelnik potwierdzi to moje spostrzeżenie i doceni wspomniany dokumentarny walor. Warto wczytać się, będąc wprowadzonym ręką dobrego przewodnika jak serdecznego przyjaciela. Wdzięczny jestem profesorowi Żabskiemu za ten nieoceniony dar słowa – zaświadczonego głębokimi osobistymi przeżyciami.

Zachować pamięć

Tą książką chcę zachować pamięć o byłej wiosce położonej w samym środku stepu Pantalicha, o fenomenie polskości, jej mieszkańcach, i w miarę moich możliwości, odtworzyć atmosferę i niektóre problemy, z jakimi spotykali się ówcześni mieszkańcy Tyczyna Nowego. Jednocześnie wskazać ewolucję mentalności społecznej i politycznej od kolonistów Neutitschein do mieszkańców Nowego Tyczyna i Tyczyna Nowego, ich problemy w czasie pierwszej wojny światowej i podczas obu okupacji, w czasie drugiej wojny światowej. Chcę wykazać rolę szkoły i nauczycieli w krzewieniu patriotyzmu i kultury języka polskiego, a także rozbudzanie świadomości narodowej w czasie zaboru austriackiego. Przedstawić współdziałanie z 9 Pułkiem Ułanów Małopolskich w odradzaniu się Stowarzyszenia Szlachty Zagrodowej, budowę obiektów użyteczności publicznej i podnoszenie na wyższy poziom życia mieszkańców Tyczyna.





Podczas wrześniowego spotkania moich koleżanek i kolegów, absolwentów z lat 1957-1961 opolskiego LO im. Marii Konopnickiej w malowniczej Turawie, nasz profesor i wychowawca – lubiany i szanowany Bolesław Żabski – miał szczególną satysfakcję, podpisując nam – rekomendowaną tu przeze mnie Czytelnikom „SKL” – wspomnieniowe *Moje kresowe korzenie*. Do napisania i wydania książki zachęciłem go przed dwoma laty. Teraz miał jej piękną promocję w naszym gronie, zaśłuchanych we wzruszającą opowieść dawnych wychowanków, którym dał z autografem do domowych biblioteczek ciekawą lekturę.

Stanisław Nyczaj

Wspaniały wkład kieleckiej rozgłośni w ogólnopolski dorobek Polskiego Radia

W przypadający na ten rok jubileusz 90-lecia Polskiego Radia Bohdan Gumowski napisał książkę (bogato zilustrowaną zdjęciami) pt. *Subtelność brzmienia, czyli dzieje Radia Kielce i Aktualności Dnia* (tj. też o najpopularniejszej audycji naszej 64-letniej rozgłośni słuchanej od 40 lat). Autor – poza dorobkiem literackim (zebrany w tomie *Gniazdo* z 2009) znany ze słuchowisk i reportaży radiowych, którego rozpoznawalny głos interpretujący czytane w odcinkach lektury polskiej klasyki cenią słuchacze nie tylko z regionu – prowadzi czytelników przez fascynującą historię powstania i rozwoju kieleckiego radia, przypomina zespół redakcyjny nadający mu owo tytułowe „brzmienie” na tyle wyjątkowe, że sytuowane jest ono w czołówce najchętniej słuchanych rozgłośni regionalnych w kraju.

Radio Kielce, prócz licznych wiadomych zasług, ogromnie przyczyniło się do popularyzacji twórczości naszych pisarzy. Wystarczy przypomnieć stałą dwugodzinną niedzielną audycję *Jesteśmy* sprzed lat, prowadzoną przez Bohdana Gumowskiego z moim często udziałem jako współmówcy, w której omawialiśmy nowo wydane książki i wydarzenia z życia literackiego. Notabene, tytuł tej lubianej audycji stał się też znakiem dorocznych almanachów literackich Krajowego Centrum Kultury Niewidomych w Kielcach. W ostatnich latach dla spopularyzowania osiągnięć naszego środowiska pisarskiego również bardzo wiele uczynili zwłaszcza Magdalena Smożewska-Wójcikiewicz, Ryszard Koziej, Alicja Bednarska, Dorota Juchnowska, a przed wieloma laty, nim przeniósł się do Lublina, Stanisław Fornal (odzyskany na powrót przejściem z Lubelskiego do Kieleckiego Oddziału ZLP)... Właśnie, to płytę do jego książki pt. *Roztropność wieśniacza. Swojskie gadki, czyli bajki* ufundowało Radio Kielce. Słowo wstępne do książki napisał prezes rozgłośni Janusz Knap, a ja skreśliłem postłowie. Prezes Janusz Knap wspomógł też wydanie tomu Jana Krzysztofczyka *Zasmole* i inne słuchowiska radiowe, zaś ostatnio wydanie tomiku wierszy Romualda Bielendy *Tabu*.

Gratulujemy i dziękujemy!

Stanisław Nyczaj



Antologia poetów polskich 2016

Po trzynomowej *Poezji polskiej – antologii tysiąclecia* z 2002 r. (Wyd. IBIS, pod red. Aleksandra Nawrockiego) to druga tak prestiżowa prezentacja. Co prawda jednotomowa (Wyd. Pisarze.pl., s. 568) pod red. Filipa Wrocławskiego (syna poety Bohdana, właściciela portalu, będącego zarazem red. nac. najpoważniejszego internetowego tygodnika), **ale z zapowiedzianą już perspektywą kontynuacji w latach następnych.**

Zasada przyjęta przez redakcję tej antologii była taka, iż każdy zainteresowany udziałem w niej przysyłał 5 wierszy z krótkim biogramem. W liście do autorów, którzy otrzymali egzemplarz starannego wydania w twardej oprawie, red. Filip Wrocławski napisał m.in. „Do udziału w antologii zgłosiło się ponad pół tysiąca osób. Ta ilość zgłoszeń, sama w sobie, świadczy już o ogromnym zainteresowaniu poezją”. Z tej liczby Redakcja zakwalifikowała 123, a wśród nich znaleźli się ze środowiska świętokrzyskiego – oprócz piszącego te słowa – Zdzisław Antolski, Joanna Babiarczyk (z Nowego Sącza, od ub. roku członkini Kieleckiego Oddziału ZLP), Krystyna Cel, Elżbieta Musiał, Adam Ochwanowski, Zbigniew Toborek, Maria Włodno.

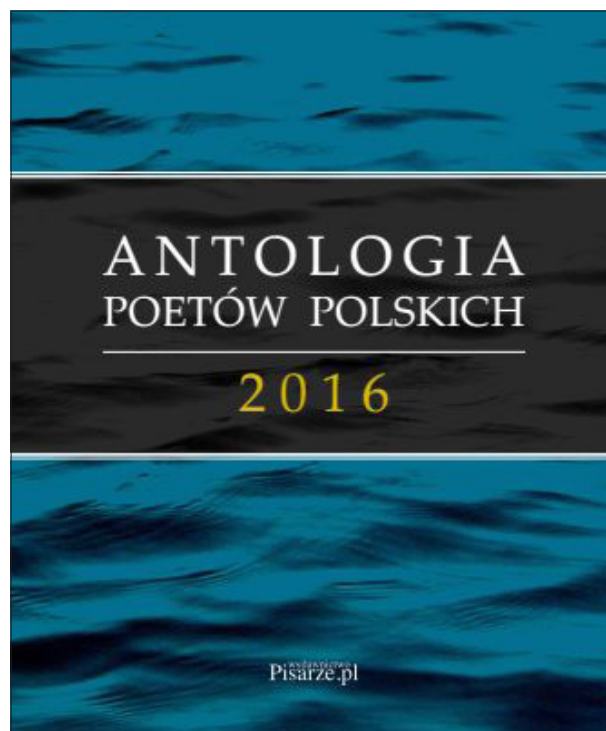
We wspomnianym liście red. Filip Wrocławski nadmienił: „Zdając sobie sprawę z tego, że rodzaj prezentowanych wierszy jest różny (bo przecież chcieliśmy przedstawić jak najszerszy ruch po-

etycki) oraz że wielu autorów tu nie ma, dołożymy wszelkich starań, aby w przyszłości poziom artystyczny wzrastał, a autorów przybywało”.

Nigdzie nie powinno nas brakować, więc bardzo zachęcam!

Egzemplarz obecnego pięknego wydania można otrzymać, wypełniając formularz zamówienia dostępny na stronie <http://pisarze.pl/antologia2016/>.

Stanisław Nyczaj



Aleksander Nawrocki dziękuje Bohdanowi Wrocławskiemu za *Antologię poetów polskich 2016* podczas Festiwalu Poezji Słowiańskiej w Warszawie
Fot. Barbara Jurkowska

Supermen Grażyny Doroty Kowalskiej

O pierwszym tomiku lirycznym Grażyny Doroty Kowalskiej – członkini warszawskiego Klubu Literackiego „Nasza Twórczość”, współpracującej m.in. z Biblioteką Tyflogiczną przy ZG PZN – pt. *Tancerka* (2011) Alicja Patey-Grabowska napisała w „Akancie”, że zawarte w nim „subtelne erotyki ujmują prostotą w wyrażaniu uczuć, a ich zwiewność i melodyjność koresponduje z tytułem”. Jan Rychner – przewodzący Klubowi „Nasza Twórczość” – podkreślił „umiejętność wypowiedzenia się poprzez metaforę”, a Jan Zdzisław Brudnicki docenił „rytm, namiętność, uskrzydlenie”, ukazanie „życiowego bogactwa złożonego z najpowszedniejszych darów dla kobiety, jakimi są miłość i partner”. Ów partner wyeksponowany zostaje w jej najnowszym zbiorze z 2015 r. pt. *Supermen*, дарowanym nam z dedykacją: „Abyśmy nigdy nie zwątpili w miłość, która dodaje sił”.

Zatem polecamy Czytelnikom, zachęcając do lektury zbioru, kilka wybranych zeń wierszy:

Zdarzenie

Nieoczekiwana miłość,
jak śpiew słowika,
niespodziewanie
pieśnią wypełniła mój świat.
Szłam przed tobą
z rozwianą fryzurą.
Dryfowałam wśród ludzkiej fali.
Czujnie mnie strzegłeś.
Spokój mną zawładnął,
poczułam ciepło na ramieniu.
Zatopieni w ciszy naszych serc,
staliśmy się jedną pieśnią.

Ogrody

W krainie pożądania
odkrywałeś mą kobiecość.
W niewoli doznań
zrzuciłam zasłonę.
Oderwani od świata
w uniesieniu
ruszyliśmy nieznanemu naprzeciw.



Odurzona zapachem fiołkowych ogrodów,
półsenna gubiłam lzy szczęśliwe.
Czy pragnę przebudzenia?
Zbliź się, posłucham,
jak bije zegar twojego ciała.
Śnij ze mną tej nocy.
Wtulę się w oddech miłości.

Zaklinacze nocy

Szelestem sukni zbudziłam cię
z porannym słońcem.
Szczęśliwi, zastąpił cię woalką czasu,
dzieliliśmy noc na odstony.
Wzywała sypialnia nie po to, by spać.
Ciała wrzały, napięte emocjami.
Poruszyłeś ziemię –
nie raz!
Piersi chybotwały jak łodzie –
uwolnione na wzburzonej fali.
Pragnęłam pocałunków,
bliskości ciała i silnych ramion.
Żar szeptu zapalał w nas
wciąż nową i nową iskrę.
Bez tchu szybowaliśmy,
aż świat przestał zaglądać w oczy.

Emilia Tesz i *Opowieści z kufra wyjęte*

Emilię Tesz poznałam przed wielu laty w Drukiennikach. Znalazłyśmy się tam na ogólnopolskim plenerze zorganizowanym przez białostocki Nauczycielski Klub Literacki. Emilia zwracała uwagę nie tylko swoją aktywnością podczas spotkań poetyckich, ale tym, że dysponowała swobodą i widocznym obyciem z grupą. Miała też już za sobą doświadczenia poetyckie, potwierdzone nowym tomem *Gdy wieje wiatr historii*. Niebawem okazało się, że pisze również aforyzmy i utwory satyryczne oraz bajki dla dzieci.

Z Emilią Tesz wiążę wiele wspomnień, ogromnie urozmaiconych w krajobrazie, ludziach i wydarzeniach. Kolorowych, wypełnionych wyjątkowo przyjazną i bogatą w emocje atmosferą. Bo to konkurs... i niezapomniane spotkania, nowi znajomi z poetyckiej braci, niezwykła gościnność w ZNP w Tomaszowie, poznanie ziemi Nadpilicza, jej historycznych miejsc: Tuszyn, Tomaszów, Inowódz i dożynki w Spale. Oczywiście „Dożynki Prezydenckie”, na które każdy z laureatów konkursu „Śmiejba” i „Tomasz” otrzymuje indywidualne zaproszenie. Gospodarzem dożynek w 2005 r. w Spale był prezydent Aleksander Kwaśniewski wraz z małżonką. Przybyliśmy na uroczystości specjalnym tradycyjnym pociągiem, którym jechał też z nami „żywy” (tworzyli go młodzi ludzie) herb Tomaszowa Mazowieckiego. Jechało wielu innych gości.

Pełna pomysłów i zapału Emilia zapraszała rokrocznie do wzięcia udziału w organizowanym przez nią konkursie „Śmiejba” i „Tomasz”. Niestety, skończyła się jego edycja, jest już on tylko wspomnieniem.

Łączyło nas wiele, w tym również twórczość aforystyczna, która znajdowała usatysfakcjonowanie w ocenach naszego mistrza, prof. Joachima Glen-ska. W ostatnim zbiorze pt. *Od pierwszej miłości do grobowej deski* (2011) dziękuje on m.in. Emilii Tesz za życzliwą odpowiedź. Jej obecność jako aforystki jest widoczna w większości aforystycznych zbiorów, również takich jak *Wielka księga myśli polskiej* czy *Księga aforystyki polskiej XXI wieku*.

Nie mogę sobie odmówić jeszcze uwagi, choćby najogólniejszej, o wierszach Emilii, o których pisze m.in. prof. Jerzy Poradecki, zwracając uwagę na ich aforystyczność zmienną dla dobrej poezji.

Chciałabym dodać, że wiersze te trafiają do ludzkich serc w jakiś tylko im wiadomy sposób, ponieważ sama tego doświadczam.

Do tomu *Miejsce na Ziemi* (2011) Emilia Tesz obok wierszy wprowadza miniatury prozatorskie. Widzimy w nich ogromny potencjał, jakby prowokujący czytelnika do oczekiwań na ciąg dalszy. Lubię, gdy pełne liryzmu wiersze podszywa epickim rozmachem, gdy głęboko zakorzeniona w tradycji autorka potrafi z nią dialogować.

Poetka mówi o wierszach, że „rosną szybko jak drożdże”. Przypomina mi to – pisałam w liście do Emilii – podobne określenie naszego drogiego przyjaciela, Wiesława Malickiego w jego wierszu *Słowa*. Że bardzo smutno bez Wiesia. Ten brak jest stały i trudno się z tym pogodzić. Jakże miło nam było być z Tobą w Tomaszowie. Jeszcze niedawno rozmawialiśmy, że może będzie „Śmiejba”. Wiesiek Cię bardzo cenił, zresztą w przyjaźni był nieoceniony, dziś już takich serdecznych „baciarów” nie ma. Pisałam, iż jeszcze z radością pragnę donieść, że i Twoją prozę czyta się wspaniale. *Niebieskie źródła* to nie tylko opis tego pięknego miejsca, ale źródło, jako symbol tego, co czyste i ważne. Wzruszająca jest postać nauczycielki geografii „Lasi”, historia,



którą odnajdujesz na cmentarzu, a wszystko to jest napisane jakby w pośpiechu, który mówi o tym, jak wiele jeszcze zostało do powiedzenia. Zaciekawia.

Dlatego kiedy otrzymałam najnowszą książkę Emilii *Opowieści z kufra wyjęte* (2016) nie zdziwiłam się. Frontysepis (zdjęcie Autorki z wczesnego dzieciństwa) wprowadza nas w rozbawienie, bowiem dziewczynka w sukieneczynie i sandałkach, stojąca jeszcze dość niepewnie na nóżkach, z jakimiś wielkimi lokami na głowie – to ma być nasza znajoma Emilia Tesz! Jedno się zgadza na pewno, to poczucie humoru, które jest nam znajome u autorki *Opowieści...* no i ten dystans do siebie.

Tak więc stajemy przed sporą porcją prozy, niezależnie od tego, co nas czeka, uśmiechnięci. Podobnie jak to dzieciątko na zdjęciu, które też stoi przed długą drogą życia, o której jeszcze nie wiedzieć nie może.

Piotr Śliwiński stwierdza, że pod koniec ubiegłego dziesięciolecia obserwujemy poparcie dla wydań prozy literatury polskiej, szczególnie literatury krytycznej wobec dorobku III Rzeczypospolitej, którą charakteryzuje język publicystyczny. Wydaje mi się, że w tej konwencji można ulokować *Opowieści z kufra wyjęte* Emilii Tesz.

Studiuje ona świat utracony w aspekcie doznań osobistych. Robi to po swojemu i na pewno wnosi wiele nowego między znane fakty i zdarzenia, a jako że każdy los jest inny, a życie dyktuje najciekawszy i niepowtarzalny scenariusz, autorka potrafi, również swoim stylem, zatrzymać uwagę czytelnika.

Wiele szczegółów w tej prozie z życia powojennego małych bohaterów jest wprost urzekających i niewątpliwie egzotycznych dla młodszych pokoleń, np. zabawki. Czytamy: „[...] W tamtych czasach pojęcie »zabawka« nie istniało – wystarczyły dwa kije do klipy, fajerka kuchenna i pogrzebacz do cudownej jazdy pełnej zakrętów, szmaciana piłka do »gier zespołowych«, pudełko po paście do butów, napełnione piaskiem, do gry w klasy. Jeśli lalka, to też szmacianka, uszyta przez matkę. Ołówki, kredki, farby pozostawały w świetle marzeń, chociaż trudno marzyć o czymś, czego się nie widzi, o czym się nie wie. W dole (po bombie) godzinami bawiliśmy się stawianiem babek, budowaniem domów, wymienialiśmy skarby – skorupki na papierki po cukierkach i odwrotnie. Najcenniejsze były skorupki, na których został choć skrawek szlaczka lub kwiatowego wzoru”.

Prawdziwie egzotyczne wydarzenia czekają nas, gdy młodzianka bohaterka opowie o pracy ze studentami wietnamskimi, których uczy języka polskiego. To

piękna i wzruszająca historia o przyjaźni i wdzięczności rzadko spotykanej. Niestety, tylko wspomni, że przecież po latach zostanie zaproszona przez byłych studentów do ich ojczyzny i odwiedzi Wietnam.

Na razie, jakby rekompensatą jest opowieść o pobycie w Grecji. Emilia z właściwym sobie wdziękiem tłumaczy też czytelnikowi, że: „w kufierku nie ma pótek, więc historie płaczą się w czasie i trudno zachować chronologię zdarzeń”.

Nie ma to jednak zbyt wielkiego znaczenia, aby zapoznać czytelnika ze wzruszającymi i przepełnionymi miłością wspomnieniami rodzinnymi; w tym o postaci matki – mimo całej powściągliwości jakże głęboko nam bliskiej. Podobnie jest w opowieściach o innych kochanych i drogich krewnych. Romantyczne historie miłosne, opowieści zabarwione humorem i wzbogacone anegdotami, pozostają nam w pamięci. A wspomnienia wojenne i okupacyjne można zamknąć poniższym akapitem z książki: „Od wojny minęło 70 lat, a ja wciąż nie oglądam wojennych filmów. Wiem, że nawet to, co pozornie jest fikcją, zdarzyło się lub mogło się zdarzyć naprawdę. Chciałabym wyrzucić wojnę z pamięci, ale ta księga nie da się zamknąć, tym bardziej że bliżej lub dalej wciąż toczą się wojny”. I jakże trafna, i charakterystyczna dla losu polskich rodzin konstatacja: „[...] Powtarzalność, podobieństwo niektórych zdarzeń w życiu rodziny, są zadziwiające. Babcia jeszcze leżała po połogu, mama miała zaledwie kilka dni, gdy Dziadek zniknął w wirze rewolucji. Dziadek matki brał udział w Powstaniu Styczniowym (matka z cziąć wymawiała słowa: Wielkie Powstanie), jej ojciec w wydarzeniach 1905 roku, ja miałam dwanaście dni, gdy mojego ojca wywieziono do Niemiec”.

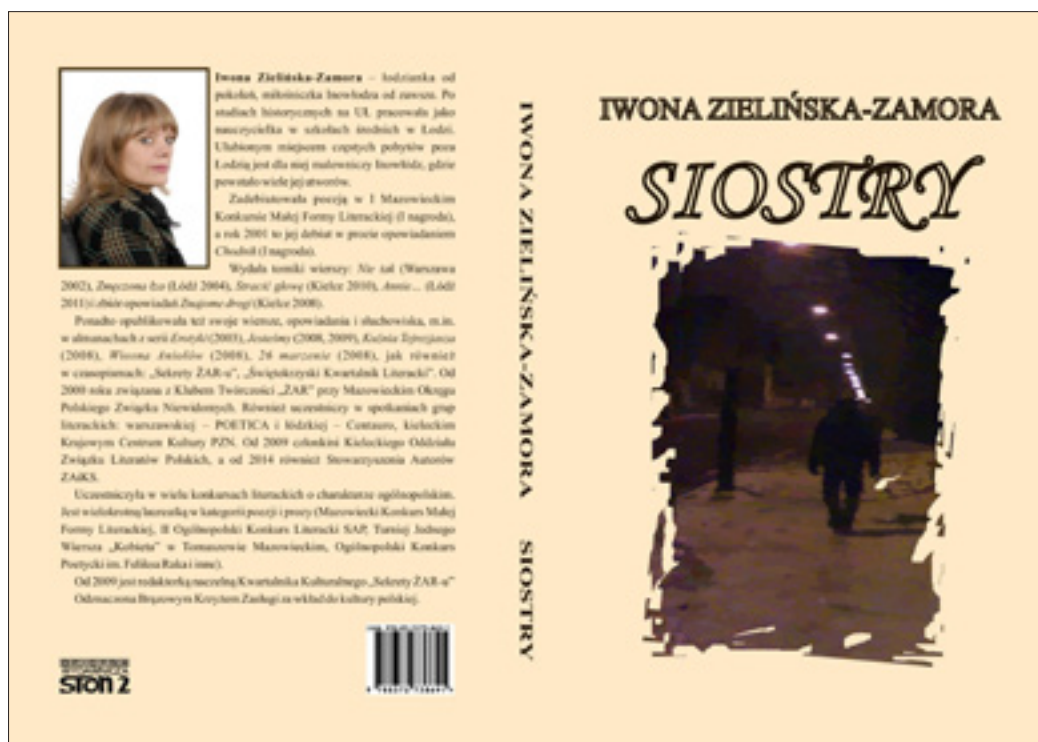
Opowieści z kufra wyjęte stwarzają dużą przestrzeń dla wyobraźni i przemyśleń czytelnika. Zabarwione przednim humorem, napisane z odpowiednim dystansem, który nic nie ujmuje powadze spraw, powodują, że towarzyszymy wspomnieniom autorki autentycznie w nie zasłuchani. Każdy może też znaleźć pretekst do własnych „powrotów” do przeszłości i refleksji nad przemijającym czasem.

Oficyna Wydawnicza „STON 2” w Kielcach może mieć również satysfakcję z pracy edytorskiej przy edycji tej książki, gdyż niewątpliwie jej estetyczny kształt oddaje właściwy klimat.

Teresa Nietyksza

Emilia Tesz: *Opowieści z kufra wyjęte*, Oficyna Wydawnicza „STON 2”, Kielce 2016. Wydanie pierwsze.

Polecamy uwadze powieść Iwony Zielińskiej-Zamory pt. *Siostry*



Siostry to debiut powieściowy Iwony Zielińskiej-Zamory. Jest to powieść społeczno-obyczajowa, której akcja rozgrywa się na przełomie dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku w Polsce. Autorka porusza w niej wiele aktualnych problemów, takich jak przemiany polityczne, gospodarcze i społeczne, samotne macierzyństwo, aborcja i...

Czyta się tę powieść jednym tchem, a sprawiają to: ciekawa narracja i nieoczekiwane zwroty akcji.

To historia o trzech pokoleniach niezwykłych kobiet, niestety bardzo skrzywdzonych przez los. Dalekie od wielkiej polityki, za to nierozzerwalnie związane z małą ojczyzną, nie są to bohaterki z pierwszych stron gazet walczące o wielkie ideały. To kobiety pozornie z drugiego planu, ale czy na pewno? A każda z nich samotnie dźwiga ciężar nieudanej miłości i samotności, choć z pozoru to kobiety silne i spełnione zawodowo. Czego im tak naprawdę brakuje do szczęścia? Odpowiedź na to pytanie nie jest i nie musi być ani łatwa, ani jednoznaczna.

Autorka pozostawia pytanie otwartym, z pewnością czytelnicy sami sobie na nie odpowiedzą po przeczytaniu książki, do czego ze swej strony zachęcamy.

Powieść *Siostry* nie nosi znamion „romansidła”, i nie oczekujemy rycerza, który przybędzie

na białym koniu tylko po to, by ratować z opresji ciężko doświadczoną przez życie niewiastę. To jest naprawdę wzruszająca opowieść, poruszająca problemy ważne, ale często w naszej kulturze obyczajowej przemilczane, a nawet niezauważane – a niestety, ciągle bardzo aktualne.

Iwona Zielińska-Zamora nie podejmuje się oceny postępowania swoich bohaterek, nie moralizuje i nie usprawiedliwia. Raczej odnosi się wrażenie, że ma niewyczerpane pokłady empatii dla każdej z nich. Rasowi faceci nawet mogą autorkę posądzić o feminizm. Jeśli się tak zdarzy, no to trudno – ostatecznie feminizm to nie grzech.

Młodzieńcza miłość, bezgraniczne zaufanie do ukochanego mężczyzny, zdrada, a w konsekwencji osamotnienie i różne (jakże odmienne) próby i sposoby wyjścia z matni – to główne wątki powieści, a zarazem sztafaż dla bardziej ogólnych i niezwykle ważnych spraw dziejących się w naszej rzeczywistości. Autorka nie oszczędza swoich bohaterek, tak samo jak nie pieści ich los, który przynosi im, być może w nadmiarze wiele nieszczęść i trudnych do udźwignięcia nowych wyzwań. A jak i czy w ogóle sobie z tym radzą powieściowe siostry? By się o tym dowiedzieć, koniecznie trzeba przeczytać tę ciekawą powieść.

W jubileusz Zdzisława Antolskiego

Od Redakcji: W przeddzień oddania tego numeru otrzymaliśmy zaproszenie na spotkanie w kieleckiej księżnicy im. W. Gombrowicza wieńczące 45-lecie dorobku twórczego Zdzisława Antolskiego. Omówienie tego jubileuszowego spotkania zamieścimy w następnym numerze. Tymczasem fragmentem z wypowiedzi Jana Z. Brudnickiego przypomnimy promocję książki o Jubilacie autorstwa Zofii Korzeńskiej: *Walka anioła z demonem. Zdzisława Antolskiego droga twórcza*, jaka odbyła się w czytelni Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej. Odczytana wówczas refleksja J.Z. Brudnickiego nie była dotąd publikowana.

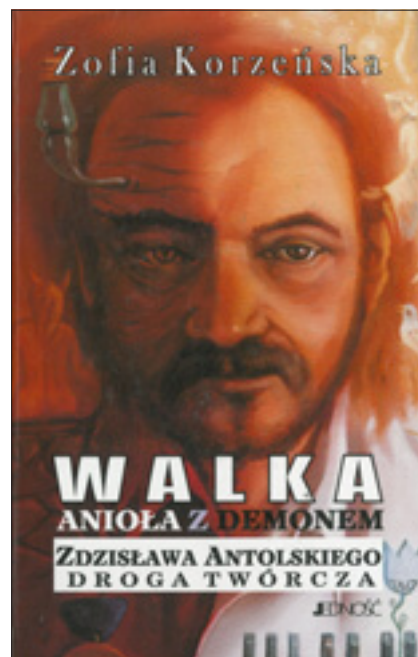
Jan Zdzisław Brudnicki

Poeta i jego kraina

Poeta Zdzisław Antolski przedziera się ku swemu przeznaczeniu z poczuciem, że te peryferie Poniądzia, a nawet Kielc, to przecież samo centrum kultury kraju, samo sedno historii Wisłą i Nidą płynącej, no i języka, nigdy niewyważanego z tej ziemi. Poetka i filolog, Zofia Korzeńska, czyta przez lata „życiem piszącego” utwory Zdzisława Antolskiego i najpierw w czasopiśmie, a teraz w okazałej monografii: *Walka anioła z demonem. Zdzisława Antolskiego droga twórcza*, opisuje w konwencji jedności dzieła i życia to zabłąkanie się w dziele i odnalezienie się w Nidy Skamandrze, żeby przywołać tytuł ostatniego tomu.

No i proszę, jakie spotkanie, tu wiersz autora zapiszę w formie listu: „To chyba dzięki pani Zofii Korzeńskiej znów moje pióro unosi się nad papierem. Lewitacja słów – poezja! Pani Zofia pisze mądre wiersze, ale umie też czytać innych poetów. Chwyta słowa w lot...”.

Omawiana tutaj biografia twórcza, jak drzewo, rośnie słojami i gałęziami przez wiele lat. O ile dzieli się na mniejsze, w miarę samodzielne fragmenty, o tyle nie można jej odmówić bliskiego obcowania ze słowem poety przede wszystkim, ale też przecież prozaika, publicysty, polemisty i – jak sam się nazywa – na poły etnografa. Wskazuje pożytki, jakie wyniosła z tych studiów i lektur: prawdziwą wiedzę o człowieku i świecie, nową oryginalną wrażliwość, indywidualny wyraz. A na



marginesie – dozę humoru, pogody i barwnej fantazji. Czego chcieć więcej?

Ale też rzadko który pisarz dostaje taki dokument. Solidny swój życiorys literacki. Dzieje twórczości. Analiza stylu. Kompletny zarys recepcji. A nawet bibliografia, indeksy, galeria fotograficzna. Niejeden pisarz pozazdrości Antolskiemu. A i sam bohater podobno zdziwił się swemu portretowi i dziełu odbitemu w lustrze monografii, a potem poczuł przyptyk natchnienia, jakby to w *Kazaniach Świętokrzyskich* nazwano, poczuł, że ona go pobudza i zachęca do dalszego pisania. Znane zjawisko zadowolonego. Poza interpretacją mnie zadziwiły cytaty. Mój profesor powtarzał: „Wszyscy cytują, ale zobaczcie, jak robię to ja”. Sztuka cytatu bowiem to jak granie krytyka z nut poezji, a równocześnie ogromna satysfakcja dla czytelnika.



Podziękowania

Serdecznie dziękujemy pani dyrektor Staszowskiego Ośrodka Kultury Katarzynie Ciepeli oraz kolegom Dominikowi Rożkowi ze Stowarzyszenia Inicjatyw Twórczych „Talent” przy SOK (radnemu Miejskiej Rady w Staszowie) i Benedyktowi Koziełowi (wiceprezesowi Kieleckiego Oddziału ZLP) za wydatną pomoc w przygotowaniu i organizacji pleneru pn. Staszowskie Lato Literac-

kie, jak również staszowskich imprez w ramach Światowego Dnia Poezji UNESCO i Festiwalu Poezji Słowiańskiej. Wdzięczni jesteśmy również głównemu organizatorowi wspomnianych festiwalu Aleksandrowi Nawrockiemu (redaktorowi „Poezji dzisiaj” i Wydawnictwa IBIS) za udział w tych imprezach wraz z gośćmi z zagranicy.



Od lewej: Aleksander Nawrocki, Dominik Rożek, Benedykt Kozieł Fot. z archiwum SOK

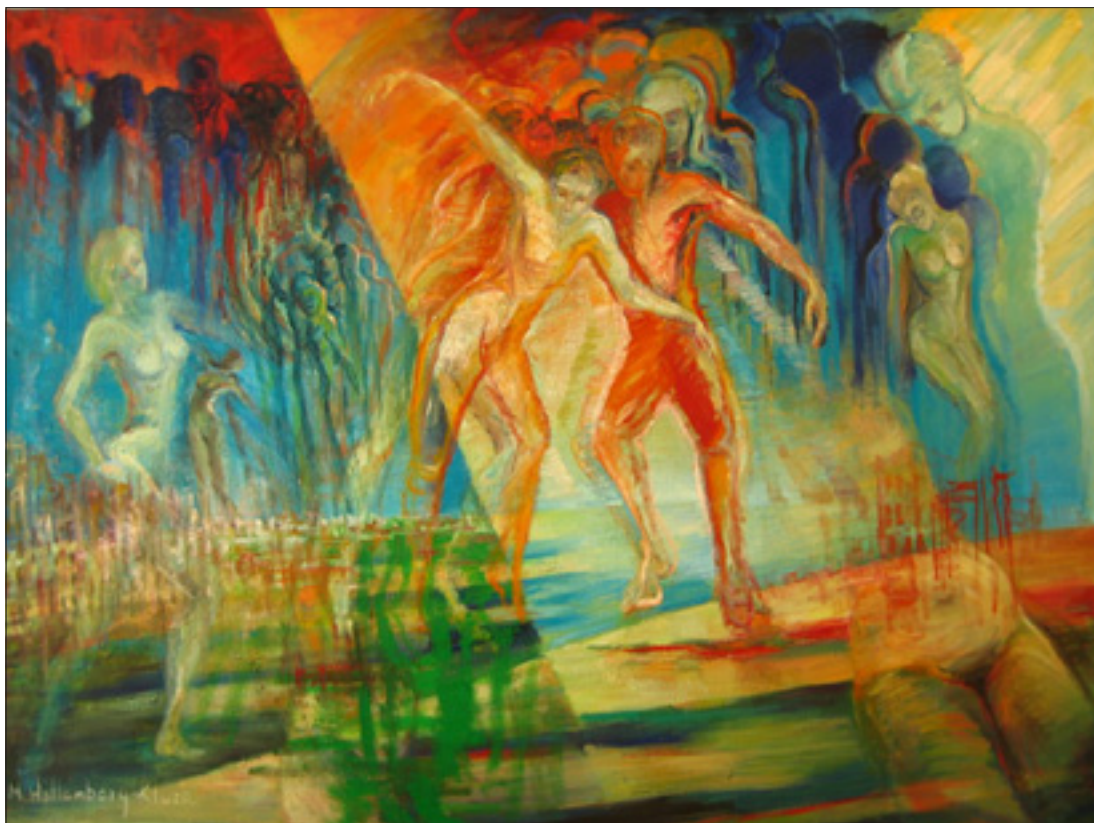
Stanisław Nyczaj dziękuje Pani Katarzynie Ciepeli – dyrektor Staszowskiego Ośrodka Kultury Fot. Benedykt Kozieł



Jan Zdzisław Brudnicki przyjmuje podziękowania od prezesa kieleckiego Oddziału ZLP Stanisława Nyczaja za zorganizowanie prezentacji świętokrzyskich literatów w Centrum Promocji Kultury na Pradze-Południe w ramach 45. Warszawskiej Jesieni Poezji Fot. Jan Rychner



Malarstwo Marii Wollenberg-Kluzy



Maria Wollenberg-Kluza: *Luxuria IV*, z cyklu „Siedem grzechów głównych”, olej, płótno



Maria Wollenberg-Kluza: *Zalew Zegrzyński*, z cyklu „Pejzaże polskie”, olej, płótno

**FR FOLK
RADIO**

folkradio.pl



**Pierwszy w Polsce
internetowy kanał
z muzyką ludową**

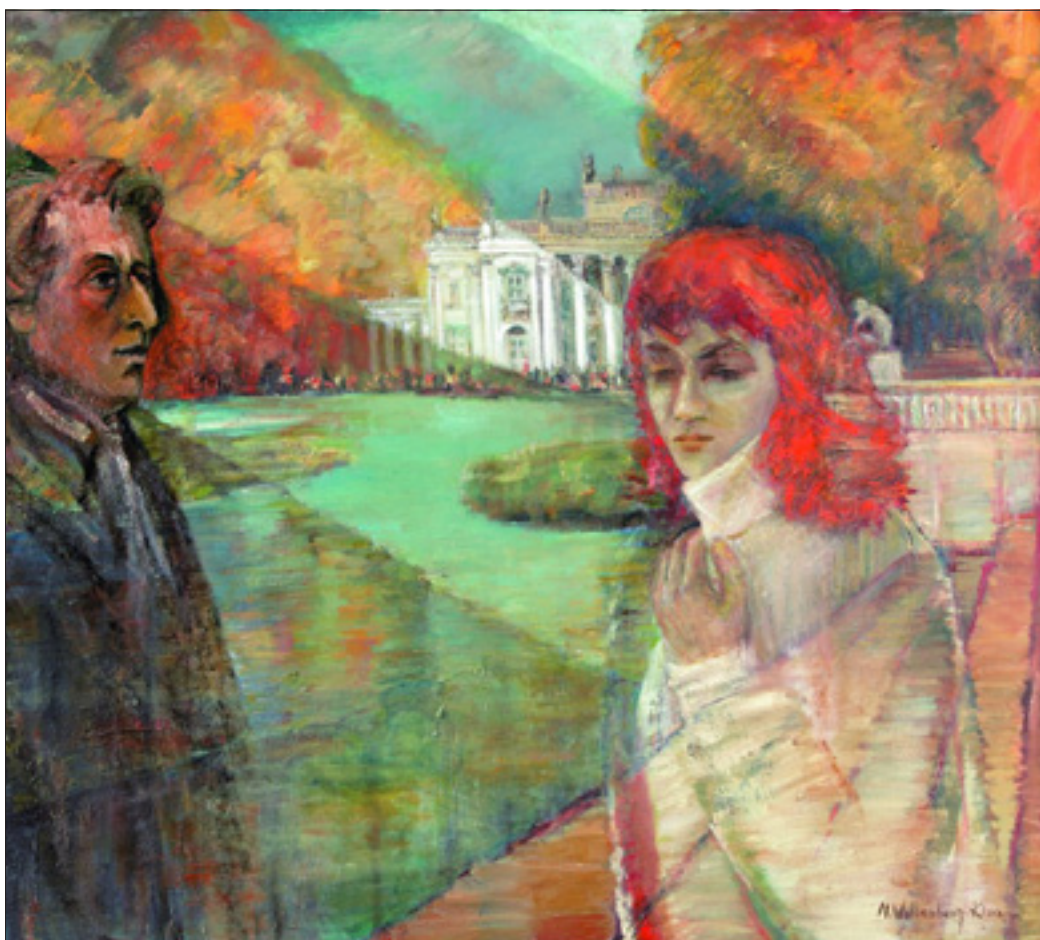
www.folkradio.pl

24 godziny na dobę
muzyka ludowa Gór Świętokrzyskich
przeplatana kujawiakami, mazurami,
oberkami i muzyką etno

ZAPRASZA POLSKIE RADIO KIELCE



Maria Wollenberg-Kluza: *Sen*, z cyklu „Rozmyślania i modlitwy”, olej, płótno



Maria Wollenberg-Kluza: *Spacer z Chopinem*, z cyklu „Chopin w malarstwie i motywy muzyczne”, olej, płótno